

Janusz Uberna

ŻYCIE PEŁNE PODRÓŻY



**Stowarzyszenie Emerytowanych Pracowników
Państwowego Instytutu Geologicznego**

Warszawa 2013

Janusz Uberna

ŻYCIE PEŁNE PODRÓŻY

*Stowarzyszenie Emerytowanych Pracowników
Państwowego Instytutu Geologicznego
Wspomnienia Nr 3*

Warszawa 2013

Redakcja: Maciej Podemski

Projekt okładki: Janusz Uberna i Maciej Podemski

W książce zamieszczono zdjęcia z archiwum Janusza Uberny.

ISBN 978-83-62989-47-8

© Copyright by Janusz Uberna, Warszawa 2013.

Druk i oprawa: ACAD, tel. 22 789-4-789

Zdjęcie na tytułowej stronie:
Jar Seretu, dopływu Dniestru, w okolicy Czortkowa

SŁOWO WSTĘPNE

Autor niniejszych wspomnień, Janusz Uberna, całe swoje życie zawodowe przepracował w Państwowym Instytucie Geologicznym (w latach 1952-1987 nazywał się on Instytutem Geologicznym Centralnego Urzędu Geologii). Kilkakrotnie przebywał na kontraktach za granicą, ale zawsze albo z polecenia Instytutu, albo jako jego przedstawiciel.

Wspomnienia z tych zagranicznych, nieraz kilkuletnich kontraktów, spisał i w większości opublikował w instytutowym zbiorczym wydawnictwie książkowym (Śliżewski W. i inni, 2005, Polscy geolodzy na pięciu kontynentach, Państwowy Instytut Geologiczny, Warszawa) oraz w wydawnictwie Stowarzyszenia Emerytowanych Pracowników Państwowego Instytutu Geologicznego (Uberna J, 2012, Gobijska przygoda, SEP PIG Wspomnienia nr 1, Warszawa). Inne, dotyczące kontraktu w Międzynarodowej Ekspedycji Geologicznej w Mongolii, rocznej pracy w Libii oraz kilkutygodniowych konsultacji surowcowych w Algierii, oczekują wydania przez Instytut w serii „Wokół geologii”.

Autor całe życie posiadał wielką ciekawość świata (i pewno dlatego został geologiem). Podróżował, jak zwykł mawiać wśród przyjaciół, jeszcze przed urodzeniem, ponieważ matka pojechała z Bortnik, położonych na południe Lwowa, do szpitala we Lwowie, aby go urodzić.

W dzieciństwie często zmieniał miejsce zamieszkania, podążając wraz z rodziną za ojcem zatrudnionym na kolei jako dyżurny ruchu, a następnie jako naczelnik stacji. W ten sposób przebył trasę od Bortnik, przez Borynicze, Husiatyn nad Zbruczem, przy przedwojennej granicy ze Związkiem

Sowieckim (jak się wtedy mówiło), do Czortkowa nad Seretem. Podczas wojny rodzina przeniosła się do Trembowli, gdzie ojciec znalazł nową pracę. Dotrwano tam do końca wojny.

W momencie, gdy Podole zostało włączone do Związku Sowieckiego, rodzina, znów idąc za ojcem, opuściła dawne kresy, z którymi była od dawna związana, i wyjechała do powojennej Polski. Tym razem przez Chełm Lubelski i Puławy rodzina dotarła do Warszawy, gdzie Autor mieszka do dzisiaj.

Tu ukończył liceum i studia geologiczne, po których już najczęściej służbowo poznawał różne zakątki Polski, a w starszych latach także dalszego świata. Swoją fascynację światem Autor barwnie przedstawił w niniejszych wspomnieniach, które są jednocześnie rodzajem autobiografii wzbogaconej informacjami genealogicznymi i osobistymi przeżyciami. Pominięte zostały natomiast szczegóły związane z dłuższymi pobytami Autora za granicą na kontraktach. W części końcowej opisane zostały natomiast wrażenia z niektórych Zjazdów Polskiego Towarzystwa Geologicznego i ciekawszych podróży po Europie.

Niniejsze wspomnienia Janusza Uberny dają między innymi barwną panoramę losów polskiej rodziny mieszkającej w dwudziestoleciu międzywojennym na Podolu, a po wojnie szukającej swojego miejsca w powojennej Polsce. Przynajmniej w części zawierają obszerny opis doświadczeń geologa (Państwowego) Instytutu Geologicznego w okresie powojennym (od późnych lat 1940-tych, do początków lat 2000-nych).

Maciej Podemski

Prezes Stowarzyszenia Emerytowanych Pracowników Państwowego Instytutu Geologicznego, ul. Rakowiecka 4, 00-975 Warszawa;
maciej.podemski@pgi.gov.pl

Rodzinne korzenie

Gniazdem Ubernów od początku dwudziestego wieku stała się Trembowla. Tutaj dziadek mój, Andrzej, wybudował nieduży, piętrowy, murowany dom. Parter mieścił obszerne trzypokojowe mieszkanie z dużą kuchnią. Podobnie było na piętrze. Przyziemie zawierało pokój i sporą kuchnię, a pozostałą część tego poziomu zajmowały piwnice. W jednej z nich przez lata sąsiad-Żyd składował sery. Była to ich dojrzewalnia. Na dużym podwórzu mieścił się budynek gospodarczy, w którym mieszkali dziadkowie w czasie budowy właściwego domu.



Mój dziadek, Andrzej Uberna (1922 r.), oraz moja babcia, Michalina z Terleckich Uberna (1943 r.).

Za moich czasów mieścił się tutaj duży drewniany magiel i szereg komórek. Był także obszerny strych, na którym zrobiłem sobie własną siedzibę. Na strych wchodziło się przez otwór w suficie pomieszczenia maglowego. Obok budynku gospodarczego mieściła się drewnutnia z falistej blachy. Tu trzymano porąbane drewno opałowe. Na trawiastym podwórzu stała czynna studnia z bardzo złą wodą, zepsutą przez serwatkę wypuszczaną z serowarskiego zakładu sąsiada. Obok studni rosła duża jabłoń rodząca nieco zdziczałe antonówki.

Ojciec dziadka Andrzeja, Kwiryn Uberna (1845-1905), mieszkał w Łoszniowie, miejscowości niezbyt odległej od Trembowli. Dzierżawił tam młyn i uprawiał kilka hektarów dobrej ziemi, którą nabył przed laty jego dziad. Imię dziadka Kwiryndy nie zachowało się w rodzinnej tradycji. Według niedokumentowanych danych przekazywanych ustnie był żołnierzem napoleońskim. Ranny nad Berezyną, po powrocie do zdrowia skierowany został do przyjaciół, którzy go wyleczyli na Podolu i tam osiadł w Łoszniowie. Tutaj, za zdobyte na wojnie pieniądze, kupił młyn, trochę ziemi i założył pasiekę.

W tym czasie zabór austriacki surowo karał wszelkie dążenia wolnościowe Polaków. Nic więc dziwnego, że dziad Kwiryndy ukrywał swoje pochodzenie. Jego syn Michał, a ojciec Kwiryndy, żył przypuszczalnie w latach 1815–1865. Miał on zapewne córki, których wiano kosztowało trochę ziemi i młyn, który Kwiryn już tylko dzierżawił. Z wianem żony, Honoraty Franusiszyn, wszedł w posiadanie poru morgów ziemi (morg lub morga = 0,56 ha) w Plebanówce koło Trembowli.

Kwiryn Uberna miał kilkoro dzieci: Najstarszym był Józef. Młodszy od niego, Michał, zmarł w młodości. Trzecim synem był Andrzej, a czwartym Ludwik, który tuż po pierwszej wojnie

światowej wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, a później do Kanady. Kontakty z nim zostały zerwane na długo przed drugą wojną światową. Młodszą od Ludwika była jego siostra Agata. Najmłodszą córką Kwiryra była Maria.

Andrzej Uberna, mój dziad, ożenił się czwartego lutego 1900 r. z Michaliną Terlecką, mieszkającą wówczas w Łoszniowie. Michalina Terlecka (1882 – 1949) była córką Jana i Apolonii z Bryczkowskich. Jan Terlecki, urodzony w 1849 r. (zmarł w 1910 r.), był synem Wawrzyńca Terleckiego, urodzonego w 1821 r., a zmarłego około 1878 r. Dane, poczynając od Kwiryra (Quiryra) Uberny i Wawrzyńca Terleckiego, są udokumentowane.

Andrzej Uberna miał czworo dzieci:

- | | |
|---------------------|--------------------|
| 1. – Alfred Andrzej | urodzony w 1900 r. |
| 2. – Maria | urodzona w 1904 r. |
| 3. – Kazimierz | urodzony w 1916 r. |
| 4. – Izabela | urodzona w 1920 r. |

Alfred Andrzej Uberna 24-go listopada 1927 r. pojął za żonę Zofię Marię Celestynę, z domu Mayer, urodzoną w Hadyńkowcach 18-go lutego 1906 r., a zamieszkałą w Trembowli. Zofia była córką Alfreda Mayera i Anzelmę z domu Bugno, którzy mieli więcej dzieci:

1. - Stella urodzona w 1898 r., zmarła w wieku osiemnastu lat (1916 r.).
2. - Eugeniusz urodzony w 1900 r.
3. - Adam urodzony w 1903 r., zmarł w 1938 r.
4. - Edward urodzony w 1905 r., zmarł w 1992 r.
5. - Zofia urodzona w 1906 r., zmarła w 2004 r.

Dziadek Alfred Mayer, syn Jana (w swoim czasie starosty czortkowskiego), urodzony w 1869 r., zmarł w wieku 42 lat

(1911 r.). Babcia Anzelma Mayerowa, z domu Bugno, urodzona w 1876 r., zmarła w roku 1957. Babcia wyszła za mąż w 1895 r. mając 19 lat.

Siostra Ojca, Maria, wyszła za mąż w 1932 r. za Czesława Budzynę-Dawidowskiego, inżyniera leśnika. Mieli syna Krzysztofa, który zmarł w wieku trzech lat. W 1939 r. urodziła się im córka Elżbieta. Cześć Dawidowski drugą wojnę światową spędził w obozie jenieckim Woldenberg (obecnie Dobiegniewo). Obóz oficerski nosił w czasie wojny nazwę OB.OF.IIC.

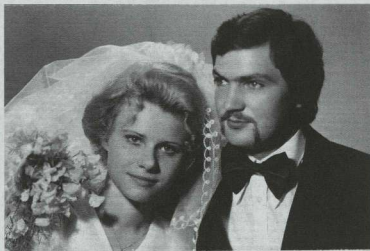
Elżbieta z mężem Waldemarem Gawryś wyemigrowali pod koniec lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku do Malmö w Szwecji. Mają synów, Wojciecha i Marka. Wojciech w 2000 roku ukończył studia w warszawskiej Szkole Głównej Handlowej jako obywatel szwedzki.

Kazimierz, brat ojca, ożenił się w Trembowli z Danutą Kostyszyn, urodzoną w 1927 r. Po zakończeniu drugiej wojny światowej zamieszkali w Zielonej Górze, gdzie Danuta urodziła dwu synów. Starszy Krzysztof zmarł w latach siedemdziesiątych. Stryj Kazik zmarł w 1997.r.

Izabela, siostra Ojca, po maturze w 1938 r. wyjechała na studia do Wilna. Mieszkała tam u swojej siostry, Marii Dawidowskiej. Po wybuchu drugiej wojny światowej związała się z Karolem Wnukiem, wdowcem, który miał dwu synów: Ryszarda i Bogdana. Po wojnie z całą rodziną przenieśli się do Puław. Mieszkali w Puławach i w leśniczówkach nadleśnictwa Puławy. Tu w 1947 r. urodziła się im córka Barbara. W latach pięćdziesiątych umarł najstarszy syn Karola, Ryszard. W jakiś czas później Izabela urodziła syna, którego nazwano Ryszardem (na pamiątkę zmarłego). Barbara wyszła za mąż za Andrzeja

Lisa, inżyniera-chemika. Zamieszkali w Pionkach. Mieli dwie córki. Barbara zmarła w 1998 r.

Najmłodszy syn ciotki Izy i Karola, Ryszard, urodzony 27 listopada 1951 r., został oficerem marynarki handlowej i mieszka w Gdyni. Tu ożenił się z Ewą, urodzoną 11 lipca 1954 r. Mają córkę Dominikę, urodzoną 19 maja 1977 r. Ciotka Iza zmarła 9 czerwca 2000 r.



Ryszard Wnuk, syn ciotki Izy, z żoną Ewą

Rodzeństwo ze strony Mamy miało, ujmując krótko, następującą historię:

Ciocia Stella, urodzona w 1898 r., zmarła jako panna w 1916 r.

Wujek Eugeniusz Mayer, urodzony w 1900 r., ożenił się w 1923 r. z Anną Łukaszewicz. Nie mieli dzieci. Wuj w stopniu majora dostał się w 1939 r. do niewoli niemieckiej, po krótkim internowaniu na terenie Rumunii. Okres wojenny spędził w

obozie OB.OF.IIC Woldenberg (Dobiegiewo). Po powrocie do kraju pracował jako urzędnik Polskiego Czerwonego Krzyża w Szczecinie. Mieszkał ze swoją żoną Anną aż do śmierci w 1976. Ciotka Anna zmarła w parę lat później.

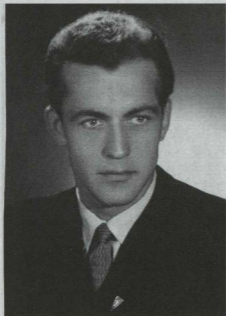
Wuj Adam ożenił się w czerwcu 1928 r. z Zofią Szostkiewicz. Wuj był prawnikiem. Pracował we Lwowie i w Warszawie. 24 stycznia 1931 r. urodził się im syn Zbigniew. Wuj Adam zmarł 11 listopada 1938 r., a ciotka Zofia – 18 września 1986 r.



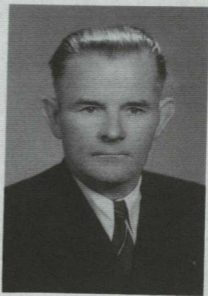
Od lewej: Zbyszek Mayer, Jego synowa Katarzyna z córką Anną, Tomasz Mayer jej mąż, Wanda Mayer żona Zbyszka i matka Tomka.

Zbyszek Mayer 17 kwietnia 1960 r. ożenił się z Wandą Karwańską, urodzoną 24 stycznia 1938 r. Ich syn, Tomasz, urodził się 15 września 1961 r. Tomasz Mayer 24 czerwca 1989 r. ożenił się z Katarzyną Szczodry, urodzoną 25 czerwca 1965 r. Anna Mayer, ich córka, urodziła się 5 czerwca 1990 r.

Wuj Edward Mayer, urodzony 25 stycznia 1905 r., tuż po pierwszej wojnie światowej wyjechał do Gdyni i został marynarzem (mechanik maszyn okrętowych). Ożenił się w 1933 r. z Janiną Macander. 16 lipca 1933 r. urodziła się im córka, Krystyna, a 11 marca 1939 r. druga córka – Alina. Po wypędzeniu przez Niemców z Gdyni w 1939 r., osiedlili się w Chełmie Lubelskim. Już w 1945 r. wuj z rodziną powrócił do Gdyni i dalej pływał.



Wuj Edward Mayer (1960 r.)



*Zbyszek Sprengel, mąż
Krystyny (1960 r.)*

W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych Krystyna wyszła za mąż. Małżeństwo okazało się nieporozumieniem, a mąż człowiekiem nieodpowiedzialnym. Rozeszli się. Pod koniec lat

pięćdziesiątych umarła ciocia Jania. W czasie jej choroby Krystyna poznała Zbigniewa Sprengel'a, lekarza chirurga, który w szpitalu opiekował się ciocią Janią. W 1959 r. Krystyna i Zbyszek pobrali się.



Krystyna Mayer (1950 r.)



Alina Mayer (1965 r.)

Z małżeństwa tego 24 czerwca 1960 r. urodziła się Julita. Przez pewien czas mieszkali oni w Elblągu i Braniewie. W Braniewie Zbyszek Sprengel był ordynatorem szpitala. Zmarł w czasie stanu wojennego, u schyłku 1980 r. Po śmierci Zbyszka Krystyna wróciła do Gdyni do domu ojca. Wuj Edward, po przejściu na emeryturę, ożenił się powtórnie. Umarł pierwszego marca 1992 r. W 1999 r. (9 sierpnia) Julita Sprengel urodziła syna Arkadiusza.

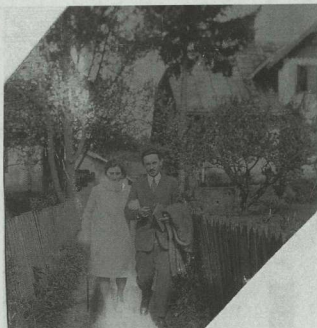


Julita Sprengel, 2007 r.

Alina Mayer pracowała w urzędach celnych Gdyni i Gdańska Mieszkała w Gdyni, Gdańsku-Oliwie i powtórnie w Gdyni. Jest związana z Romanem Skrzypkim.

Dzieciństwo

Na początku była miłość



*Mama i Ojciec w Trembowli. Narzeczeni.
Wrzesień 1927 roku.*

Rodzice moi, urodzeni w różnych miejscowościach (Ojciec w Żółkwi – 31.X.1900 r., a Mama w Hadyńkowcach – 18.II.1906 r.), długi czas żyli, mieszkali i pokochali się w powiatowym mieście Trembowli.

Kończył się upalny czerwiec 1928 roku. Zofia, z domu Mayer, gorąco witała swego męża Alfreda, który po ukończeniu we Lwowie kursu kolejowego przyjechał do Trembowli.



*Bortniki. Lipiec 1928 rok. Od lewej; Mama, ciocia Marysia
i miejscowy dyżurny ruchu.*

Na początku 1929 r. Alfred Uberna pracuje w Bortnikach, leżących na południe od Lwowa, jako dyżurny ruchu. Piątego kwietnia 1929 r. Zofia rodzi w lwowskim szpitalu syna. Na chrzcie w przyszpitalnej kaplicy, nadano mu imiona Janusz, Alfred, Maria. Trzecie imię nadano mu po to, aby ten, który przyszedł na świat, miał przynajmniej jednego katolickiego patrona. Po kilku dniach matka i syn zostali zabrani przez ojca do

Bortnik. Jak z tego wynika, podróże rozpocząłem już w łonie matki. kontynuując je tuż po urodzeniu.



Borynicze, 1928 rok. Mama i Ojciec.

Już w sierpniu 1929 r. Alfred zostaje przeniesiony, dalej w charakterze dyżurnego ruchu, na większą stację w Boryniczach. Borynicze także leżą na południe od Lwowa, niezbyt daleko od Bortnik. W Boryniczach rodzice zajmowali obszerne trzypokojowe mieszkanie z dużą kuchnią. Pomocą domową była w tym czasie Hania ściągnięta z okolic Trembowli od znajomej rodziny.

W Boryniczach, według słów Mamy, wypowiedziałem pierwsze słowo: „Hań, Hań, Hań” zwrócone do mojej opiekunki, nazywanej wówczas zwyczajnie służącą.

W Boryniczach przeżyłem dwie pierwsze tragedie, które dobrze zapamiętała Mama i niejednokrotnie o nich opowiadała. Na początku 1930 r. stwierdzono u niemowlaka robaki. Znajoma nauczycielka poradziła młodej matce, aby na brzuchu niemowlęcia położyć kompres z rozgrzanego miodu zaprawionego czosnkiem. Po zaaplikowaniu tego środka, położonego na cienkiej pieluszcze, podniosłem niebywały, acz uzasadniony wrzask. Mama zerwała kompres razem ze sporą częścią skóry pokrywającej brzuch. Do dzisiaj mam w tym miejscu obszerną bliznę wielkości dłoni.

Parę miesięcy później pozostawiono mnie na leżaku w przydomowym ogródku. Pozostawiony sam sobie musiałem się mocno wiercić. Leżak się złożył, mój mały palec dostał się między drewniane części tego wypoczynkowego sprzętu. Oczywiście podniosłem odpowiedni wrzask. Pomoc nadeszła szybko, ale górna część palca podobno ledwie się trzymała reszty. Przy pomocy sanitariusza połączono obie części i dziś o wydarzeniu przypomina tylko wyraźna blizna biegnąca przez górny człon małego palca lewej ręki.

Husiatyn

W połowie czerwca 1931 r. Ojciec awansował na stanowisko zawiadowcy stacji Husiatyn. Od tego czasu bardzo długo zwracano się do niego „panie naczelniku”. W ten sposób przez dwa pierwsze lata mego życia do snu kołysały mnie piosenki Mamy na równi ze stukotem kół przejeżdżających pociągów

relacji Lwów-Chodorów. Z Chodorowa pociągi jechały w kierunku Stryja, Stanisławowa i Tarnopola.



Zbrucz pod Husiatynem.

Husiatyn był stacją końcową. Na wschód od naszego domu i od stacji, w odległości około dwu kilometrów, rozciągał się południkowo jar rzeki Zbrucz. Za rzeką był Związek Radziecki, czyli jak wówczas mówiono – bolszewicy. Linia kolejowa z Husiatyna biegła na zachód do węzłowej stacji Kopyczyńce. Stąd otwierała się droga na świat, na zachodni świat, obejmujący w pierwszym rzędzie nasz kraj. O tym dowiedziałem się jednak znacznie później.

Między trzecim a czwartym rokiem życia otworzyły mi się oczy na świat w tym sensie, że zacząłem zapamiętywać zdarzenia.

W parę dni po wiosennej burzy w upalny dzień początku czerwca zwiedzałem okolice bardziej odległe od domu. Zobaczyłem dużą brzozę rozdartą uderzeniem pioruna. Z rany wyciekała oskoła. Na wilgotnej powierzchni pnia częściowo odartego z kory pożywiała się wielka czarno-zielona gąsienica z kolcami na grzbiecie. Kiedy przyglądałem się jej z zainteresowaniem, przyleciał duży biało-czarno-czerwony motyl. Usiadł na krawędzi świeżej szczeliny i spijał sok sączący się z drzewa. Był to pierwszy zapamiętany przeze mnie obraz.

Dalej życie toczyło się wartko. Były gonitwy wśród pszenicznych pól w towarzystwie psa. Mój nieodłączny towarzysz miał na imię Bosa i był sympatycznym kundlem. Bosym nazwano go z racji białych łap, kontrastujących z resztą brązowej sierści. Po gonitwach często sypiałem w jego budzie. Mama nie zawsze potrafiła mnie znaleźć, dopóki nie zlokalizowała mojej kryjówki. Bosa, choć wielki przyjaciel, nie lubił, gdy stawiałem go na tylnych łapach, aby przewrócić na grzbiet. Gdy przy kolejnej próbie mocno ugryzł mnie w przegub ręki zrozumiałem, że taka zabawa mu nie odpowiada i prób nie powtarzałem.

Mieszkaliśmy w piętrowym domu odległym od stacji około 200 m. W tym czasie nie używano określenia „dworzec kolejowy”. Mówiło się po prostu: „idę na stację”. W małych miastach nie było innych stacji poza kolejową. Ojciec był naczelnikiem stacji. Podległy mu dyżurny ruchu mieszkał w przyległym domu – bliźniaku i nazywał się Podłuski. Dom od południa graniczył z rozległym torowiskiem, na którym łączyło

się wiele torów kolejowych i gdzie zwykle stało kilka wagonów towarowych.



*Husiatyn – 1934 rok. Bosy (pies), Babcia (stoi),
Mama i Autor. W dali zabudowania stacyjne.*

Głęboki rów oddzielał od północy teren domu, podwórza i zabudowań gospodarskich od pól folwarcznych. Był on zarośnięty burzanem, który miejscowi nazywali łopuchami. Wśród chwastów porastających rów swobodnie poruszałem się na czworakach, nierzadko znajdując kurze jaja, które z dumą odnosiłem do domu. Przy budynku domowym znajdowało się małe gospodarstwo złożone z kurnika i chlewni, w której zwykle hodowano parę prosiąt.

Dom nasz obejmujący na parterze obszerną kuchnię i dwa pokoje (jeden należał do babci Anzelmey Mayer z domu Bugno) oraz trzy pokoje na piętrze, był dość często miejscem spotkań husiatyńskiej elity. Najczęściej grano w brydża, rzadziej w preferansa. Z opowiadań Mamy wiem, że najczęściej bywał tu naczelnik sądu grodzkiego – Bukartyk, prałat ksiądz Matus, sędzia grodzki – Lech z żoną oraz zaprzyjaźniony z rodziną leśniczy, Eugeniusz Kochanowski.

Gienek Kochanowski mieszkał ze swoją matką w leśniczówce położonej półtora kilometra na południe od naszego domu, w lesie zwanym grabnikiem od przeważającej ilości rosnących w nim grabów. Niekiedy bywał u nas także sędzia Hubert Wiśniewski z Kopyczyniec, a później z Trembowli. Hubek, bo tak go nazywali przyjaciele, był właścicielem dużego motocykla, którym odbywał podróże do znajomych, których lubił ogrywać w preferansa.

Matka leśniczego, pani Kochanowska, była zaprzyjaźniona z moją Babcją Anzelmą. Często odwiedzałem leśniczówkę z Babcją i Rodzicami, ale najczęściej półtorakilometrowy spacer odbywałem tylko z Babcją. Na podwórzu leśniczówki znajdowała się duża piwnica pokryta ziemią i porośnięta trawą. Ze szczytu tej budowli łatwo sięgało się po duże granatowe węgierki. Obok ciągnął się sad z licznymi jabłoniąmi i gruszami.

Kilkaset metrów na południe od leśniczówki leżały ruiny hrabiowskiego pałacu Gołuchowskich. Posiadali oni w owym czasie, jak twierdził Ojciec, wielki areal upraw w okolicach Husiatyna i dalej na zachód. Wokół ruin gęsto rosły krzaki bzów, a na obszernym dziedzińcu dawało cień kilka potężnych sosen, których gałęzie rozrastały się nisko nad ziemią.

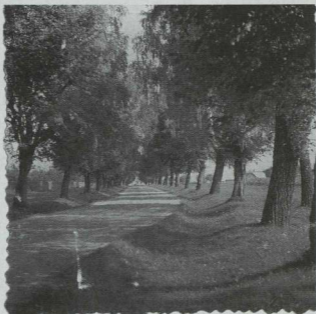


*Husiatyn. Ruiny pałacu Goluchowskich.
Pojedyncze świerki na pałacowym dziedzińcu.*

Pewnego dnia po dobrym drugim śniadaniu w leśniczówce, gdy obie babcie w domowym zaciszu prowadziły ożywioną rozmowę, wyszedłem na podwórze. Podrapałem za uchem zaprzyjaźnionego psa, zjadłem kilka śliwek i zacząłem się nudzić, co w dzieciństwie niekiedy mi się zdarzało.

Podszedłem do masywnej furtki przylegającej do imponującej bramy wjazdowej zbudowanej z grubych bierwion. Furtka miała gęstą, drewnianą kratownicę. Wspiąłem się na tę

kratownicę, ostrożnie przekroczyłem ostro zakończone sztachety tworzące jej szczyt i po chwili byłem już za szczelnie zamkniętą bramą. Zateśniłem do Mamy. Szybkim krokiem skierowałem się ku domowi. Po drodze nieco zaniepokoiło mnie stado krów, które prowadził pastuszek w spodniach sięgających do kolan. Grzecznie ustąpiłem im miejsca i niebawem stanąłem na własnym podwórzu, wołając głośno: „Już jestem!” Po należnych pieszczotach Mama pyta: „A gdzie jest babcia?” Na co ja: „Babcia jest na leśniczówce”.



*Husiatyn. Droga od stacji kolejowej do leśniczówki
Kochanowskich i pałacu Gołuchowskich.*

Mama z figlarnym błyskiem w oku kazała mi zostać przy domu, a sama powędrowała do grabnika. Po przybyciu na

leśniczówkę spotkała dwie zafrasowane babcie. Udując, że nie zauważa niepokoju starszych pań, pyta: „A gdzie to Januszek?” Moja najukochańsza Babcia mówi, że dziecko było tu niedawno, że teren leśniczówki jest zamknięty, ale mimo tego od prawie godziny wszyscy gajowi z psami szukają malca w całym lesie. Po dłuższej chwili mama oznajmia, że jestem w domu, że nic mi się nie stało i że trzeba gajowych ściągnąć z lasu. Taki był mój pierwszy kawał zrobiony rodzinie. Był on niezamierzony, ale utrwalił się w pamięci przez częste opowiadanie w rodzinnym gronie.

Następnego roku bawiłem się z dziećmi sąsiadów, jak zwykle łażąc po wagonach kolejowych stojących na bocznicy. W którymś momencie spadłem z budki hamulcowej na jedną z szyn. Gdy spadałem, starsza ode mnie dziewczynka chwyciła moją głowę i dzięki temu tylko lekko ją sobie skaleczyłem. Pękła jednak kość lewej ręki powyżej nadgarstka. Zawieziono mnie do dyżurnego lekarza. Ten zabandażował rękę, ale pierwszy w życiu zapamiętany wielki ból trwał. Następnego dnia pojechaliśmy do dr Jozpy, Żyda, o którym wiedziano, że jest dobrym lekarzem praktykującym w Husiatynie. Nastawił on odpowiednio niewielkie przemieszczenie kości i rękę ujął w łupki. Prześwietlenie rentgenowskie w Kopyczyńcach potwierdziło pęknięcie kości, ale nie zauważono już przemieszczenia. Zostałem uwięziony na własnym podwórku, a Mama, jak kwoka kurczętom, nie pozwalała oddalać się od siebie.

Po trzech tygodniach i codziennych kąpielach ręki, którą nosiłem w łupkach i na temblaku, prawie nie czułem kontuzji. Toteż, gdy kominiarz czyścił domowe kominy, wdrapałem się na dach, ciągle z ręką na temblaku, aby sprawdzić, po co on do nich zaglądał. Zauważono mnie na spadzistym dachu (strych w

naszym domu był obszerny i wysoki) obok komina. Nakazano pełną ciszę. Nikt nie tylko nie krzyczał, ale nawet mnie nie wołano. Poproszono kominiarza, aby mnie sprowadził na dół. Po moim zejściu na podwórze roztrzęsiona Mama pyta, „Po co ja wszedłem na dach?” Wyjaśniłem. Przy okazji dowiedziałem się, że sadza zatyka kominy i przewody kominowe muszą być co jakiś czas czyszczone żelazną kulą na linie lub innymi narzędziami.

W czasie proszonych podwieczorków Babcia często grywała na pianinie, a Mama śpiewała otrzymując rześiste brawa, szczególnie od męskiej części towarzystwa. Mama miała piękny głos, przez jakiś czas szkolony na kursach śpiewu w Grodnie. Babcia grała zupełnie dobrze. Sztukę tę wyniosła ze szkoły w Staniątkach, która była znaną szkołą dla tak zwanych panien z dobrego domu. Podobna, bardzo znana szkoła dla chłopców, znajdowała się w Chyrowie.

W maju 1935 r. dotarła do Husiatyna wiadomość o śmierci Marszałka Polski, Józefa Piłsudskiego. Mimo, że w rodzinie kult Marszałka nie był powszechny, powszechnie odczuwano dużą stratę. Wuj Gienek był legionistą i majorem Wojska Polskiego. Jego brat Adam był prawnikiem i zawziętym endekiem, czemu podobno zawdzięczał utratę dobrej posady we Lwowie. Dzięki wujowi Gienkowi otrzymał pracę w Warszawie, ale na znacznie gorszych warunkach niż we Lwowie. Wuj Edek i mój ojciec byli raczej obojętni politycznie. Ojciec, który zawsze starał się być prawomyślny, miał w biurze płaskorzeźbę Piłsudskiego odlaną z ołowiu. Zrobił mu ją pracownik stacyjny, który w ten sposób wykorzystywał zużyte plomby kolejowe (plombowanie wagonów towarowych było powszechne).

W pierwszej połowie 1935 roku zacząłem poznawać rodzinę ze strony Mamy. Odwiedziliśmy wujka Adama Mayera i jego żonę Zofię z domu Szostkiewicz, którzy mieszkali w Warszawie z moim ciotecznym bratem Zbyszkim (urodzonym w 1931 r.). Wuj Adam, niecałe trzy lata starszy od mojej Mamy, zmarł jesienią 1938 r. Miał operację wyrostka robaczkowego. Operacja była udana, ale wdało się zapalenie otrzewnej i pacjent zmarł. Będąc w Warszawie poznałem wujka Eugeniusza Mayera i jego żonę, ciocię Hankę z domu Łukasiewicz. Wizyty tej zupełnie nie pamiętam.



Gdynia, bulwar nadmorski. Od lewej: Autor, ciocia Jania Mayerowa, żona wuja Edwarda, i Krystyna, ich córka.

Po paru dniach spędzonych w Warszawie, po zwiedzeniu ogrodu zoologicznego (tu zrobiono mi zdjęcie z młodziutkim lwem), pojechaliśmy z Mamą do Gdyni, oczywiście pociągiem,

jak przystało na rodzinę kolejarza. W Gdyni mieszkał wuj Edward Mayer, najmłodszy z Mamy braci, starszy od niej zaledwie o rok (urodzony 21.01.1905 r.). Wuj był marynarzem i często pływał. Ożenił się z Janiną, de domo Macander. W 1933 r. urodziła im się pierwsza córka Krystyna.

Czortków

Lato 1935 r. upłynęło pod znakiem przeprowadzki. Wiele rzeczy musiało zostać w Husiatynie. W Czortkowie zamieszkaliśmy w kolejowej kamienicy o dwu piętrach. Mieszkanie na drugim piętrze miało dwa pokoje i obszerną kuchnię, w której zadomowiła się przywieziona z Husiatyna służąca Apolonia, potocznie nazywana Polušką. Nowością w mieszkaniu było światło elektryczne. Dotychczas towarzyszyły nam lampy naftowe z wymyślnymi abażurami.

Kompleks bloków kolejowych, mieszkalnych i biurowych, mieścił się obok stacji na obszarze paru hektarów. Był tu kort tenisowy, na którym Rodzice próbowali swoich sił, najczęściej z panią i panem Sochackimi. Inżynier Sochacki był specjalistą od drogowego budownictwa kolejowego, czyli po prostu projektował i budował linie kolejowe.

Mnie bardziej niż korty pasjonowała strzelnica. Strzelano tu w głębokim wykopie z małokalibrowej broni. Często po strzelaninach wygrzebywaliśmy z nasypu zamykającego wykop zdeformowane, czasem nawet rozplaszczone ołowiane pociski. Wykop miał około pięciu metrów głębokości i tu z rówieśnikami formowaliśmy gliniane kule z wilgotnego lessu. Walczyliśmy tymi kulami z konkurencyjną drużyną. Do domu wracałem

zwykle mocno ubrudzony i nieraz dostawało mi się porządne lanie.



*Jar Seretu na północ od Czortkowa.
Na krawędzi jaru ciągną się sady i domy Wawrynowa.*

W letnie niedzielne popołudnia robiliśmy z Rodzicami wycieczki na północ od miasta. Szliśmy około dwóch kilometrów w górę Seretu. Miejsce to określano mianem Wawrynowa. Wieś o tej nazwie ciągnęła się na wschodniej, wysokiej krawędzi jaru. W dolinie Seretu, na wysokości Wawrynowa, nie było żadnych domów. W pobliżu naszego kąpieliska przez całą szerokość rzeki ciągnęła się bystrzyca. Można tu było, skacząc po kamieniach, przejść Seret prawie suchą nogą. W tej okolicy z wysokiego brzegu jaru spadał licznymi kaskadami niewielki

strumień. Poniżej bystrzycy rozlewała się spokojna toń. Tutaj dorośli mogli pływać.

W tym czasie usiłowałem pływać na wznak. Z czasem udało mi się w ten sposób przepłynąć z prądem rzeki kilkanaście metrów. Któregoś dnia, gdy biwakowaliśmy na przeciwnym (prawym, zachodnim) brzegu rzeki, zacząłem płynąć na grzbiecie opanowanym niedawno sposobem. Mama czuwała. Głośno wołając kazała mi wyjść na brzeg. Gdy stanąłem na dnie, woda sięgała mi do ust i mimo słabego prądu czułem, że znosi on mnie w dół rzeki. Rodzicielka zorganizowała pomoc. Łańcuch kilku osób trzymających się za ręce dotarł do mnie i zdołano wyciągnąć niedoszłego topielca. Okazało się, że w tej okolicy koryto Seretu obfitowało w doły po wydobytym żwirze (żwir taki w tym czasie na Podolu nazywano szutrem). Jak się później dowiedzieliśmy, w takich dołach utonęło parę osób.



Lubiżnia koło Delatyna, lato 1937 rok.

Następnego roku (1936) na wakacje wyjechaliśmy z Rodzicami do Lubiżni koło Delatyna. Była z nami Babcia Mayerowa. W sąsiednim huculskim domu, w tejże Lubiżni, mieszkali państwo Sohaccy z synem Markiem i córką Basią. Ojciec, jak i pan Sohacki, po trzech tygodniach urlopu musieli wracać do pracy w Czortkowie, a pozostali bawili w górach do drugiej połowy sierpnia.



Lubiżnia koło Delatyna, lato 1938 rok. Od lewej: Marek Sohacki, Babcia Anzelma Mayerowa, U jej stóp siedzi Basia Sohacka, dalej Zbyszek Mayer, moja Mama i Autor.

Wakacje takie powtórzyliśmy w tym samym składzie następnego roku. Dołączył do nas ponadto Zbyszek Mayer, mój

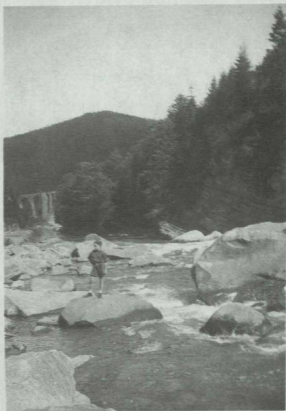
brat cioteczny, którego poznałem wcześniej w Warszawie. Miałem wówczas osiem lat, Zbyszek sześć, Marek cztery, a Basia dwa lata.



Basia Sochacka, 20 lat później.

Była okazja, aby odrobinę poznać nasze Wschodnie Karpaty. Zwiedziliśmy Jaremce z potężnym kamiennym mostem kolejowym na Prucie. W rzece zażywaliśmy kąpiele. Poznałem przelotnie Worochtę i nieco lepiej Delatyn z charakterystyczną „skałą Dobosza” przy drodze biegnącej wzdłuż Prutu. Zrobiliśmy

wycieczkę do Stanisławowa i Zaleszczyk. W Zaleszczykach patrzyłem na Dniestr, który zbierał wody ze wszystkich podolskich rzek.



Jaremcze, lato 1938 rok. Autor na głazie.

Mimo dość częstych kąpiei w Prucie, gdzie skakałem z niewielkich głazów do niezbyt głębokich dołów w rzece (nigdy kryształowo czysta woda w dołach nie sięgała mi powyżej szyi), pływać nie umiałem. Unosiłem się na wznak w wodzie,

pokonywałem po parę metrów z zanurzoną twarzą, ale to wszystko, na co było mnie stać.

Pewnego dnia na basenie w Jaremczu pan Poldek namówił mnie na skoki do wody z pięciometrowej wieży. Pan ów, jak sądzę, darzył moją Mamę sympatią i usiłował trafić do jej uczuć przez dziecko. Mama zawsze była otoczona przez panów i zwykle przez nich admiirowana. Otóż po kolejnym skoku do wody na plecach pana Poldka (sposobem „na barana”) Mama jeszcze w wodzie, jak lwica dorwała młodego człowieka, który dostarczał mi wspaniałych wrażeń. Rozorała mu paznokciami plecy i już nigdy nie skakałem do wody na niczyich plecach i nigdy już nie spotkałem pana Poldka.

Pierwsze dwa i pół roku chodziłem pieszo do niezbyt odległej szkoły położonej u stóp ruin czortkowskiego zamku. Nie zapamiętałem nazwisk nauczycieli. Utkwił mi w pamięci tylko jeden fakt. Nauczyciel gimnastyki, niewątpliwy antytalent pedagogiczny, nazywany był powszechnie przez dzieci „Siajzio Pupec”. Nosił się fircykowato i bardzo nie lubił tego przezwiska. Musiałem odbiegać w szkole ubiorem od dużej części uczniów, bo zaczęto i mnie przezywać „sijzio”. W czasie jednej z lekcji gimnastyki, która odbywała się na szkolnym podwórzu i polegała na totalnym bałaganie, któryś z natrętnych kolegów zaczął mnie z bliska przezywać: „sijzio, sijzio!” Odwróciłem się i wrzasnąłem w twarz nauczycielowi: „To tyś sijzio!” Pechowo zjawił się właśnie w tej chwili. Zostałem mocno złapany za ucho, usłyszałem, co ów fircyk o mnie myśli i na półrocze miałem obniżony do dostatecznego stopień z jednego, jedyne go przedmiotu: z gimnastyki!

Po powrocie z wakacji 1938 r. spotkałem szkolnego kolegę, Janka Kruczkowskiego. Poskarżyłem mu się, że choć bardzo się

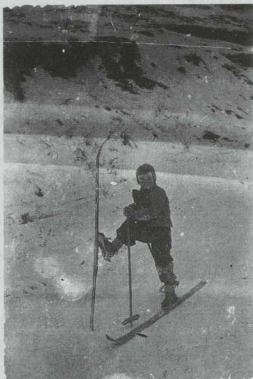
staram, nie potrafię pływać. Janek dał mi prostą radę; „Gdy płyniesz żabką – powiada – zgarniaj wodę dłońmi pod siebie, a nie na boki i płyn w rzece najpierw pod prąd” – dodał. Zaraz następnego sierpniowego dnia namówiłem Mamę na wycieczkę do naszego kąpieliska w Wawrynowie. Już po paru próbach mogłem się utrzymać na wodzie przez kilkadziesiąt sekund. Po kilku dniach odmierzyłem sobie w rzece spory odcinek, gdzie woda nie była głębsza niż po szyję i popłynąłem z prądem. Poszło znakomicie. Przy końcu sezonu wiedziałem, że potrafię pływać.

W drugiej klasie kazano mi grać na pianinie, które od lat było domeną Mamy i Babci. Rozpocząłem lekcje gry i lekcje francuskiego u tej samej nauczycielki, mieszkającej w dość dalekim, południowym krańcu Czortkowa. Aby ułatwić mi te lekcje, w następnym roku szkolnym zostałem przeniesiony do dość ekskluzywnej szkoły w tamtej części miasta. Nie wyniosłem z niej właściwie żadnych wspomnień, poza mało sympatycznymi kontaktami z paroma rozwydrzonymi uczniami, dziećmi jakichś sędziów i lekarzy. Byli to ci sami, z którymi już wcześniej poznałem się na lekcjach francuskiego.

Owoce dwuletniej nauki gry na fortepianie był występ adeptów tego wstępnego kursu w sali widowiskowej Związku Zawodowego Kolejarzy. Publiczne występy ani wtedy, ani nigdy później nie sprawiały mi przyjemności. Grać grałem, bo taka była wola Rodziców, a szczególnie Mamy, która (jak wiele innych) w swoim dziecku widziała Chopina, a co najmniej Paderewskiego. Gdy na początku 1940 r. sprzedano pianino (a raczej wymieniono na połowę świniaka) poczułem dużą ulgę. Od razu miałem więcej czasu dla siebie. Odpadły też monotonne

ćwiczenia fortepianowe: ciągłe gamy i niekończące się „wprawki”.

Dużo radości sprawiły mi narty, które dostałem pod choinkę w 1937 r. Rodzice od lat wyjeżdżali zimą w góry, na narty. Teraz pokazywali mi na czortkowskich stokach zasady tej sztuki. Szło mi znacznie lepiej niż gra na fortepianie. Biegi płaskie uprawiałem z konieczności. Zanim z domu doszedłem pod stok jaru musiałem pokonać jeden do dwu kilometrów. Już w 1938 r. zjeżdżałem polną drogą schodzącą z krawędzi jaru do doliny Seretu. Nie obyło się bez przygód.



Autor na nartach. Czortków, luty 1938 rok.

W 1939 r. była mroźna zima, jak często zresztą na Podolu. W okolicach stacji kolejowej wiele płotów zastępowały szyny kolejowe przyspawane do metrowych słupów z tegoż materiału. Kiedyś podkusiło mnie, aby dotknąć językiem takiej żelaznej bariery. Język przymarzył mi natychmiast do metalu. Gdy nie pomogło chuchanie na szynę, nie wiele myśląc oderwałem język siłą. Przez jakiś czas brakowało mi na nim części skóry. Nie mogłem pić gorących płynów, ani jeść kwaśnych rzeczy. Po paru dniach język się zregenerował. Nie pamiętam, czy w tym czasie mniej mówiłem.

W latach 1937–1938 często zapadałem na anginę i choroby gardła. Lekarze orzekli, że konieczne jest modne wówczas usunięcie migdałków. Pojechałem jesienią 1938 r. z Mamą do Lwowa. Zatrzymaliśmy się u mojej chrzestnej matki, ciotki Stanisławy Guzowskiej, z domu Terleckiej. Wuj, lub raczej dziadek-wujek, wysoki urzędnik austriacko-węgierskiej policji, został zastrzelony na jednej z ulic Lwowa w czasie pierwszej wojny światowej. Ciocia wynajmowała sporą własną kamienicę lokatorom, zajmując dla siebie kilkupokojowe mieszkanie. Dom jej znajdował się przy ulicy Zielonej.

Przez pół roku obiecywano mi, że po operacji będę mógł dowolnie karmić się lodami. Tu spotkało mnie duże rozczarowanie. Przez trzy dni spędzone w szpitalu karmiono mnie byle jakim kisielem. Po powrocie na ulicę Zieloną, gdy domownicy i Mama zajadali się doskonałymi kruchymi ciasteczkami, których smak poznałem przed operacją, ja nadal karmiony byłem kisielem i kleikami. Na pożegnanie dostałem od ciotki piękny ozdobny bębenkowiec wuja oraz kilkanaście nabożów. Oczywiście broń została natychmiast po jej obejrzeniu pod opieką Mamy.

Na początku 1939 r. pojechałem jako rekonwalescent na kilka tygodni do kolejowego sanatorium dla dzieci w Rabce. Spędziłem tam cztery tygodnie, z których co najmniej trzy tygodnie byłem odizolowany w osobnym domku, jako chory na szkarlatynę. Było tu więcej takich pacjentów tak, że nawet urządzono dla nas naukę odpowiednią do wieku.



Rabka, kwiecień 1938 rok. Siostra pielęgniarka z dziećmi.

Okres pobytu w Rabce wspominam z sympatią. Miła była zajmująca się nami pielęgniarka. Od Babci, mieszkającej w tym czasie u wuja Gienka w Warszawie, dostawałem paczki z

owocami: bananami, pomarańczami, figami, daktylami i jabłkami. Robiliśmy sobie z towarzyszami niedoli niezłe podwieczorki. Odwiedził mnie w tym czasie Tata, który mnie do Rabki przywiózł i Mama, która mnie z Rabki zabrała.



*Leśna droga z Czortkowa do Białej.
Babcia Anzelma Mayerowa i Autor.*

Kolejne wakacje spędzaliśmy w podczortkowskiej wsi Biała. Wieś leży w dolinie między stacją kolejową Czortków i stacją Biała Czortkowska, już ponad jarem Seretu. Mama z Babcią od kwietnia zamieszkały w Białej, a ja ostatnie dwa miesiące stąd chodziłem do szkoły. Droga ze wsi do szkoły była znacznie bliższa, niż z domu przy ulicy Kolejowej nr 129. Nie musiałem przechodzić przez całe miasto, a tylko przez kilometrowej długości młody las i niezbyt głęboki wąwóz, wpadający do doliny Seretu od południowego zachodu. Z dużą przyjemnością i wzruszeniem wspominam spotkania z Babcią, która bardzo często wychodziła mi naprzeciw, gdy wracałem ze szkoły. Przeważnie spotykaliśmy się na leśnej drodze i wracaliśmy razem, trzymając się za ręce.



Dwór w Białej. Lato 1939 rok. Mama i ja.

W Białej mieszkaliśmy w dużym, murowanym, choć nieco zapuszczonym dworze. Dwa pokoje zajmował tu rządcą posiadłości, Ukrainiec Winnicki, z żoną i trójką dzieci. Najstarsza była Łesia, o rok starsza od Łeuka (Lewka lub Lwiątko – zdrobnienie od imienia Lew), mego rówieśnika. Brat ich był o trzy lata młodszy od Łeuka. Z Łeukiem szybko się zaprzyjaźniłem. Mówiliśmy tylko po ukraińsku. Początkowo sądziłem, że Łeuko nie zna polskiego. Po paru miesiącach zabaw i rozmów, mówiłem po ukraińsku równie dobrze, jak po polsku.



Ogród przed dworem w Białej. Od lewej: Babcia Anzelma Mayerowa, ja, moja Mama Zofia i Łesia Winnicka. Biała, lato 1939 rok.

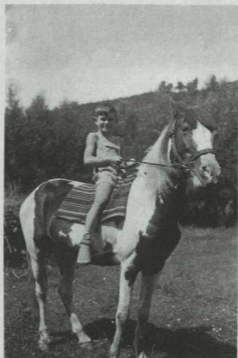
Trzeba podkreślić, że od drugiej klasy język „ruski” (tak wówczas oficjalnie nazywano język ukraiński) był w naszej szkole przedmiotem obowiązkowym. Tylko dzieci oficerów (i

tych osobistości, które to sobie załatwiły) nie musiały uczęszczać na lekcję języka ruskiego, które to lekcje z tej racji były pierwszą albo ostatnią godziną lekcyjną. Religia była przedmiotem obowiązkowym od pierwszej klasy. Na lekcjach religii klasa dzieliła się na trzy części: katolicy zostawali w klasie (tych było najwięcej), greko-katolicy szli do klasy obok, a Żydzi szli do domu, bo oni mieli swoje lekcje religii przy synagodze, lub w miejscowym hajderze (szkoła żydowska).

Dwór w Białej otaczały ogrody, gdzie uprawiano wiele roślin leczniczych, takich jak rumianek, mięta, czy szalwia. Od wschodu, za podwórzem i ogrodami, ciągnął się parohektarowy sad jabłoni i stawy rybne. Nie widziałem, aby w stawach odławiano ryby, ale na ich brzegach roilo się od żab. Wieczorami dawały one długie koncerty. Wiosną, w połowie maja, na kwitnące jabłonie spadł obfity śnieg. Wiele gałęzi nie utrzymało jego ciężaru i zostało złamanych.

Po zakończeniu roku szkolnego często odwiedzałem wiejską kuźnię przyglądając się pracy dwu kowali. Gospodarz-kowale byli naszymi znajomymi; kupowaliśmy u nich mleko i inne produkty. Do kuźni miałem wstęp o każdej porze. Któregoś dnia wszedłem do niej – była pusta. Poczulem swędzenie pod prawą stopą. Na ubitej polepie kuźni leżał dość gruby, chropawy, żelazny pręt stalowoszarej barwy. Bez namysłu położyłem na nim nogę, aby się podrapać. Poczulem silny ból i swąd przypalonej skóry. Przez tydzień z trudem chodziłem, a przez następny nosiłem opatrunek pod skarpetą. U kowali była łaciata kobyła zwana Krasą. Kiedy z trudem poruszałem się o własnych siłach, bardzo odpowiadała mi jazda na Krasej, którą już wcześniej ujeżdżałem.

W lipcu odwiedzili nas młodzi Muszyńscy: Staś, Adaś i Zosia. Było to cioteczne rodzeństwo mego Taty. Sebastian Muszyński, zwany w rodzinie Sobciem, ożenił się z Heleną Terlecką, znacznie młodszą, ale rodzoną siostrą babci Michaliny – matki mego ojca. Muszyńscy, była to rodzina śpiewająca i muzykująca. Wszyscy byli o kilka lat starsi ode mnie, a najstarszy z nich, Staś, w 1939 r. liczył osiemnaście lat i był świeżo po maturze.



Biała, lato 1939 rok. Autor na Krasej kobyle.

Z piosenek, które śpiewała mi Mama w Husiatynie i w Czortkowie, utkwiły mi w pamięci szczególnie dwie: „O słowiczku” i „O marzeniach dziewczki młodej”. Przytoczę je poniżej, bo do dziś je lubię, a nie słyszy się ich na radiowej antenie.

Żył sobie słowiczek / W zielonej gęstwinie
A był straszny dziczek / Nazwany ptaszyną.
W rannej rosie dziobek mył / W księżycową piękną noc
Śpiewał cudnych piosnek moc.

Aż raz w to zacisze / Zagnał straszny wichur
Ptaszeczka na różę / Siadła, ledwie dyszy.

Słowik patrzy, co za dziw / On nie widział, jako żyw
Takich ocząt, takich piór / Jak u tego ptaszka z chmur.

Wziął ptaszkę zbłąkaną / Do swego gniazdeczka,
Najlepsze ziarneczka / Nosił jej co rano.

A w gęstwinie pośród drzew / Długo dźwięczał jego śpiew
Tak kołysał słowik ten / Swą kochankę cudnym snem.

Aż przyszedł człek lada. / Klateczkę miał złotą,
Tak ptaszce powiada: / Patrz jak druty cudnie lśnią,
Porzuć gniazdko, a wleć w nią, / Słowik może zostać sam,
Piękniejszego ja ci dam!

I fruwała ptaszka / Z nie lada ochotą
Bo miłość to fraszka / Gdy idzie o złoto.

A w gęstwinie pośród drzew / Długo dźwięczał jego śpiew
Rosły krzewy polnych róż / Ale słowik nie żył już.

Inną ulubioną moją piosenką były marzenia młodej dziewczyny:

Gdzież ta chatka mchem obrosła / Co mnie wychowała,
Gdzie jabłonka ta wyniosła / Co w ogrodzie stała,
Gdzież te źródła czystej wody / Z pod ziemi bijące,
Gdzie marzenia dziewczki młodej / Jak kwiaty na łące?

Chata w gruzy obalona, / Źródła bić przestały,
Jabłoń w próchno zamieniona, / Jedne łązy zostały.

W repertuarze Mamy były także pieśni bardziej znane, jak „Śpiew królowej Bony”, gdzie „winne grona zwarte jak mur” kontrastowały „z zielenią morza i fioletem gór”. Mocnym głosem śpiewała Mama także:

„Otwórz Janku drzwi dębowe,
Otwórz chatę twą bezludną...”

Były także piosenki ułańskie i pieśni legionowe. Mimo dość częstych spotkań towarzyskich w naszym domu, w Husiatynie, Czortkowie, na wakacjach w górach, czy w Białej, nigdy nie słyszałem „Sto lat”, „Góralu czy ci nie żal”, ani „Czerwony pas, za pasem broń...” Te i tym podobne „pieśni biesiadne” poznałem dopiero na studenckich wycieczkach i zagranicznych wyjazdach. Teraz nie dziwię się, że gdy przyszała moda na hałaśliwe piosenki „bitowe”, moje uszy oswojone z romantycznymi piosenkami i melodyjną muzyką, nie trawiły ich.

Tak naprawdę – wybiegając w przyszłość – lubiłem później właściwie tylko utwory śpiewane przez Sławę Przybylską i Annę German. W latach późniejszych z przyjemnością słuchałem i oglądałem zespół „Śląsk” pod kierownictwem Hadyny oraz niektóre utwory „Zespołu Mazowsze”. Dorzuciłbym tu jeszcze wybrane piosenki Edyty Geppert.

Czortków - wojna

Pierwszego września 1939 r. przyszedł do nas do Białej Ojciec. Był wyraźnie poruszony. „Niemcy napadły na Polskę” – powiedział. Uradzili z Mamą, że na razie będziemy mieszkali na wsi, a ja będę chodził do tej samej szkoły, co poprzedniego roku szkolnego. Rodzice liczyli się z możliwością bombardowania stacji kolejowych i przyległych terenów. Jeszcze przed wybuchem wojny panowała psychoza „wojny gazowej”. Gaz bojowy uważany był za największe zagrożenie wojenne.

Piętnastego września bawiłem się z Łukiem obok dworu, gdy nadeszło dwu polskich żołnierzy. Byli zdrożeni. Gdy zdjęli plecaki, ich mundury na plecach były mokre od potu. Mieli wypielęgnowane pięciostrzałowe karabiny typu „mauzer”. Pytali o drogę do czortkowskiego garnizonu wojskowego. Tu zaskoczył mnie kolega. Bardzo poprawną polszczyzną wytłumaczył żołnierzom jak mają iść, aby pokonać dwa ostatnie kilometry. Napili się wody ze studni i poszli.

„Nie wiedziałem, że mówisz po polsku” – zwróciłem się do Łuka. On na to: „Myślę, że mówię po polsku lepiej niż ty po ukraińsku”. Nigdy nie używał słowa „ruski”, mimo że była to oficjalna nazwa tego języka, zarówno w polskich, jak i ukraińskich szkołach. W rodzinie Winnickich dało się zauważyć

pewne radosne podniecenie. Trzeba im to oddać, że nie dokuczali nam, mimo że Niemcy zajęli już Lwów. To podniecenie znacznie osłabło, gdy siedemnastego września do Czortkowa wkroczyły wojska sowieckie. Na razie nic się nie zmieniło w moim życiu. Natomiast na ulicach pojawiło się wielu miejscowych Żydów w mundurach sowieckiej milicji.

W październiku nastąpiła rejonizacja nauki w szkołach. Wróciłem na powrót do szkoły pod czortkowskim zamkiem. Ponieważ nauka sowiecka, jak nam wówczas mówiono, znacznie wyprzedzała wszystkie inne, cofnięto nas znowu do klasy trzeciej, mimo że już zaczęliśmy we wrześniu klasę czwartą. Szkoła była polska, ale historię i geografię prowadziła nauczycielka, która równocześnie organizowała drużynę pionierów. Stąd Anna Pietrowna nazywana była „pionierwożatą”. Na początku 1940 r., bez sprzeciwu rodziny, ale i bez entuzjazmu z jej strony, zostałem pionierem. Mimo bojowych pieśni i wierszy, których uczyła nas „pionierwożata” na pionierskich zebraniach, i całego ideologicznego wychowania, wraz z kolegami-pionierami chodziłem nie tylko na niedzielne Msze święte, ale gorliwie uczęszczaliśmy także na majowe nabożeństwa chowając do tornistrów czerwone pionierskie chusty zwane „gałsztukami”.

Z okazji rewolucji 7 listopada 1940 r. zorganizowano występy pionierów z różnych szkół czortkowskich. Choć nie przepadałem za publicznymi występami, musiałem i ja brać udział w zbiorowych recytacjach. Dziecięce głosy groźnie wołały: „*Zibraw Szczors zalihin zawziatych batrakiw ta bidniakiw ...*” Dzieci z rosyjskiej szkoły, która już działała w Czortkowie, oznajmiały o szpiegowskiej działalności wstrętnych imperialistów i o tym, co tych szpiegów czeka. Wiersz zaczynał

się słowami: „*Pieriechadil granicu szpion i diewiersant, on polz na żywocie*”.

Wśród rosyjskich uczennic podobała mi się ognista, drobna brunetka, która ze szczególnym przejęciem wygłaszała swoje kwestie. Po zakończeniu spektaklu postarałem się odebrać w szatni swój płaszcz razem z ową Rosjaneczką. Oddała ona swój numerek, szatniarz położył płaszcz na ladzie, a ja go pochwyciłem, chcąc szarmancko podać dziewczęciu. Dziewczę z ogniem w oczach wyrwało mi płaszcz z ręki głośno wołając: „*Da eto majo!*” Jasne, że to twoje obywatelko wielkiej rewolucji. Mimo swoich jedenastu lat zrozumiałem, że ich kultura znacznie się różni od naszej; tam najwidoczniej mężczyźni nie mieli w zwyczaju usługiwania kobietom.

Pod koniec kwietnia 1940 r. ojciec mój został zwolniony z pracy na kolei. Przyjechał z Rosji jego następca, którego Ojciec wprowadził w bieżące sprawy, a następnie został wyrzucony. Później wiele nocy razem z Mamą spędzałem poza domem u różnych „dobrze notowanych” znajomych.

Rok 1940 i zima 1941 r. były okresem intensywnego wywożenia Polaków na teren Związku Radzieckiego. Mówiło się: „wywożą na Sybir”. Wywożono nie tylko na Syberię, ale i do Kazachstanu i na północny Ural (Workuta) i nad Kołymę. NKWD przychodziło nocą i zabierało tych, którzy byli w domu, wskazanych przez usłużnych milicyjnych funkcjonariuszy. Enkawudziści mieli spisy „wrogich osób”. Byli to oficerowie wojska i policji, WOP-u, obywatele ziemscy, czy inni bogaci ludzie, wreszcie ci, którzy w przeszłości narazili się w ten, czy inny sposób informatorom.

Już w kwietniu 1940 r. musieliśmy opuścić mieszkanie przy ulicy Kolejowej 129 i wynajęliśmy pokój z kuchnią przy ulicy

Średniej (położona była między ulicą Kolejową a Browarną). Poza rodzicami mieszkała z nami Babcia Anzelma. Nie było wędlin ani frykasów, ale kluski, chleb, czasem masło; ziemniaki i kiszona kapusta na ogół były. Mama usiłowała wozić do Lwowa rąbankę, czyli niedzieloną wieprzowinę. Nie nadawała się jednak do handlu w ogóle, a do handlu konspiracyjnego zupełnie. Po pierwszej wpadce u strażników kolejowych dała handlowi spokój. Wyprzedawała natomiast co cenniejsze domowe przedmioty i biżuterię. Ojciec pracował jako drwal w podczortkowskich lasach. Za wyrąb drewna otrzymywał jakieś niewielkie pieniądze. Najważniejsze jednak było to, że ze ściętych i oczyszczonych z gałęzi drzew można było do domu zabrać właśnie gałęzie, teoretycznie nie grubsze przy końcu od pięciu centymetrów. Czasem w tak zwaną kupę udawało się włożyć grubszy kawałek. W ten sposób mieliśmy zapewniony opał na zimę, a częściowo tym drewnem opłacaliśmy mieszkanie.

W 1939 r. Rodzice poznali i zaprzyjaźnili się z dwiema dwudziestoparoletnimi pannami. Były to Irena (starsza) i Oleńka Petersówny. W czasie sowieckiej okupacji często razem z Mamą stały w kolejkach po żywność. Po paru miesiącach od przyjścia bolszewików, po prawie całą żywność stało się w kolejkach. Kolejki, czy jak wówczas mówiono „ogonki”, szczególnie długie były po cukier. Sprzedawano jeden kilogram cukru z dodatkiem jednego lukrowanego pierniczka, co stanowiło wartość pięciu rubli i nie trzeba było wydawać reszty.

Otóż któregoś zimowego dnia, gdy stałem w długiej kolejce (nie zawsze towaru starczało dla wszystkich) z Mamą i panią Olą Peters, milicjant (oczywiście miejscowy Żyd) usiłował wepchnąć do stłoczonej kolejki swoją rodaczkę. Tłum wyraził swoją dezaprobatę. Milicjant zaczął się ciskać i wpychał swoją

protegowaną między Mamę i Oleńkę. Zaczęła się szarpanina, a bojowa Oleńka dała milicjantowi solidnie w pysk, gdy ten dotknął ją w jakieś czułe miejsce. Milicjantowi spadła z głowy czapka. Wściekły wyjął broń, aresztował Oleńkę i wziął Mamę oraz jakąś kobietę na świadków wydarzenia. Na posterunku spisano protokół. Po paru dniach odbyła się rozprawa w miejskim sądzie. Oleńka i świadkowie solidarnie zeznali, że milicjant usiłował wepchnąć do kolejki swoją rodaczkę i że w czasie szarpaniny z ludźmi spadła mu czapka z głowy. Nie pomogły tłumaczenia milicjanta i jego protegowanej. Sędzia Rosjanin nie dopatrywał się winy Oleńki i uniewinnił ją. Nie musiał on być przyjacielem Żydów, bo niebawem dowiedzieliśmy się, że po tygodniu ów milicjant został zwerbowany do Czerwonej Armii i wyjechał na front do Finlandii. Nie wrócił z wojny do naszego wyjazdu z Czortkowa.

Pamiętam z tego okresu paru kolegów: wspomnianego już Janka Kruczkowskiego i jego o dwa lata starszego brata, Jurka Galamboscha i parę lat starszego od nas Rataszczuka. Ten ostatni zaraz na początku starał się pozyskać względy „pionierwożatej”. Kiedyś konfidencjonalnie, ale przy innych uczniach, zwrócił się do niej per „towarzyszko”. Kobieta była zorientowana, co reprezentował Rataszczuk. Wiedziała, że to łobuz i że powtarzał każdą klasę. Fuknęła więc na niego jak rozdrażniona kotka: „*A sobaka tiebie towarziszka, ty mienia zowi Anna Pietrowna*”. Rataszczuka nie przyjęto do pionierów, choć o to zabiegał.

W tym czasie w naszej klasie była Żydóweczka, Sara. Anna Pietrowna często nam tłumaczyła, jak niewłaściwą rzeczą jest chodzenie do kościoła, czy cerkwi. „*Popatrzcie na Sarę*” – mówiła – „*ona na pewno nie chodzi do swojej świątyni*”. Na to Sara: „*Nie chodzę, bo synagogę zamknęto. Gdy była czynna, to*

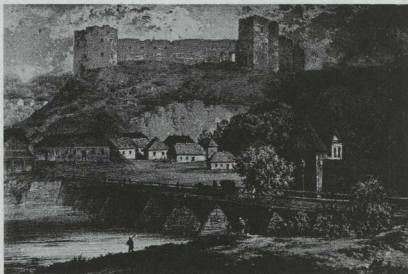
regularnie tam chodziłam. I teraz, gdyby ją znowu otwarto, to bym do niej chodziła". Muszę przyznać, że koleżanka zaimponowała mi swoim wystąpieniem.

Kiedyś odwiedził mnie w domu Rataszczyk, który handlował pociętymi na zelówki oponami samochodowymi. Były u nas w domu Petersówny. W rozmowie okazało się, że Rataszczyk kradnie na kolei węgiel, a potem, gdy uzbiera go więcej, sprzedaje. Petersówny zachęcały go do tego procederu, mówiąc: „*Wrogowi trzeba zabierać co się da; rób tak dalej*”. Wypowiedź ta bardzo mi nie przystawała do wyidealizowanego wizerunku panien. Byłem wychowany w takim duchu, że cudza rzecz to święta rzecz. Ideologia nie miała tu nic do rzeczy. Nie byliśmy żołnierzami. Dziewczyny się nimi czuły. Irena w kilka lat później zginęła z rąk Niemców. Z Oleńką straciliśmy kontakt po wyjeździe do Trembowli.



Trembowla, zamek.

Zimą 1941 r. (luty - marzec) Ojciec wyjechał do Trembowli. Stryj Kazik, jego brat, dał znać, że w mieście rozpoczęła się budowa mostu drogowego, przy której można dobrze (jak na owe czasy) zarobić. Mama, Babcia i ja zostaliśmy w Czortkowie. Ojciec ściągnął nas do Trembowli na początku czerwca tegoż roku, po zakończeniu przeze mnie nauki w czortkowskiej szkole (koniec maja). Otrzymałem drugi już dyplom za dobrą naukę, czyli „pochwalną gramotę”. Dotychczas, w ciągu czterech lat nauki, nie miałem na świadectwach innych stopni, jak bardzo dobry i dobry. Tych ostatnich nie było, lub były bardzo nieliczne. Ze śpiewu i z rysunków podciągano mi zwykle stopień do bardzo dobrego, aby „nie psuć świadectwa”.



Trembowla, most i zamek.

Trembowla

Po przyjeździe z Czortkowa do Trembowli w końcu maja 1941 r. zacząłem płynnie czytać. U babci Michaliny w przyziemiu (suterynie) mieszkała w tym czasie rodzina Strombeków: ojciec, matka, starszy ode mnie syn i o rok młodsza ode mnie córka Helena. Od nich dostałem do czytania okropne szmatławce: „Tajemnice Paryża”, „Białe kaptury” i jakieś historie związane z bajońskimi malwersacjami.

Historie te na tyle mnie wciągnęły, że po ich przeczytaniu już bez żadnych oporów zacząłem pochłaniać „Ogniem i mieczem”. Pierwszą część trylogii Henryka Sienkiewicza mieliśmy w domu od czasów przedwojennych. Zarówno Ojciec, jak i Babcia opowiadali mi obszernie fragmenty powieści. Mocno zainteresowany usiłowałem parę razy sam przeniknąć mistrzowskie strony, ale utykałem na opisach – szczególnie przyrody. Teraz w Trembowli okres wakacyjny pozwolił mi przebrnąć nawet przez te opisy i zachwycić się sienkiewiczowską prozą. Większość lektury pochłaniałem na przydomowym trawiastym podwórzu. Rzeka Gniezna płynęła jakieś trzysta metrów od domu, ale zakazano mi w niej kąpiei. Fakt, że w całej okolicy nadbrzeżne łąki schodziły do rzeki mocno bagnistym tarasem zalewowym. Równie bagniste było dno rzeki.

Mama zaprowadziła mnie na trembowelski basen. Wybudowano go tuż przed wojną w wąskim wąwozie, zaraz za zamkową górą. Basen był duży, betonowy, z żelaznymi drabinkami i w górnej części posiadał brodzik dla dzieci oddzielony od właściwego basenu wąskim chodnikiem. Woda w basenie była na ogół zimna, bo basen założono na niewielkim

leśnym strumieniu. Napełnianie basenu świeżą wodą (przeciętnie raz na dwa tygodnie) trwało około dwu dni.

22-go czerwca 1941 r. wczesnym rankiem zbudziło nas odległe bombardowanie. Stryj Kazik niebawem oznajmił, że to Niemcy uderzyli na Związek Radziecki i zbombardowali polowe lotnisko niedaleko Trembowli. Jak żywo stanęła mi w oczach pani Szafferowa, nauczycielka i wychowawczyni z czwartej klasy w Czortkowie. Zapamiętała i jakże obrazowo opowiadała: „*Faszyzm i komunizm, to jak zły pies z kotem. Nigdy na dłuższą metę nie utrzymają ze sobą zgody*”. A mówiła to w dobie „sowiecko-niemieckiej przyjaźni”.

We wrześniu rozpoczęła się nauka w nowej szkole. Wychowawcą naszej piątej klasy został pan Roman Rypołowski, absolwent polonistyki Uniwersytetu Lwowskiego i, jak się okazało, wspaniały pedagog. On to w ciągu dwu lat nauki w ramach języka polskiego nie tylko pozwolił większości uczniów zakochać się w polskiej literaturze, ale także przemycał wiele informacji z historii powszechnej i geografii. To od niego dowiedzieliśmy się o odkryciu Ameryki przez Kolumba i o opisach Amerigo Vespucciego tak sugestywnych, że kontynent nazwano jego imieniem (Ziemia Ameriga – Ameryka), a tylko jedno państwo nazwiskiem Kolumba i to znacznie później. Pan Rypołowski opisywał nam dzieje zdobywczych konkwistadorów: Korteza i Pizarro oraz zbrodnie dokonywane przez nich na indiańskich tubylcach.

On wreszcie prowadził nas razem z Magellanem i jego załogą dookoła świata. On na koniec opowiadał o wcześniejszej wyprawie Marco Polo na Daleki Wschód i innych historiach, które zapierały nam dech w piersiach bardziej niż najwspanialsze

bajki. W czasie tych lekcji panowała w klasie nieprawdopodobna cisza.

W piątej klasie zawarłem kilka bliższych znajomości. Staszek Gałoński mieszkał pod Trembowlą. Do szkoły chodził pieszo, pokonując kilka kilometrów. Dziadek Staszka nazywał się Gałązka. Chłopak bolał nad faktem, że sprawa ujawniła się dopiero przy ślubie jego rodziców. Było za późno, aby wrócić do rodzowego nazwiska.

Waldek Kamiński był synem byłego wojskowego (sierżanta). Szybko zaprzyjaźniliśmy się. Ojciec Waldka pisywał niezłe wiersze. W następnym roku wyjechali obaj do Sterdyny położonej na północ od Sokołowa Podlaskiego. Waldek w tym czasie nie miał już mamy.

Zenek Deko był synem przedwojennego policjanta, który uchwalił się w czasie sowieckiej okupacji. Do zawodu wrócił, gdy przyszli Niemcy; stąd Zenek nie miał przyjaciół.

Janek Kramer był od nas nieco starszy. Namawiał mnie do spenetrowania byłego sowieckiego lotniska. Stało ono teraz opuszczone i puste, z wrakami samolotów, porzucaną amunicją i stosami bomb lotniczych. Kramer opowiadał, jak to ciekawie jest toczyć bombę po stoku, u którego podnóża był stary kamieniołom. Bomba tocząc się po trawiastym stoku około dwudziestu metrów spadała do kamieniołomu. Kiedy eksplodowała z wielkim hukiem na jego dnie, wyrzucała w górę sporo pokruszonej skały i wzniewiała słup pyłu, który unosił się ponad kamieniołomem.

Nie zdążyłem na zapowiedzianą przez Kramera imprezę „turlania” bomb po murawie. Kolega poszedł tam wcześniej w towarzystwie swoich przyjaciół. Jak opowiadano później, jedna z bomb toczyła się po stoku nierówną linią. Kramer stał

wyprostowany chcąc zobaczyć moment wpadania bomby do kamieniołomu. Uzbrojona bomba tocząc się po stoku zahaczyła zapalnikiem o jakiś wystający z ziemi głaz. Ekspłodowała na stoku. Odłamki przeciwpiechotnej bomby raniły kilku chłopców. Najbardziej ucierpiał Kramer. Otrzymał kilka odłamków. Mocno wykrwawionego eksperymentatora przewieziono do szpitala. Przeżył okaleczony. Do szkoły już nie wrócił.

W piątej klasie odbijał od reszty syn wiejskiego nauczyciela, Jankowski. Nie pamiętam jego imienia. Powszechnie nazywaliśmy go „Marchielka”. Nie potrafił poprawnie wymawiać większości polskich wyrazów. Wyraźnie czuło się naleciałości ukraińskie, a więc języka, którego używał przez całe swoje dzieciństwo. Stąd też na marchewkę mówił „marchielka” i stąd powstało jego przezwisko. Pod koniec szóstej klasy mówił już prawie bezbłędnie. Była w tym niewątpliwa zasługa pana Rypołowskiego, który jak Pigmalion zawziął się, aby chłopca nauczyć poprawnej polszczyzny. I udało się!

W tym czasie zacząłem zwracać uwagę na dziewczęcą urodę. O rok młodsza były Isia Zaworska i Wanda Krocak. Obie przychodziły czasem do Helci Strombek. W tamtych czasach nie było w zwyczaju prowadzenia konwersacji czternastoletnich chłopców z trzynastoletnimi dziewczętami. Na basenie w 1942 r. często widywałem bardzo ładną, dwudziestoparoletnią blondynkę w towarzystwie niemieckiego oficera.

Po ukończeniu szóstej klasy ze stopniami równie dobrymi, jak w latach ubiegłych, rozpocząłem na tajnych kompletach pierwszą gimnazjalną. Kompletu takie prowadzili w Trembowli nauczyciele gimnazjalni. W naszym domu mieszkały dwie nauczycielki: pani Jaworska i pani Wierzbicka. Pani Wierzbicka

była polonistką i u niej zakończyłem program pierwszej klasy gimnazjalnej.

Któregoś dnia pani Wierzbicka miała odebrać na poczcie pilną przesyłkę. Poprosiła jedną z uczennic, aby poszła na pobliską pocztę. Po powrocie dziewczyny z przesyłką pani pyta: „*A dużo było ludzi na poczcie?*” Dziewczę odpowiada: „*Nie, ludzi wcale nie było, byli sami Niemcy*”. Najpierw roześmiała się pani Wierzbicka, a później my wszyscy.

Już w tym czasie, a także w latach następnych, mój Ojciec zamęczał mnie poprawnym, jak mawiał, wymawianiem liter „ł” i „ch” w odróżnieniu od samego H. O ile słowo „ławka” wymawiałem w miarę poprawnie, o tyle słowo „łuk” brzmiał w uszach mego Ojca jak „uk”, co mi wytykał przy każdej okazji. Nauczył mnie natomiast wyraźnie w mowie różnicować „H” i „CH”. „Huk”, to nie to samo, co „chata”, zwykł był mawiać.

Pani Wierzbicka mieszkała w sąsiednim pokoju, a przez drewniane drzwi dochodziły do niej najwyraźniej nasze rozmowy, bo kiedyś pokazała mi w słowniku „Szobera”, że w mowie przy artykułowaniu haka i chaty nie ma różnicy, a zaznaczają ją tylko dialekty kresowe. Gdy z dumą oznajmiłem to Ojcu, on huknął: „*ten Szober to idiota!*” Usłyszała to pani Wierzbicka i długo boczyła się na tatę.

Rok 1943 zaznaczył się w Trembowli i jej okolicach licznymi mordami, jakich dokonywali Ukraińcy na Polakach. Co parę dni dowiadywaliśmy się o zarżniętych Polakach w okolicznych polsko-ukraińskich wsiach. Takie wsie, jak Boryczówka, zamieszkałe wyłącznie przez Polaków, mówiących zresztą na co dzień po ukraińsku, broniły się skutecznie przed napadami.

W jednej z rzezi zamordowana została w okrutny sposób siostra Bogusia Gałońskiego. Boguś był stryjecznym bratem Staszka Gałońskiego, mego szkolnego kolegi. Stąd też przyjaźniłem się z Bogusiem. Po śmierci siostry pocieszailiśmy chłopca, dwa lata młodszego ode mnie, na ile to było możliwe. Po paru tygodniach przyszła piorunująca wiadomość. W domu, na peryferiach miasta została wymordowana cała rodzina: Boguś, jego matka i ojciec.

W tym czasie w naszym domu przy ulicy Wałowej na noc zasłanialiśmy okna parteru grubymi drewnianymi okiennicami. Na strychu były butelki ze stężonym kwasem solnym i siarkowym, a także parę granatów ręcznych. Często w tym czasie nocowali u nas sąsiedzi z okolicznych drewnianych domów.

W tym okrutnym roku byłem świadkiem eksterminacji Żydów przez Niemców i ukraińską milicję. Czystce etnicznej przewodził oficer SS, którego nazywano Klerkiem, lub Klarkiem. Trudno powiedzieć, czy było to jego prawdziwe nazwisko. Żydzi zostali zamknięci w niezbyt szczelnym getcie na prawym brzegu Gniezny. Obok getta mieściła się nasza szkoła.

W pierwszym okresie istnienia getta kontakt z Żydami był swobodny. Pamiętam, że spotkałem kiedyś nieco starszego ode mnie młodzieńca, który wcześniej mieszkał na ulicy Wałowej. Zaproponował mi kupno kilkunastu znaczków pocztowych za jakąś dostępną cenę, mówiąc: *„To są znaczki z całego świata i musisz dać mi pieniądze, a potem przejrzysz znaczki”*. Było to tak zwane kupowanie kota w worku. Powiedziałem, że jeśli oferowane znaczki posiadam w swoim zbiorze, to mu je zwrócę. Rzeczywiście, była to nic niewarta masówka. Mówię, że mam te wszystkie znaczki i proszę o zwrot pieniędzy. Żyd mi na to odpowiada: *„Pieniądzy ci nie zwrócę. Jeśli Żyd nie oszuka goja,*

to ma dzień stracony". Był roślejszy i w swojej dzielnicy, więc odszedłem czując się nie tyle oszukany, co okradziony.

Gdy w parę miesięcy później dowiedziałem się, że ów Żyd, Abram, zginął w kolejnej masakrze, przyjąłem to dość obojętnie. O wiele większe wrażenie zrobił na mnie trup Żydówki leżący obok naszej szkoły. Uciekała, gdy o świcie spędzano Żydów w kolumnę, która pieszo podążała za miasto. Tu pijani Ukraińcy rozstrzeliwali Żydów masowo. Strzelano do skazańców stojących na krawędzi świeżo wykopanych rowów. Miejscowi ludzie widzieli po paru dniach, jak poruszała się ziemia nad stosami rozkładających się, płytko pogrzebanych ciał.

Przy każdej z takich masakr w mieście ginęli Żydzi uciekający przed pewną śmiercią. Tych żydowska milicja z żółtymi opaskami „judenrat” na ramieniu chowała na miejscowym kirkucie, czyli żydowskim cmentarzu. Po likwidacji getta na żydowskim cmentarzu rozstrzelano i pogrzebano także członków „judenratu”.

W czasie wakacji 1943 r. widocznym było, że Niemcy wyraźnie się cofali, a Rosjanie coraz potężniej parli na zachód. Rozpoczęły się radzieckie bombardowania, a my mieszkaliśmy w pobliżu dwu mostów: kolejowego i drogowego. Mama zaproponowała przeniesienie się do Boryczówki – wsi odległej o parę kilometrów od Trembowli. Tata i Babcia odmówili, ja nie miałem nic do powiedzenia, mnie wydawano polecenia. Zamieszkaliśmy więc z Mamą u księdza na plebanii. Ksiądz Rymanowski miał własną maleńką elektrownię, zbudowaną na rzeczce wpadającej do Gniezny.

Często odwiedzałem Babcie i Tatę w Trembowli wracając na noc do Boryczówki. W lipcu 1943 r. wracając miedzami do Boryczówki natknąłem się na uczujących wśród pól Ukraińców

- banderowców. Zajadali się chlebem z kielbasą, popijając wódkę prosto z butelki. Co najmniej dwu z nich miało na kolanach niemieckie szmajsery. Uciekałem z powrotem szybciej, niż zdążyłem pomyśleć. Wśród pól natrafiłem na rowy strzeleckie. Te chroniły mnie przed strzałami. Wybladły wróciłem do Boryczówki. Mama dziwiła się, skąd u mnie ból żołądka i „ślizgawka”. Ja wiedziałem; wiedziałem także, że to nie Babcia nakarmiła mnie czymś niestrawnym, jak sądziła Mama. Ale o spotkaniu z bandą UPA opowiedziałem dopiero po dwu latach, gdy byliśmy już w Chełmie Lubelskim.

Po powrocie z Boryczówki do Trembowli nadal zdarzały się naloty radzieckich samolotów. Latały nocą dwupłatowce zwane kukuruźnikami, bo mogły lądować na każdym polu, na przykład porośłym kukurydzą. Którejś nocy usiłowały one zbombardować most kolejowy. Kila bomb zrobiło spore doły na podmokłej łące. Ostatni lej po bombie, jak i inne rano wypełniony już wodą, znajdował się o dwieście metrów od mostu. Pilot zapewne uznał rzekę za linię kolejową, bo bomby padały prostopadle do linii kolejowej i mostu.

W dwa tygodnie później nocą spadły na Trembowlę trzy bomby. Jedna zburzyła niewielki dom starszego małżeństwa. Oboje cudem przeżyli, mimo że wybuch zamienił ich dom, w którym spali, w stos gruzów. Dwie następne bomby spadły trzy kilometry dalej, u wejścia do długiej sztolni wykopanej w górze zamkowej, gdzie ludzie kryli się w czasie alarmu lotniczego. W schronie była cała rodzina mego kolegi zwanego Marchiełką. Gdy przebrzmiał huk pierwszej bomby, matka kolegi z nim i jego młodszym bratem wyszła ze schronu. Wtedy z następnego samolotu spadła kolejna bomba. Wszyscy troje zginęli na miejscu – zawiodła intuicja matki.

Późną jesienią, już w dzień, nadleciała eskadra sowieckich samolotów. W okolicy stacji kolejowej Niemcy strzelali z dział przeciwlotniczych. Po ogłoszeniu alarmu zeszliśmy do piwnicy. Bomby padające blisko, bo w naszym ogrodzie, zapęłniły piwnicę tumanami wapiennego pyłu; na ludzi posypały się okruchy tynku. Dom ocalał.

W marcu 1944 r. Trembowłę zajęły wojska sowieckie. Ojciec i stryj Kazik zostali zatrudnieni nadal na kolei, jak za czasów niemieckich. Niemcy uciekali w popłochu. Nie zdążyli wysadzić żadnego z mostów, jak to wcześniej zrobili Rosjanie. Aż dziw brał, gdy się patrzyło na zwycięski przed trzema laty Wehrmacht. Żołnierze uciekali pieszo, w brudnych i poszarpanych mundurach, a najbardziej dziwiły karabiny mające sznurki zamiast pasów. Gdy patrzyłem na tych żołnierzy, przypomniał mi się adiutant mieszkającego u nas w 1941 r. niemieckiego oficera. Ów adiutant spodziewał się w trzy tygodnie zająć Moskwę, a zaraz potem Londyn!

Oddziały szturmowe Armii Czerwonej szybko spenetrowały domy w poszukiwaniu żołnierzy niemieckich. Zabrano pozostawioną przez nich broń maszynową. Karabinom odłamywano kolby i pozostawiano na miejscu bez opieki. To samo dotyczyło amunicji, pocisków, granatów i materiałów wybuchowych. Ojciec ze stryjem zgromadzili sporą ilość granatów, amunicji i parę karabinów z ułamanymi kolbami. Jeden taki karabin, z zapasem amunicji, ukryłem na swoim strychu.

Po oddziałach szturmowych miasto zajęły inne, wprowadzające „porządek”. Pojawiły się oddziały tak zwanych trofejszczików, które zbierały wszelkie dobro: zarówno broń, amunicję, materiały wybuchowe, jak i rzeczy prywatne z opuszczonych

domów. Rozpoczęło działalność NKWD. Po czystkach 1940 r. i po okupacji niemieckiej niewiele interesowano się Polakami. Ukraińcy, ścigani za współpracę z niemieckim okupantem, masowo uciekali w stronę gór. Rzezie ustały i Polacy mogli wziąć nieco głębszy oddech.

Wiosną, gdy sowiecko-niemiecki front utrzymywał się nad Żółtą Lipą i Gniłą Lipą, lotnictwo hitlerowskie od czasu do czasu bombardowało Trembowłę. Którejś majowej niedzieli miałem pójść z kolegami na teren stacji kolejowej, gdzie leżały ściągnięte tu wraki niemieckich samolotów. Można z nich było wyjąć różne interesujące przedmioty, jak mechanizmy pokładowe, lub grube samolotowe szyby zrobione z rodzaju pleksiglasu – przezroczyste, nietłukącej się masy. Nie pamiętam, dlaczego zamiast na stację, po Mszy świętej poszedłem z kolegą na zamek.

Około południa, gdy w mieście ludzie po sumie wychodzili z kościoła, nadleciała eskadra meserszmitów i obrzuciła rozpryskowymi bombami stację kolejową i główną ulicę miasta, przy której stał kościół. Było kilka osób zabitych i wiele rannych. Zginęła wówczas moja młodsza koleżanka szkolna – Cesia Żabska. Mówiono, że nie padła na ziemię, gdy nadleciały samoloty (była w białej koronkowej sukience). Została ugodzona odłamkiem bomby w kręgosłup.

Ja, będąc na zamkowym wzgórzu, widziałem wyraźnie dziewięć nadlatujących samolotów. Nadlatywały trójkami. Po chwili ukazał się pod nimi rój czarnych kresek. Zrozumiałem, że to padają bomby. Położyłem się na wznak, obserwując dalej miasto i kłęby kurzu w miejscu wybuchających bomb. Huk wybuchów dochodził, ale niezbyt głośny. Samoloty z charakterystycznym warkotem przeleciały nisko nad zamkiem, prawie nad

naszymi głowami. Wyraźnie widać było na ich skrzydłach czarno-białe krzyże.

Rodzice szukali mnie z wielkim niepokojem natychmiast po nalocie. Szukali w okolicach stacji, a potem bliżej zamku u państwa Rypołowskich. Wyczuwając ich niepokój, i niespokojny o nich, natychmiast z zamku pobiegłem do domu. Po drodze widziałem sporo błękitno szarych odłamków. Wziąłem w rękę jeden większy, potwornie poszarpany. Był jeszcze mocno ciepły. Po jakiejś godzinie, spotkałem wracających do domu Rodziców. Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą.

Przyfrontowe żniwa trwały przez kilka tygodni. Pierwszego maja, w ciepły słoneczny dzień, odwiedziłem z kolegami basen. Świeżo wypełniony prawie źródlaną wodą o temperaturze około dziesięciu stopni nie zachęcał do kąpieli. Przepląnąłem basen w poprzek i miałem dosyć. Zeszliśmy do betonowego pomieszczenia za basenem. Nie miało ono dachu. Tu odpaliliśmy dwie rakiety, robiąc u dołu metalowej gilzy otwór, od którego biegła krótka prochowa smuga. Proch strzelniczy w woreczkach trzymaliśmy oddzielnie. Podpalony proch, dochodząc do gilzy powodował, że ładunek rakiety wylatywał w powietrze. Trzecia rakietka nie odpaliła, mimo dwukrotnego podsypywania prochu. Nie wiele myśląc (niestety) przytknąłem płonąca zapalną do otworu u dołu gilzy. Rakietka odpaliła, a ja poczułem, jak płonie mi twarz. Głowę przy odpalaniu trzymałem wprawdzie z dala, na ile było to możliwe, ale wylatujący ładunek opylił mi twarz płonącym materiałem rakiety. Zaraz włożyłem głowę do zimnej wody basenu ciesząc się w duchu z tego, że widzę. Zabawa skończyła się tylko na osmaleniu rzęs i lekkim poparzeniu policzków oraz czoła.

W lasach otaczających polowe lotnisko, tym razem ponie-
mieckie, znaleźliśmy duże ilości amunicji, pocisków i
materiałów wybuchowych. Były tu dwulitrowe, kanciaste butelki
z przezroczystego szkła, zawierające jakąś substancję o barwie i
konsystencji gęstego sosu pomidorowego. Na rozbitych
butelkach żerowały muchy. Butelki zakończone były wąską
szyjką. W niektórych szyjkach znaleźliśmy zapalniki. Zapalnik
był mosiężną tulejką z kapslem, jak w łusce karabinowej, a
tulejka (czy cylinderek) była zatkana lekkim spiczastym
krążkiem. Ostrze krążka skierowane było w stronę kapsla i
przymocowane do tulejki cienkim miedzianym drucikiem.
Tulejka i krążek miały w tym celu niewielkie otworki.
Rozumieliśmy, że są to jakieś groźne, antymagnetyczne miny i
nie próbowaliśmy nawet podpalać rozlanej mazi pomidorowej
barwy. Natomiast pilnie poszukiwane były przez nas zapalniki.
Znajdowaliśmy je porzucane wśród stosów butli, lub też w
całych tekturowych pudełkach, zawierających po dwadzieścia
zapalników. Taki zapalnik uderzony o równą powierzchnię
krążkiem zamykającym tulejkę powodował głośny strzał, a górą
tulejki błyskał drobny płomień.

Wśród leśnych zarośli leżało sporo min używanych w
granatnikach. Każdy taki moździerzowy pocisk miał między
lotkami gilzę wypełnioną prochem strzelniczym, który wyrzucał
minę w górę po wsunięciu jej w rurę granatnika. Gilzy
zawierające proch były dla nas łakomym kąskiem. Wykręcając
śrubokrętem śrubkę między lotkami wyjmowaliśmy gilzę. W
gilzach, zależnie od kalibru miny, znajdowały się różne rodzaje
prochu strzelniczego.

Czasem znajdowało się również pociski i gilzy do dział
dużego kalibru. Obok leżały zwykle paczki z grubym na palec i

kilkadziesiąt centymetrów długim prochem strzelniczym. Taki pręt prochowy zapalony, a następnie przydeptany, tłąc się wewnątrz, skakał samorzutnie, co nas szczególnie bawiło.

Tutaj także znaleźliśmy kiedyś kostki trotylu wielkości, kształtu i barwy mydła „Schicht”. Wiedzieliśmy, że trotyl się pali. Podpaliliśmy jedną kostkę. Płonęła spokojnym ogniem dość mocno kopząc. Któryś z kolegów (ciągle w ramach życiowych doświadczeń) powoli (na szczęście) zaczął przykrywać płonąca kostkę dziurawym, żeliwnym garnkiem. Gdy garnek znajdował się kilka centymetrów nad płonąca kostką, ona wyraźnie ożyła: zaczęła się poruszać i nieco unosić. Mieliśmy już na tyle doświadczenia, aby natychmiast garnek odrzucić. Gdybyśmy rzucili ów garnek na płonący trotyl nastąpiłaby eksplozja, a każdemu z nas, sądząc optymistycznie, pozostałoby w ciele trochę odłamków żeliwnego garnka.

Na przełomie maja i czerwca 1944 r. miejsce naszego żerowania zostało ogrodzone taśmami i sznurami, oznaczone chorągiewkami i napisami „wstęp wzbroniony”, oczywiście w języku rosyjskim. Ponieważ miejsce penetrowane było przez sowieckich saperów, my przestaliśmy tam chodzić.

Któregoś dnia w pierwszej połowie czerwca w całej Trembowli dał się słyszeć głośny wybuch, nieco stłumiony odległością. Nad lasem, w okolicach poniemieckiego lotniska, unosił się wysoki słup białego dymu. Po paru dniach odwiedziliśmy miejsce wybuchu. Jak mówili okoliczni mieszkańcy, w wiosce odległej dwa kilometry od lotniska trzech saperów (a w każdym razie sowieckich żołnierzy) przez kilka dni układało w jednym miejscu na stosie porzucane po całym lesie pociski, miny, amunicję i całe poniemieckie dobro wojenne. Potem, czego nikt już nie był świadkiem, zdetonowali cały zgromadzony materiał.

Z żołnierzy pozostały strzępy na gałęziach drzew. W miejscu wybuchu powstał wielki dół głębokości około czterech metrów.

W połowie czerwca 1944 r. Ojciec i stryj Kazik wstąpili do Wojska Polskiego i wyjechali na szkolenie w okolice Żytomierza. Zostałem z Mamą i dwiema babciami.

Gdy wczesną jesienią Niemcy wznowili bombardowanie szlaków komunikacyjnych Mama nie wytrzymała nerwowo nalotów i znów zabrała mnie na wieś. Tym razem było to kilkanaście chałup na tak zwanych Ściankach – parę kilometrów w górę Gniezny, licząc od mostu kolejowego w Trembowli. Tu mieszkańcy chowali swój inwentarz: krowy i konie. Rosjanie zagospodarowali się już w okolicach Trembowli na dobre. Na jakichś bliżej nieznanych zasadach zabierali chłopom bydło i konie. Konie były przez nich szczególnie poszukiwane.

Widziałem pewnego dnia splotzonego Ukraińca uciekającego konno przed sowieckim patrolem. Nie zatrzymał się na głośne wołanie żołnierzy. Jeden z nich uniósł ku górze „pepeszę” i posłał w niebo długą serię. Młody Ukrainiec nie widział, gdzie lecą kule, zatrzymał konia i stracił go na rzecz Rosjan.

Pobył na trembowelskich Ściankach wspominam bez entuzjazmu. Szczególnie mało wygodne były noce w zatłoczonych izbach, gdzie wiele osób spało na podłodze.

Latem 1944 r. dość często chodziłem z kolegami zażywać kąpieli w Gnieźnie nie opowiadając się Mamie. Zwykle wybieraliśmy miejsce poniżej dużego młyna, z którego spiętrzona woda wysokim jazem spływała do głównego koryta rzeki. W miejscu, gdzie strumień poruszający kamienie młyńskie łączył się z nurtem rzeki, powstała głębia. Tutaj kilkakrotnie rzucaliśmy ręczne granaty, obserwując gejzery wody wyrzucanej po ich wybuchu.

Któregoś dnia stałem na belce jazu, a pode mną, po grubych, oślizgłych deskach spływała woda spadając niżej niewysokim wodospadem. Na owe omszałe deski wszedł może dziesięcioletni chłopiec. Gdy doszedł do krawędzi zalewanego wodą pomostu pośliznął się i wpadł do głębokiej jamy wybitej w korycie przez spadającą wodę. Kilka razy zobaczyłem nad wodą ręce chłopca. Gdy po paru sekundach nie zobaczyłem na powierzchni wody jego głowy skoczyłem z belki w miejsce, gdzie spodziewałem się znaleźć tonącego. Po niedługiej chwili, widząc w mętnej wodzie jakiś kształt, podpląnałem, chwyciłem ciało i wydzwignąłem na powierzchnię. Ciężar był znaczny, a mnie nie nauczono sztuki ratowania. Wysunąłem więc głowę chłopca nad powierzchnię wody, podczas gdy moja własna zanurzała się. Po paru minutach, kilka razy zaczerpnąwszy powietrza, dotarłem z chłopcem do brzegu. Położyłem go na brzuchu i wsunąwszy pod niego ręce, uniosłem do góry. Chłopiec oddał sporo wody ukradzonej rzece i zaczął popłakiwać. Był w lekkim szoku. Po niedługiej chwili, gdy zrozumiiał, że jest już na brzegu, uspokoił się, a nawet uśmiechnął przez łzy.

Jesienią 1944 roku rozpocząłem rok szkolny w ósmej klasie utworzonej w naszej szkole „dziesięciolatki”. Szkoła mieściła się przy ulicy Wałowej w gmachach przedwojennego gimnazjum i liceum. Do szkoły miałem więc dosłownie kilka kroków. Dyrektorem szkoły został Roman Rypołowski, mój wychowawca z przed roku. Poza językiem ukraińskim (już nie ruskim) i rosyjskim rozpocząłem naukę języka francuskiego, bo nie było nauczyciela języka niemieckiego, który był zresztą niezbyt dobrze widziany tak przez władze, jak i społeczeństwo.

Jednym z przedmiotów było przysposobienie wojskowe. Wojskowy weteran, inwalida, uczył nas rosyjskich nazw części karabinu i innych wojskowych akcesoriów. Był to człowiek sympatyczny i mówił nam o rzeczach, które w praktyce znaleźliśmy zupełnie niezłe.

W styczniu 1945 roku otrzymałem awansem świadectwo ukończenia pierwszego półrocza klasy ósmej z podpisem dyrektora Romana Rypolowskiego. Zarejestrowaliśmy się w punkcie repatriacyjnym i pod koniec stycznia opuściliśmy z Mamą i Babcią rodzinną podolską ziemię. Babcia Michalina, matka Ojca, nie chciała opuszczać swojej posiadłości i pozostała w Trembowli do śmierci w 1949 r.

Na początku października 1944 r. dostaliśmy list od Ojca pisany z Lublina – już z Polski. W kolejnej korespondencji omówiliśmy nasz wyjazd z Trembowli i przyjazd do Chełma Lubelskiego. Po trzech dniach podróży w towarowym wagonie z dwiema innymi rodzinami, śpiąc na własnym dobytku, wyładowaliśmy się na dworcu kolejowym w Chełmie.

Młodość

Chełm Lubelski

Polska powitała nas mroźnym wiatrem. Zatrzymaliśmy się u wujostwa Mayerów przy ulicy Kolejowej. Domek był mały, drewniany, a jego połowę zajmowały siostry Ukrainki. Ubikacja była w ogródku.

Wybiegając nieco w przyszłość, zanotowałem w pamięci znamieny fakt. Wiosną 1946 r. zobaczyłem przy śmietniku w małej skrzynce jakieś papiery. Ponieważ było to wkrótce po

przeprowadzce wujostwa z Babcią do Gdyni, przejrzałem papiery, aby się upewnić, czy nie wyrzuca się czegoś potrzebnego.

Papiery okazały się ukraińskimi maszynopisami. Jeden spięty pakiet nosił tytuł: „*Biała knycha buntu*” (Biała księga buntu). Opisywano w niej struktury przyszłego ukraińskiego państwa. Domyślałem się, że istniała także „*Czorna knycha buntu*” (Czarna księga buntu), gdzie być może opisywano sposoby eksterminacji Polaków na zajętych, czy „oswobodzonych”, jak w tym czasie mówiono, terenach.

W sąsiedztwie naszego domu po przeciwnej stronie ulicy mieszkali państwo Bronikowscy, krewni cioci Jani. Mieszkali razem z jej matką – panią Macander.

Mieszkaliśmy wszyscy razem w jednym pokoju: wujostwo oraz ja z Mamą i Babcią. Pokój ów był jako tako ogrzany. W kuchni przy większym mrozie (styczeń–luty) nocą woda zamarzała w wiadrach. Wodę nosiło się ze studni, podobnie jak w Trembowli.

Najbardziej dokuczliwy był wiatr. Na Podolu zupełnie nie dawał się on we znaki. Najczęstsze zachodnie lub wschodnie wiatry hulały po podolskim płaskowyżu nie dokuczając mieszkańcom jarów, których skutecznie chroniły ich strome stoki.

W Chełmie mieszkaliśmy razem z wujostwem i ich dwiema córkami: Krycha miała lat dwanaście, a Ala sześć. Obie były bardzo miłe, a Krystyna czarowała swoimi ślicznymi oczętami. Nie miałem zwyczaju spuszczać wzroku, więc nieraz długo się w siebie wpatrywaliśmy sprawdzając, kto dłużej wytrzyma tę niewinną zabawę.

W czasie zimowych ferii odwiedziłem swoją przyszłą szkołę – męskie gimnazjum i liceum imienia Stefana Czarnieckiego. Z tego, co zobaczyłem na szkolnych, niestartych tablicach w czterech drugich klasach, przynajmniej w zakresie fizyki i matematyki, oceniłem, że mogę zacząć naukę w drugiej klasie gimnazjalnej.

Zapisano mnie do tej klasy po wstępnym egzaminie. Okazało się na nim, że nie mam pojęcia o botanice (pani Wierzbicka była polonistką). Zobowiązałem się nadrobić wiadomości w tej dziedzinie do końca trzeciego kwartału. Botanikę i całą biologię wykładał dyrektor szkoły. Pozostałe przedmioty, łącznie z łaciną, zdałem zupełnie dobrze.

Zapamiętałem z okresu drugiej i trzeciej klasy gimnazjalnej kilku nauczycieli.

Polskiego uczyła chodząca o kulach pani Zofia Książkówna. Była doskonałym wykładowcą i zachęcała z dużym powodzeniem do poznawania jej przedmiotu. Była mniej serdeczna od Romana Rypołowskiego, ale był to właśnie ten typ nauczyciela.

Łaciny uczył w tym czasie pan Kińczyk. Jak się okazało, uczył on w swoim czasie we Lwowie mego Ojca. Kiedy mu to przypomniałem, zmarszczył brew i rzekł: „*Spytaj ojca, czy nie miał u mnie poprawki z greki?*”

Ojciec będąc na wakacjach u swego wuja księdza nieźle poznał początki starożytnej greki. W gimnazjum klasycznym, do którego uczęszczał we Lwowie, błyszczał na początku roku szkolnego znajomością tego języka. W miarę czasu przychodziły nowe rozdziały, a Ojciec zadufany w nabytą wiedzę nie pogłębiał jej i w końcu okazało się, że ma duże braki. Stąd poprawka, którą zaliczył na początku nowego roku szkolnego spędzając wakacje na nauce ponownie u swego wuja i przy jego wydatnej pomocy.

Geografii uczył pan Jankowski, powszechnie znany pod przezwiskiem Bimbus.

Mieliśmy niezłego nauczyciela gimnastyki. Nie pamiętam jego nazwiska. Zachęcał on nas do biegów i skoków oraz do miotania kulą. Natomiast nie cierpiałem musztry: „w prawo zwrot, w lewo zwrot, w dwuszeregu stań” i tym podobne komendy nie zachwyciły, chociaż były przewidziane programem.

W 1945 r. nauczyłem się jeździć na rowerze pożyczonym od kolegi. Pierwsze próby przeprowadzałem leżąc brzuchem na siodełku, z nogami opuszczonymi po obu stronach roweru. Zjeżdżałem alejkami nieco pochyłymi w dużym przyszkolnym parku porośniętym starymi kasztanowcami. W parku, szczególnie zimą i wiosną, wrony odbywały swoje ptasie sejmiki. Między drzewami było tyle ptasich odchodów, że nie rosła tutaj żadna roślinność w charakterze poszycia.

Na koniec roku szkolnego 1944-1945 otrzymałem na świadectwie pięć ocen dobrych, pozostałe były bardzo dobre.

Wstąpiłem w szkole do drużyny harcerskiej. Latem wyjechałem na miesięczny obóz w okolicach Firleja (Lubelskie). Obóz znajdował się w lesie, zaledwie kilkaset metrów od jeziora. Tutaj zdobywałem swoje pierwsze sprawności harcerskie, a przed zakończeniem obozu otrzymałem dokument i prawo noszenia krzyża harcerskiego.

W trzeciej klasie gimnazjalnej zacząłem bliżej poznawać kolegów. Najlepszym uczniem w klasie był Koszyłowicz. Drugie miejsce, na zmianę ze mną, zajmował Sławek Zygmunt.

Zaprzyjaźniłem się z Waławem Dudkiem. Dudek nie był „asem” i często mu pomagałem, szczególnie przy wypracowaniach z polskiego. Miał on natomiast duże zdolności do

rysowania i malowania. Dobrego stopnia z rysunków wymagało namalowanie obrazu. Namalowałem obrośniętą szuwarami gliniankę z odsłoniętą glinianą skarpą. Nie było to arcydzieło. Dudek zrobił retusz obrazu i został on przyjęty na szkolną wystawę. W ten sposób zapewniłem sobie „czwórkę” z rysunków, jedną z trzech ocen dobrych, jakie otrzymałem po ukończeniu trzeciej klasy gimnazjalnej (rok szkolny 1945-1946). Pozostałe stopnie na świadectwie były bardzo dobre.

Zimą 1946 r. poznałem bardzo ładną dziewczynę, Halinkę Wolszczak. Była to moja pierwsza platoniczna miłość. Wiosną chodziłem z Halinką za miasto, nad gliniankę uwidocznioną później na obrazie. Z Halinką poznał mnie kolega z klasy, Jurek Steinbis. Mieszkał na ulicy Nadrzecznej, na skraju miasta. Sympatyzował z koleżanką Halinki i stąd poznaliśmy się wszyscy czworo. Dudek narysował mi piórkami i tuszem piękną różę w pamiętniku Halinki, pomalował ją na czerwono, a ja dodałem tekst bardzo zbliżony do oświadczeń.

Gdy opuściłem Chełm wymieniałem przez jakiś czas listy z Halinką, dopóki nie zabroniła jej tego mama. Spotkałem Halinkę w Chełmie, który odwiedziłem po dwu latach. Dziewczyna wyrosła, zrobiła się dziwnie długa i serce na jej widok nie było już przyspieszonym rytmem.

Przez peryferie Chełma przepływa bagnista rzeczka Uherka z obfitymi łąkami po obu jej stronach. Niegdyś, zapewne przed drugą wojną światową, na rzeczce wybudowano drewniany basen. W latach 1945 i 1946 często pływałem na tym basenie. Obramowanie basenu było także drewniane (rodzaj drewnianego chodnika), a otoczenie dawno temu wysypano piaskiem. Za moich czasów był on tak przemieszany z materiałem ilastym, że tworzył twardą polepę (polepa to podłoga z gliny w niektórych

podolskich chatach, malowana zwykle lessem rozpuszczonym w wodzie).

Nad brzegiem basenu ustawiono drążek do ćwiczeń gimnastycznych. Piasek pod drążkiem był równie twardy, jak na obrzeżach basenu. Któregoś dnia ćwiczyłem na tym trapezie, huśtając się na rękach. Gdy ciało było odpowiednio wysoko nad ziemią, przekręcałem się w powietrzu puszczając na moment drążek tak, aby twarzą zwrócić się ku ziemi i chwycić go ponownie. Pewnego dnia puściłem drążek w prawie horyzontalnym położeniu ciała i nie zdążyłem zrobić obrotu. Drążek wysliznął mi się z rąk. Grzmotnąłem plecami o ziemię. Zaparło mi dech. Powoli się pozbierałem i, podobnie jak to miało miejsce po nieco późniejszym wydarzeniu, przez jakiś czas obserwowałem, czy nie narasta mi garb.

Uczniem naszej klasy był także Rysiek Wieczorek z bokserskimi zamiłowaniami. Stale naprzykrzał się, aby z nim trenować. Miał dwie pary bokserskich rękawic. Chłopiec był wyższy ode mnie i silniejszy. Gdy dostałem kilka ciosów na głowę, ostatecznie straciłem ochotę nawet na ćwiczebne boksowanie.

Popołudnia spędzałem nierzadko na przyszkolnym boisku sportowym, gdzie ćwiczyłem między innymi z Wieczorkiem skoki w dal. W 1946 r. zdobyłem pierwsze miejsce w szkole skacząc na odległość 5,82 metra. Pani Książkówna, nasza wychowawczyni, pogratulowała mi we właściwy dla niej sposób: „Widzę, że nie tylko w nauce starasz się być w czołówce. Tu okazałeś się najlepszy”.

Parę dni później ćwiczyliśmy na boisku. Ja skończyłem skoki, a mój kolega dyskobol ćwiczył dalej rzuty pięciokilogramową kulą. Siedziałem na brzegu skoczni sznurując buciki. Wtem poczułem potężne uderzenie pod łopatką. Kula wysliznęła

się z ręki kolegi i zmieniała kierunek o 90 stopni. Uderzyła mnie w plecy. Wstałem, ale kręciło mi się w głowie, tak że ledwie doszedłem do pobliskiej fontanny. Umyłem spoconą twarz. Ból pleców trwał. Kolega pomógł mi dojść do domu. Po paru dniach ból w plecach przeszedł, a ja jeszcze długo obserwowałem plecy, czy nie pojawia się na nich garb. Podziękowałem Bogu za ten wypadek, który nie spowodował złych następstw. Gdyby kula uderzyła mnie w głowę, lub choćby kilka centymetrów obok, w kręgosłup, zapewne nie pisałbym tych słów, ani żadnych innych.

W Chełmie mieszkali zamożni rodzice innego mego kolegi, Parola. Mieli oni dwie krowy, które pasła moja Mama, aby zarobić na nasze życie. Pieniądze, które przysyłał ojciec nie wystarczały. Popołudniami i ja pasalem te krowy. Była to najniewdzięczniejsza praca, jaką w życiu wykonywałem. Krowy ciągle gdzieś podążały, a pastwisko przylegało do pól uprawnych. Ja byłem odpowiedzialny za to, aby zwierzęta nie weszły w „szkodę”.

Inny mój kolega, Andrzej Kowalczyk, był synem zamożnego właściciela dużej księgarni. Namówiony przez naszych nauczycieli udzielałem mu korepetycji. Kolega słuchał, ale niewiele do niego docierało. Mawiał: *„Jak mi napiszesz wypracowanie, to je przeczytam w klasie; dam ci za to kilka znaczków, których nie masz”*. Znaczków miał on sporo, a ja je zbierałem. Z czasem tak się rozbawił, że miał do mnie pretensje, gdy otrzymywał z wypracowania domowego stopień dostateczny. Któregoś dnia przed lekcją polskiego powiada mi: *„Daj mi swój zeszyt, a ja dam ci swój, bo ty dla mnie piszesz gorsze wypracowania”*. Dałem mu swój zeszyt. Przeczytał z niego moje wypracowanie, bo taki zwyczaj odpytywania miała pani Książkówna. Otrzymał trójkę. Jako czwarty pytany ja

przeżytałem wprawdzie swoje wypracowanie, ale z zeszytu Andrzeja. Dostałem „piątkę”. Wtedy zrozumiałem, że nawet taki prawy nauczyciel i zdawałoby się sprawiedliwy, jak nasza wychowawczyni, ma swoje uprzedzenia i sympatie. Andrzej był uważany za bardzo słabego ucznia, ja zaś odwrotnie, i właśnie to wpływało na ocenę, a nie obiektywnie wyważona wartość pracy. W przyszłości, już w Warszawie, miałem okazję doświadczyć takiej oceny na sobie u „Reytana”. Sytuacja była inna, ale zasada ta sama.

Na początku 1946 r. przyszła do nas sąsiadka z tej kamienicy, w której mieszkali państwo Bronikowscy. Przyszła z córką Helenką. Jej mąż, ojciec Helenki, był w tym czasie wziętym krawcem. Okazało się, że dziewczynka dostała na półrocze stopień niedostateczny z matematyki, a była to pierwsza gimnazjalna. Zacząłem jej pomagać. Starałem się nie siadać zbyt blisko dziewczęcia, bo wywoływało to natychmiast jej bardzo głośne oddychanie.

W tym czasie wujostwo z Krysią, Alą i Babcią wyjechali do Gdyni, gdzie wuj Edek przygotował już dla nich mieszkanie przy ulicy Czołgistów (obecnie Piłsudzkiego).

Helenka na koniec roku otrzymała „czwórkę” z matematyki. Z wdzięczności jej rodzice zaprosili mnie na wieczorek taneczny w ich domu. Grała orkiestra złożona z sąsiadów. Nie umiałem tańczyć. Dziewczyna usiłowała nauczyć mnie tej sztuki. Ja uczyłem jej matematyki przez pół roku. Nic więc dziwnego, że po jednym wieczorze nie nauczyłem się tańczyć nawet na „trójkę”.

W czerwcu 1946 r. szkoła zorganizowała wycieczkę do zburzonej Warszawy. Widok warszawskich ruin zrobił na mnie tyle potężne, co groźne wrażenie. Mieszkaliśmy w zaprzyjaźnio-

nej szkole na Żoliborzu, dzielnicy stosunkowo mało zniszczonej. Koledzy warszawscy opowiadali, ciągle jeszcze z błyskiem w oku, o dziejach powstania. Utkwił mi w pamięci przewóz ludzi ciężarowymi samochodami przez jedyny wówczas istniejący most pontonowy. Przewoźnicy wołali głośno: „*Na Pragę, na Pragę jadziem!*” co niemal raniło moje ucho przyszłego humanisty.

W Chełmie, mimo że nie zapamiętałem nazwiska naszego katechety, regularnie uczestniczyłem w niedzielnej Mszy świętej. Wiosną 1946 r. zostałem bierzmowany w chełmskim kościele parafialnym przez lubelskiego biskupa. Wybrałem imię Andrzej.

Puławy

Pierwszy miesiąc wakacji 1946 r. spędziłem, jak i w roku poprzednim, na obozie harcerskim w Firleju. Poznałem tu uroczą „szarą harcerkę lubelską” (słowa piosenki). Po obozie spotkaliśmy się jeszcze w puławskim parku. Harcerka wyjechała do Lublina i więcej jej nie widziałem.

Zamieszkałem z Mamą w małym drewnianym domku przy ulicy Kazimierskiej 49. Domek był do naszej dyspozycji, bo wujostwo: Karol Wnuk, ciocia Iza (siostra Ojca) oraz dwaj synowie Karola z pierwszego małżeństwa: Ryszard i Bogdan, wyjechali na leśniczówkę przy wsi Młynki w podpuławskich lasach. Tutaj niebawem (w 1947 r.) urodziła się córka cioci i Karola Wnuka, Barbara.

Karol Wnuk często odwiedzał swój dom przy ulicy Kazimierskiej, a ja z Mamą także odwiedzałem ciotkę w Młynkach, czy jak wówczas mówiono: na Młynkach. Zdarzało mi się widzieć u wuja mężczyzn w długich płaszczach z automatami

zawieszonymi na ramieniu. Wieczorem, po zapadnięciu zmroku, partyzanci odchodzili w dal polami, omijając ulice miasta.

We wrześniu po raz kolejny zmieniłem szkołę. Koedukacyjne gimnazjum i liceum imienia Adama Czartoryskiego leżało w północnej części miasta, na tak zwanych Działkach. Stąd już tylko kilkaset metrów dzieliło je od przystanku Ruda Las. Obecnie, od wielu już lat, jest tu dworzec kolejowy Puławy Miasto.

Naukę rozpocząłem po raz wtóry w klasie trzeciej. Kolejna reforma edukacyjna zniosła czwartą klasę gimnazjalną. Jednakże z tej trzeciej klasy przeszedłem, jeszcze w tychże Puławach, do pierwszej klasy licealnej. Wybrałem liceum humanistyczne. Mimo to uczono nas fizyki i matematyki, chociaż w mniejszym zakresie. Fizyki uczył srogi pan Kruk. Nauczyciela matematyki nazywaliśmy „Gogo”. Ten, gdy się zdenerwował, zwykł był mawiać: *„Ja uczę, uczę już czterdzieści lat, a on nie umie, nie umie!”*

Polskiego uczyła nasza wychowawczyni, pani Boska.

Łaciny uczył młody nauczyciel, którego miłosne zaloty podglądali uczniowie w puławskim parku.

Park był i jest bardzo ładnym miejscem. Pałac Czartoryskich, do którego należał park, został w owym czasie zamieniony na siedzibę Państwowego Instytutu Naukowego Gospodarstwa Wiejskiego (PINGW). Nieco później, jak to w tych czasach było w modzie, nazwę instytucji zmieniono na Instytut Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa (IUNG), oczywiście już z siedzibą dyrekcji w Warszawie. W Puławach pozostała filia instytutu i poletka doświadczalne.

Mama znalazła pracę w tym instytucie. Gdy powstał tu ludowy zespół pieśni i tańca (znak nowych czasów), Mama

uczestniczyła w chórze tegoż zespołu, a nawet wykonywała kilka pieśni solowych, przyjmowanych rześzystymi brawami.

W parku położonym na południe od pałacu rosło sporo starych drzew. Wśród nich wznosiło się kilka małych parkowych budowli. Do bardziej uczęszczanych należał „domek gotycki” i „świątynia Sybilli”. Już poza parkiem, na jego południowym skraju, wybudowano ongiś pałac „Marynki”. Wznosił się on przy ulicy Kazimierskiej i był zajęty przez pracowników instytutu.

W „domku gotyckim” założono puławskie muzeum. „Świątynia Sybilli” przez kilka miesięcy otoczona była rusztowaniem. Po tym rusztowaniu wspinaliśmy się na dach okrągłej świątyni (rotundy), pustej wewnątrz, otoczonej u dołu niezbyt szeroką galeryjką. We wspinaczkę najczęściej towarzyszył mi Andrzej Świdorski, z którym zaprzyjaźniłem się najwcześniej.

Mietek Czepkowski był drugim moim zaprzyjaźnionym kolegą. Zimą często zjeżdżaliśmy na nartach po stromej drodze prowadzącej od rotundy Sybilli w dół do pałacu „Marynki”.

Trzecim kolegą, z którym się zaprzyjaźniłem w Puławach, był Janusz Wawrzekiewicz, syn nauczyciela gimnastyki w naszej szkole. Janusz bardziej od nas był trzymany w ryzach. Stąd też najczęściej wiślane plaże odwiedzaliśmy we trzech: Andrzej, Mietek i ja.

W 1947 r. przepływałem samotnie Wisłę pod Puławami, nieopodal zburzonego mostu drogowego. Most właśnie odbudowywano. Wiele belek z ogromnymi gwoździami tkwiło w dnie rzeki tuż obok mostu. Wiele belek sterczało ponad poziomem wody.

Któregoś dnia skoczyłem do wody z wystającej belki. W rzece tkwiła inna belka ze sporym gwoździem. Gwóźdź wbił mi się dość głęboko, przebijając nogę w połowie uda. Cofnąłem się

całym ciałem ku tyłowi, uwolniłem nogę i mimo wyraźnego bólu popłynąłem ku brzegowi. Rana była spora, ale wypłukana wodą niezbyt krwawiła. Oderwałem dół koszuli i zrobiłem sobie prowizoryczny opatrunek. Ranę wydezynfekowałem dopiero w domu. Nie pochwaliłem się Mamie wypadkiem. Rana po paru dniach zabiłżniła się i po dwu tygodniach znowu pływałem w Wiśle. Woda w rzece była w tym czasie na tyle czysta, że nurkując na głębokość dwu i pół metra można było nią ugasić pragnienie. Robiłem to niejednokrotnie bez żadnej szkody dla zdrowia.

Często odwiedzaliśmy tak zwane wysokie brzegi. Około półtora kilometra na południe od mostu drogowego na Wiśle rzeka robiła wyraźny skręt podmywając prawy brzeg, podczas gdy kilometr na północ od tego miejsca podmywała lewy brzeg. Z tego prawego, dwumetrowego brzegu skakaliśmy do wody. Prąd był tu tak wartki, że nie próbowaliśmy przepływać rzeki.

W tym czasie dostałem do użytkowania dość stary rower. Jeździłem nim nie tylko do Młynek, gdzie można było dojść pieszo, ale i do Kazimierza nad Wisłą i do ruin zamku w Janowcu na lewym brzegu Wisły.

Któregoś letniego dnia w drodze do domu, między Bochatnicą, a Parchatką złapała mnie na szosie potężna burza z ulewą. W parę minut dokładnie przemokłem. Nie było więc sensu gdziekolwiek się chronić, tym bardziej, że na tym odcinku drogi do domów było dość daleko. Jechałem więc środkiem szosy (w tym czasie między Kazimierzem a Puławami ruch był niewielki) w gęstym deszczu i przy trzasku piorunów. Z wielkich topoli, zwanych przez miejscową ludność sokorami, leciały suche gałęzie i zielone liście. Powietrze, jak to latem, było dość ciepłe.

Jadąc środkiem drogi liczyłem optymistycznie, że jeśli piorun uderzy w pobliskie drzewo, to nie porazi mnie na środku drogi.

Dojeżdżając do południowej dzielnicy Puław, zwanej Włostowicami, ujrzałem wielki błękitny błysk, któremu nie towarzyszył grzmot, a następnie gęsty czarny dym wydobywający się z płonącego transformatora. Najwidoczniej przewody wysokiego napięcia przyjęły więcej energii, aniżeli mógł znieść umieszczony na słupach transformator.

Gdynia-Hel

W lecie 1947 r. odwiedziłem w Gdyni rodzinę wuja Edwarda Mayera i Babcię Anzelmę, która u nich mieszkała. Przyjechał tu w tym samym czasie Zbyszek Mayer. Robiliśmy liczne spacerunki po niezniszczonej Gdyni razem z Krychą, uroczym podlotkiem. Byłem dość rozwydrzonym wyrostkiem, a kamienie od zawsze stanowiły przedmiot mojej zabawy. Puszczanie „kaczek” na wodzie, czy rzucanie do celu stanowiło moje ulubione zajęcie.

Długi skwer na ulicy Czołgistów miał liczne ławeczki i był ulubionym miejscem spacerów okolicznych mieszkańców. Na jednym ze spacerów zaczęliśmy rzucać w górę kamienie. Kto wyżej? Jeden niezbyt wysoko rzucony kamyk spadł na głowę Krystyny. Zapamiętała mi to do dzisiejszego dnia. Ja natomiast zrozumiałem, że rzucanie kamieniami, które uchodzi wśród kolegów, jest wielce niestosowne w towarzystwie dziewczyn.

Pewnego pogodnego dnia popłynąłem ze Zbyszkiem statkiem na Hel. Plaża na Helu usiana była mniej, lub bardziej zniszczoną bronią. Szczególne zainteresowanie budziły działa przeciwlotnicze. Na ich siodelkach można było wykonywać

obrotu symulujące celowanie do nieistniejących na niebie samolotów.

W morzu niedaleko brzegu widniało kilka wraków. Popłynąłem do dużego okrętu, wystającego mocno z wody jakieś osiemset metrów od plaży. Gdy dopłynąłem do wraku, zobaczyłem jego burty mocno poszarpane pociskami. Nie zachęcały one do wejścia na pokład pochyło opadający w morze. Postanowiłem wracać. Niedaleko okrętu unosiła się na wodzie zakotwiczona boja. Zapewne miała ona sygnalizować bliską obecność wraku. Podpłynąłem do boi sądząc, że będę mógł przy niej odpocząć. Boja okazała się niewielkim kawałkiem korka z wbity wąż czerwony chorągiewka. Gdy chwyciłem za korek, począłem tonąć razem z nim. Odpoczynek odpadł. Płynę więc do brzegu.

Po paru minutach obejrzałem się, aby sprawdzić, jak daleko odpłynąłem od boi. Z pewnym zaskoczeniem zauważyłem, że boja kołysze się przy moich piętach. Mimo że byłem w wodzie zrobiło mi się ciepło. Zrozumiałem powagę sytuacji. Jeśli płynąc normalnie ku brzegowi nie zbliżałem się do niego, to najwidoczniej jakiś prąd znosił mnie ku pełnemu morzu. Gdy nie powiodła się kolejna próba płynięcia wprost do brzegu, zacząłem płynąć do niego pod dużym kątem, kierując się w głąb Zatoki Puckiej, mierząc na punkt daleko za miejską plażą. Zauważyłem, że boja pozostaje coraz dalej za mną. Fale były dość wysokie, ale bez grzywaczy. Gdy po około dwu godzinach wyszedłem na brzeg, cokolwiek się zataczałem. Morze dobrze mnie wyhuściło! Szybko wzdłuż brzegu wróciłem do Zbyszka. Mój brat był już ubrany. Widząc mnie lekko się zdziwił. „*Już szedłem do domu; myślałem, że nie wrócisz, bo się utopiłeś*”, oznajmił ze spokojem.

Podobną przygodę miałem przeżyć wiele lat później w Morzu Śródziemnym pracując w Libii.

W 1948 r. wybrałem się w czasie wakacji do Wrocławia na wystawę Ziem Odzyskanych. Tak nazywano w owym czasie ziemie na zachodzie naszego kraju.

Ojciec mój, zarówno w Chełmie, jak i w Puławach odwiedzał nas przeciętnie raz lub dwa razy w roku. Obiecywał ściągnąć nas do Warszawy, jak tylko dostanie odpowiednie mieszkanie. Sam mieszkał u jakiejś warszawianki w pobliżu Łazienek Królewskich. Jak się później okazało, miał z nią romans. Fakt ten oczywiście nie przyspieszał naszego przyjazdu do stolicy.

Gdy w 1948 r. odwiedziłem Ojca w Warszawie otrzymałem „glejt”, który upoważniał mnie do nocowania w hotelu oficerskim we Wrocławiu. Dzięki temu mogłem obejrzeć niesamowite ruiny Wrocławia i wystawę Ziem Odzyskanych. We Wrocławiu w okolicach dworca kolejowego i w śródmieściu pozostało tylko parę w miarę całych domów. Krótco przed moim przyjazdem oddano do użytku nowo wybudowany dom towarowy stosunkowo blisko dworca. Był to jeden z pierwszych budynków postawionych po wojnie we Wrocławiu.

Z Wrocławia pojechałem do Zielonej Góry. Mieszkał tam wówczas wuj, Czesław Budzyna-Dawidowski, ciocia Marysia, jego żona i rodzona siostra mego Ojca, oraz ich dziewięcioletnia córka Elżbieta. Wuj Dawidowski spędził prawie całą wojnę w jenieckim obozie oficerskim Woldenberg (obecnie Dobiegniew), podobnie jak brat Mamy, wuj Gienek.

Po tygodniu spędzonym w Zielonej Górze, zwiedzeniu miasta i przyjrzeniu się wekowaniu owoców na zimę (ciocia Marysia „odziedziczyła” po Niemcach ogromny zapas słoików

typu „weck”), wyjechałem do Szczecina. Tutaj, przy ulicy Noakowskiego 21 mieszkali wuj Gienek Mayer i ciocia Hanka. Nigdy nie mieli dzieci. Oboje byli spokojni i bardzo sympatyczni. Nigdy nie słyszałem, aby się kłócili, a chociażby sobie złośliwie przymawiali.

W Szczecinie po krótkim poznaniu miasta, a szczególnie okolic Wałów Chrobrego, jeździłem tramwajem za miasto nad Jezioro Głębokie. Tutaj dowoli pływałem, nierzadko nawet po parę godzin dziennie.

Pewnego dnia spotkałem na ulicy Rataszcuka, kolegę szkolnego z Czortkowa. Nie poznałbym go, gdyby mnie sam nie zaczepił. Wyrósł on na wielkie, toporne chłopisko. Okazało się, że został z Czortkowa zabrany na roboty do Niemiec. W 1945 r. rabując mieszkania Niemców ocalałych z sowieckiego pogromu, zabił kilka osób. Mówił o tym zupełnie beznamyślnie. Traktował swoją przestępczą działalność prawie jak misję, jakby był narzędziem dziejowej nemezis. Zaprosiłem go do kawiarenki na jakieś ciastko, porozmawialiśmy i więcej go nie widziałem. Wkrótce zresztą wyjechałem ze Szczecina.

Przed wyjazdem z miasta wybrałem się na zwiedzanie wielkiej teutońskiej wieży stojącej na nadbrzeżnym wzniesieniu. Na miejscu okazało się, że jest to okrągła budowla, podobna, ale znacznie większa od puławskiej świątyni Sybilli. Wewnątrz była jedna ogromna i bardzo wysoka sala. Wejścia do niej broniła odpowiednio wielka, kuta żelazna brama, zaopatrzona w gęstą kratownicę.

Zauważyłem, że ponad bramą, na zewnętrznym murze, znajdują się duże skoble prowadzące na dach budowli. Trzy dolne skoble były wycięte. Gdy wspiałem się po kratownicy na górną część bramy, mogłem dosięgnąć ręką pierwszego skobla.

Chwyciłem go podciągając się nieco na rękach. Jeszcze dwa razy trafiłem nogami na kratownicę, a potem już po skoblach wszedłem na dach wieży.

Widok na port i miasto wart był wysiłku. Po półgodzinnej kontemplacji rozległej panoramy czas było wracać. Tu zaczęły się trudności. Schodząc po skoblach nie mogłem dosięgnąć nogami kratownicy. Poda mną, kilkanaście metrów niżej, białą wyłożony gładzi dziedziniec. Opuszczając się na rękach ze zwisającymi nogami, z przedostatniego skobla zahaczyłem nogą o kratownicę. Opuściłem rękę na ostatni skobel, zrobiłem nogami krok w dół na kolejny otwór w kratownicy i uchwyciłem się mocno obu rękami górnej części bramy. Byłem wygięty w pałąk. Teraz opuszczając nogi na kolejne otwory kratownicy wyprostowałem się i już bez przeszkód, jak po drabinie zszedłem do stóp wieży. Usiadłem sobie pod nią czekając, aż uspokoi się mocno bijące serce i pulsujące tętno. Takie przeżycia zachowywałem oczywiście dla siebie. Gdy nawet o nich opowiadałem, to zawsze w parę lat po zdarzeniu.

Po powrocie z wakacyjnych wojaży poznałem u Jędrka Świdzkiego jego stryjeczną siostrę, Haneczkę. Miałem ją jeszcze parę razy zobaczyć w Warszawie. Hania była warszawianką.

Pożegnałem w Puławach kolegów, o których wspominałem wcześniej i parę koleżanek, z których zapamiętałem Renę Furdalównę, siostry Sycianki i Basię Śliwińską.

Pożegnałem się z ciotką Izą, wujem Karolem oraz ciotecznym rodzeństwem i pojechaliśmy z Mamą do Warszawy.

Warszawa

W Warszawie zamieszkaliśmy na ulicy Koszykowej 79A w jednym małym pokoju na najwyższym, szóstym piętrze wojskowego bloku (nr mieszkania – 105).

Jeszcze pod koniec sierpnia odwiedziłem sekretariat Gimnazjum i Liceum imienia Tadeusza Reytana. Szkoła mieściła się wówczas na ulicy Rakowieckiej. Złożyłem potrzebne papiery, łącznie z ostatnim świadectwem. Dyrektor szkoły, pan Ostrowski, mocno wydziwiał, że chce mi się zmieniać szkołę w roku maturalnym. Mimo niedawno zakończonej wojny rozumował on, i jak się później okazało, także inni nauczyciele, przedwojennymi warszawskimi kategoriami.

Owiedziłem Hanię Świderską, która ze swoją mamą mieszkała na ulicy Wilczej, blisko Koszykowej, a więc i naszego domu. Hania ze swą mamą odwiedziły moją Mamę. Jeszcze parę razy spotkałem się z Hanią w jej domu, ale gdy jej mama zaczęła mnie traktować jak przyszłego zięcia i kategorycznie wskazywać co mam robić, czego nie robić, co studiować po maturze, a czego nie, przestałem odwiedzać szanowne panie. Hanię, mimo że była miłą i dość ładną dziewczyną, zawsze traktowałem jako koleżankę, a nie przyszłą żonę.

Zaczęła się nauka. Okazało się, że chodzę wprawdzie do ostatniej klasy liceum, ale nie do drugiej licealnej, a po prostu do klasy jedenastej!

Najbliżej poznałem Władka Dąbrowskiego, który podobnie jak ja zmienił szkołę w roku maturalnym. Drugim bliżej poznanym kolegą był Janusz Kopik. Dość często bywaliśmy u siebie. Korzystałem z bryków do łaciny u Janusza i niektóre lekcje odrabiałem razem z Władkiem.

Miałem pewne kłopoty z niemieckim, bo „Frau” Selma Bukowska żądała, aby do półrocza swobodnie tłumaczyć kilkaset stron lektury. Na pierwszy okres wykpiłem się niemieckim katalogiem znaczków pocztowych Michla. Ten katalog znaczków pocztowych, liczący blisko tysiąc stron, znałem prawie na pamięć. Na półrocze to nie wystarczyło, bo jak mówiła pani Selma, teksty się powtarzały. Dostałem z niemieckiego stopień niedostateczny. Drugą dwóję dostałem z łaciny. Świadcstwo półroczne było więc fatalne.

Jeśli chodzi o łacinę można powiedzieć, że było to nieporozumienie. Pan Ostrowski, dyrektor szkoły uczący łaciny, miał zwyczaj pytania uczniów według alfabetu. Gdy alfabet kończył się w naszej klasie na literze „W”, dalej zaczął przepytować od Andrzeja Ajnenkiela. Ajnenkiel, obecnie emerytowany profesor Uniwersytetu Warszawskiego, rozpoczynał listę uczniów klasy XI-A.

Otóż pewnego dnia przed półroczem Uberna przetłumaczył zupełnie poprawnie swój akapit. Następny tłumaczył Wróblewski. I tu dyrektor Ostrowski zrobił kawał. Poprosił Wróblewskiego o przetłumaczenie następnego fragmentu. Jakoś mu poszło, choć z trudem, ale ci na literę „U” i „T” – padli. Stąd na półrocze miałem dwie dwójce, zresztą pierwsze w życiu.

Co gorsza, wykładający język polski nasz wychowawca, pan Żurawski, na pierwszy kwartał dał mi z polskiego stopień dostateczny. Wszystkie wypracowania i klasówki miałem bardzo dobre, wyjątkowo dobre. Gdy więc na półrocze otrzymałem znów stopień dostateczny z tego przedmiotu, udałem się do naszego polonisty na rozmowę.

„*Panie profesorze – mówię – czy pan profesor jest ze mnie niezadowolony?*” Profesor mówi, że wręcz przeciwnie. „*Pracuj*

tak dalej, a maturę z polskiego masz pewną". „*To dlaczego – pytam – już drugi raz mam na okres ocenę dostateczną? Przecież odpowiedzi i klasówki mam bardzo dobre i dobre.*”

Tu pan Żurawski bardzo się zdziwił: „*Mój chłopcze – powiada – przecież ja swoich uczniów kształcę od trzech lat, a ty chciałbyś umieć to wszystko, czego ja ich uczyłem?*” Tu opadły mi ręce (i szczęka), bo mój wychowawca zdeprecjonował bez zażenowania wszystkich moich poprzednich polonistów. Po tej rozmowie wiedziałem, że nie pójdę na polonistykę, chociaż od lat było to moim zamiarem.

Gdy w domu pokazałem Rodzicom półroczne stopnie, orzekli zgodnym chórem: „*Nie przejmuj się, nie zrobisz matury w tym roku, zrobisz ją w następnym*”. Nie wiem dlaczego, ale zabolalo mnie to bardziej niż złe oceny.

Po przerwie semestralnej (po półroczu) okazało się, że panią Bukowską nie tyle diabli wzięli, co – UB. Był to czas, gdy Mikołajczyk uszedł z łap „bezpieki”. Pani Selma musiała być zbliżona do jego kół, bo nie wróciła już do szkoły za moich czasów. Jej następczyni, pani Chlistunowa, była mniej sroga.

Pracowałem ostro, jak w latach poprzednich. Moi nauczyciele w Chelmie, Puławach i Warszawie odpytywali mnie kilka razy częściej niż moich kolegów. Czasem co przyjaźniejsza dusza tłumaczyła: „*Pytam cię często, bo musimy się bliżej poznać*”. W sumie wyszło mi to na dobre, ale co się naharowałem, to moje! Gdy raz sobie pofolgowałem z łaciny, to zaraz zapłaciłem za to stopniem niedostatecznym na półrocznym świadectwie.

W 1949 r. poznałem w Warszawie rodzinę Karpuków. Byli to jacyś znajomi Rodziców z Trembowli lub z Czortkowa. Pan Karpuk, jowialny sierżant sztabowy, i jego rubaszna żona

stwarzali w domu wesołą i pogodną atmosferę. Mieli dwu synów. Starszy z nich był tylko o rok młodszy ode mnie. Jadaliśmy często razem obiady w kasynie oficerskim. Stołówka mieściła się w gmachu przy Alejach Niepodległości, gdzie pracowali nasi ojcowie. Młody Karpuk namówił mnie na szkołę tańca. Zupełnie nie posiadałem tej sztuki, nie licząc podstaw, których udzielał nam na lekcjach gimnastyki w Puławach pan Wawrzekiewicz. Po paru miesiącach chodzenia na kurs tańca potrafiłem już się poruszać po parkiecie.

Nową umiejętność sprawdziłem u „Reytana” na studniówce, na którą zaprosiłem Karpuka, a szkoła zorganizowała zaproszenia dla panienek z żeńskiego gimnazjum. U nas była szkoła męska i tylko w jednej przyspieszonej klasie (dwie klasy w ciągu jednego roku) było kilka dziewcząt, w tym córka ówczesnego prezydenta kraju Bieruta, Ola Jasińska.

Na studniówce poznałem urocze dziewczę z pierwszej klasy gimnazjalnej o nazwisku Meissner. Nie była to krewna Janusza Meissnera, jednego z moich ulubionych autorów. Po zabawie, na której wypróbowałem swoje taneczne umiejętności, odprowadziłem do domu Halinkę Meissnerównę. Mieszkała na jednej z bocznych ulic biegnących na południe od ulicy Filtrowej, a więc niezbyt daleko od mojego domu na ulicy Koszykowej. Miłej znajomości nie podtrzymaliśmy, co miało, jak zawsze dotąd, swoje duże zalety.

Karpukowie z wdzięczności za studniówkę, na której młody Karpuk bawił się wyśmienicie, zaprosili mnie na kolację. Były to czasy UNRRY, amerykańskiej pomocy dla zniszczonej Europy. Karpukowie poczęstowali mnie amerykańską szynką z puszk. Szynka była naszpikowana rodzynkami i tkwiła w słodkim tłuszczu. Lubię szynkę, lubię rodzynki, ale te dwie rzeczy razem

i na ciepło nie przechodziły mi przez gardło. Skosztowałem i oznajmiłem, że jestem właśnie po obfitym późnym obiedzie i stąd brak mi apetytu. Na deser podano, również z puszki, pudding: coś w rodzaju bułki-grahamki przepuszczonej przez maszynkę do mięsa razem z suszonymi śliwkami. Grzecznie wzięłem bardzo małą porcję, zjadłem i orzekłem, że ma zupełnie zaskakujący smak, niepodobny do niczego, co dotychczas jadłem. Gospodarze przyjęli to jako pochwałę. Po powrocie do domu zjadłem normalną kolację.

Wiosną 1949 r. uczestniczyłem w międzyszkolnych zawodach gimnastyki przyrządowej. Od jesieni ćwiczyliśmy skoki przez konia i przez skrzynię. Lot ponad przyrządem z rozłożonymi szeroko rękami kończył się przewrotem na ugiętych rękach i przyjęciem następnie wyprostowanej postawy zasadniczej. „Reytan” zdobył pierwsze miejsce, a do tego przyczynili się głównie bracia Przyłęccy, no i ja.

Matura przeszła nieco nerwowo, ale z pełną życzliwością nauczycieli. Na egzaminie z języka polskiego wybrałem temat: Mickiewicz, Chopin i Słowacki jako romantycy. Ponieważ wiedziałem, że pan Żurawski nie postawi mi na świadectwie więcej niż „trójkę”, postanowiłem zażartować. Bardzo solidnie omówiłem Mickiewicza; napisałem, że Chopin pisał mazurki wzorowane na ludowych pieśniach i że nie potrafię ocenić jego twórczości z powodu braku słuchu; następnie precyzyjnie zreferowałem twórczość Słowackiego.

Gdy pan Żurawski wręczał mi świadectwo maturalne wraz z gratulacjami od wychowawcy klasy, nie potrafił nie zapytać: „*Dlaczego, mój kochany, tak mało napisałeś o Chopinie?*” Odpowiedziałem bezczelnie: „*A po co, panie profesorze, miałem*

pisać więcej?” Profesor zrozumiał. Spuścił oczy i rzekł: *„No tak, u mnie więcej niż trójkę nie mogłeś otrzymać”*.

Pomaturalne wakacje

Po ogłoszeniu wyników egzaminu maturalnego wielu kolegów uznało za stosowne „oblać” tę okazję. Ja wróciłem do domu, a wieczorem obejrzałem jakiś film w pobliskim kinie.

Janusz Kopik, z którym złożyłem papiery na Wydziale Nauk o Ziemi Uniwersytetu Warszawskiego, zaproponował mi wspólny wyjazd w góry. Chętnie przyjąłem propozycję. Pojechaliśmy jeszcze w czerwcu przez Kraków, Maków Podhalański, do Suchej Beskidzkiej. Z Suchej pieszo dotarliśmy do Zawoi. Stąd, po małym posiłku, udaliśmy się do schroniska pod Babią Górą. Setnie zmęczeni przespaliśmy noc w schronisku.

Rano zdobyliśmy szczyt Babiej Góry idąc wyraźnym szlakiem, głównie wśród świerkowego lasu. Po krótkim postoju w partii szczytowej zesliśmy do Zawoi, a stąd przygodnym autobusem do Czarnego Dunajca. Z Czarnego Dunajca przybyliśmy do Zakopanego pociągiem. Zamieszkaliśmy na ulicy Kościeliskiej, na peryferiach miasta, u górali znanych Januszowi z poprzednich lat. Parę razy spędzał on tutaj razem ze swoją rodziną wakacje.

Nocowaliśmy w stodole na sianie. Po dwu dniach zwiedzania Zakopanego i okolic wyruszyliśmy do Kuźnic. Stąd kolejką linową dostaliśmy się na Kasprowy Wierch. Ze stacji kolejki linowej zesliśmy do Hali Gąsienicowej i przenocowaliśmy w tamtejszym schronisku.

Mieliśmy w swoich plecakach chleb kupowany w miarę potrzeby, smalec zabrany z domu i liczne torebki proszku grapefruitowego, a także owcze serki miejscowej produkcji, nazywane oscypkami. Przez kilka dni taka dieta zupełnie nam odpowiadała i do dziś wspominam smak owczego sera na chlebie ze smalcem. Proszek grapefruitowy rozpuszczaliśmy we wrzątku, który w każdym schronisku dostawało się bezpłatnie. Barwa napoju mocno przypominała denaturat, ale smak był zupełnie dobry. Proszek ów stanowił jeden z bardziej cenionych przeze mnie produktów, jakie dostarczała UNRRA.

Z Hali Gąsienicowej poszliśmy ku przełęczy Zawrat. Po drodze spotkaliśmy jednego bacę z kierdelem owiec i żadnego turysty. Zawrat pokonaliśmy idąc szlakiem turystycznym. Pod przełęczą wykorzystaliśmy zainstalowane tutaj haki i łańcuchy. Z przełęczy zeszliliśmy do Doliny Pięciu Stawów, a następnie przez Świstówkę i Opalone do Morskiego Oka. Tutaj mieszkając w schronisku spędziliśmy dwie noce.

Obeszliśmy Morskie Oko i wspięliśmy się do Czarnego Stawu. Później Janusz robił zdjęcia Szczytów Mięszowieckich siedząc na dużym płacie śniegu pod Przełęczą Chłopka. W pewnym momencie zobaczyłem, że zjeżdża on po zmarzniętym śniegu na swoich „czterech literach” kurczowo trzymając w rękach aparat fotograficzny. Wbiłem „haspikiel” w zmrożony śnieg na skraju śnieżnego pola, oparłem o niego nogę i leżąc na śniegu złapałem kolegę. Na szczęście zsuwał się on po śniegu niezbyt szybko. Powiadam: „*O mało nie podarteś sobie spodni, nie mówiąc o tym, co masz pod nimi*”. „*Głupstwo spodnie, ale aparatu, aparatu byłaby szkoda*” odrzekł Janusz parafrazując Boya.

Znad Morskiego Oka wróciliśmy do Zakopanego pieszo, idąc drogą i oglądając przy niej Wodogrzmoty Mickiewicza. Znamienne, że idąc drogą parę godzin spotkaliśmy tylko jedną góralską furmankę. Na drodze, dziś jednej z najbardziej uczęszczanych szos w kraju, nie było żadnych turystów.

Po powrocie do Zakopanego Janusz został zaproszony na jakieś góralskie wesele. Ja pojechałem jeszcze raz kolejką linową na Kasprowy Wierch. Korcił mnie dumnie wznoszący się w niebo spiczasty szczyt Świnicy. Z Kasprowego przy niezłej, chociaż pochmurnej pogodzie, podążyłem wyraźnym szlakiem przez przełęcz Liliowe, ku stokowi Świnicy. Dobrze oznakowany szlak doprowadził mnie na szczyt. Pod szczytem pokonałem kilka haków-skobli. Większych trudności nie napotkałem.

Ze szczytu Świnicy dojrzałem Kasprowy i zamgloną już Halę Gąsienicową. Pomedytowałem chwilę upajając się pięknem gór. Zupełnie nagle znalazłem się we mgle. Lekki wiatr przywiał ni to mgłę, ni to chmurę, w każdym razie widoczność zmniejszyła się do paru metrów. Oczekałem jakiś czas na szczycie spowitym mgłą, ale widoczność nie poprawiała się. Zacząłem schodzić pilnie wypatrując znaków wyznaczających szlak. Po paru minutach wydało mi się, że znaki są jakby stare, wytarte i mało wyraźne. Jednakże były, więc szedłem po nich ciągle w dół. Gdy w pewnym miejscu znalazłem wystające ze skał ślady haków wiedziałem, że idę starym szlakiem.

Posuwałem się ostrożnie, czasem nawet na kolanach. W końcu znaki stały się wyraźne, ich barwy intensywne. Zrozumiałem, że w końcu znalazłem się na nowym szlaku. Nieco się rozjaśniło i bez dalszych kłopotów dotarłem do stacji kolejki linowej.

W domu Janusz objaśnił mnie, że bardzo niezdrowo jest samotnie chodzić po górach, co przyjąłem do wiadomości. W samotnym chodzeniu po górach jest jednak coś pociągającego. Zaliczyłem później samotnie wiele szczytów w Karkonoszach, a jeszcze później w Mongolii. O tym jednak opowiem dalej. Jeszcze w tym roku (1949) danym mi było obejrzeć Beskid Wysoki i Tatry.

Mama postarała się o wczasy w Rabie Wyżnej. Przyjechaliśmy tam około połowy lipca w towarzystwie Krysi i jej późniejszego męża, pana Krasuckiego. Była tutaj także sympatyczna para francuskich Żydów z córką Liną. Lina miała dwanaście lat, była bardzo ładna i udawała, że chłopcy zupełnie jej nie interesują.

W trzeciej dekadzie lipca wybraliśmy się pociągiem do Zakopanego i potem kolejką linową na Kasprowy Wierch. Dzień był pochmurny. Na Kasprowym przywitała nas zima z kilkunastocentymetrowym śniegiem i temperaturą około zera stopni. Chodzić nigdzie się nie dało. Wypiliśmy w dworcowej restauracji grzane czerwone wino z korzeniami. Było dobrze ciepłe i smakowało wybornie. Taki napój, czy raczej trunek, piłem po raz pierwszy i nigdy potem nie smakował mi tak bardzo.

Studia i praktyki terenowe

Jeszcze przed wyjazdem do Raby Wyżnej wiedziałem o przyjęciu na geologię Wydziału Nauk o Ziemi Uniwersytetu Warszawskiego. Dostał się także na studia Janusz Kopik. Kilkanaście osób nie dostało się na studia z powodu „braku miejsc”. Ci bardziej wytrwali, w tym moja przyszła żona Teresa,

zostali oficjalnie przyjęci na studia po pierwszym semestrze. Pozwolono im wcześniej, od początku roku akademickiego, uczestniczyć w wykładach, a nawet w ćwiczeniach.

Na pierwszym roku nie było przedmiotów bezpośrednio związanych z kierunkiem studiów. Były natomiast przedmioty wielce dla nich przydatne: matematyka, zoologia, botanika i chemia. Były także przedmioty mniej lub wcale nieprzydatne, jak propedeutyka filozofii, czy materializm dialektyczny, „który potrzebował wyklądać towarzysz Marek Fritzhand”.

Poza Januszem Kopikiem, którego znałem z liceum, najszybciej zaprzyjaźniłem się z Zenkiem Gajewskim i Kostkiem Karaczunem. Mieszkali oni na Bielanych i często u nich bywałem, szczególnie w okresie sesji egzaminacyjnej.



Terenia Baldyżanka, 1950

W marcu 1950 roku, notując skrzętnie słowa wykładowcy, zobaczyłem nagle w swoim zeszytcie paluszek siedzącej obok

koleżanki. „*Proszę pana – usłyszałem miły głos – to się pisze oddzielnie*”. Spojrzałem w duże ciemne oczy i dotarło do mnie, że obok mnie siedzi bardzo ładna dziewczyna. Jak się niebawem okazało, była to najładniejsza dziewczyna spośród studiujących w tym czasie geologię. Często rozmawialiśmy. Parę razy odprowadziłem dziewczynę do kolejki dojazdowej relacji Warszawa–Milanówek, która w owym czasie miała w Warszawie swój końcowy przystanek na ulicy Nowogrodzkiej, między Marszałkowską a Poznańską.

Po zakończeniu pierwszego roku studiów uznałem za stosowne przyjrzenie się geologii z bliska w terenie. W Państwowym Instytucie Geologicznym, przy ulicy Rakowieckiej 4, zawarłem krótkoterminową umowę o pracę. Instytut mieścił się w pobliżu mojego liceum imienia Tadeusza Reytana. Przechodząc po przekątnej skrzyżowanie ulicy Rakowieckiej z ulicą Wiśniową trafiało się ze szkoły do Instytutu.

Na praktykę terenową wybrałem się razem z Zenkiem Gajewskim i Januszem Kopikiem. Konstany Karaczun pracował już w tym czasie na etacie w PIG, w Zakładzie Geofizyki. Praktyką terenową kierował pan inżynier Zajączkowski, dwa razy starszy od nas i stąd wydawał się nam bardzo podeszły w latach. Nie wiedzieliśmy, że jest czuły na wdzięki niewieście dopóki nie zbeształ mnie za struganie kijaszka dla jednej z bardziej urodziwych praktykantek: „*Ja tłumaczę, gardło zrywam, a pan kijek struga dla dziewczyny!*” Popatrzyliśmy na siebie z kolegami i zgodnie mruknęliśmy: „*Aha*”. Rzecz miała się wśród uroczych Borów Tucholskich.

Na niedzielę Zenek zaprosił mnie i Janusza do swojej ciotki w Bydgoszczy. Tu poznałem urocze siedemnastoletnie dziewczę – Halinkę – cioteczną siostrę Zenka. Dziewczyna była ognista.

Już późnym wieczorem rozkosznie się całowaliśmy. Ja – trzeba przyznać – po raz pierwszy w życiu. Z Borów Tucholskich i Bydgoszczy pojechaliśmy nad morze opisywać odsłonięcia piasków i żwirów występujących w tym rejonie.

Którejś niedzieli odwiedziliśmy moją rodzinę w Gdyni. Zenek wodził oczyma za śliczną szesnastoletnią Krystyną jak zaczarowany. Bardzo przypominał mi słońce, gdy jego łysawa głowa obracała się tu i tam w miarę krzątania się po domu mojej ciotecznej siostrzyczki.

Po kilkumiesięcznej zaprawie terenowej pod okiem pana Zajączkowskiego otrzymaliśmy zadanie samodzielnego sprofilowania żwirowisk w kilku rejonach Pomorza. Ja z Zenkiem i Januszem zatrzymałem się w Kościerzynie. Sprofilowaliśmy wszystkie dostępne w okolicy dziury.

Słoneczna pogoda zachęcała, aby przedpołudnia spędzać nad wodą. Kiedyś, chlapiąc się w jeziorze Garczyn leżącym na wschód od miasta, postanowiliśmy popływać łódką. Dobrej nigdzie nie było, ale na brzegu znaleźliśmy starą łódź wypełnioną wodą deszczową. Przechyliliśmy ją i woda wypłynęła. Zepchnęliśmy wrak na wodę i popłynęliśmy. Łódź powoli napępiała się wodą, co nam wcale nie przeszkadzało. Na razie. Gdy odpłynęliśmy od brzegu około pięćdziesięciu metrów Janusz Kopik spokojnie oznajmił: „*Szanowni koledzy – ja nie umiem pływać*”. Łódź była już do połowy wypełniona wodą. Wskoczyłem do wody, Zenek za mną i poczęliśmy pchać łódkę do brzegu. Jakieś dwadzieścia metrów od brzegu łódź zatонуła.

Wzięliśmy Janusza między siebie i płynąc głównie na wznak doholowaliśmy kolegę na płytką wodę. Byliśmy znacznie bardziej zdenerwowani od uratowanego, który jak się okazało, bardziej nam ufał, niżby należało.

W parę dni później znaleźliśmy z Zenkiem nową zabawę. Z małym rozpadem przeskakivaliśmy lekko bagnisty rów. Po którymś kolejnym skoku pytamy Janusza: „*A ty nie skoczysz? Widzisz przecież jakie to proste*”. Janusz skoczył. Trafił w bagienko pod przeciwległym brzegiem. Długo mył się oraz czyścił krótkie spodnie i koszulę dziwiąc się, dlaczego nie wyszła mu „taka prosta rzecz”.

W tym czasie zacząłem palić. Palił Janusz, palił Zenek. Najpierw paliłem połówkę papierosa po obiedzie. Pod koniec praktyki paliłem już całego raz dziennie po obiedzie. Paliłem „grunwaldy”. W ciągu całych studiów nie wypalałem więcej, niż pięć papierosów dziennie. W domu nie paliłem, bo Mama zaraz by się popłakała.

Na początku drugiego roku studiów zapisano wszystkich studentów do stowarzyszenia ZSP (Związek Studentów Polskich), czy tego chcieli, czy też nie. Zawiadomiono mnie, że z ramienia tego związku mam być starostą studentów drugiego roku geologii. Trochę się wściekłem. W gronie znajomych: W.C. Kowalskiego, wówczas asystenta Katedry Geologii, Józefa Skrzypka, studenta naszego roku i Zenka Gajewskiego powiedziałem, że gdybym sam zgłosił się do pełnienia tej funkcji wypełniałbym zapewne moje obowiązki lepiej niż teraz, kiedy mnie do tego zmuszono. Rozumiałem to w ten sposób, że gdybym sam się zgłosił, czułbym ku temu szczególne predyspozycje, które pozwoliłyby mi lepiej wykonywać powierzone zadania.

Kolega Skrzypek, wówczas kandydat na członka partii (PZPR), zgłosił partyjnej egzekutywie następujące oświadczenie: „*Uberna może dobrze wykonywać powierzoną mu funkcję starosty roku, ale nie chce tej funkcji i nie będzie jej dobrze*

wykonywać". Sprawa stała na zebraniu ZMS-u (Związku Młodzieży Socjalistycznej).

Zenek Gajewski należący do związku zawiadomił mnie o zebraniu. Doradzał, aby przyjść na zebranie i wyjaśnić sprawę. Przyszedłem. W dużej sali uniwersyteckiej na ulicy Pasteura wśród wielu zebranych nie wszyscy się znali. Na „wokandzie” stała „sprawa Uberny”. Zażądano od Skrzypka zreferowania sprawy.

Po wysłuchaniu zarzutów pod moim adresem wstałem prosząc o głos. Przedstawiłem się. W prezydium nastąpiła pewna konsternacja. Nie spodziewano się tutaj mojej obecności. Przedstawiłem sprawę z mego punktu widzenia, a kończąc wystąpienie stwierdziłem, że jako syn oficera Ludowego Wojska Polskiego nawet nie myślałem o tym, aby uprawiać na uczelni sabotaż, o co mnie oskarża kolega Józef Skrzypek.

Nie było dalszej dyskusji. Podziękowano mi za wystąpienie i prezydium udało się na naradę. Po takich naradach wielu studentów w tamtych czasach usuwano ze studiów stosując różne metody. W moim przypadku nie doszło do tego. Nawet Skrzypek uznał za stosowne przeprosić mnie, a postawę swoją tłumaczył w ten sposób: „*Gdybym na ciebie nie doniósł, zrobiłby to W.C. Kowalski, a wtedy nie przyjęto by mnie do partii i miałbym kłopoty*”. W ten sposób „sprawa Uberny” przyschła i mogłem kontynuować studia. Przypuszczam jednak, że w kołach partyjnych otrzymałem etykietkę „niepewny politycznie”.

Drugi rok studiów był rokiem ciekawym, pełnym nowych, zawodowych przedmiotów: geologia dynamiczna, petrografia, mineralogia, paleobotanika i paleontologia.

W czasie studiów na naszym roku były trzy bardzo ładne dziewczyny. Mnie najbardziej podobała się Teresa Bałdyżanka,

moja przyszła żona. Prawie równie ładna była Ala Borkowska, później po mężu Mańkowska. Trzecią była Joanna Idryan, późniejsza żona Ryszarda Dadleza, naszego kolegi z roku, a dziś nie żyjącego już emerytowanego profesora w Państwowym Instytucie Geologicznym.

Któregoś dnia w czasie studiów, a był to czas adwentu, Joanna wychodząc z uczelni spytała, czy nie mam ochoty na mały spacer. Pytam, w którą stronę życzy sobie pójść. Ona na to: „*Mnie jest wszystko jedno*”. „*No to chodźmy w stronę kościoła Świętej Anny, bo ja właśnie wybieram się na rekolekcje*” – zaproponowałem. Joanna jakoś dziwnie na mnie popatrzyła i nigdy mi już nie zaproponowała wspólnego spaceru. Zresztą niedługo potem związała się z Dadlezem.

Po jednym z ćwiczeń paleobotanicznych, które prowadziła pani mgr Krystyna Korejwo (nieżyjąca już dziś, emerytowana pani profesor) odprowadzałem Teresę Bałdyżankę do kolejki Warszawa–Milanówek. Ćwiczenia miały miejsce w jednopiętrowym budynku przy bramie ogrodu botanicznego, przy Alejach Ujazdowskich. Plac na Rozdrożu, wówczas porośnięty trawą i chwastami (nie było jeszcze Trasy Łazienkowskiej), był świadkiem moich oświadczeń.

Już na początku roku akademickiego panna Bałdyżanka z dużą pretensją w głosie zapytała: „*Dlaczego mnie pan nie zawiadomił o możliwości odbycia praktyki?*” Odpowiedziałem, że była to krótkoterminowa umowa z Państwowym Instytutem Geologicznym, rzeczywiście o charakterze praktyki geologicznej, nic mnie jednak nie upoważniało do informowania o moich zamiarach. „*Ach tak*” – odrzekło dziewczę, które na pierwszym roku interesowało się bardziej starszymi kolegami, niż rówieśnikami.

Od początku drugiego roku studiów często ze sobą rozmawialiśmy, dość często odprowadzałem Teresę na przystanek kolejki, nierzadko oczekiwałem jej na przystanku i wypatrywałem w kolejkach przyjeżdżających z Milanówka. Zdarzało mi się nieraz czekać i godzinę, gdy panna Terenia nie zdążyła na umówioną kolejkę. Polubiliśmy się, a ja czułem, że kocham to dziewczę. Gdy zrozumiałem, że mogę mówić poważnie, spytałem: „*Kochasz mnie?*” „*Nie wiem*” odpowiedziała szczerze dziewczyna. „*Czy wyjdiesz za mnie?*” „*Tak*” - odpowiedziała dziewczyna bez wahania. Uznałem, że jesteśmy po słowie. Trochę mnie niepokoiła szczerą odpowiedź „nie wiem, czy cię kocham” w zestawieniu z aprobatą naszego małżeństwa. Jednakże teraz mogę to ocenić; człowiek zakochany odbiera bardzo selektywnie informacje z ust ukochanej osoby.

Odwiedziłem Milanówek. Złożyłem swoje uszanowanie rodzicom Tereni i poznałem jej czterech braci. Spotkałem się z chłodno-obojętnym przyjęciem. Poprosiłem moich rodziców, aby w moim imieniu poprosili jej rodziców o rękę Teresy. Zrobili to. Mama Teresy zaproponowała, abym zamieszkał w ich domu. Miałem otrzymać oddzielny pokój na piętrze. Doszło do tego wiosną następnego roku. Tata wrócił do mojej Mamy, więc im także było wygodniej mieć całe mieszkanie tylko dla siebie.

Okres wakacji po drugim roku studiów spędziłem na praktyce w PIG, jak i poprzednio. Teraz towarzyszyła mi Terenia. Byli też z nami przez dużą część praktyki Zenek Gajewski z późniejszą swoją żoną, Ireną Piotrowską.

Profilowaliśmy odśnieżenia piasków, żwirów i glin od Wyszkowa po Białystok. W Broku, gdzie Teresa miała ciotkę i ciotecznego brata, założyliśmy swoją bazę. Irena miała rodzinę (rodziców) w Białymstoku i tamten rejon opracowywała razem z

Zenkiem. Brok leży na wysokiej skarpie Bugu, zwanej przez miejscową ludność bindugą. Z tej skarpy zwalano niegdyś sosnowe pnie do rzeki, robiono tratwy i spławiano drewno do Wisły, a potem dalej z jej biegiem.

W pewne deszczowe, lipcowe popołudnie siedzieliśmy przy stole popijając znakomite, chłodne zsiadłe mleko. Do tego były równie dobre, obficie kraszone młode ziemniaki. Od południa miało się na burzę. Grzmiało. Nagle usłyszałem łoskot, jakby walącego się domu, a równocześnie błyskawica rozjaśniła całe wnętrze ciemnej izby. Wskoczyliśmy na zewnątrz. Brzoza rosnąca w narożniku domu była rozłupana od górnej części pnia, aż do ziemi. Z lekko osmolonej rany unosił się jeszcze niewielki dym. Wrażenie było duże.

Dom, w którym mieszkaliśmy, leżał niedaleko katolickiego cmentarza i bardzo blisko dawnego cmentarza żydowskiego. Płyty nagrobne z kirkutu zostały dawno zabrane, a przez jego teren prowadziło kilka ścieżek łączących dwie małomiasteczkowe ulice. Czasem wieczorem wracałem z Terenią tymi ścieżkami. Ścieżki w niektórych miejscach przechodziły przez obniżenia spowodowane zapadnięciem się gruntu. Gdy zauważyłem, że Teresa przemierza ten teren szybko i z pewnym niepokojem, pozwoliłem sobie zażartować cicho powarkując. Reakcja była większa niż oczekiwałem. Dziewczyna prawie się na mnie obraziła nie ukrywając strachu. A zdawałoby się, że czasy, kiedy moja Mama z towarzyszymi straszyla duchami trembowelską elitę zebraną na ruinach monasteru są bardzo odległe.

Krótko potem, penetrując samotnie arkusz Małkinia mapy 1:100 000, trafiłem do Treblinki, gdzie znajdowała się w owym czasie duża czynna żywirownia. Zanim dojechałem z Broku na

miejsce, podróżując pieszo, autobusem PKS i pociągiem, zrobiło się późne popołudnie. Żwirownia położona była w pewnej odległości od stacji kolejowej, prawie na terenie dawnego niemieckiego obozu zagłady. Nad żwirownią znajdowały się niewielkie blaszane baraki. W jednym z nich zastałem jeszcze dozorującego eksploatację. Poprosiłem o możliwość przenocowania w baraku, aby rano sprofilować wyrobisko żwirowni i wrócić do Broku. Uzyskałem zgodę i informację, że będę tu nocował samotnie, bo robotnicy zakończyli już pracę, a on sam udaje się do pobliskiej wsi.

Już o zmroku obszedłem obszerną dziurę żwirowni. W pewnym momencie z pod moich nóg zerwał się drop z głośnym łopotem skrzydeł. Poczulem gromadzącą się we krwi adrenalinę. Serce przyspieszyło swój rytm. Do baraku wróciłem już po ciemku. Zrobiłem sobie herbatę. Wrzątek dała mi własna grzałka włączona do kontaktu. Po zjedzeniu kanapki ułożyłem się do snu gasząc światło. W podświadomości przesuwaly się obrazy mordowanych tu ludzi. W zaśnięciu przeszkadzał mi żalony skrzyp blaszanych drzwi sąsiedniego baraku. Poruszał nimi słaby wiatr, a zardzewiałe zawiasy niemiłosiernie zgrzytały. Wstałem, wyszedłem ze swego baraku, znalazłem duży kamień i podparłem nim hałasujące drzwi. Gdy wróciłem na swoje legowisko szybko usnąłem w przejmującej ciszy.

Jeszcze w tym samym roku spędziłem z Terenią miesiąc w lasach Iłowa. Iłowo, to następna stacja kolejowa za Mławą, jadąc do Malborka i Gdańska. Od stacji kolejowej w Iłowie przeszliśmy niecałe dwa kilometry na południowy zachód. Weszliśmy w las wielki i stary, zamieniony obecnie w Rezerwat Leśny, Góra Dębowa.

Tu zamieszkaliśmy w leśniczówce. O ile leśniczy był sympatyczny, o tyle leśniczyna okazała się wiedźmowata i nad wyraz purytańska. Chociaż nocowałem w stodole, a Teresa w leśniczówce, sam fakt, że chłopak z dziewczyną włóczę się samotnie po lesie nastrojał leśniczynę nieprzychylnie. Być może była niewyżyta, lub miała własne nieciekawe doświadczenia – Bóg z nią. W owych czasach zdarzało się więcej takich zachowań.

W maju 1951 r. profesor Samsonowicz poprowadził wycieczkę w Góry Świętokrzyskie. Na głównej ulicy Kielc biegnącej od dworca kolejowego w górę (obecnie prawie cała ulica została zamieniona na deptak i jest niedostępna dla ruchu kołowego) starsze kobiety w chustkach na głowie spluwały z niesmakiem na widok naszych studentek w długich spodniach (a nie w długich spódnicach).

W obrębie Kielc znajdował się nieczynny kamieniołom wapieni górnio-dewońskich w pobliżu dawnego domu Czarnockich. Jan Czarnocki, dyrektor naczelny Państwowego Instytutu Geologicznego (zmarł w 1951 r.), przyjmował mnie do pracy w Instytucie w tymże roku. Otóż, we wspomnianym kamieniołomie można było w krótkim czasie (jednej do dwu godzin) znaleźć kilka dobrze zachowanych trylobitów. W kilkanaście lat później nie potrafiłem znaleźć tam już żadnej skamieniałości - zostały dokładnie wyeksploatowane z rumoszu i ścian wyrobiska. W czasie tym trwała eksploatacja wapieni dewońskich „na Kadzielni”. Obecnie jest tutaj rezerwat geologiczny, położony niemal w środku miasta.

Od pierwszego listopada 1951 r., po zakończeniu kolejnej krótkoterminowej umowy i miesięcznej przerwie w pracy, rozpocząłem w Instytucie pracę na pełnym etacie. Od tego dnia

liczy się mój staż pracy w Państwowym Instytucie Geologicznym w Warszawie, przy ulicy Rakowieckiej nr 4.

W 1952 r., pracując nadal u dr inż. Władysława Bobrowskiego, zajmowałem się inwentaryzacją i opisywaniem kolejnych złóż i wystąpień pospółek (piasek z zawartością do trzydziestu procent żwiru) i piasków. W czerwcu tego roku, w towarzystwie Zbyszka Kozydry, Janusza Majcherkiewicza i Ludomira Mączki penetrowaliśmy obydwie brzegi Pilicy, poczynając od Białobrzegów, w górę jej biegu. Często przepływaliliśmy z jednego brzegu na drugi. Pogoda była słoneczna, więc po paru dniach miałem plecy pokryte bąblami. Po powrocie do domu Terenia leczyła moje plecy okładami ze zsiadłego mleka.

Pod koniec czerwca razem z Teresą opisałem dwie żwirownie w województwie białostockim. Do Białegostoku pojechaliśmy razem z Zenkiem Gajewskim i Ireną Piotrowską. Jej rodzice mieli uroczy, niewielki dom na obrzeżu ówczesnego miasta.

Z Białegostoku zrobiliśmy służbowy wypad do Łosośny Wielkiej, leżącej na północno-północny wschód od Suwałk i do Starych Juch, położonych szesnaście kilometrów na północny zachód od Ełku, między jeziorami Ołówki i Jędzelewo. Do Białowieży pojechaliśmy już w celach turystycznych.

W lipcu opisywałem z Terenią wyrobiska na północ od Puław, po Gołąb, Żyrzyn i Końskowolę, a także na południe od Puław, po Janów Lubelski, Kazimierz Dolny i Nałęczów. Odwiedziłem w tym czasie ciotkę Izę Wnukową i jej rodzinę w Puławach oraz na leśniczówce Młynki, na północ od miasta.

W sierpniu pojechałem w Góry Świętokrzyskie. Temat mojej pracy magisterskiej brzmiał: „*Dolomity okolic Łagowa*”. Po raz drugi przeszedłem doliną Łagowicy z Łagowa do wsi Winna.

W maju tego roku z profesorem Samsonowiczem oglądaliśmy dolomity i wapień środkowego dewonu w krawędzi doliny między Łagowem, a Masłowem. Masłów był wówczas osadą złożoną z dwu gospodarstw i nieczynnego młyna. U podnóża wysokiej ściany, już w dnie doliny, były źródła zimnej, znakomitej wody. Zawsze przechodząc tamtędy czerpałem ze źródła, w którym gasili pragnienie między innymi Jan Samsonowicz i Jan Czarnocki.

Zamieszkałem u Stańczaków w Nowym Stawie, leżącym obok wsi Winna. Spałem w stodole na sianie, gdzie usłały mi łoża dwie sympatyczne córki gospodarzy. Po skartowaniu terenu wokół Winnej i dalej, aż po Łagów oraz zebraniu odpowiedniej ilości próbek do badań petrograficznych i chemicznych, byłem gotów do powrotu.

Ostatnią sobotę i niedzielę poświęciłem na odwiedzinach u Tereni, mającej niebawem zostać moją żoną. Pojechałem z Łagowa do Kielc, a stamtąd do Włoszczowej. Tu spotkałem Tereńkę z ręką na temblaku. „*Masz całą rękę?*” – spytałem. „*Tak, to tylko zakażenie krwi*” – odpowiedziała. Okazało się, że parę dni spędziła w szpitalu. Po skaleczeniu palca jeszcze w domu, podczas podróży wdało się zakażenie.

Razem pojechaliśmy do Kluczewska, gdzie Teresa mieszkała ze swoją mamą w wynajętym u gospodarzy mieszkaniu, czyli na kwaterze, jak wówczas mówiliśmy. Przyjechaliśmy już po południu, tak że okolice pokazywała mi moja dziewczyna nazajutrz. Przyglądaliśmy się mało imponującym odsłonięciom jury i kredy. Temat pracy magisterskiej Teresy brzmiał: „*Jura i kreda okolic Kluczewska*”. Był to fragment większej całości, którą wspólnie wykonywali magistranci owego czasu. Pod koniec sierpnia wróciliśmy do Milanówka.

Nastąpiły przygotowania do ślubu. Duży zgrzyt miał miejsce w kancelarii parafialnej. Proboszcz zakwestionował ważność mojej metryki. *„Dziwię się, że ma pani odwagę wyjść za człowieka, który już parokrotnie mógł brać ślub posługując się tą metryką”* – zwrócił się do Teresy „dobrodziej”. Okazało się, że metryka, nie zważając na wojnę, bombardowania, pożary, powinna była grzecznie spoczywać w lwowskim parafialnym archiwum. Nie wiem nawet, czy takie archiwum miała przyszpitalna lwowska kaplica. W każdym razie metrykę swego urodzenia widziałem w domu od najmłodszych lat.

Następnym zgrzytem było pytanie o zapłatę za ślub. *„Ofiara jest dobrowolna – od trzystu złotych w górę”*, oznajmił proboszcz. Do dziś pamiętam to „bardzo delikatne ujęcie”, zwrócone bądź co bądź do studenta: „ofiara dowolna, ale od pewnego minimum”. Zażądano przedstawienia świadectwa cywilnego zawarcia małżeństwa.

Wiele uciechy mieliśmy w Urzędzie Stanu Cywilnego miasta Milanówka. Nadęty urzędnik po prostu celebrował ceremonię zaślubin. Nie mogliśmy się powstrzymać od śmiechu. Mistrz ceremonii wydawał się zgorszony. Po podpisaniu dokumentów przeprosiłem za wesołość zwracając się do urzędnika: *„Cieszymy się tym wydarzeniem, więc proszę zrozumieć naszą radość”*. Wydawał się udobruchany.

Ślub był spokojny, w rodzinnym gronie z garstką przyjaciół. Na weselu było około czterdziestu osób ze strony Teresy i pięć osób z mojej: moi Rodzice, Zbyszek Mayer ze swoją mamą i Władek Dąbrowski, który był świadkiem na naszym ślubie.

W parę dni po ślubie pojechałem z Terenią na Dolny Śląsk. Dostaliśmy służbowe polecenie inwentaryzacji zwirowisk w

rejonie rzeki Bober (dziś nazywa się ona Bóbr) na odcinku między Lwówkiem Śląskim a Wleniem.

Zamieszkaliśmy u sympatycznych gospodarzy w Dębowym Gaju. Gospodarz był silnym, krępy męczyzną, któremu nie bardzo wystarczało zsiadłe mleko z ziemniakami, którym głównie karmiła nas gospodyni. Gospodarz, który hodował stado gołębi, co drugi lub trzeci dzień ukręcał kark parze gołąbków i gospodyni bez entuzjazmu przygotowywała potrawkę, obficie zabielałą śmietaną. Pretekstem oczywiście byli goście, czyli my.

W okolicznych sosnowych zagajnikach rosła wielka ilość maślaków. Buszowaliśmy zawzięcie wśród młodych drzew zbierając runo leśne. Dokładnie zniszczyłem wtedy dobrą, choć już nie nową, marynarkę samodziółową. Po paru grzybobraniach przypominała bardziej sweter z angory, niż samodziółowy materiał. Grzyby zbieraliśmy do mojej wojskowej peleryny. Jej barwa z szarozielonej zrobiła się brunatna od grzybowego śluzu i nie dało się tej barwy usunąć. Tylu grzybów, głównie duszonych, nie zdarzyło mi się później spożyć w tak krótkim czasie. Sporo maślaków ususzyliśmy. W tym czasie zwiedziłem z żoną Wleń, Gryfów Śląski, Bolków i Jelenią Górę. Do domu wróciliśmy w końcu września.

W październiku dostaliśmy z Terenią samochód służbowy i polecenie rejestracji większych żwirowni w województwie koszalińskim i szczecińskim. Samochód prowadził nasz rówieśnik, instytutowy kierowca, Mieczysław Nita. Ponieważ większość naszego terenu leżała w części północnej obu województw, pojechaliśmy najpierw do Gdyni. Tutaj Teresa poznała ciocię Janię Mayerową (wuj był jak zwykle na morzu) oraz ich córki Krysę i Alinę.

Z Gdyni pojechaliśmy przez Słupsk, Koszalin, Białogard i Nowogard do Szczecina. Po drodze parokrotnie nocowaliśmy w przygodnych wiejskich kwaterach. Pamiętam jak jednej nocy dostaliśmy pokój z jednym łóżkiem i jedną wąską pierzyną. Gdy leżałem na boku obok żony i ona leżała na boku, to pierzyna nas okrywała. Gdy oboje położyliśmy się na wznak, to marzły nam boki – mnie lewy, Tereni prawy. Było w tym czasie nad ranem dwa stopnie mrozu, a jedna z szyb w naszym pokoju była wybita. Okno było pojedyncze.

Ciocia Hanka Mayerowa i wuj Gienek bardzo serdecznie nas przyjęli. W ciągu jednego dnia zwiedziliśmy Szczecin. Ciocia z uznaniem patrzyła, jak Terenia wygotowuje chusteczki do nosa (oboje byliśmy nieco zakatarzeni). Pod koniec października byliśmy już w domu pisząc sprawozdania i rozliczając się z delegacji.

W następnym roku badałem złoża pospółki (piasek ze żwirem) na obszarze arkusza Małkinia, mapy w skali 1:100 000. Miałem pewne kłopoty ze znalezieniem kwatery. Chodziłem wówczas w krótkich spodenkach, bo czerwcowe słońce mocno przygrzewało. Najczęściej gospodynie pytane o możliwość wynajęcia kwatery odmawiały mówiąc, że mają małe dzieci. W końcu, pod wieczór, powiadam jednej zapytanej, że trudno, zniosę obecność małych dzieci. I dopiero ta kobieta wytłumaczyła mi, że bynajmniej nie chodzi o moją wygodę, ale o zgorzenie, jakie niosą moje krótkie spodnie mieszkającym z nią dzieciom. Skierowała mnie do sołtysa wsi Kutyski. Dopiero sołtys poinformował mnie o famie krążącej we wsi na mój temat. Mówiono: „...albo uciekł z domu wariatów, albo jest to szpieg amerykański zrzucony ze spadochronem”, a wszystko za sprawą moich krótkich harcerskich spodenek i plecaka. Dogadałem się z

sołtysem, zamieszkałem u niego i zamówiłem kwaterę dla siebie i Teresy na lipiec. Od tego czasu w czasie wyjazdów służbowych miałem na sobie zawsze długie spodnie, niezależnie od pory roku i temperatury powietrza.

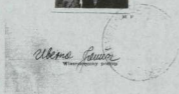
W lipcu do Kutysiek przyjechałem z Terenią, jej mamą (moją teściową) i Wojtkiem. Wojtek miał około dziesięciu lat i był synem Krysi – od niedawna żony Piotra Bałdygi, najstarszego brata mojej żony. Ojciec Wojtka – Kinowski – zostawił żonę i nie interesował się dzieckiem.

Pobyty w tych okolicach wspominam z dużą sympatią. Jeszcze w czerwcu z Kutysiek poszedłem do Sterdyni, gdzie mieszkał mój przyjaciel z Trembowli, Waldek Kamiński. Znalazłem jego dom z licznymi kwiatami w ogródku. Waldek kończył pedagogikę na Uniwersytecie Warszawskim i został tam asystentem. Rozmowa nie kleiła się. Kilka lat przerwy w naszej znajomości i życie w odmiennych środowiskach nie sprzyjało odnowieniu przyjaźni. Jeszcze tego samego dnia powędrowałem do Kosowa Lackiego położonego w odległości dziesięciu kilometrów od Sterdyni idąc prawie dokładnie na zachód. Już nigdy potem nie spotkałem przyjaciela z lat dziecińczych.

W pogodny dzień lipca chodziłem z Terenią po okolicznych wsiach profilując miejsca, z których wydobywano pospółkę. Poza Kosowem Lackim odwiedziliśmy Telaki oraz Mały i Duży Trzciniec. W deszczowe dni wiele czasu spędzaliśmy w stodole na sianie, gdzie czytałem Tereni, Wojtkowi i teściowej „Ogniem i mieczem”. Czasami, gdy mocno zaschło mi w gardle, wyręczała mnie mama Tereni. Wojtek słuchał z szeroko otwartymi oczami i był w tym czasie niewiarygodnie spokojny.

Sierpień 1953 r. poświęciłem na pisanie pracy magisterskiej. Wykorzystałem w niej wyniki analiz chemicznych i opisy

szlifów mikroskopowych z próbek pobranych ubiegłego roku w okolicach Winnej, Nowego Stawu, Masłowa i Łągowa.



Wzrost 170-40 CM, Waga 50, Ciężar ciała 120, Ciężar serca 120g
 Ciężar mózgu 130-150g - Wzrost Dzieci 120cm - P-1-120cm

UNIwersyTET WARSZAWSKI

№ 29

DYPLOM

Ob. Ułamek Janusz-Gilfred, Maria
 urodzony dnia 6 kwietnia 1928
 w Łwowie

po odbyciu studiów wyższych
 w latach 1945/50-1952/53
 specjalizując się w zakresie
 Geologii i Paleontologii
 otrzymał w dniu 30 października 1953 r.

DYPLOM UROZCZEDA STUDIÓW WYŻSZYCH
 stopnia

na Wydziale Geologii
 UNIwersyTETU WARSZAWSKIEGO

i uzyskał tytuł magistra
 geologii i paleontologii

Warszawa, dnia 23 listopada 1953 r.

Dyplom magisterski Autora

We wrześniu 1953 roku obroniłem pracę magisterską pod tytułem „*Dolomity środkowo-dewońskie okolic Łągowa*”. Obronę prowadzili pani profesor Turnau-Morawska i pan profesor Edward Passendorfer. Nie było żadnych szaleństw z okazji otrzymania dyplomu, jak nie było ich po maturze. W najbliższą niedzielę pojechaliliśmy z Terenią do Podkowy Leśnej, gdzie w „naszej cukierce” pałaszowaliśmy znakomite podkowieńskie kremówki, zwane i dzisiaj pół-bezami.

W tym okresie (1953 r.) przyjęto do pracy w naszym Instytucie nowego pracownika, inżyniera Mariana Sałdana. Polecono mi napisać recenzję jego pracy dyplomowej (inżynierskiej).

Na początku 1954 r. zostałem przeniesiony do Sekcji Fosforytów, gdzie zatrudniono także M. Sałdana. Już od roku prowadzono poszukiwania fosforytów wzdłuż wychodni albu, które wcześniej na mapach geologicznych nakreślili J. Samsonowicz i W. Pożaryski. Otrzymałem zadanie udokumentowania złoża fosforytów w rejonie Gościeradowa, który leży między Annopolem nad Wisłą a Kraśnikiem.

Pracę przy profilowaniu szybiku kilkumetrowej głębokości rozpocząłem na początku lutego. Zima owego roku była mroźna. Pewnego dnia, w czasie ważenia urobku z warstwy fosforytonośnej na dużej gospodarskiej wadze zauważyłem, że Marian ma oszronione i prawie białe ucho wystające spod czapki. Gdy zwróciłem na to uwagę Sałdanowi, dotknął delikatnie swoje ucho. Okazało się, że jest twarde, zamrożone. Odesłałem go zaraz do domu w Wólce Gościeradowskiej. Miał do pokonania około dwóch kilometrów.

Po zakończeniu prac przy szybiku wróciłem na kwatere późnym popołudniem. Marian już „odtajał”. Przez wiele miesięcy złażyła mu skóra z ucha. Kiepsko też słyszał na to ucho, ale lekarze nie wiązali tego faktu z odmrożeniem. Powiedzieli mu natomiast, że gdyby przy szybiku usiłował natrzeć sobie ucho (co nieraz zimą praktykowaliśmy), to zapewne odłamałby je sobie i pozostałoby mu tylko jedno!

Wiosną po stopnieniu śniegów rozpocząłem płytkimi wierceniami (do 20-tu metrów głębokości) poszukiwanie wychodni fosforytonośnego albu wokół utworów górnio-jurajskich, stwierdzonych w jednym z szybików. Otworów było wiele, często po kilka w jednej linii.

W maju do Gościeradowa przyjechały na miesięczną praktykę trzy uczennice Technikum Geologicznego we Wrocławiu. Podobała mi się szczególnie jedna z nich – Danusia.

Latem samotnie zwiedzałem okolicę przeznaczoną do badań. Część terenu porastał stary bór sosnowo - świerkowy. Pewnego dnia idąc leśnym duktem zauważyłem lochę dzika. Zwierz stał na przesiece, a za maciorą przez odsłonięte miejsce przebiegało kilka warchlaków. Matka z małymi była nie dalej, niż dwadzieścia metrów. Spojrzałem przytomnie wokół, zastanawiając się, na które drzewo można by uciec w przypadku szarży dzika. Nie doszło do tego. Po przejściu drobiazgu w poprzek leśnego duktu maciora majestatycznie podążyła za dziećmi.

Innym razem, idąc dość szeroką, ale nieuczęszczaną leśną drogą, spotkałem na jej skraju gniazdo żmij. Kilkanaście węży kłębiło się na niewielkiej przestrzeni pokrytej nielicznymi gałęziami. Mimo woli pomyślałem o skutkach przypadkowego wdepnięcia w to gadzie zbiorowisko.

W tym czasie przyjechała do pracy w Gościeradowie inżynier Halina Szymańska z naszego zakładu, którym kierowała mgr Maria Lazarek – kobieta nieufna. Halina miała sprawdzać, jak przebiegają wykonywane przeze mnie prace. Kilka razy pojechaliśmy w sobotnie i niedzielne popołudnia autobusem do Annapola nad Wisłą, gdzie można było jeszcze w tym czasie popływać bez szkody dla zdrowia.

Spotkałem tu na plaży Witolda Cezarego Kowalskiego, który wypoczywał w gronie licznych studentek Wydziału Geologii Uniwersytetu Warszawskiego. Był on w owym czasie asystentem w tym zakładzie. Wspominałem o nim wcześniej w

związku ze sprawą Skrzypka, a ściślej „ze sprawą Uberny” wywołaną przez Skrzypka.

W 1955 roku zestawiałem dokumentację geologiczną złoża fosforytów rejonu Kraśnik-Gościeradów, ale już od wiosny prowadziłem prace w rejonie Hża –Chwałowice. Nadzorowałem tu i profilowałem liczne szybiki i wiercenia.

Mieszkałem u dyrektora szkoły rolniczej, pana Henryka Pokutyńskiego. Nierzadko towarzyszył mi w terenie Marian Saldan. Dyrektor Pokutyński zapraszał nas zwykle w soboty na smaczne kolacje. Ponieważ nie chciał brać od nas pieniędzy za mieszkanie, dokładaliśmy się do owych kolacji jedną lub dwoma butelkami alkoholu. Doszło do tego, że po paru miesiącach zacząłem z niecierpliwością wyczekiwać soboty! Był to sygnał, że należało się pożegnać z miłym dyrektorem i jego wygodnym mieszkaniem.

Ponieważ roboty wiertnicze i szybikowe przesuwały się ku zachodowi, przenieśliśmy się do jednego z gospodarstw we wsi Krzyżanowice. Dyrektor rozumiał taką potrzebę, ale gorąco zapraszał na dalsze sobotnie spotkania. Odwiedziłem go jeszcze parę razy, a kiedyś nawet ze swoją żoną. Potem nie kontynuowałem spotkań, o co nawet pan Pokutyński miał pretensję.

Na ostatnim spotkaniu u dyrektora Pokutyńskiego miało miejsce dziwne zdarzenie. W rozmowie o różnych rzeczach temat dotknął wróżenia, a szczególnie wróżenia z ręki. W żartobliwej atmosferze pan dyrektor oglądając ręce pań przepowiadał długie życie, miłosne przygody i inne zdarzenia. Gdy popatrzył na dłonie Teresy, spoważniał i szybko zmienił temat. Na pytanie żony o długość życia odpowiedział, że ma ona przed sobą jeszcze wiele lat.

Po chwili znalazłem się sam na sam z wroźem. Spytałem wprost, dlaczego tak gwałtownie przerwał rozmowę z Teresą. Mężczyzna nieco zafrasowany stwierdził, że „linia życia” na dłoni Teresy nagle się urywa, co odczytuje on jako jakąś katastrofę: odejście w wyniku wypadku lub groźnej choroby. Nie potrafił powiedzieć, jak szybko to nastąpi. Przypuszczał, że będzie to miało miejsce po wielu latach. Prosił, aby nie mówić o tym Teresie. Nie powiedziałem, ale rozmowa ta jakoś dziwnie zapadła mi w pamięci.

Latem 1955 roku dokumentując szybiki i wiercenia w okolicy Krzyżanowic zaczął mi się rysować temat pracy doktorskiej. Poszedłem do mego bezpośredniego dyrektora – inżyniera Eugeniusza Wutzena. W tym mniej więcej czasie inż. E. Wutzen zmienił nazwisko na Wutcen i zrobił studia magisterskie na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie.

Ponieważ wielu notabli owych czasów nie miało pełnych studiów z tytułem magistra, zorganizowano dla nich studia zaoczne na AGH. Takie „studia”, o których pracownicy Instytutu mówili z przymrużeniem oka, ukończył Prezes Centralnego Urzędu Geologii, Mieczysław Mrozowski, Edward Ciuk, Eugeniusz Wutcen i paru innych.

W tym samym mniej więcej czasie stopnie magisterskie normalną drogą robili szeregowi pracownicy Instytutu, jak technik, potem inżynier, a wreszcie magister Stanisław Przeniosło, który później zrobił doktorat i został docentem, pracował w Gabonie i na Haiti, a na początku lat osiemdziesiątych był zastępcą dyrektora naczelnego Instytutu w miejsce E. Wutcena. Przed nim uzyskał stopień magistra, a następnie zrobił doktorat Marian Sałdan. On także, przed Przeniosłą, był zastępcą dyrektora naczelnego Instytutu do spraw surowcowych.

Po tej dygresji wracam do sprawy mego doktoratu. E. Wutcen, człowiek dość toporny, pielęgnujący swoje nienajlepsze zdrowie, postawił sprawę jasno: mogę robić doktorat z „Gościeradowa”, pozostała część, aż po Krogulczą koło Radomia, zarezerwowana będzie dla pani Marii Lazarek, mojej kierowniczkii Sekcji Fosforytów.

Nie bardzo przejmując się planami pana dyrektora wystąpiłem do Rady Naukowej Instytutu Geologicznego o otwarcie przewodu doktorskiego pod tytułem: „Rozwój serii fosforytonośnej północnego obrzeżenia Gór Świętokrzyskich na tle zagadnień sedimentologicznych albu i cenomanu”. Pani Lazarek oświadczyła mi, że na razie nie myśli o doktoracie.

Przyjęto do pracy w Instytucie (który już od pewnego czasu nazywał się Instytutem Geologicznym, a nie Państwowym Instytutem Geologicznym) mgr Danutę Putrym, której pani Lazarek poleciła wykonanie dwu dokumentacji: „Chwałowice” i „Krzyżanowice”, do których wykonałem już 90% robót terenowych.

Dla mnie pozostała do zrobienia nowa dokumentacja „Walentynów”, a później ogromna dokumentacja „Łączany”, którą robiłem z inż. Edwardem Błockim. Z Błockim w tym czasie zaprzyjaźniłem się. Sam Błocki zrobił dokumentację fosforytów dla „Dąbrówki Warszawskiej”. Następną ku zachodowi dokumentację wykonała ze swoim zespołem pani M. Lazarek (od pewnego czasu nazywająca się po mężu Kiepuska).

W ten sposób poznałem ponad stukilometrowy pas wychodni utworów fosforytonośnych, od Salomina i Gościeradowa, przez Chałupki, po rejon Iłży-Radomia i dalej, aż do Przytyka, gdzie postawiłem ostatnie ku północnemu zachodowi wiercenia. Tak oto miałem cały, bardzo bogaty materiał, który po

wykonaniu analiz i prac uzupełniających, znakomicie nadawał się na pracę doktorską.

W latach 1955-1956 często pracowałem w terenie z Edkiem Błockim. Okresowo pomagali mu pracownicy Warszawskiego Przedsiębiorstwa Geologicznego: Teresa Horn, jej brat Tomasz Horn i niekiedy praktykanci.

Jedną z praktykantek była Halinka Zarychta. W pewnym momencie nieco zawróciła mi w głowie. Była szczupła, bardzo zgrabna, czarnooka i czarnowłosa, no i miała osiemnaście lat. W czasie terenowego pożegnania umówiłem się z nią za dwa tygodnie na Starym Mieście w Warszawie. Piszę o tym, bo wiązało się to z pewnymi zabawnymi komplikacjami.

Umówionej soboty pieszo poszedłem z Dąbrówki Warszawskiej do przystanku kolejowego Helenów. Przyszedłem, jak zwykle, nieco przed czasem. Na miejscu dowiedziałem się, że mój pociąg nie zatrzymuje się w Helenowie. Przystaje on natomiast w Jastrzębiu (cztery kilometry w stronę Kielc) oraz w Rożkach (pięć kilometrów w stronę Radomia). Miałem w zapasie niecałe czterdzieści minut. Szybkim marszem, trochę podbiegając, podążyłem do stacji kolejowej Jastrząb. W połowie drogi maszynista pociągu towarowego, jadącego w kierunku Jastrzębia, zwolnił i dał znak, abym wskoczył do pociągu. Widział jak biegłem i zrozumiał, że spieszę na stację do pociągu.

Wskoczyłem. Po paru minutach mocno spocony dotarłem do kas biletowych. Kupiłem bilet, zdążyłem umyć twarz w przydworcowej studni, i właśnie na stacji zatrzymał się pociąg relacji Kielce-Warszawa. Wsiadłem. Po dwu godzinach byłem w stolicy.

U mojej Mamy na ulicy Płockiej wykąpałem się, zmieniłem koszulę oraz ubranie i parę minut przed umówionym czasem

zająłem miejsce przy kawiarnianym stoliku. Wypiłem kawę, a Halinki nie widać. Wypiłem drugą kawę, a Halinki dalej nie ma. Wypiłem trzecią kawę i po godzinnym czekaniu pojechałem do domu.

Po paru dniach dziewczyna dzwoni i pyta, kiedy wyszedłem z kawiarni? Mówię, że o siódmej (umówiliśmy się na szóstą). Na to Halinka: „Wyobraź sobie, że byłam tam dziesięć minut po siódmej, ale cię nie zastałam”.

Halinka, o czym wiedziałem już wcześniej, przy swoich znakomitych walorach fizycznych była niepoprawną kłamczuchą. Kłamała nie z potrzeby, a dla przyjemności – powiedziałbym, że dla sportu. Tłumaczyła jeszcze długo, dlaczego się spóźniła, ale widziałem, że niewiele ma to wspólnego z prawdą. Na propozycję, abym do niej zadzwonił, gdy zechcę ją zobaczyć, odpowiedziałem w jej stylu, że dobrze. Nigdy już do Halinki nie zadzwoniłem i nigdy też jej nie spotkałem.

Rok 1955 był dla Tereni, mojej żony, rokiem ochronnym. Cięża nie była łatwa. Podobno bywa tak przy pierwszym dziecku. Wszystkie badania wskazywały na prawidłowy rozwój nowego życia. Starłem się, aby miała wszystko, co niezbędne w tym stanie.

Pod koniec października odwiozłem ją do warszawskiego szpitala położniczego na ulicy Dobrej. Tutaj, 31-go października 1955 roku, przyszedł na świat nasz syn, któremu daliśmy na imię Janusz. Na Chrzcie świętym, który miał miejsce kilka tygodni później otrzymał drugie imię, Andrzej.



Terenia, 1956 r.

Wracając do robót terenowych, muszę zauważyć, że w trakcie prac na obszarze od Chwałowic do Zalesic wizytowali mnie pracownicy Sekcji Fosforytów: rzadko pani Lazarek-Kiepuska i Ala Mańkowska z Jadwigą Pawłowską, a dość często Mariusz Dziubek, który krótko potem zmienił nazwisko na Dębowiecki.

Marian Saldan od 1957 r. prowadził Sekcję Pierwiastków Promieniotwórczych i kokietował mnie od pewnego czasu, zachęcając do zajęcia się w jego sekcji problemami poszukiwań

złóż uranu w Polsce. Ponieważ dokumentowanie większych złóż fosforytów się kończyło, przeszedłem do Sekcji Saldana. Przez cały 1958 rok kończyłem jeszcze zestawianie dokumentacji złoża fosforytów Iłża – Łączany, a równocześnie opracowywałem zagadnienia uranowe.

Pierwszą pracą terenową w nowym Zakładzie Złóż Surowców Promieniotwórczych było przeprowadzenie poszukiwań pierwiastków promieniotwórczych w rejonie Wądroża Wielkiego. Ta gminna miejscowość leży piętnaście kilometrów na południowy wschód od Legnicy.

Zamieszkałem z naszym technikiem, Tadeuszem Wątkowskim, we wsi Wądroże Wielkie u sympatycznych gospodarzy cieszących się trójką dzieci. Ich ojciec lubił dość często popijać, a mama miała duże potrzeby emocjonalne. Profilowaliśmy miejscowy kamieniołom granitu badając jego promieniotwórczość, a także dużą żyłę młecznego kwarcu. Żyła odślaniała się nieopodal wsi na dość znacznej długości. W tej okolicy po raz pierwszy w życiu oglądałem w niektórych kawałkach kwarcu bardzo drobne, ale widoczne gołym okiem blaszki złota.

Pewnego dnia zaskoczyła nas w polu potężna burza z ulewym deszczem. W oka mgnieniu przemokliśmy. Nie dało się pracować w strugach deszczu. Grzmoty rozlegały się raz po raz, a granatowe od chmur niebo przecinały częste błyskawice. Podążaliśmy spiesznym marszem, czasem podbiegając, w kierunku domu, gdzie oczekiwał nas instytutowy kierowca. Miał on zabrać nas do Warszawy razem z naszymi próbkami skał.

W całym naszym domu zastaliśmy okna pozastłaniane kocami, a w pokoju, który zajmowaliśmy, zupełnie ciemnym, paliła się świeca. W kącie na klęczkach trząsł się nasz około czterdziestoletni kierowca. Gdy na ten widok wybuchliśmy

śmiechem trzydziestolatków, poczuł się głęboko urażony mówiąc, że z burzą nie ma żartów.

W czasie tego wyjazdu korzystając z samochodu zwiedziliśmy Legnicę, Środę Śląską, Jawor oraz Strzegom z kamieniołomami granitu w jego okolicy. W kamieniołomach zalanych wodą żyły raki. Mieliśmy kije nieco rozcięte na jednym końcu. Poprzecznie do rozcięcia zakładaliśmy zapalkę. Gdy tak uzbrojonym kijem uderzaliśmy zapalką w grzbiet raka spoczywającego w płytkiej i przejrzystej wodzie kamieniołomu, zapalka odskakiwała, a kij zaciskał się na grzbiecie skorupiaka pozwalając go łatwo wyjąć i umieścić w przygotowanym wiadrze z wodą. Pod wieczór mieliśmy wyborną rakową kolację.

Następnego roku (1959) pojechałem z Jurkiem Kanasiewiczem w okolice Zgorzelca. Jurek skończył studia geologiczne w Świerdłowsku na Uralu, ale urodził się we Lwowie. Nic więc dziwnego, że szybko zaprzyjaźniliśmy się. Był miłym, wesołym towarzyszem prac terenowych i związanych z nimi przygód.

Pracowałem z Jurkiem przez pierwsze dziesięć dni czerwca w okolicach wsi Ręczyn i Niedów, usytuowanych w pobliżu rzeki Witka. Niedów leży nad samą rzeką – prawym dopływem Nysy Łużyckiej i w pobliżu linii kolejowej Bogatynia–Zgorzelec.

Sprofilowaliśmy wszystkie okoliczne wychodnie i kamieniołomy granitu, wiele kamieniołomów i odsłoneń bazaltów, a także świeży wykop pod zaporę wodną na rzece Witce, niecały kilometr na północny zachód od kościoła w Niedowie. Podczas prac na tym terenie zwiedziłem z Jurkiem Kanasiewiczem Zgorzelec, Bogatynię i powstającą kopalnię węgla brunatnego w Turoszowie.

Po powrocie opracowaliśmy pobrane próbki i przedstawiliśmy zgrabną pracę „Geologia i poszukiwania pierwiastków promieniotwórczych w rejonie zapory wodnej na rzece Witce”.

Podróż szkoleniowa do Związku Radzieckiego (na Ukrainę)

Niedługo potem otworzyła się szansa na przeżycie większej przygody na stepach Ukrainy. Zanim więc wrócę do zakończenia prac w rejonie Zgorzelca-Bogatyni w 1960 r., opowiem o swojej pierwszej podróży do Związku Radzieckiego.

Na początku września 1959 r. wyjechałem z grupą polskich geologów pociągiem relacji Warszawa–Moskwa. Na dworcu żegnała mnie Terenia i moi Rodzice. Towarzyszami podróży i uczestnikami praktyki związanej z poznaniem metod poszukiwań złóż uranowych byli: Marian Banaś (nieżyjący już emerytowany profesor Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie) oraz koledzy z Kowar, gdzie prosperowały w owym czasie Zakłady Górnicze R-1, poszukujące i eksploatujące złoża uranu na Dolnym Śląsku. Byli to:

- Władysław Adamski, krótko wcześniej pracujący w warszawskim Instytucie Geologicznym,
- Władysław Masłowski, geolog z Kowar,
- Stanisław Barabaś, geofizyk z tegoż przedsiębiorstwa.

Do Moskwy przyjechaliśmy wieczorem. Odebrał nas z Dworca Białoruskiego przedstawiciel zapraszającej instytucji, czyli Moskiewskiego Wszechzwiązkowego Instytutu Złóż Mineralnych. Zawiózł całą grupę do hotelu „Ukraina”, podobnego do warszawskiego Pałacu Kultury, od 1955 r. zdobiącego śródmieście Warszawy.

Byliśmy głodni. O tej porze, około godziny 22-giej moskiewskiego czasu, na naszym piętrze mogliśmy dostać tylko chleb i parówki. Do parówek, nazywanych przez Rosjan sosiski, dostaliśmy musztardę. Umoczyłem kawałek parówki w musztardzie i włożyłem do ust. Poczulem „piekło w gębie”. Z trudem przełknąłem, a łzy pociekły mi z oczu. Następny kawałek parówki spożyłem z bardzo niewielką ilością musztardy (nie na darmo po rosyjsku zwanej „gorczica”) i wówczas mogłem poczuć zarówno smak parówki, jak i wcale niezły musztardy.

Następnego dnia w Instytucie przedstawiono nam program pobytu. Dwa tygodnie spędzimy w Moskwie słuchając wykładów i poznając nowe na owe czasy metody poszukiwań złóż rud uranu. Potem przewidziano podróż pociągiem do Kijowa i wizytację wystąpień uranowych na Ukrainie.

Pierwszego dnia w czasie prezentacji w Instytucie opiekująca się nami pani doktor zauważyła: „*Kolego Masłowski, wy macie typowo rosyjskie nazwisko*”. Władek grzecznie się zdziwił mówiąc, że dotychczas uważał je za typowo polskie. „*Ale skądże – nie dawała za wygraną pani doktor – zwróćcie uwagę, że siedzący obok nasz pracownik Dobrowolskij ma podobne, czysto rosyjskie nazwisko!*” Trudno było dyskutować. Adamskiego nie przekonywano o typowości jego nazwiska, jako, że Adam nie jest popularnym imieniem w Rosji.

Dwa tygodnie w Moskwie, w tym dwie niedziele, pozwoliły poznać nieco rosyjską stolicę. Popołudniami jeździliśmy często moskiewskim metrem zwiedzając jego bogato zdobione, podziemne stacje. Zwiedziliśmy nie tylko śródmieście z Kremlm i Placem Czerwonym oraz ulicą Gorkiego, ale także peryferie stolicy, od Uniwersytetu Łomonosowa na Łużnikach, po Ostankino i pawilony Wystawy Rolniczej. W jednym z

pawilonów Wystawy obejrzałem bardzo udane kopie najpiękniejszych brylantów świata, wykonane z kryształu górskiego.

Pierwszego sobotniego popołudnia zorganizowano dla nas zwiedzanie zabudowań kremlowskich i wnętrza muzeum zwanego „*Orużejnjaja Pałata*”. Dwie kolejne niedziele poświęciłem głównie na zwiedzanie Galerii Trietiakowskiej, bogatej w zbiory malarstwa rosyjskiego i obcego. Szczególne wrażenie zrobił na mnie niedawno namalowany obraz: łąka, kilka drzew, pasące się krowy i leżący na ziemi pastuszek. Obraz urzekał wdziękiem spokojnej wsi. Podchodzę bliżej i widzę krew wypływającą cienką stróżką z głowy dziecka i plamkę samolotu na niebie. Pod obrazem skromny napis: „*Przeleciał faszysta*” (proletieł faszist).

Skończył się pobyt w Moskwie. Wieczornym pociągiem wyjeżdżamy do Kijowa. Wygodne sypialne wagony pozwalają wypocząć, aby z zapalem podziwiać stolicę Ukrainy. Zamieszkaliśmy w hotelu na Kreszczatiku – sławnej i jednej z głównych ulic Kijowa. Ulica przecina dużą część miasta, biegnąc prostopadle do Dniepru. Na wysokiej prawobrzeżnej skarpie wznosi się monumentalny pomnik Włodzimierza Wielkiego – założyciela Rusi Kijowskiej. Jeszcze tego samego dnia zwiedziliśmy starożytny i czynny obecnie klasztor, zwany Peczerska Ławra.

Następnego dnia rano płyniemy pasażerskim statkiem w dół rzeki. Dniepr przypominał miejscami Wisłę przy średnim stanie wody. Nasz opiekun, Roman Nikołajewicz, geolog kończący studia przed rewolucją w Petersburgu, zapewniał z nutą żalu w głosie: „*Dniepr, to naprawdę wielka rzeka, ale w tym roku wyjątkowej suszy niesie bardzo niewiele wody*”. Rzeczywiście był to jeden z tych okresów, o których się mawia „lato stulecia”.

Podróż odbywała się bez zakłóceń; sternik wybierał dla żeglugi znane sobie, głębsze części nurtu. Niekiedy statek płynął bardzo blisko brzegu i późnym popołudniem obejrzelśmy wychodzącą z wody nagą Ukrainkę o „wenusowatej” budowie ciała.

Nocą minęliśmy Dniepropietrowsk i rano na lewym brzegu ujrzeliśmy Zaporoże, dziś całkiem spore miasto. Nieco dalej na południe wpływamy na „Morze Kachowskie”, jak Rosjanie nazywają ten duży zbiornik retencyjny na Dnieprze. Pokonując 500 kilometrów przybiliśmy do przystani w Nikopolu na prawym brzegu zbiornika, w miejscu, gdzie wyrzusza się on najbardziej ku północy. Z Nikopola mały autobus zabrał nas do Krzywego Rogu, około 85 kilometrów na północny zachód. Zamieszkaliśmy w dość porządnym hotelu robotniczym, posiadającym wspólne umywalnie, prysznice i stołówkę.

Basen krzyworoski tworzy synklinę szerokości 6 do 10 kilometrów oraz długości do 150 kilometrów, rozciągającą się z północnego wschodu ku południowemu zachodowi. Jest to zagłębienie rud żelaza, eksploatowane w centralnej części basenu na długości czterdziestu kilometrów. Rudom żelaza towarzyszą miejscami mineralizacja innymi metalami. Seria kruszonośna związana jest głównie z twardymi skałami: łupkami krystalicznymi, dżespilitami, kwarcytami i żelazistymi rogowcami.

Rudy żelaza eksploatowane są głębokimi odkrywkowymi kopalniami o głębokości przekraczającej nawet sto metrów. W dnie jednego takiego głębokiego wyrobiska obserwowałem prawie czysty, dość porowaty hematyt o metalicznym połysku, nazywany przez miejscowych górników martytem. W okolicach Krzywego Rogu w ciągu kilku dni zwiedziliśmy większość kopalń rud żelaza.

Z Krzywego Rogu zrobiliśmy wyprawę do Dewładowa, położonego kilkadziesiąt kilometrów na północny wschód, mniej więcej w połowie drogi do Dniepropietrowska. W Dewładowie eksploatowano rudy niklu związane z perydotytami. W rejonie tym spotyka się utwory węgliste wieku trzeciorzędowego, występujące w pobliżu koryt paleorzek. Niosą one ze sobą mineralizację uranową.

Jadąc szeroką, czarną i gładką szosą byliśmy zaskoczeni, że „asfalt”, po którym jedziemy, daje masę kurzu kłębiącego się za naszym autobusem. Widzimy, że nawierzchnia drogi jest pokryta siecią drobnych spękań, które jednak zupełnie nie wpływały na komfort jazdy, ale też nie uzasadniały masy wzniesanego pyłu.

W pewnym momencie spadł rzęsy, letni deszcz. Po paru kilometrach samochód, nie wzniesając już kurzu, zatrzymał się przed niezbyt stromym wzniesieniem, na które prowadziła droga. Wyszliśmy z samochodu i ze zdziwieniem zauważyliśmy, że „asfalt” pokrywa warstwa błota. Kierowca poinformował, że dopóki błoto nie przeschnie musimy postać na poboczu. Okazuje się, że przez wiele kilometrów jechaliśmy po wyrównanej, bardzo gładkiej drodze, której nawierzchnię stanowił urodzajny ukraiński czarnoziem! Przy suchej pogodzie do złudzenia przypominał on asfalt. Kłopoty zaczynały się dopiero po większym deszczu.

Czekając na przeschnięcie nawierzchni zauważyliśmy, że na poboczu drogi rośnie młoda pszenica. Kierowca wyjaśnił, że samochody ciężarowe przewożące w pakach zboże „luzem” rozsypują je wzdłuż drogi. Na poboczu drogi pokrytym dobrą glebą ziarna po deszczach kiełkowały, pod koniec lata dając życie młodej pszenicy.

Po tygodniowym pobycie w Krzywym Rogu i jego dalszych okolicach dostaliśmy na dalszą drogę śpiwory i łózka polowe.

Ostatniego dnia rano, goląc się we wspólnej umywalni, zostałem zagadnięty przez miejscowego górnika nieco starszego ode mnie. Okazało się, że jest Ukraińcem z Wołynia. Pracował w różnych częściach Związku Radzieckiego, a teraz wydobywa rudę żelazną w Krzywym Rogu. Znamienne było to, że wspominał z dużym sentymentem czasy przedwojenne, a mnie traktował prawie jak odnalezionego krewniaka. Po krótkiej rozmowie pożegnałem go.

Niebawem wyruszyliśmy w kierunku Krymu. Jechaliśmy przez Apostołowo i Smigieriwkę, w kierunku Chersonu. Po drodze mijaliśmy niekiedy małe wzgórza – kurhany. W pobliżu jednego takiego stepowego, ale obecnie już polnego kurhanu, rozbiliśmy nocny biwak. Zachodzące słońce uwypuklało ciemny kształt starożytnej mogiły. Nasz opiekun opowiadał, że kurhany dawnych ukraińskich stepów są pod ochroną i opiekują się nimi archeolodzy. Niektóre uznane za bardzo stare (może jeszcze scytyjskie?) bywają przez nich rozkopywane i badane. Usypialiśmy w atmosferze dawnego ukraińskiego stepu, choć obecnie „dzikie pola” ustąpiły miejsca polom uprawnym.

Rano jedziemy dalej. Omijamy Chersoń od wschodu i kierujemy się na Pieriekop – wąski pas lądu łączący Ukrainę z Krymem. Po obu stronach szosy widać morze: od zachodu Morze Czarne (Zatoka Karkinicka), od wschodu płytka zatoka Morza Azowskiego.

Z obu stron, daleko w morze ciągną się błota pokryte białą solą. Wchodzimy ostrożnie na przybrzeżne solniska. Na pokrytej solą powierzchni wyraźnie odciskają się ślady naszych stóp. Po

chwili podchodzą one wodą. Po kilkudziesięciu metrach wracamy. Iść dalej, to niepotrzebne ryzyko.

Jedziemy przez Dżankoj do Symferopola i dalej do Bachczysaraju. Po drodze mijamy liczne winnice odbijające intensywną zielenią od szarobrunatnych pól. Szczególne wrażenie robią szczyty wzgórz niżej porośnięte winnicami: prawie każde z nich zamienione jest w mały cmentarz żołnierzy poległych na tym terenie w czasie drugiej wojny światowej. Mijamy dziesiątki takich „pamiątek” ostatniej wojny.

W Bachczysaraju zwiedzamy zabudowania pałacu chanów krymskich. Teren pałacu otacza wysoki mur, na którym transparenty chwala socjalizm i miejscowych przodowników pracy. Roman Nikołajewicz z niesmakiem patrzy na te „ozdoby” i mówi z wyrzutem: „Że też miejscowe władze nie potrafią uszanować historycznych pamiątek!” Za murem oglądamy pomieszczenia pałacu, harem i słynną fontannę, aktualnie remontowaną.

Idziemy na muzułmański cmentarz porośnięty nielicznymi, ale bardzo starym drzewami. Pokazują nam (znalazł się przewodnik) grób polskiej szlachcianki, żony jednego z chanów. Polka, choć była branką wziętą w jasyr, stała się umiłowaną żoną chana, dała mu wielu synów i podobno wiele dobrego uczyniła dla jeńców, szczególnie tych pochodzących z ludów słowiańskich.

Rzecz charakterystyczna: ani w Bachczysaraju, ani na całym Krymie nie spotkaliśmy żadnego skośnookiego człowieka, którego można by uznać za potomka krymskich Tatarów. Stalin bardzo dokładnie przesiedlił całą mongoloidalną populację miejscowej ludności na stepy Kazachstanu, Uzbekistanu i Turkmenii.

Z Bachczysaraju jedziemy w stronę Sewastopola. Przed miastem (już wówczas miastem zamkniętym) kierujemy się ku południowemu wschodowi nieco gorszą, bo węższą szosą do miejscowości Orlinoje i dalej już szosą nadmorską do Ałupki. Tutaj kwaterujemy w domu wczasowym i mamy kilkudniowy turystyczny wypoczynek. Plaża w Ałupce jest kamienista, pokryta dużymi otoczkami. Na plaży porozkładano wiele drewnianych leżanek. Pozwalają one opalać się tym, którzy nie lubią, gdy im kamienie, choćby i zaokrąglone, wchodzą w żebra.

Słyszac obcą mowę, podeszła do nas na plaży ładna i sympatyczna kobieta. Pyta skąd jesteśmy. Mówimy, że z Polski. Ona jest Leningradu i pyta, czy my także przyjechaliśmy tu na wczasy. Mówimy, że jesteśmy tutaj służbowo. W toku rozmowy opowiada nam, jak odwiedzała Łotwę i Estonię, gdzie ludzie są bardzo nieżyczliwi. Kiedy się ich pyta (oczywiście w języku rosyjskim) o kierunek ku jakiemuś miejscu, prawie zawsze pokazują kierunek przeciwny. Było jasne, że miejscowi z tamtych republik, mówiąc łagodnie, nie przepadają za Rosjanami i chętnie robią im psikusy.

W czasie plażowania podziwialiśmy duże fale z hukiem rozbijające się o nadbrzeżne skały. Przyjechaliśmy do Ałupki w czasie sztormu. W miejscu, gdzie szosę od morza odgradzał tylko gruby mur i wąski pas nadbrzeżnych głazów, potężne fale wlewały się na asfalt hamując ruch kołowy. Jeszcze nazajutrz na szosie widniały duże kałuże wody rozpryskiwane przez przejeżdżające samochody.

Plaża w Ałupce oddzielona jest od szosy tylko płotem z drucianej siatki. Na całej plaży wszyscy chodzą oczywiście w kąpielówkach. Gdy jeden z plażowiczów, Rosjanin, wyszedł do ulicznego kiosku po gazetę, zatrzymał go milicjant. Kiosk stał

tuż przy siatce oddzielającej plażę od ulicy. Milicjant zasalutował i grzecznie oznajmił, że bez gimnastorki (podkoszulek) lub koszuli nie wolno wychodzić na ulicę. Upomniany człowiek grzecznie wrócił na plażę, założył koszulę, po czym wyszedł na ulicę do kiosku, kupił prasę i wrócił na plażę. Uderzyło nas przede wszystkim postępowanie obywatela – z milicjantem nie ma dyskusji.

Na plaży ostrzegano, aby kąpiący się w morzu nie wypływali poza obszar leżący naprzeciw kąpieliska. Fale były ogromne, chociaż bez grzywaczy. Na maszcie powiewała czarna chorągiew. Mimo to w wodzie było trochę kąpiących się ludzi.

Popłynąłem kilkaset metrów prostopadle do brzegu. Uczucie było wspaniałe, gdy parometrowe fale unosiły człowieka wysoko w górę, a później opuszczały w dół tak, że ze wszystkich stron widział on tylko szmaragdową toń. Wracając do brzegu starałem się unosić na fali, która nadbiegając z tyłu, od morza, mogła nieostrożnego przytopić. Gdy dopływałem do brzegu, nie ustrzegłem się potężnego grzywacza. Fala na płyciźnie załamywała się tworząc spienione grzywacze. Zostałem całkowicie „zmarnotrawiony”. Przetoczyło mnie kilkakrotnie po dnie i zostałem „wypluty” na skraj plaży. Spodenki kąpielowe miałem na wysokości kostek u nóg. Dobrze, że woda nie zdarła mi ich zupełnie!

Nie obyło się bez tragedii. Jeden z pływaków wracając ku brzegowi nie trafił na plażę, a na otaczające ją przybrzeżne głazowiska, o które rozbiły go fale. Gdy zorganizowano pomoc i wyciągnięto ciało, już nie żył.

Po paru dniach spędzonych na plaży w Ałupce i na stokach Aj-Petri (1233 m n.p.m.), góry wznoszącej się tuż za Ałupką, zaproponowano nam wycieczkę do Jałty i Ałusztzy.

Po bardzo pobieżnym zwiedzeniu Jałty (12 kilometrów na północny wschód od Ałupki) jedziemy dalej. Po drodze mijamy „Jaskółcze gniazdo”. Śliczny pałacyk wybudowany w XIX wieku na samej krawędzi wysokiego, stromego brzegu morskiego. Z dala widzimy znane uzdrowisko Gurzuf i nie mniej znany obóz pionierów, Artek. Po pokonaniu około trzydziestu kilometrów od Jałty, jadąc ciągle niezwykle malowniczą nadmorską szosą, stajemy w Ałuszcie – dość dużym turystyczno-wczasowym mieście.

Niecałe 15 kilometrów (w linii prostej) od Ałuszy wznosi się Czatyrdah (1525 m npm), jeden z dwu najwyższych szczytów Gór Krymskich. Leży on na terenie Krymskiego Parku Narodowego, który przecina niewielka rzeka Alma i który posiada interesujący ogród botaniczny. Tu podziwialiśmy ogromne rośliny wodne o liściach ponad metrowej średnicy, które spoczywały wprost na wodzie. Był to lotos egipski (*Nyphanea lotus*). Nieopodal, pierwszy raz w życiu widziałem całe gaje bambusów żółtych, a także zielonych i czarnych. Po zwiedzeniu ogrodu i całego parku wracamy tą samą drogą do naszego domu w Ałupce.

Po wypoczynku nad Czarnym Morzem jedziemy do Donbasu. Przejeżdżamy przez Góry Krymskie, stopy akernańskie, na których „nikt nie wołał” i przez przesmyk Pierekopu kierując się na wschód, do miejscowości Żdanow. Tutaj nocujemy na plaży Morza Azowskiego. Późnym popołudniem kąpiemy się w tym morzu. O pływaniu nie ma mowy. Idę prostopadle do brzegu i po kilkuset metrach ciągle mam wodę poniżej pasa. Woda jest przejrzysta, zupełnie czysta, a dno piaszczyste. Tu po raz pierwszy zobaczyłem pływające w płytkiej wodzie rybki zwane konikami morskimi (*Hippocampus hippocampus*).

Ze Żdanowa nazajutrz pojechaliśmy siedemdziesiąt kilometrów prawie dokładnie na północ, w rejon miejscowości Nowotroick i Olginka. Zakwaterowano nas w miejscowym hotelu robotniczym. Obejrzelśmy utwory karbońskie „zarażone” promieniotwórczością uranową i po południu zostaliśmy zaproszeni na połów ryb w niewielkim miejscowym zalewie oraz na zupełną rybą zwaną ucha, ugotowaną na ognisku.

Kilku miejscowych geologów zarzucało sieć w płytkiej wodzie sięgającej mi najwyżej do piersi. Złowiono kilka niewielkich płoci. Zupa nie zachwycała smakiem, jako że poza cebulą i solą innych przypraw nie było. Tym niemniej było wesoło, bo zmarzniętych rybaków rozgrzewano alkoholem, którego nie żalowali sobie także ci, którzy w wodzie nie zmoknęli.

Następnego dnia pojechaliśmy dalej na północ, w okolice większej miejscowości, Izjum (rodzynka, rodzynki). W miejscowości Krasnyj Oskoł, nad rzeką Oskoł, wizytowaliśmy brygadę wiertniczą i paru geologów profilujących wiercenia tego rejonu. We wsi znajdował się duży magazyn rdzeni wiertniczych. W ciągu dwu godzin obejrzelśmy i sprofilowaliśmy radiometrycznie interesujące nas partie utworów węglistych ze śladami uranu.

Po południu zaproszono nas do miejscowej stołówki na obiad. Dania były liczne i obficie podlewane alkoholem. Jak zwykle w takich razach niektórzy przeholowali. „*Nie nam mierzyć się na tym polu z Rosjanami*”, jak później mawialiśmy. Obiad trwał chyba dłużej, niż nasza praca nad rdzeniami wiertniczymi.

W trakcie swobodnej towarzyskiej rozmowy geolodzy tego rejonu wyrażali poważny żal nie tyle do pracowników

Radzieckiej Akademii Nauk, ile do organizacji badań i panujących przepisów. Okazuje się, że miejscowi geolodzy rzetelnie opracowują wszystkie rdzenie wiertnicze i tworzą dokumentację geologiczną, czyli „otczoty”. Nie mają jednak prawa do publikacji opracowanych przez siebie materiałów.

Po jakimś czasie od złożenia dokumentacji przyjeżdżają tu pracownicy Akademii Nauk, profilują i opróbowują kilka otworów, wykorzystują wykonane przez miejscowych geologów opracowania i wydają drukiem mądre prace naukowe, rzadko, albo wcale, nie cytując nazwisk miejscowych geologów.

Po obiedzie, nieco chwiejnym krokiem udajemy się do autobusu, który ma nas zawieść na kwatery w ciągnącej się parę kilometrów wsi, nieposiadającej ciągłej zabudowy. Mija kilkanaście minut odkąd siedzimy w autobusie, a ciągle nie ma naszego geofizyka, Barabasia. Przychodzi po pół godziny. Ruszamy. W autobusie rozchodzi się paskudna woń wiejskiej ubikacji. Na szczęście droga jest krótka. Podjeżdżamy pod ładny jednorodzinny domek, obecnie pusty. Wnosimy do domu nasze bagaże: łóżka, śpiwory i rzeczy osobiste. Barabaś od razu ucieka nad pobliską rzekę Oskoł prosząc Masłowskiego, aby mu tam przyniósł czyste spodnie i bieliznę.

Okazuje się, że młody człowiek po obiedzie poszedł do miejscowej, stojącej na uboczu, dość zdezelowanej wygódki. Ponieważ nie było tu zbyt czysto, nie usiadł na desce, tylko kucnął. Kiedy się wiercił na desce, jedna noga głęboko ugrzęzła mu w fekaliach, które całkowicie wypełniały dół kloaczny. Jeszcze długo potem dokuczaliśmy niefortunnemu biesiadnikowi.

Następny dzień spędziliśmy nad północnym Dońcem. Plaży tu nie było. Trawa i rzadkie liściaste drzewa dochodziły nad samą rzekę. Woda wzięta w dłonie była zupełnie przezroczysta,

bezbarwna. Patrząc na rzekę wydawała się ona zupełnie zielona za sprawą roślinności po obu jej stronach. Przeciwnie do naszego brzeg Dońca wznosił się stromo i także porośnięty był liściastym lasem. Tam, gdzie miękkie kredowe skały tworzyły pionowe ściany, dawni mnisi wycięli w nich wiele komnat. Teraz puste, zapraszają turystów do zwiedzania.

Dzień później wracamy do „domu”. Dojeżdżamy do szosy charkowskiej. Po dwunastu kilometrach przejeżdżamy przez Izjum. Około południa jesteśmy w Charkowie. Roman Nikołajewicz ostrzega przed złodziejami i bandytami. „*Trzymajcie się razem – mówi - i pilnujcie kieszeni*”. W tym mieście spotyka się świat przestępczy całego Związku Radzieckiego pod pretekstem poszukiwania pracy, a milicja, jak mało gdzie w ZSSR, nie daje sobie rady.

Przejechaliśmy po Ukrainie około 1700 kilometrów. Z Charkowa do Moskwy lecimy samolotem. Przed wieczorem jesteśmy w hotelu. Tym razem jest to hotel „Pekin”. Po dwu dniach wracamy pociągiem do kraju. Tym razem naprawdę do domu.

Dalsze poszukiwania koncentracji uranowych

Rozpoczynając znowu pracę w kraju, jeszcze w tym samym roku biorę udział w badaniach pstręgo piaskowca w otworze Pasłek IG-1. Pracuję przy tym zagadnieniu z Jurkiem Kanasiewiczem, Marianem Sałdanem i Hubertem Sylwestrzakiem. Wykorzystuję świeżo zdobyte wiadomości. Przydają się informacje i praktyka z terenów Ukrainy. Karotaż gamma wykonuje tu poznany w ZSRR magister Stanisław Barabaś.

W 1960 roku prowadzę badania promieniotwórczości naturalnej razem z Jurkiem Kanasiewiczem w rejonie Radomierzyc i Turowszowa. Byłem tutaj już wcześniej. Kopalnia węgla brunatnego w Turowszowie powiększa się i pogłębia. Wiele otworów wiertniczych, które badamy radiometrem scyntylicyjnym, przebija cały trzeciorzęd i dochodzi do krystalicznego podłoża, które budują tutaj skały typu granitów.



*Grupa kolegów; Instytut Geologiczny, 1960 r.
Od lewej: autor, Marian Saldan i Jerzy Kanasiewicz*

Kilka dni mieszkamy w Bogatyni, w hotelu robotniczym. Badamy cały teren kopalni, a później rdzenie wiertnicze i odslonięcia między Zgorzelcem, Zawidowem i Ręczynem. Obecnie na rzece Witce powstała zapora wodna i Jezioro Witka.

W Osieku Łużyckim badamy odwiercony właśnie otwór „Radomierzyce”.

W następnym roku (1961) pracuję z Jurkiem Kanasiewiczem w niecce północno-sudeckiej. Mieszkamy w dość porządnym hotelu robotniczym w Bolesławcu. Mamy zbadać przejawy mineralizacji uranowej w miedzionośnych wapieniach i marglach kopalni „Lena”. Trzy lata później, w 1964 r., to samo zagadnienie będę kontynuował w kopalniach miedzi „Nowy Kościół”, powtórnie w „Lenie” oraz w „Konradzie II”.

W kolejnym roku (1962) prowadzę podobne badania w Górach Świętokrzyskich opracowując mapę metalogeniczną uranu dla tego rejonu.

Już w 1961 r. Marian Sałdan opracowuje pod tym kątem Górnośląskie Zagłębie Węglowe. Towarzyszę mu w badaniach kopalni „Bierut”, „Chwałowice” i „Rydułtowy”. W kopalni „Rydułtowy” zdarzył się w tym czasie tragiczny wypadek. Ośmiu górników zginęło w jednym z kopalnianych chodników. Właśnie kondukt pogrzebowy, poprzedzany orkiestrą i z ośmiu trumnami na ramionach towarzyszy-górników, opuszczał dziedziniec kopalni, gdy zjeżdżałem z Marianem pod ziemię. Prowadziliśmy badania w starych, omszałych pleśnią wyrobiskach. Wróciliśmy na górę bez przygód.

W tym czasie zwiedziłem pobieżnie nie tylko Katowice, ale i Chorzów, Świętochłowice, Zabrze, Rudę Śląską i Gliwice, a także Rybnik i Rydułtowy.

W tym samym roku towarzyszyłem Marianowi Sałdanowi przy rejestracji punktów mineralizacji uranowej w Karpatach. Podwyższone zawartości tego pierwiastka występują w łupkach menilitowych. Badamy rejony od Gorlic, przez Duklę, Krosno, Rymanów, po Sanok i Tyrawę Solną. Następnie posuwamy się

dalej na południowy wschód, przez Zagórz i Lesko (w rejonie Leska znaleźliśmy interesujące punkty w Tarnawie, Bezmiechowej i Monastercu), po Ustrzyki Dolne i Ustrzyki Górne. Wracamy przez Wetlinę, Cisnę i Baligród do Leska.

Z Leska pojechaliśmy do Przemyśla. Kilka kilometrów na północny wschód od Przemyśla leży Żurawica, rodzinna wieś Mariana. Tutaj poznałem jego rodziców i żonę Bronisławę, nazywaną przez rodziców i męża, Broną.

W latach sześćdziesiątych Sałdanowie odwiedzali nas (Terenię i mnie) w Milanówku, a my ich na Nowym Mieście w Warszawie, za barbakanem, na ulicy Mostowej.

W latach 1960–1961 intensywnie pisałem swoją pracę doktorską, wykonując niekiedy na własny koszt niektóre badania, potrzebne moim zdaniem do jej opublikowania.

Od 1956 r. zdawałem nieodzowne egzaminy. Pierwszym była historia filozofii, którym to mianem określano egzamin z marksizmu historycznego. Zdałem na piątkę.

Następne trzy egzaminy to:

- Stratygrafia kredy i jury, u profesora Władysława Pożaryskiego.
- Wybrane działy petrografii skał osadowych, u profesora Marii Turnau-Morawskiej.
- Wybrane działy mineralogii, u profesora Antoniego Łaszkiwicza.

Tylko profesor A. Łaszkiwicz postawił mi „czwórkę”. Pozostałe egzaminy zdałem bardzo dobrze.

O profesorze Łaszkiwiczu, jako uniwersyteckim egzaminatorze, krążyły legendy. Przytoczę jedną. „*Proszę pana, co to są granaty?*” – pyta profesor studenta. „*Nie wiem, panie profesorze*” – odpowiada student. „*No to niech mi pan powie, w jakim*

układzie krystalizują granaty?” „Nie wiem” – odpowiada student. „A więc następne pytanie.” – mówi profesor – „Proszę mi powiedzieć, w jakich barwach występują granaty?” „Nie wiem, panie profesorze” – odpowiada zdesperowany student. „To może mi pan powie, jakie płaszczyzny łupliwości posiada granat?” „Nie wiem” – odpowiada student. „No to niech mi pan na koniec powie, jaką twardością w skali Mohsa charakteryzują się granaty?” „Nie wiem, panie profesorze” – mówi student bliski załamania. „Tak więc” – stwierdza profesor – „nie odpowiedział pan na pięć pytań. Proszę przyjść na następny egzamin po wakacjach.”

Taki był profesor Łaskiewicz. Ja wprawdzie odpowiedziałem na wiele jego pytań, ale gdy pytając mnie o termometry geologiczne, po wymienieniu przeze mnie trzech, profesor pyta dalej: „Jakie jeszcze pan zna?” Zacząłem się pocić. Niebawem się koncentrując, przypomniałem sobie i mówię: „Siarka krystalizuje w układzie rombowym, a w innej temperaturze w układzie jednoskośnym.”

„Właśnie tak” – mówi profesor i pyta: „A jakie jeszcze zna pan termometry geologiczne?” Szanowna komisja egzaminacyjna chowa głowy prawie pod stół, ja się pocę, a profesor czeka. Po dłuższej chwili mego milczenia profesor triumfalnie oznajmia: „Sole proszę pana, jeszcze sole!” Dostałem „czwórkę”, ale czułem się tak, jakbym oblał egzamin.

14 czerwca 1961 roku wyznaczono obronę pracy doktor-
skiej Jerzemu Boruckiemu (jeszcze do niedawna nazywał się on Burek) i mnie. Co najmniej od miesiąca Borucki przypominał mi, abym nie zapomniał w czasie obrony podziękować komu trzeba, a więc promotorowi, recenzentom, szanownej komisji i komu tam wypada.



INSTYTUT GEOLOGICZNY
W WARSZAWIE

DYPLOM

ORIWATU

mgr Janusz Alfred Maria Uberna

RODZIMY DZIA KROKUSI 200 9 201 170000

NA PODSTAWIE PRZEJAZDOWEJ ROZPRAWY DOKTORSKIEJ POD TYTUŁEM

ROZWOJU SERII FOSFORYTOWSNEJ POJNOCNIEGO
OBREZZENIA COBI ŚWIECIBRZASNEBI NA TLE ZAGA-
DNIEBI SEDYMENTOLOGICZNYCH KLBI I CENOMANI

I ZŁOZYWYBI I CENOMANI DOKTORSKIEBI ORBI PO OCENYWBI W WYKONNYBI
WARUNKOB, DOKTOROWYBI PRZEJAZDOWYBI STAWY I DZIA I ZŁOZYWYBI I CENOMANI
D KROKUSI W WARSZAWIE DZI 21 LUTEGO 1962 R. I STAWY I CENOMANI I CENOMANI
WARSZAWA I DZIA I CENOMANI I CENOMANI I CENOMANI I CENOMANI

STOPIENI NAUKOWY

DOKTORA NAUK PRZYRODNICZYCH

NADANY UCZWALA RZDY NAUKOWYBI
INSTYTUTBI GEOLOGICZNEGO
W WARSZAWIE

Z DZI 11 CZERWCA 1962 R. ZATWIERDZONY PRZEB
BIEMBI SWIADZACZCINA PRACOWNOB NA DZI
UCZWALA Z DZI 21 LUTEGO 1962 R.

WARSZAWA, DZI 23 LUTEGO 1962 R.

REKOBWRIS
FACOWBI NAUKOWEBI

PROMOTOB

Janusz Uberna



PRZEWODNICZACY
RZDY NAUKOWEBI

Ch. Krawczyk

NR 810

Dyplom doktorski Autora

Po obronie, czyli po wygłoszeniu referatu (główne tezy pracy) i odpowiedzi na pytania komisji i publiczności, podziękowałem pięknie komu trzeba i słucham wystąpienia Boruckiego, który bronił się jako drugi. Ten przedstawił tezy swego doktoratu mocno zdenerwowany, jeszcze bardziej zdenerwowany odpowiadał na pytania i szybko wrócił na miejsce. Komisja udała się na naradę oceniającą nasze doktoraty.

„Jurek” – mówię Boruckiemu – „Dlaczego nie podziękowałeś komu trzeba i nie trzeba?” „O!” - zawołał – „zupełnie zapomniałem.” Podziękował dopiero, gdy komisja ogłosiła wyniki, czyli werdykt Rady Naukowej i jej członkowie składali nam gratulacje. Oznajmiono też wszem wobec, że decyzja Rady Naukowej Instytutu Geologicznego musi być zatwierdzona przez Komisję Kwalifikacyjną Pracowników Nauki, co nastąpiło dnia 23-go lutego 1962 roku.

W lipcu 1961 r. pojechałem z Jurkiem Boruckim nad zaporowe Jezioro Złotnickie, leżące między Leśną, a Gryfowem Śląskim. Tutaj Włodek Zajączkowski prowadził swoje badania promieniotwórczości naturalnej granitów izerskich i ich przedpola. Pomagaliśmy mu w pracach około miesiąca. Przy okazji zwiedziliśmy okolicę i pławiliśmy się w wodach jeziora.

Któregoś dnia płynąc kajakiem wypłoszyliśmy kilka kąpiących się nago dziewczyn. Już ukryte w krzakach wołały, że takie stare chłopy zalecają się do dziewczyn. Mieliśmy wówczas po 32 lata!

Pewnego dnia na północnym brzegu jeziora zobaczyłem w wodzie kurze wnętrzości i trochę piór. Zatrzymaliśmy kajak przy kamienistym brzegu. Po chwili, usuwając ruchomy głaz w skalnej ścianie, znalazłem świeżo wypatroszoną kurę. Mieliśmy doskonały rosół!

W Radoniowie, na północny zachód od Gryfowa Śląskiego, znajdowała się w owym czasie dość duża kopalnia uranu. Stąd nasze zainteresowanie rejonem. Złaziliśmy cały obszar Sudetów od Kowar – Karpacza – Szklarskiej Poręby na południu, po Bolków – Wojcieszów – Wleń – Gryfów Śląski i Leśną na północy oraz Świeradów Zdrój na zachodzie.

Wiek dojrzały

Rok 1962 był również rokiem prac terenowych. Pracowałem w Górach Świętokrzyskich po obu stronach Pasma Łysogórskiego. Jeszcze raz odwiedziłem Stańczaków w Nowym Stawie, a z Winnej przywiozłem pomoc domową dla Tereni. Dziewczyna, nieco ułomna, pomagała w domu tylko przez parę miesięcy. Wróciła do siebie nie znosząc rozłąki, mimo że w Winnej miała bardzo ubogie warunki życia.

W tym czasie schodziłem pieszo znaczną część Gór Świętokrzyskich: Bodzentyn – Wzdół Rządowy – Wzdół Kamieniec. Na południe od Łysogór badałem obszar: Łągów (okolice Nieskurzowa-Piórkowa) - Nowa Słupia – Rudki, a nadto szedłem grzbietem Łysogórskim ze Świętej Katarzyny do Nowej Słupi i wreszcie badałem okolice Opatowa.

W sierpniu 1962 roku opracowałem dla powiatu Gryfice informację o powierzchniowo występujących surowcach mineralnych. Była to część obszaru opracowywanego pod redakcją Tereni – mojej żony. Zjeździłem, głównie rowerem, obszar od Kołobrzegu, po Kamień Pomorski, zwiedzając Pobierowo, Trzęsacz, Niechorze, Mrzeżyno, a na południe od brzegu morskiego – Trzebiatów i Gryfice.

Któregoś dnia jadąc wzdłuż linii kolejki wąskotorowej Trzebiatów – Niechorze zauważyłem, że zbliża się burza. Bardzo ciemne chmury płynęły od zachodu nisko nad ziemią. Błyskawice dość regularnie oświetlały puste pola. Widziałem i słyszałem, że pioruny uderzają coraz bliżej. Zaczął zbliżać się rzęsy deszcz. Należało poszukać schronienia.

Jestem wśród pól na północny zachód od wsi Rogozino. Tor biegnie niewysokim nasypem. Po jednej jego stronie ciągnie

się niegłęboki rów. Mam do wyboru: albo przykucnąć w rowie, albo schronić się w mijanej właśnie przy torach blaszanej budce. Obok budki z falistej blachy rośnie trzymetrowa jarzębina. Wchodzę do budki. Jeszcze nie zmokłem. Na ubraniu są zaledwie pierwsze krople deszczu. Po chwili zaczyna się ulewa. Grzmoty rozlegają się coraz głośniej. Pioruny uderzają coraz bliżej. Podświadomie wyliczam, że któryś następny powinien uderzyć w budkę. Postawiłem rower w środku, opierając się o jego ramę. Po niedługim czasie słyszę potworny trzask. Piorun uderzył w stojącą przy budce jarzębinę ogałającą ją w znacznym stopniu z gałęzi i liści. Burza przeszła. Jadę na swoją kwaterę w Niechorzu.

Po paru dniach jadę pociągiem z Niechorza w kierunku Gryfowa. Na stacji Paprotno pociąg nie dojeżdża do peronów, ale zatrzymuje się tuż przed przejazdem kolejowym, zamkniętym biało-czerwonym drągiem. Wagon, w którym siedzę, stoi przy samym szlabanie. Widzę, jak szosą jedzie z dużą szybkością ciężarowy samochód oznakowany czerwonymi chorągiewkami, co oznacza, że wiezie on materiały wybuchowe. Ciężarówka ciągnie za sobą działą. Kierowca hamuje, ale po deszczu jezdnia jest śliska. Widzę wyraźnie wykrzywioną twarz kierowcy żołnierza. Wskutek hamowania ciężarówka obraca się w prawo do kierunku jazdy, a naciskająca ją armata ześlizguje się w lewo. Całe to żelastwo naszpikowane amunicją zatrzymuje się dosłownie kilkadziesiąt centymetrów przed zamkniętym przejazdem kolejowym. Oddycham z ulgą. Kierowca ciężarówki zapewne jest w szoku, bo długo nie opuszcza kabiny. Po paru minutach nasz pociąg rusza zostawiając na szosie chwilową barykadę.

Rok 1962 zakończyłem pracą dotyczącą perspektyw występowania uranu w Górach Świętokrzyskich. Stanowiła ona

szkielet pod ewentualną poważną i obszerną pracą naukową. W tamtych czasach już samo słowo „uran” było tajne, więc mała była szansa na opublikowanie zebranych materiałów.

Późną jesienią 1962 r. pojechałem z grupą geofizyków Przedsiębiorstwa Poszukiwań Geofizycznych do Bartoszyc, aby zbadać przejawy mineralizacji uranowej w głębokim otworze wiertniczym usytuowanym niedaleko od tej miejscowości.

Zrobię tu małą dygresję: Przedsiębiorstwo, o którym piszę, zainstalowało na swoim gmachu przy ulicy Jagiellońskiej duży neon z nazwą instytucji. Sam widziałem, że dość często gasła litera „P” w słowie „Poszukiwań”. Ponieważ brzmiało to brzydko, choć jak niektórzy twierdzili – prawdziwie, zmieniono (podobno właśnie dlatego) nazwę na Przedsiębiorstwo Badań Geofizycznych.

Do Bartoszyc jechaliśmy furgonetką bez okien, więc żadnych widoków nie dało się obserwować. Geofizycy zaproponowali brydża. *„Ja nie gram o pieniądze”* – rzekłem. Po długich targach koledzy geofizycy stwierdzili, że gra w brydża nie o pieniądze, to nie jest gra – rozegraliśmy kilka robrów. Choć stawki były niskie, ograłem geofizyków niemiłosiernie.

Jechaliśmy z Warszawy przez Maków, Chorzele, Szczytno, do Olsztyna, gdzie zjedliśmy wczesny obiad. Następnie przez Dobre Miasto i Lidzbark Warmiński dotarliśmy do Bartoszyc. Kilka godzin zajęło mi opróbowanie utworów pstrego piaskowca w rdzeniu wiertniczym. Geofizycy także w tym czasie zakończyli swoje prace i już nocą wróciliśmy do Warszawy.

Rok 1963, to okres prac na wielokilometrowych odcinkach plaż bałtyckich. Otrzymałem zadanie określenia zasobów piasków cyrkonowych na plażach Bałtyku w okolicach Mielna koło Koszalina, a później to samo dla Półwyspu Helskiego.

Często towarzyszył mi w tych pracach Tadeusz Wątkowski – technik, ale dzisiaj magister i emeryt.

Ponieważ praca była bardzo atrakcyjna terenowo, odwiedzali mnie tu także inni koledzy, którzy stali się później współautorami opracowania. Był tu mój ówczesny kierownik Zakładu, Aleksander Jeliński, mój przyjaciel Jurek Kanasiewicz oraz Tadeusz Depciuch, specjalizujący się w badaniach mikroskopowych tych piasków.

Piaski nazywały się „cyrkonowe”, ale poza kwarcem składały się głównie z granatów. Stąd ciemne smugi na plażach często przybierały ciemnofioletowy odcień. Wśród granatów występowała pewna, zresztą zmienna, obecność cyrkonu, który był poszukiwanym minerałem z uwagi na to, że zawierał w swoim składzie pierwiastek rutil.

W maju i czerwcu wykonałem prace na wschód od Kołobrzegu, głównie w okolicach Ustronia Morskiego, Sarbinowa i Mielna. Później przeszedłem badaniami całą mierzeję odcinającą od morza Jezioro Jamno. U ratownika na tym jeziorze zdobyłem kolejną kartę pływacką, bo pływać po jeziorze na jakimkolwiek sprzęcie można było tylko mając taką kartę.

W podobny sposób przeszedłem mierzeję oddzielającą od morza Jezioro Bukowo, dochodząc do Darłowa. Będąc w Darłowie nie odmówiłem sobie odwiedzenia zamku Książąt Pomorskich w Słupsku, no i portu w Ustce. A będąc w Ustce byłoby grzechem nie odwiedzić Słowińskiego Parku Narodowego z Jeziorem Gardno i Jeziorem Łebsko.

Po zwiedzeniu Łeby i Jeziora Sarbsko, przez Słupsk i Sławno wróciłem do Koszalina. Z miasta wojewódzkiego (wówczas) do Mielna był już tylko mały skok.

Gdy nie chodziłem pieszo, poruszałem się w tym czasie autobusem PKS, rzadziej koleją, na przykład na odcinku Słupsk – Sławno – Koszalin.

W lipcu i sierpniu 1963 r. prowadziłem takie same badania na Półwyspie Helskim w rejonie Kuźnicy, Jastarni i Juraty. Tutaj nieco nadwyrężyłem sobie nogi, często brodząc po sypkim, gorącym piasku i kopiąc od czasu do czasu wielkim palcem w duże kamienie ukryte pod jego powierzchnią. Ból kołem w chłodnej wodzie Bałtyku. Takie zmiany temperatury, częste w ciągu dnia, nie robiły dobrze moim stawom, nie mówiąc o kopaniu kamieni.

Mieszkałem wówczas w Cetniewie obok Władysławowa, karmiąc się często świeżo upieczoną rybą, tanią i smaczną, dostępną w paru miejscowych smaźalniach. Mieszkając w Cetniewie, niedziele spędzałem na wędrówkach po morskim brzegu od Cetniewa do Rozewia i Jastrzębiej Góry oraz dalej do Karwi. Jadąc z Warszawy nad morze i wracając z Cetniewa do stolicy, zatrzymywałem się w Gdyni u wuja Edka i Aliny. Ciocia Jania, żona wuja Edka, zmarła w 1958 r., a Krystyna wyszła za mąż za Zbyszka Sprengel'a. Zbyszek, lekarz chirurg, pracował w tym czasie w Elblągu, później w Braniewie.

W 1964 roku zakończyłem prace terenowe w Górach Świętokrzyskich, wykonując uranometryczne zdjęcie glebowe na wybranych strefach tektonicznych. Następnie, już po raz ostatni, odwiedziłem kopalnię miedzi w niecce północno-sudeckiej, badając i opróbowując utwory miedzionośne w kopalniach „Nowy Kościół”, „Lena” i „Konrad II”.

Dyrekcja Instytutu Geologicznego poleciła mi pod koniec 1964 r. zestawienie danych dotyczących występowania fosforytów w Polsce. Był to pierwszy sygnał, że ponownie w

Instytucie ożywa temat fosforytów. Było u nas znamienne, że pewnymi surowcami interesowano się okresowo, później o nich jakby zapomniano, a następnie, najczęściej wskutek jakiegoś „ministerialnego” impulsu, temat ponownie wracał „na tapetę”.

W 1965 roku opracowałem rozdział „Fosforyty w województwie lubelskim” w pracy omawiającej surowce tego regionu. Zaraz potem dokonałem analizy wyników badań złoża fosforytów Krogulcza-Łączany koło Radomia. Dało to wskazówki dla dalszych prac rozpoznawczych.



Autor z żoną Teresą, 1967 r.

Trzeciego czerwca 1965 roku przysła na świat Ania, nasza córka. Urodziła się podobnie jak Janusz, w szpitalu na ulicy Dobrej w Warszawie i podobnie jak on nie urodziła się w sposób naturalny. Konieczne było „cesarskie cięcie”. Po paru dniach zabrałem szczęśliwą mamę z niemowlęciem do

Milanówka. Tu, przy wydatnej pomocy babci Bałdyżyny z niemowlęcia poczęło wyrastać dziecko, a wreszcie dziewczyna i kobieta.

W drugiej połowie 1965 roku przedstawiłem perspektywy poszukiwań uranu w Górach Świętokrzyskich. Był to rozdział większej pracy, omawiającej perspektywy poszukiwawcze złóż uranu w Polsce. Autorami całości byli pracownicy Instytutu Geologicznego, Akademii Górniczo-Hutniczej i Zakładów Przemysłowych R-1 w Kowarach. Praca ta była moim ostatnim uranowym tematem w Instytucie. Później zajmowałem się uranem „prywatnie” przygotowując pracę habilitacyjną, o której wcześniej nie myślałem. Ale o tym, potem.

Od 1966 roku ponownie wszedłem w zagadnienia fosforytowe. Zostałem nawet mianowany kierownikiem Pracowni Fosforytów w Zakładzie Surowców Chemicznych, który prowadził dr Zbigniew Werner. Był to dla mnie rok opracowywania projektów:

1. *„Projekt robót geologicznych na 1966 r. w aspekcie poszukiwań fosforytów na obszarze między Annopolem i Gościeradowem”.*
2. *„Projekt robót geologicznych dla ustalenia wydajności złoża fosforytów w Siemieniu, powiat Parczew”.*

Był to także dla mnie rok opracowań syntetycznych dla różnych zleceńodawców:

1. *„Fosforyty w Polsce oraz perspektywy poszukiwawcze”.*
2. *„Stan rozpoznania złóż i wystąpień fosforytów w Polsce oraz perspektywy zwiększenia zasobów”.*
3. *„Fosforyty w województwie kieleckim”* (rozdział w pracy o surowcach województwa kieleckiego, zamó-

wiony w Instytucie przez Wojewódzką Radę Narodową w Kielcach).

Przy wykonywaniu tej ostatniej pozycji odwiedziłem z Andrzejem Kühnem Góry Pieprzowe koło Sandomierza i oczywiście sam Sandomierz. Spenetrowałem także obszar występowania karbonu w Górach Świętokrzyskich, od Górna, po Kowalę.

W 1967 roku wykonałem z Andrzejem Błaszkiwiczem i Stefanem Cieślińskim projekt robót geologicznych dla rozpoznania złoża fosforytów albskich w kategorii C-2, między Widawą a Szczercowem. Chodziło o zabezpieczenie „frontu robót” dla ewentualnej eksploatacji fosforytów metodą otworową. Po kilku nieudanych próbach prowadzonych przez przedsiębiorstwo „Hydrokop”, pomysł eksploatacji fosforytów w tym rejonie tą metodą też zarzucono.

W latach 1967–1968 prowadziłem profilowanie utworów kredy i trzeciorzędu w rejonie Zatoki Puckiej. Mój ówczesny szef – Zbigniew Werner, dokumentował w tym rejonie złoża soli kamiennej i soli potasowych. Wiercenia osiągały głębokość 800 m. Ja profilowałem i opróbowywałem górne dwieście metrów. Wiercenia ciągnęły się od Cetniewa (zachodnia część Władysławowa), przez Jastrzębią Górę, po Karwie i Dąbki na zachodzie. Wiercenia sięgały także na kilkanaście kilometrów w głąb lądu, po Mieroszyno, Sulicice, Kłanino i Starzyno. Otwory wiertnicze zlokalizowane były także we wsiach Werblinia, Zdrada, Połczyno, Gnieźdźewo, Swarzewo, Radoszewo i Chłapowo.

Prace wiertnicze trwały przez okrągły rok. Otwory profilowałem na bieżąco. Pierwsze wiercenia w Cetniewie profilowałem w czasie styczniowych mrozów. Skrzynie z

rdzeniem musiałem odmrażać w wagoniku wiertaczy, bo na dworze nie sposób było odróżnić piasek zamrożony w litą skałę od piaskowca.

Latem na plaży w Dębkach znalazłem sporą bryłę bursztynu, wyrzuconą na brzeg przez sztormową falę.

Na południe od Karwi, we wsi Starzyno mieliśmy czasowy magazyn rdzeni. Tu, u bardzo sympatycznej starszej pani, dawnej właścicielki małego folwarku, jadłem jedyny raz w życiu jabłka smażone na boczku. Pomijając fakt, że w owym czasie często bywałem głodny pracując stale na powietrzu, danie to miało znakomite walory smakowe. Do smażenia używano twardych jabłek, które nie rozpadały się w trakcie przygotowywania dania.

Podobnie, jak i w dalszych latach, jadąc do Władysławowa lub wracając do Warszawy dość często odwiedzałem w Gdyni Alinę.

W 1969 roku rozpocząłem „*Wyjaśnianie geologicznych warunków występowania i wartości surowcowej poziomu górno-eoceńskich fosforytów w rejonie Siemienia (powiat parczewski)*”. Zamieszkałem u sympatycznych gospodarzy w Siemieniu. Front mieszkalnego budynku zajmowała poczta. Obiady jadałem w miejscowej gospodzie.

W szybiku, który wykonałem w rowie przydrożnym niedaleko stawu Siemień, występowały obficie fosforyty, bardzo liczne skorupy eoceńskich skamieniałości oraz pojedyncze okruchy bursztynu. Wcześniej w tym miejscu eksploatował faunę Emil Woźny, który parę lat później zrobił na tym materiale pracę doktorską.

Miejsce to, a co ważniejsze, glaukonitonośne osady trzeciorzędowe odkrył w tym miejscu profesor Edward Rühle w czasie jakiejś wycieczki. Towarzysze jego poszli dalej drogą, a

on wszedł do dość głębokiego rowu i spokojnie siusiał. Po chwili odsłoniły się zielone piaski. I w ten sposób można dokonać odkrycia. Jak mawiał profesor Jan Samsonowicz, zadaniem geologa jest grzebać we wszystkich znajdujących dziurach, szczególnie tych, w których śmierdzi.

W tym samym roku przedstawiłem „*Prognozy występowania fosforytów w utworach piaszczysto-ilastych na obszarze Polski*”.

W związku z tym odwiedziłem jeszcze raz niektóre miejsca w Górach Świętokrzyskich i w Sudetach. Na terenie Sudetów powtórnie opróbowiałem rejon Zdanowa i Łupianki, które wcześniej badałem pod kątem występowania promieniotwórczości naturalnej utworów ordowiku i syluru tego rejonu.

Pod koniec 1969 roku przedstawiłem „*Regionalny projekt badań geologicznych dla wierceń parametrycznych i poszukiwawczych, mających wyjaśnić skład i budowę warstw fosforytonośnych w osadach paleogenu między Radomiem i Białą Podlaską*”.

Zimą i wiosną 1970 roku opracowałem bardziej szczegółowy „*Projekt badań geologicznych dla wierceń parametrycznych, mających wyjaśnić budowę i wydajność warstw fosforytonośnych w osadach paleogenu między Radomiem a Parczewem*”.

W tym czasie, wykonując kilka otworów wiertniczych między Wsolą koło Radomia, a Stężycą, pomagał mi w pracy mocno zabiedzony technik-geolog.

Któregoś dnia na kwaterze w Stężycy zrobiłem normalny obiad: zupa grzybowa i sztuka mięsa z rosółu, na którego smaku zrobiłem zupę. Do drugiego dania były ziemniaki i mizeria. Technik Tadeusz jadł z wyraźnym apetytem, a potem pochwalił

obiad mówiąc: „*To było bardzo dobre, jak w restauracji*”. Pochwała nie wydawała mi się trafna. Pytam, czy nie woli on jeść obiady domowe? Okazuje się, że chłopak nie pamięta obiadów swojej dawno zmarłej mamy. Ojciec ożenił się powtórnie, macocha żywiła ich suchym prowiantem, a rzadko robione obiady nie były dobre, jak to delikatnie określił. Posiłki restauracyjne były dla niego szczytem dobrego jedła. Przyznam, że mocno mnie wzruszył. Później wyjechałem do Libii, a on zmienił pracę i więcej się nie spotkaliśmy.

Cały 1971 rok, praktycznie biorąc, spędziłem w Libii poszukując fosforytów. Okres ten przedstawiłem w oddzielnym opracowaniu pod tytułem „*Pustynia da się lubić*”.

Po powrocie z Libii, na początku 1972 roku, dowiedziałem się, że moja praca oddana do druku „*Uran w Górach Świętokrzyskich*” nie będzie wydrukowana, chociaż zapłacono mi w dwu ratach całe honorarium należne za jej opublikowanie. Powód: praca jest niejawną. Niejawne mogą być drukowane tylko prace regionalne, jakby Góry Świętokrzyskie nie były regionem!

Po libijskich burzach piaskowych i morskich sztormach byle co nie było w stanie mnie przestraszyć. Kiedy więc dowiedziałem się nieoficjalnie od jednego z wicedyrektorów Instytutu jaki był właściwy powód wycofania mojej pracy z druku, a mianowicie, że odrzucono ją, „*bo wydawała się ona niewiele warta*”, wstąpił we mnie duch przekory. Znając wartość pracy wystąpiłem do Rady Naukowej Instytutu Geologicznego z wnioskiem o wszczęcie przewodu habilitacyjnego. Jako pracę habilitacyjną przedstawiam „*Występowanie uranu w Górach*

Świętokrzyskich” i proszę o odstąpienie od obowiązku jej publikowania z uwagi na niejawną charakter pracy.

Rada naukowa utworzyła mi przewód habilitacyjny odstępając od obowiązku publikowania pracy. Wyznaczono mi recenzentów.

Profesor Gawęł z Krakowa napisał entuzjastyczną recenzję. Mój bezpośredni dyrektor, doc. dr Aleksander Jeliński ocenił pracę jako zupełnie dobrą. Tylko profesor Hubert Gruszczyk z Krakowa miał wątpliwości, czy geneza uranu w Górach Świętokrzyskich jest rzeczywiście hydrotermalna.

W trakcie kolokwium habilitacyjnego w 1973 r. profesor H. Gruszczyk ponownie zaczął drażnić sprawę genezy. Przyparty do muru musiałem bronić się niekonwencjonalnie. Rzekłem: „Panie profesorze, ja w swojej pracy przytoczyłem parę dowodów na hydrotermalną genezę uranu w kilku miejscach Gór Świętokrzyskich. Jeśli pan profesor przedstawi jeden niezbitą dowód świadczący o osadowej genezie uranu tam, gdzie występuje on w poważniejszych koncentracjach, to ja się poddam”.

Profesor Gruszczyk tłumaczył, że on się nie zajmuje genezą uranu w tym regionie, że on nie zbierał na ten temat materiałów, że chodzi mu głównie o to, „aby nie przeginać pały”, jak się dosłownie wyraził. Członkowie Rady Naukowej odetchnęli. To nie ja się poddałem, zrobił to profesor Gruszczyk.

Jeszcze w dyskusji profesor Jerzy Znosko próbował wziąć mnie „na hak”. Rozwodząc się o powszechności mineralizacji uranowej w waryscydach, czy jak mówią inni, w hercynidach, mimochodem zauważył, że ja wiele lat zajmowałem się kredowym fosforytami. Zaznaczył, że fosforyty noszą w sobie ślady uranu, a poza tym występują w piaskach i innych utworach

glaukonitonośnych. Prowadząc dalej dość karkołomne rozumowanie nagle pyta, czy orogeneza kimeryjska była równie powszechna, jak waryscyjska? Zorientowałem się, że w tym kontekście, jeśli potwierdzę (bo była), to przyznam pośrednio rację profesorowi Gruszczykowi. Wolałem się tylko uśmiechnąć.

Dla zatarcia wrażenia (nie odpowiedziałem na pytanie) posypały się liczne pytania dotyczące uranu i fosforu, mineralizacji i petrografii skał dewońskich i kredowych.

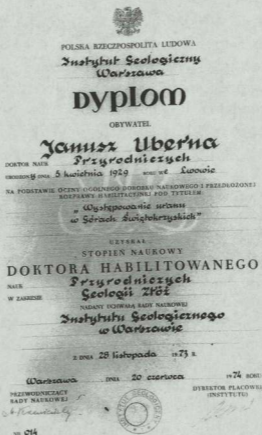
Odpowiadałem na pytania dość proste wprawdzie, ale tym bardziej niebezpieczne, że nie odpowiedzieć na któreś z nich oznaczało duży blamaż. Ale udało się. Po pół godzinie pytania ustały.

Rada Naukowa udała się na posiedzenie. Po powrocie ogłoszono, że Rada jednogłośnie przyznaje mi stopień doktora habilitowanego, który to stopień musi jednak zatwierdzić Komisja Kwalifikacyjna. Zrobiła ona to jeszcze w tym samym roku. W 1975 roku Prezes Centralnego Urzędu Geologii nadał mi tytuł docenta w Instytucie Geologicznym.

Przy lampce wina, po zakończeniu kolokwium habilitacyjnego, profesor Znosko pyta: „*Dlaczego nie odpowiedział mi pan na moje proste pytanie?*” Właśnie obok przechodził docent dr Pędias: „*Jakie pytanie, taka była i odpowiedź*” – rzucił z przekąsem.

W chwilę później podchodzi do mnie Marian Sałdan, dawniej mój dobry znajomy, kierownik Pracowni Pierwiastków Promieniotwórczych. „*Jak słowo daję, nie wiedziałem, że Uran w Górach Świętokrzyskich to twoja praca habilitacyjna!*”. Marian na zebraniach Rady Naukowej występował jako tak zwany czynnik polityczny. Odpowiedziałem mu na to z rozbijającym

uśmiechem: „A co byś Marianku zrobił, gdybyś wiedział?” – Marian dziwnie się uśmiechnął, spuścił oczy i odszedł.



Dyplom doktora habilitowanego Autora, 1973

W tymże 1973 roku oddałem rozpoczętą przed dwoma laty pracę „Dokumentacja geologiczna 9-ciu otworów wiertniczych

wykonanych między Radomiem a Parczewem w celu ustalenia miąższości i wydajności warstwy fosforytów paleoceńskich”.

Penetrowałem okolice wsi Wsola, Gózd Stary i Gózd Nowy, a także okolice wsi Stężyca, odległej o siedem kilometrów na zachód od Dębłina.

Jeszcze w tym samym roku przygotowałem „Projekt badań geologicznych dla wierceń parametrycznych mających wyjaśnić budowę i wydajność warstw fosforytonośnych w osadach paleogenu rejonu Łąkoci i Glinnego Stoku w województwie lubelskim”. Łąkoć leży dziesięć kilometrów na północno-północny wschód od Kurowa, a Glinny Stok około pięć kilometrów na północny zachód od Parczewa. Jedno z naszych wierceń usytuowałem na północny zachód od wsi Jezioro. Tutaj z Heniem Sobczukiem zamieszkaliśmy u młodych gospodarzy.

W okolicy bywały grzyby. Któregoś dnia na małej łące wśród dużych świerków znalazłem kilkanaście rydzów. Usmażyłem je na maśle. Ogromnie smakowały Heniowi, który jadł rydze po raz pierwszy w życiu.

Kiedy indziej nasza gospodyni Marysia zrobiła pierogi z grzybami. Widzieliśmy te grzyby przed gotowaniem. Były to ciemnognatowe, lejkowate twory o bardzo podejrzanym wyglądzie, nazywane przez miejscowych wronami. Na podwórzu mieliśmy zaprzyjaźnionego psa bez imienia. Nazwaliśmy go Mont na cześć przewiercanych przez nas utworów paleogeńskich. Gdy gospodyni podała nam półmisek pierogów obficie okraszonych masłem przypomnieliśmy sobie, że pilnie musimy odwiedzić nasze wiercenie pracujące dwa kilometry dalej, w Wólce Zdunkówce, na południe od Suchowoli. Każdy z nas wziął po parę pierogów. Na podwórzu Mont rzucił się nam na szyję i pożarł pierogi z wielkim apetytem. Gdy wróciliśmy do domu po

paru godzinach pies ponownie rzucił się w nasze objęcia wykazując znakomitą kondycję. W tej sytuacji zjedliśmy podaną przez Marysię nową porcję świeżo ugotowanych pierogów. Były dobre, o typowo grzybowym smaku. Nigdy później nie jadłem „wron”.

Odwiedzając Jezioro wysiadaliśmy z autobusu PKS na przystanku Glinne, zwane także „Widelkami”. Tutaj od szosy Parczew – Lubartów odchodziła polna droga do odległego o pięć kilometrów Jeziora. Nazwa wsi wzięła miano od niewielkiego jeziora (400 x 500 metrów) położonego wśród pól. Widzieliśmy, jak wapnowano pola przy silnym wietrze. Duża część wapiennego pyłu osiadała na wodzie jeziora tworząc na nim dość grubą, acz krótkotrwałą kożuch.

W 1973 roku opracowałem dla ówczesnego dyrektora Instytutu Geologicznego, Romana Osiki, „*Paleogeografię i fosforytoność paleogenu Polski*”, jako wynik kilku ostatnich lat terenowych prac geologicznych. Zimą tego samego roku na polecenie zastępcy dyrektora naczelnego, Jana Czermińskiego, opracowałem „*Dane dotyczące występowania fosforytów w niektórych krajach rozwijających się*”.

W tym samym roku dowiedziałem się, że zlikwidowano Zakłady Przemysłowe R-1 w Kowarach, prowadzące eksploatację, a potem tylko wzbogacanie rudy uranowej pozostającej na zwałach, czyli hałdach. Oficjalnie zakłady te zlikwidowano 30.XII.1972 r. W praktyce zostały one przejęte przez Politechnikę Wrocławską we wrześniu 1973 roku. Główny geolog zakładów, Bojcow, przeniósł się do Czechosłowacji, gdzie w tym samym charakterze pracował jeszcze kilka lat w górnictwie uranowym. zarówno w jego tradycyjnym rejonie, Joachimowie w Górach Kruszcowych, jak i na południowych zboczach Sudetów.

Lata 1974–1977 spędzałem głównie w Warszawie opracowując na zamówienie swojej dyrekcji szereg zagadnień:

1. „*Zagadnienia paleogeografii i mineralizacji w osadach platformowych paleogenu Europy zachodniej*” (na polecenie dyrektora naczelnego IG, R. Osiki, w 1974 r.).
2. „*Dane dotyczące występowania i możliwości eksploatacji fosforytów w Maroku i Algierii*”. (Zestawienie powstało w 1974 r. dla celów RWPG, na polecenie dyrekcji IG).
3. W 1975 roku przedstawiłem pierwszą część „*Informacji o zasobach i potencjalnych możliwościach eksploatacji fosforytów i rud żelaza w krajach trzeciego świata*”. Drugą część tej „*Informacji*” opracowałem z doc. dr hab. Edmundem Rutkowskim. Obie części przekazano do Centralnego Urzędu Geologii jako temat zlecony nam przez ten Urząd.
4. W lutym 1976 roku oddałem kilkuletnią pracę: „*Możliwości występowania fosforytów górnokredowych i paleogeńskich w regionie lubelskim oraz dokumentacja jedenastu otworów wiertniczych, wraz z szacunkowym obliczeniem zasobów dla rejonu Łąkoci i Glinnego Stoku*”. Praca została przyjęta z pochwałą przez Komisję Odbioru Prac w Instytucie Geologicznym!
5. W marcu tegoż roku opracowałem dla dyrektora IG, Jana Czermińskiego, „*Zasady opróbowania pokładów fosforytonośnych przy użyciu wierceń szeroko-średnicowych i wierceń rdzeniowych*”

normalno-średnicowych". Pracę opublikowano w wydawnictwie Koła Naukowego Stowarzyszenia Inżynierów i Techników (SIiT)

6. W maju 1975 roku zaczęła powstawać „*Mapa Surowców Chemicznych w Polsce*”. Oddałem dyrektorowi R. Osice część graficzną i tekstową „*Fosforyty*”.
7. W maju 1976 roku opracowałem dla Przedsiębiorstwa GEOPOL opinię „*Możliwości poszukiwań złóż fosforytów w krajach Afryki zachodniej (Górna Wolta, obecnie Burkina Fasso, Niger, Benin – do niedawna Dahomej)*”.
8. Jesienią 1976 roku napisałem rozdział „*Fosforyty*” do pracy „*Prognozy występowania surowców mineralnych w Polsce*”.
9. Przed Bożym Narodzeniem 1976 r. oddałem bardzo obszerną planową pracę „*Zestawienie i podsumowanie wyników badań osadów fosforytonośnych w kraju*”. Fragmenty tej pracy, jak i innych wymienionych opracowań, były później publikowane w różnych wydawnictwach Instytutu Geologicznego.
10. W samym końcu 1976 roku przedstawiłem „*Informację dotyczącą występowania złóż apatytu na świecie*”.

Jako przerywnik prowadzonej od paru lat pracy „przy biurku” mój ówczesny kierownik, doc. dr Zbigniew Werner, zaproponował mi wyjazd do Algierii. Wyjechaliśmy w lutym 1977 roku na sześć niezapomnianych tygodni. Po raz drugi miałem okazję zobaczyć Afrykę północną. Zajmowaliśmy się

poszukiwaniami soli potasowych. Był to chyba mój najbardziej atrakcyjny, chociaż krótki, wyjazd za granicę. Opis tego czasu przedstawiłem w oddzielnym opracowaniu, który zatytułowałem „*Słony smak Afryki, czyli po wysadach solnych północnej Algierii*”.

W połowie 1977 roku przedstawiłem program badań „*Monograficzne opracowanie występowania fosforytów w Polsce z surowcową i technologiczno-ekonomiczną oceną możliwości ich wykorzystania oraz określeniem perspektyw poszukiwawczych*”. Temat został rozpoczęty. Przerwał go mój wyjazd do Mongolii.

Zaproponowano mi stanowisko starszego geologa w polskiej grupie pracującej w Międzynarodowej Ekspedycji Geologicznej, którą powołała do działania w Mongolii RWPG, czyli Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej.

Do Mongolii pojechałem w marcu 1978 roku. Kierownikiem grupy był mój upolityczniony kolega, Ryszard Podstolski. Zawsze miałem z nim dobre układy. Może nie były one bardzo serdeczne, ale zbliżone do przyjacielskich.

31-go maja 1979 roku oddaliśmy nasze opracowanie. Językiem roboczym w ekspedycji był rosyjski. Opracowanie w tłumaczeniu brzmiało: „*Budowa geologiczna i surowce mineralne rejonu Góry Narintaj-Obo w ajmaku chentejskim północno wschodniej Mongolii*”. Praca przedstawiała wyniki badań kartograficznych i poszukiwawczych w skali 1: 50 000. Bardziej szczegółowy opis tego okresu dałem w opowiadaniu „*Wśród stepów Mongolii*”.

Po powrocie do kraju kontynuowałem wcześniej rozpoczęte prace. Pod koniec roku oddałem wykonaną na zamówienie Komitetu Wojewódzkiego w Tarnobrzegu pracę omawiającą

„Złoża fosforytów w rejonie Annapola–Gościeradowa oraz możliwości ich przeróbki i ekonomicznego wykorzystania”.

W 1980 roku znów na krótko gościłem w Mongolii. Z Ryszardem Podstolskim i Andrzejem Stachowiakiem wykonałem „Projekt badań geologicznych w rejonie Muszugaj Chuduk” (w mongolskim brzmieniu niezniekształconym przez Rosjan, brzmi to: Muszgia Chudak, czyli kręcona studnia).

Pojechałem z Podstolskim kilkaset kilometrów na południe od Ułan Bator. Nocowaliśmy w hoteliku somonu Mandał-Owo razem z towarzyszącymi nam Mongołami. Byli to: dyrektor Instytutu Geologicznego w Ułan Bator, Ebum, oraz pracownik naukowy tego instytutu, Gudsambu. Następnego dnia jadąc dalsze czterdzieści kilometrów na południe osiągnęliśmy rejon muszgijski, który z miejsca ochrzcziliśmy Mysim Gajem.

Tutaj, w kilka lat później, działała ekspedycja polskich geologów kartujących, którą kierował dr Stanisław Olszewski, a nad którą ja miałem nadzór, odwiedzając parokrotnie rejon między Muszgia Chudak, a Bajan Choszu w latach 1987–1988.

Nieopodal studni rozbiła swoją jurkę mongolska rodzina: podeszły w latach Mongoł, jego żona i około osiemnastoletnia córka. Zostaliśmy zaproszeni do wnętrza jurty.

Podłoga-klepisko usiana była kozimi bobkami, bo w jurcie trzymano kozę z kilku młodymi. Usiedliśmy na niskich taboretach. Gospodyni wlała do dużej miski, bardzo przypominającej miednicę, wielbłądzie mleko przyniesione przez córkę. Na dworze widzieliśmy kilka uwiązanych wielbłądów. Ryszard Podstolski z zainteresowaniem przyglądał się tym zwierzętom i do jurty wszedł znacznie później od nas. Właśnie wtedy kobieta wkładała do gotującego się mleka brunatne kawałki zielonej prasowanej herbaty. Pojemnik z herbatą leżał obok piecyka tuż

przy innym pojemniku zawierającym argał (wysuszony nawóz służący jako opał), barwą bardzo zbliżony do leżącej obok herbaty.

Podstolski słabo widząc w mroku jurty (wszedł z silnie nasłonecznionego podwórza) był przekonany, że do mleka został wrzucony argał. Gdy otrzymaliśmy do picia „sute cajt” w dużych fajansowych miseczkach (suu po mongolsku znaczy – mleko) nasz spóźniony kolega długo wzdragał się przed spróbowaniem napoju. Dopiero widząc, jak każdy z nas opróżnia własne naczynie, przełamał niechęć i zaczął pić. Później Ryszard opowiadał, że był przekonany o tym, iż mongolska kobieta wrzucała do mleka suchy nawóz. Zrewanżowaliśmy się gospodarzom za poczęstunek kilkoma puszkami mięsnych konserw i ruszyliśmy w drogę powrotną do Ułan Bator. Po powrocie napisaliśmy projekt badań i w końcu czerwca wróciliśmy do kraju.

Wracając pociągiem przez Syberię widzieliśmy przepiękną wiosnę. Wszystkie mijane łąki pełne były kwiecica, a przy mijanych stacjach kolejowych pachniały nam czeremchy i rozkwitające bzy.

Jeszcze w 1980 roku wykonałem „Założenia geologiczno-techniczne” i „Projekt badań geologicznych dla udokumentowania zasobów złóż fosforytowych na obszarze Gościeradów – Ilża – Radom”.

W styczniu 1981 roku, na polecenie naczelnego dyrektora Instytutu Geologicznego, napisałem o „Możliwościach wykorzystania krajowych fosforytów”. Podkreśliłem, że możliwość wykorzystania naszych złóż z ekonomicznego punktu widzenia jest bardzo niewielka.

W latach 1980–1981 opracowałem „*Dokumentację geologiczną złoża rudy strontu Czarkowy*” w kategorii C2. Czarkowy, to wieś w dolinie Nidy, między Wiślicą, a Nowym Korczynem. Pracując tu w spartańskich warunkach wykonałem kilka wierceń, które pozwoliły udokumentować złożo. Atrakcją były kąpiele w Nidzie, jednej z bardziej czystych rzek tego czasu w Polsce. Przy okazji poznałem zabytki Wiślicy, takie jak kościół, którego fundamenty pamiętają czasy Cyryla i Metodego, a gotycki dom parafialny, czasy Długosza.

We wrześniu 1981 r. ponownie badałem Mongolię. Tym razem towarzyszył mi mój przyjaciel, dr Jerzy Kanasiewicz. Celem wyjazdu było wykonanie „*Projektu badań geologicznych w rejonie Bajan Choczu*”.

Pojechaliśmy moją zeszłoroczną trasą z Ułan Bator na południowo-południowy zachód. Tym razem mieliśmy ze sobą namiot i nie szukaliśmy noclegów w somonach. Pierwszy nocleg wypadł nam wśród granitowych skał nieopodal miejscowości Ich Chajrchan. Następnego dnia dotarliśmy do znanego mi już wcześniej Mandał-Owo. Po załatwieniu nieodzownych formalności w tym somonie pojechaliśmy w kierunku Muszgia Chudak. Tu przenocowaliśmy. Odwiedził nas radziecki petrograf, Mojsij Dawidowicz Dorfman. O spotkaniu tym pisałem obszerniej w oddzielnym opracowaniu, traktującym o mojej kolejnej wyprawie do Mongolii: „*Gobijska przygoda*”.

Po spenetrowaniu muszgajskiego rejonu i spożyciu befszytków z argala (dziki baran górski) pojechaliśmy do Bajan Choszu. Nie jest to nawet wioska. Po prostu brygada hodowlana z dwoma murowanymi budynkami i grupą jurt. Miejscowy Mongoł pokazał nam, gdzie przed laty Rosjanie wykonali płytkie wkopy. Ślady po tamtych robotach zostały mocno zatarte, ale

dzięki nim znaleźliśmy grupę żył celestynowych (celestyn, to siarczan strontu) występujących na znacznej powierzchni.

Z Bajan Choszu przez Dałanzadgad pojechaliśmy na wschód do masywu granitoidowego Chan Bogd i dalej do brygady hodowlanej Chalif.

Kilkadziesiąt kilometrów na północ od Chalifu odkryliśmy nieznaną wcześniej masę sjenitowy Ołon-owo. W masywie obecne są żyły karbonatytowe, zawierające wyraźne kryształy skaleni. Z Chalifu, przez Mandach i obóz polskiej grupy Międzynarodowej Ekspedycji Geologicznej, pojechaliśmy na północny zachód do Mandałgow', a stąd prawie dokładnie na północ do Ułan Bator.

Pod koniec 1981 roku napisałem „Projekt badań geologicznych dla udokumentowania zasobów złóż fosforytów obszaru Gościeradów – Salomin – Modliborzyce”. Współautorami projektu byli Henryk Sobczuk i Antoni Pizoń. Projekt został zatwierdzony w Centralnym Urzędzie Geologii dnia 16.01.1982 roku.

W kwietniu 1982 roku oddałem do archiwum przyjętą przez dyrekcję Instytutu obszerną pracę (376 stron i 26 załączników) zestawianą z przerwami od 1977 roku. Tytuł tej monograficznej pracy brzmi: *„Występowanie fosforytów w Polsce z surowcowo-technologiczną oceną możliwości ich wykorzystania oraz określeniem perspektyw poszukiwawczych”*.

Od maja 1982 roku pracowałem w terenie między Modliborzycami a Gościeradowem, realizując właśnie zatwierdzony projekt badań. Zamieszkałem z Heniem Sobczukiem w małym trzypokojowym hotelu robotniczym w Zaklikowie. Otrzymaliśmy jeden dwuosobowy pokój. W drugim mieszkała dziewczęta

pracujące w fabryce mebli. Trzeci pokój (jednoosobowy) zajmowany był dorywczo przez różnych gości.

W okolicach Zaklikowa, leżącego mniej więcej w środku naszego obszaru badań, nieco na południowy zachód od linii Gościeradów – Modliborzyce, odwiercaliśmy kolejno kilka otworów. Codziennie, czasem nawet dwa razy dziennie, trzeba było wizytować brygadę wiertniczą i profilować wydobyty rdzeń. Gdy otwór wiertniczy przechodził przez fosforytonośną serię złożową, trzeba było przy otworze spędzać cały dzień, a zdarzało się, że także noc. Pozostały czas mieliśmy wolny. Spędzaliśmy go już od końca maja nad dużym rybnym stawem w Zaklikowie. W sezonie letnim urządzano tu kąpielisko. Wypożyczano nawet rowery wodne.

W lipcu wynająłem z Heniem dwupokojowy domek letni-skowy. Henio sprowadził tu na miesiąc swoją żonę Basię (z domu Perkowską) i córkę Kasię. Ja z Anią, moją córką, mieszkalem w sąsiednim pokoju. Dziewczyny się zaprzyjaźniły, mimo że Ania była młodsza. Ja także zaprzyjaźniłem się z Kasią. Któregoś dnia załagodziłem nieporozumienie między córką, a jej mamą. Dziewczyna rozlała coś, czy nawet stłukła, a ja pomogłem obruganemu dziecku sprzątnąć powstały bałagan, a potem przytuliłem tłumacząc, że nie stała się przecież żadna tragedia i wszystko da się naprawić. Przez całe lata Kasia o tym pamiętała.

Henio dużo palił. Twierdził, że to wcale nie szkodzi jego zdrowiu i kondycji fizycznej, a wręcz przeciwnie! Gdy na początku lata wskoczyliśmy do wody na miejscowym kąpielisku Henio wysforował się przede mną co najmniej o dwa metry. Płynęliśmy od jednego drewnianego pomostu do drugiego odległego o jakieś sto metrów. Nie pokonaliśmy jeszcze połowy dystansu, gdy minąłem przyjaciela. Po paru metrach obejrzałem

się i zobaczyłem, że Henio prawie nie posuwa się do przodu, podejrzanie bijąc wodę rękami. Wróciłem i pytam, dlaczego nie płynie? Ten odpowiada, że tonie, bo nie może oddychać. Henio bywał dowcipny i lubił robić kawały. Myślałem więc, że żartuje. Kiedy jednak raz i drugi łyknął wody, podtrzymałem go. Po chwili wrócił mu oddech i powoli razem dopłynęliśmy do tego drugiego pomostu. Gdy zupełnie przyszedł do siebie stwierdził, że nie może się ścigać, bo ma „krótki oddech”. Zrozumiał, że zadymione płuca już po krótkim, a bardzo intensywnym wysiłku, nie dotleniają organizmu i następuje uczucie duszenia się.

W lipcu gromadnie chodziliśmy do okolicznych lasów na grzyby: pierwsze borowiki i koźlarze. Później, już po wyjeździe rodzin, odwiedzaliśmy różne miejsca bogate w runo leśne i łąkowe.

Gdy Henio wracał na tydzień lub dwa do Instytutu i do domu, zostawałem sam w terenie. Gdy on wracał, niebawem ja wyjeżdżałem. Sporo czasu jednak spędzaliśmy razem, dojeżdżając rowerami do kontrolowanych wierceń. Jeżdżąc po „swoim” terenie znajdowałem różne ciekawe miejsca. Na podmokłych łąkach wokół stawu i rzeczki Sanny w wysokiej trawie rosły żurawiny. Zbierałem je po raz pierwszy w życiu. W zagajniku sosnowym na wschód od Zaklikowa, wzdłuż rowów melioracyjnych, rosły często koźlarze. Zbierałem je co dwa-trzy dni, susząc i od czasu do czasu dusząc.

Obok tego miejsca, niedaleko od szosy do Modliborzyc, na podmokłej polanie porośniętej krzakami i małymi sosenkami rosły łochynie i bagno. Łochynie są podobne, jeśli idzie o owoce i ich smak, do amerykańskiej borówki sprzedawanej od kilkunastu lat na targowiskach Warszawy. Bagno służące do wyganiania z domów moli ma pewne halucynogenne właściwo-

ści. W niektórych okolicach (także w Zaklikowie) nie zbiera się owoców łożyni uważając je za trujące. Okazuje się, że ręce pobrudzone pyłkiem kwitnącego bagna wprowadzają razem z rosnącymi obok owocami łożyni halucynogenne substancje do organizmu. Wiele osób twierdzi, że po zjedzeniu owoców łożyni ma zawroty głowy. Objawy te spowodowane są zapewne przez bagno.

W lasach okolic Zaklikowa rosną borówki czernice, na Mazowszu zwane jagodami. Otóż jagody łożyni mające skórkę barwy borówki czernicy wewnątrz są prawie białe. Ręce zabrudzone w czasie zbierania czernic znakomicie można umyć owocami łożyni. Tam gdzie rosły czernice, nieco później zbierałem jagody borówki brusznicy. Na Mazowszu jagody te nazywa się – borówkami! Na skraju lasów i na leśnych polanach zbierałem w odpowiednim czasie poziomki i maliny.

Na zachód i północny zachód od miasta miałem „swoje” miejsca, gdzie rosły borowiki. Jedno było w bukowym lesie, inne w rozwidleniu leśnych dróg, rzadko porośniętym krzakami głównie leszczyny. Miałem także „swoją” porębę, na której dokonywałem opieńkowych żniw. Nigdy w swoich badaniach terenowych nie mieszkalem w okolicy tak bogatej w runo leśne występujące na stosunkowo niewielkim obszarze paru, no może kilkunastu kilometrów kwadratowych.

Cały 1983 rok spędziłem w Zaklikowie nadzorując wiercenia, profilując rdzenie wiertnicze i opróbowując je. Wolne chwile spędzałem w lesie lub na kąpielisku. Oczywiście, każdego miesiąca tydzień lub dwa przebywałem w domu i w Instytucie. W długie jesienne i zimowe wieczory czytałem ulubione książki wypożyczane w miejscowej bibliotece. W Zaklikowie przeżyłem dwa najmiłsze lata spośród tych, które przeżyłem w czasie

krajowych prac terenowych. Nie zakończyłem rozpoczętych tu badań i nie udokumentowałem miejscowego złoża fosforytów. Prace te zakończyli Henio Sobczuk, Antek Pizoń i Tomek Janicki.

Pewnej mroźnej nocy, w lutym 1984 r., zadzwonił telefon. Moja mama zawiadamiła, że mój ówczesny bezpośredni dyrektor, doc. dr Stanisław Przeniosło, chce mnie widzieć natychmiast w Warszawie, co miało być związane z jakimś planowanym wyjazdem zagranicznym. Byłem zdziwiony, bo nie dalej, jak późną jesienią poprzedniego roku ten sam dyrektor oświadczył mi, że nie wyjadę nigdzie za granicę dopóki nie wychowam następców, którzy będą w stanie prowadzić w Instytucie zagadnienia fosforytowe.

Jeszcze tego samego dnia byłem w Warszawie. Następnego dnia dowiedziałem się, że mogę pojechać co najmniej na dwa lata do Mongolii jako kierownik polskiej grupy w mającej powstać Polsko-Mongolskiej Ekspedycji Geologicznej. Na moje pytanie, czy nie mogę pojechać do Mongolii w innym charakterze, niż kierownika polskiej grupy, usłyszałem, że mogę pojechać jako kierownik, lub wrócić do Zaklikowa. O Mongolii marzyłem już od swego pierwszego tam pobytu. Marzenie to pogłębiły krótkie wyjazdy w 1980 i 1981 roku. Zgodziłem się!

W marcu i kwietniu 1984 roku zrobiłem w Ułan Bator razem ze Staszkiem Kubickim „Projekt badań dla udokumentowania złoża pierwiastków ziem rzadkich Ługijn-gol we wschodnio-gobijskim ajmaku”. Stolicą tego ajmaku (miasta wojewódzkiego) jest Sajnszand. Po zrobieniu projektu wróciliśmy na Wielkanoc do kraju. Już w czerwcu 1984 roku ponownie byłem w Ułan Bator, a w lipcu tego roku oficjalnie

powołano Dwustronną Polsko-Mongolską Ekspedycję Geologiczną.

Przez prawie siedem lat byłem zastępcą szefów Ekspedycji, którymi każdorazowo byli Mongołowie. Równocześnie przez cały ten czas byłem szefem polskiej grupy w tej Ekspedycji. Tę moją ostatnią mongolską historię opisałem we wspomnianej już wcześniej pracy „*Gobijska przygoda*”, wydanej drukiem wspólnie przeze mnie i Stowarzyszenie Emerytowanych Pracowników Państwowego Instytutu Geologicznego w 2012 roku.

Przez Syberię do domu

W okresie od 1978 do 1990 roku dwadzieścia cztery razy przemierzyłem odległość Warszawa – Ułan Bator, lub odwrotnie. Z tego dziesięć razy pociągiem i czternaście razy samolotem. Podróż samolotem jest szybsza, ale bardziej męcząca i mniej atrakcyjna widokowo, nie mówiąc już o ograniczonej wadze bagażu.

Z Ułan Bator samolot startował zwykle o godzinie 13-tej miejscowego czasu. Goniąc słońce lecimy do Irkucka (lądowanie), później do Omska (powtórne lądowanie) i w Moskwie jesteśmy około godziny 19-tej czasu moskiewskiego. Tu przesiadamy się na polski (najczęściej) samolot i wylatując z Moskwy o 21-szej miejscowego czasu, jesteśmy w Warszawie tego samego dnia między 21-szą a 22-gą czasu środkowo-europejskiego, po piętnastu-szesnastu godzinach lotu, wliczając w to oczekiwanie w Irkucku i Omsku oraz przesiadkę w Moskwie.

Z Warszawy do Ułan Bator jedzie się pociągiem sześć dni, a z powrotem siedem dni. Jazda pociągiem, zwłaszcza pierwszą klasą, czyli tak zwanym LUX'em, jest komfortowa. Przedział ma dwa miejsca i umywalkę, lub prysznic. Na dzień pościel kładzie się na półkę. Wagon ma zwykle dwie opiekunki. Rosjanie nazywają je „prowadnicami”. Codziennie, czasem dwa razy na dzień, prowadnice sprzątają. Cały czas wagon ma wrzątek na herbatę. „Prowadnice” dbają, aby gotująca się woda była stale do dyspozycji podróżnych.

W chińskim pociągu, którym nierzadko jeździliśmy do Moskwy, dodatkowo w każdym przedziale znajduje się termos z bardzo gorącą wodą, kubki z chińskiej porcelany zaopatrzone w przykrywki, no i chińska herbata. Jeśli pasażer sobie życzy otrzymuje cukier. Rolę „prowadnicy” w chińskim pociągu zawsze pełni mężczyzna.

Śniadania i kolacje w pociągu robiło się we własnym zakresie, obficie korzystając z kolejowego wrzątku. Obiady zwykle jadało się w wagonie restauracyjnym. Niektóre dania były smaczne, inne mało jadalne. Dobra była zupa „solianka”. Był to rodzaj zupy ogórkowej z niewielką ilością świeżej wędliny, łyżeczką śmietany i kilku oliwkami. W pierwszych latach moich podróży na tej trasie, mniej więcej do 1986 r., można było w wagonie restauracyjnym dostać radziecki szampan i kanapki z czarnym kawiozem. Później zniknęła szampan, a po nim kawior.

Z Ułan Bator pociąg do Moskwy odjeżdżał o godzinie 13-tej lub 20-tej piętnaście. Zwykle jeździliśmy tym wcześniejszym. Po wyruszeniu pociągu jeszcze rzut oka na bloki, w których mieszkaliśmy w zachodniej części miasta, później na przedmieście Tołgojt i niebawem zmieniamy kierunek jazdy z zachodniego na północny. Kolej na długim odcinku trzyma się rzeczki

Chara. Zimą śnieg skrzy się diamentowymi błyskami, a błękitne cienie kładą się wokół mijanych krzaków, drzew, czy bardzo nielicznych budynków.

Po paru godzinach jesteśmy w Darchanie. Tutaj Mongołowie zlokalizowali swój przemysł skórzany i futrzarski. Większość przywożonych do kraju kozuchów tu właśnie była produkowana. Gdzieś między Darchanem, a Bajan Gołem rzeczka Chara wpada do Orchonu, a ten nieco dalej do Selengi, którą widzi się po raz pierwszy dojeżdżając do miejscowości Suche Bator.

Na granicznej stacji Suche Bator zawsze jest kontrola graniczna. Najpierw pobieżne sprawdzanie wagonów przez wojska pograniczne i oddawanie paszportów. Później przychodzą celnicy i odprawa celna jest na ogół bardzo dokładna. Jedna lub dwie butelki wódki pozostawione dla celników na stoliku pod oknem czynią ją szybszą i mniej dokładną. Po kontroli celnej otrzymujemy swoje paszporty i pociąg rusza do Nauszek – następnej stacji granicznej, tym razem już w Związku Radzieckim.

Kontrola wojsk pogranicznych jest bardzo dokładna. Pasażerowie wychodzą z przedziału na korytarz, a żołnierz dokładnie sprawdza wszelkie schowki. Przeszukują pomieszczenia na pościel pod siedzeniami i pomieszczenia na bagaż nad drzwiami przedziału. Zabierają paszporty i odchodzą. Po paru minutach przychodzą celnicy. Mówimy, że przez Związek Radziecki jedziemy tranzytem. Kontrola celna ogranicza się do wypełnienia i złożenia deklaracji celnej. Czasem padają retoryczne pytania: „Czy przewozi się broń, narkotyki, kamienie i metale szlachetne?” Na tym kontrola celna się kończy. Jedziemy dalej na północ.

Mijamy Gusino Oзеро i miasteczko Gusinooziersk. Pociąg tutaj nie zatrzymuje się. Nieco dalej przejeżdżamy przez Selengę. Przed południem jesteśmy w Ułan Ude. W języku Buriatów, bardzo podobnym do mongolskiego, znaczy to „Czerwone Urwisko”.

Jadąc z Ułan Bator do Chin, a więc po przeciwnej stronie Mongolii, mija się stację graniczną Zamyń-Ud („Zam”, to droga, „ud”, to urwisko, a więc Urwana Droga lub Koniec Drogi). Nie wiem, czy „ud” i „ude”, to różnica w narzeczu buriackim i mongolskim, czy też „ude”, to po prostu zniekształcone słowo łatwiejsze dla Rosjan w wymowie.

Z Ułan Ude transsyberyjska linia kolejowa biegnie na wschód przez Czytę, Nerczyńsk i Birobidżan nad rzeką Bira, do Chabarowska nad Amurem. W Chabarowsku Amur zmienia kierunek swego biegu na północno-wschodni i na wysokości północnej części Sachalinu wpada do Morza Ochockiego. Natomiast linia kolejowa z Chabarowska biegnie na południe z lekkim odchyleniem na zachód, do Władywostoku. Odgałęzienie do Ułan Bator, a potem do Pekinu, powstało w czasie i po drugiej wojnie światowej.

Z Ułan Ude jedziemy dalej na północ. Mijamy osady Bierzowskij oraz Ilinka. Między tymi miejscowościami (pociąg pospieszny relacji Ułan Bator – Moskwa nie zatrzymuje się na nich) linia kolejowa kolejny raz przecina Selengę. Rzeka płynie na północ i niebawem dużą deltą wpada do Bajkału. Linia kolejowa za miejscowością Kamiieńsk skręca na zachód i niebawem widzimy Bajkał. Jest wielki i majestatyczny. Wpada do niego 460 rzek i strumieni, z czego ponad 180 nie ma nazw.

Bajkał od dwudziestu milionów lat (powstał w górnym miocenie) zasypywany jest materiałem z otaczających go gór. Ma

założenia tektoniczne i jego dno stale opada w wyniku wstrząsów tektonicznych. Mówi się, że sejsmografy notują do 2000 wstrząsów rocznie. Niektóre z nich odczuwane są przez człowieka.

W 1862 roku wskutek jednego z wstrząsów tektonicznych zapadła się północna część delty Selengi i powstała Zatoka Prował, głębokości od trzech do siedmiu metrów. Zatoka jest obecnie dość intensywnie zasypywana przez materiał nanoszony przez rzekę. Bajkał, choć to najgłębsze jezioro świata, ma tylko nieco ponad 1600 metrów głębokości w swojej środkowej części. Ocenia się, że masa osadów złożonych w tym miejscu na dnie jeziora może dochodzić do siedmiu tysięcy metrów.

Linia kolejowa biegnąca w południowo zachodniej części jeziora niekiedy tak bardzo zbliża się do jego wód, że zdawałoby się wystarczy wyciągnąć rękę, aby ją zamoczyć! Następnie, pokonując kilka wąwozów wyciętych w nadbrzeżnych skałach (dawniej były tu tunele), kolej dociera do dużej stacji Słudianka. Tutaj pociąg zatrzymuje się.

W okolicach Słudianki jest kilka kamieniołomów, a dawniej były tu także kopalnie. Na wagonach towarowych w widzi się tłuczeń i bryły marmuru. Sama nazwa miejscowości pochodzi od rosyjskiego słowa oznaczającego mikę – „sliuda”.

Ze Słudianki linia kolejowa licznymi serpentynami pnie się na zbocze masywu sąsiadującego z Bajkałem. W kilku miejscach, już ze znacznej wysokości, widzi się spory obszar wód jeziora. Patrząc na nie za każdym razem przypominają mi się słowa rosyjskiej pieśni o włóczędźce, który przeprowiał się przez Bajkał. Nieomal słyszy się brzęk kajdan jego brata.

Jadąc do Irkucka na północny zachód, ale bardziej na północ, linia kolejowa przecina długim tunelem część masywu

skalnego. Góry porasta tajga. Dojeżdżając do Irkucka na pewnym odcinku jedzie się wzdłuż Angary, jedynej rzeki, która wypływa z Bajkału. W Irkucku dwadzieścia minut postoj. Za miastem widoczny jest duży zalew przy elektrowni wodnej. W zapadającej ciemności płoną ognie rafinerii ropy naftowej.

Jadąc po raz ostatni tą trasą, za Irkuckiem mijam już nocą kolejne stacje, na których pociąg się zatrzymuje: Angarsk, Czeremchowo, Zima, Tułun, Niżnieudinsk, Tajszet, Kańsk, Zaoziernyj. Wszystkie te miejscowości wcześniej oglądałem za dnia, lub w czasie zapadającego zmierzchu. Szczególnie pięknie wygląda dworzec kolejowy Zima. Ma on charakter carskiego pałacyku i szczególnie zimą nazwa miejscowości i jej dworca kolejowego wydaje się w pełni uzasadniona!

Jadąc na tym odcinku trasy w czerwcu widzi się piękną syberyjską wiosnę. Łąki pokrywa różnobarwne kwiecie. Kwitną czeremchy i bzy. Brzozy mijanych zagajników uśmiechają się białą korą swoich pni skąpanych w wiosennym słońcu.

Zatrzymujemy się w Krasnojarsku. Przed miastem przejeżdżamy nad wielkim Jenisejem. Można sobie wyobrazić, jak szeroki jest on w swoim dolnym biegu! Dalej jedziemy przez Arczyńsk, Bogotoł, Maryńsk i Jaja. Nazwa tej ostatniej miejscowości w języku rosyjskim składa się z dwu liter i szczególnie rzuca się w oczy oraz zapada w pamięć. Między Jajami a Tajgą, na północ od linii kolejowej, widoczne jest większe miasto Anzero-Sudżeńsk. W miejscowości Tajga postój. Stąd odgałęzienie linii kolejowej prowadzi na północny zachód do Tomska (około stu kilometrów od Tajgi). Mimo nazwy „Tajga” tajgi tu nie widać. Być może rośnie ona dalej na północ. Patrząc z okien pociągu, tajga skończyła się tuż za Krasnojarskiem.

Jurga – węzłowa stacja. Stąd okrężną drogą linia kolejowa prowadzi do Barnaułu, ale znacznie bliżej jest do Barnaułu z Nowosybirska. Mijamy bez zatrzymywania miejscowość Bołotnoje i wjeżdżamy do Nowosybirska – stolicy Syberii. Miasto leży nad rzeką Ob. Mieści się tutaj duży uniwersytet z wydziałem geologii. Nasz Instytut miał w swoim czasie kontakty z tą uczelnią. W Nowosybirsku, a ściślej na jego peryferiach, mieści się całe miasteczko akademickie.

Z Nowosybirska w prostej linii na północny wschód do Tomska jest dwieście kilometrów. Ze stolicy Syberii jedziemy dalej Niziną Syberyjską, przez Czulym, Barabińsk, Tatarsk, do Omska, który leży nad rzeką Om. Rzeką Om niedaleko stąd wpada do Irtyszu. Dalej przez miejscowość Nazywajemskaja osiągamy Iszim, nad rzeką o tej samej nazwie. Na trasie między Nowosybirskiem, Omskiem i miejscowością Iszim z okien pociągu widzi się mniejsze i większe, często okrągławe jeziora porośnięte w znacznym stopniu trziną.

Na mapie widać, że bardzo liczne drobne jeziora znajdują się w dorzeczu większych rzek syberyjskich: północnego Jeniseju, środkowego biegu Obu i dolnego Tobołu. Bardzo wiele takich jezior ciągnie się na południowy zachód od miejscowości Iszim. Jeziora są doskonale widoczne, gdy leci się samolotem nad Nowosybirskiem i Omskiem w kierunku południowego Uralu. Wygląda to trochę tak, jakby bombardowano ciężkimi bombami podmokłe tereny.

Patrząc przez okna wagonu odczuwa się ogromne przestrzenie Syberii. Mając świadomość, że niesie nas szybki nowoczesny pociąg z elektrycznym napędem, uczucie zagubienia jest mniejsze. Mogę sobie wyobrazić uczucia pasażerów w czasie rewolucji, lub tuż po niej, gdy podróż nie była taka pewna.

Jeszcze dziś opowiada się, jak to w czasie wojny domowej 1917 r. pociąg długo stoi na małej syberyjskiej stacji, a pasażer pyta: „Czemu tak długo stoimy?” „Wymieniamy parowóz – odpowiada maszynista. „Na nowy?” – chce wiedzieć pasażer. „Nie, na wódkę” – odpowiada tenże maszynista.

O przestrzeniach tej części Rosji mówią odległości: z Omska do Zatoki Obskiej (Omskaja Guba) w prostej linii, po prawie całkowitych bezdrożach, jest 1250 kilometrów. Stąd do północnych brzegów Półwyspu Jamalskiego dalszych 730 kilometrów. A więc z Omska do północnych krańców Jamału, bogatego w gaz i ropę naftową, jest bez mała 2000 kilometrów.

Wracając do naszej podróży: za Iszimem przejeżdżamy Jałutorowsk nad rzeką Tobał i osiągamy stację Tiumeń nad rzeką Tura. Tiumeń, to spore miasto przemysłowe i uniwersyteckie. Kwitnie przemysł naftowy. Są rafinerie, co widać szczególnie nocą, gdy płonie gaz wypuszczany z przewodów naftowych. Stąd odchodzi linia kolejowa do Tobolska (znanego z piosenki Pietrzaka) odległego „zaledwie” o dwieście kilometrów.

W czasie jednej z moich podróży na dworcu w Tiumentiu do naszego wagonu wsiadła w pośpiechu młoda dziewczyna. Nie bardzo wiedziała co ze sobą zrobić, gdy się zorientowała, że jest w wagonie pierwszej klasy, to znaczy w wagonie z przedziałami „LUX”.

Jechałem wówczas sam w przedziale, bo mój współtowarzysz podróży wysiadł w Omsku. Zaprosiłem dziewczynę do swego przedziału. Okazało się, że jest ona studentką tiumeńskiej wyższej szkoły weterynaryjnej. Była Kazaczką i jechała na wakacje do rodzinnej miejscowości w Kazachstanie. Ma mieć przesiadkę w Swierdłowsku (obecnie Jekatierynburg). Dziewczyna była śliczną dwudziestoletnią brunetką, czarnoooką i

czarnobrewą, o delikatnej, bardzo jasnej karnacji i niezwykle regularnych rysach, przy których lekko skośne oczy w pełni harmonizowały z resztą twarzy, jak i z całą szczupłą, bardzo zgrabną postacią. Była ubrana skromnie, ale gustownie.

Polacy zwykle są szarmanccy w stosunku do kobiet, a już obowiązkowo w stosunku do ładnych kobiet. Zdjąłem z dziewczyny płaszcz, umieściłem na półce jej niewielki bagaż i pytam, dokąd jedzie.

Odpowiada mi, że jest sierotą. Jej brat, z którym ma się właśnie zobaczyć, przyjedzie z Mongolii, gdzie odbywa służbę wojskową w radzieckiej armii. Bardzo się cieszy na to spotkanie, bo to jej jedyny bliski krewny. W czasie, gdy Tania (takie miała imię) opowiadała o życiu na uniwersytecie i o tym jak miejscowa kazachska wspólnota wysłała ją na studia jako sierotę, a równocześnie bardzo dobrą uczennicę, ja przygotowałem torcik wedlowski i herbatę. Torcik wyraźnie dziewczynie smakował, a ja zachęcałem do jedzenia. Gdy zniknęła większa część torcika, Tania popatrzyła z niepokojem na swoje palce umazane czekoladą. Sięgnąłem po serwetki. Wytarłem dziewczynie palce, lekko zwilżyłem serwetkę ciepłą wodą, wytarłem jeszcze raz, a na koniec czystą serwetką do sucha.

Młoda Kazaczka patrzyła na moje zabiegi co najmniej zdziwiona, a gdy już przyszła do siebie, przemówiła: „*Pan zupełnie zachowuje się jak dżentelmen*”. Biedactwo, coś jednak musiało słyszeć o „wielkim świecie”. Okazało się, że dziewczyna jest wielbicielką Janka Kosa z „Czterech pancernych i psa”. Pyta, jak on teraz wygląda? Odpowiadam, że podobnie jak ja, z tym, że jest znacznie grubszy. Prawie się obraziła. Ciągłe Janusz Gajos był dla niej uroczym dwudziestolatkiem. Dwie godziny dzielące Tiumeń od Swierdłowska zleciały nad wyraz szybko.

Dopiero przy kolejnej podróży zauważyłem przed Swierdłowskim miasteczko i stację kolejową Bohdanowicz, na której ekspresowe pociągi nie zatrzymują się. A Karol Bohdanowicz to nie tylko geolog i budowniczy kolei transsyberyjskiej, ale także dyrektor Państwowego Instytutu Geologicznego w latach 1938-1947. Swierdłowsk leży na Uralu. Na długo przed wjazdem do miasta, a także po jego opuszczeniu, widzi się hałdy i szyby kopalniane.

Pół godziny jazdy pociągiem pospiesznym w kierunku Moskwy doprowadza nas do granicy Azji i Europy. Na skarpie kolejowej widnieje wyraźny obelisk graniczny szarej barwy. Jest to 1777 kilometr licząc od Moskwy wzdłuż głównej linii kolei transsyberyjskiej. Później, już w Europie, mijamy Kazino nad rzeką Czusowaja i Kungur nad rzeką Ireń. Obie rzeki wiją się wśród uralskich lasów.

Nocą mijamy Perm. W czasach moich podróży był to zawsze Perm, ale wcześniej miasto nazywało się Mołotow, począwszy od czasów rewolucji. Na wschód od Permu rozciąga się pasmo Gór Uralskich. Na zachód od Permu mijamy Wereszczagino, gdzie pociąg się nie zatrzymuje, później Bolezino, gdzie się zatrzymuje i piątego dnia podróży rano (od wyjazdu z Ułan Bator) jesteśmy w dużym mieście Kirow nad rzeką Jatka. W okolicach Kirowa widoczne są liczne tartaki. Wiele obiektów jest zaniedbanych, nierzadko zrujnowanych. Na rzekach widoczny jest splaw drewna. Wiele bali tonie w czasie splawiania, a wiele sterczy z wody częściowo tkwiąc w dennym mule.

W Szarii na dworcu, a raczej przed nim, stoi popiersie Lenina. Na stacji Buj – złocisty pomnik wodza rewolucji. Nie zauważyłem takich upiększeń ani na stacjach syberyjskich, ani na

Uralu. Mijamy miejscowość Dawydow i stajemy na stacji w Jarosławlu nad Wołgą. Widoczne są niedawno odnowione cerkwie. Kopuły lśnią złotym blaskiem. W Zagorsku z okien pociągu widzi się duży, odnowiony kompleks cerkiewny. Wieczorem jesteśmy w Moskwie, zaledwie z dwudziestominutowym opóźnieniem.

Z dworca Jarosławskiego taksówką dostajemy się na dworzec Białoruski, gdzie za każdym razem trzeba spędzić noc. Bagaż najczęściej oddajemy do przechowalni. Czasem na dworcu od godziny dwunastej do szóstej rano można przenocować za małą opłatą w sypialnych wagonach stojących na specjalnych peronach. Noc w stojącym pociągu nie należy do przyjemności. Ubikacje w takim pociągu są zamknięte, wrzątku nie ma.

Z Moskwy wyjeżdżamy szóstego dnia podróży około południa. Wiaźma wita nas o godzinie 15-tej minut pięćdziesiąt. W Smoleńsku jesteśmy o 18-tej. Widoczne są cztery odnowione cerkwie oraz zamek z wieżą i obronnymi murami. Czterdzieści kilometrów na zachód od Smoleńska mijamy Katyń. Orsza nad Dnieprem przyzywa na pamięć chorążego orszańskiego.

Prawie o 22-giej jesteśmy w Mińsku. Stąd przez Baranowicze wjeżdżamy do Brześcia (Briest). W Brześciu mamy dwugodzinny postój: od godziny pierwszej dwadzieścia pięć do godziny trzeciej dwadzieścia pięć. Następuje bardzo dokładna kontrola służb granicznych oraz odprawa celna, raczej pobieżna.

W Terespolu, nareszcie w Polsce, stoimy od godziny pierwszej czterdzieści trzy do godziny pierwszej pięćdziesiąt; zmiana czasu – według czasu moskiewskiego: od godziny trzeciej czterdzieści trzy do godziny trzeciej pięćdziesiąt. Odprawa paszportowa i celna odbywa się w jadącym pociągu na

trasie Terespol – Siedlce. W Siedlcach pracownicy służby pogranicznej i celnej wysiadają.

W Warszawie Wschodniej jesteśmy o godzinie 4-tej minut dwanaście i stoimy do godziny 4-tej minut trzydzieści. Wsiadamy na dworcu Centralnym w Warszawie o godzinie 4-tej minut czterdzieści siódmego dnia, licząc od opuszczenia Ułan Bator.

Starość w pracy

Po powrocie z Mongolii załatwiam formalności związane z przyjazdem do Instytutu. Nie było mnie tutaj prawie siedem lat. Otrzymuję półroczny urlop za przepracowane w Mongolii soboty. „Geopol” wydał odpowiednie zaświadczenie, a Instytut musi je honorować.

Po kilku tygodniach od powrotu odbieramy nasze większe bagaże, które odbyły podróż pociągami towarowymi. Czas dzielę między rodzinę w Milanówku, a pomoc Mamie w Warszawie. Zwykle spędzam trzy dni u Mamy i cztery z Terenią w Milanówku. Tak wypełnia się tydzień. Pod koniec 1991 roku odezwała się choroba Tereni. Odwiedza ona co jakiś czas szpital przy ulicy Wawelskiej i przechodzi zabiegi zwane chemioterapią.

Po skończonym urlopie, od pierwszego lutego 1991 roku kontynuuję pracę w Państwowym Instytucie Geologicznym. Z początku wydaje się, że nie ma dla mnie pracy. Hanka Chilińska, nasz mongolski opiekun z ramienia Instytutu w latach 1984–1990, prowadzi mnie do dyrektora pionu surowcowego, dr Macieja Podemskiego. Ten szuka kandydata na stanowisko kierownika Centralnego Archiwum Geologicznego. Po

konsultacjach z Terenią nie dają wiążącej odpowiedzi. Mówię, że raczej nie chcę tego stanowiska.

Dostaję w tym czasie do wykonania arkusz Wierzbica Szczegółowej Mapy Geologiczno-Gospodarczej Polski w skali 1: 50 000. Sąsiedni arkusz robi mgr Irena Olkowicz-Paprocka. Wiele czynności wykonujemy razem. Odbywamy kilka podróży do Radomia, gdzie korzystamy z archiwum Wydziału Ochrony Środowiska w Wojewódzkiej Radzie Narodowej. Każde z nas odbywa konieczne marszruty terenowe.

Niezależnie od tej pracy, dyrektor Podemski polecił mi przeprowadzenie pełnego opisu wszystkich archiwów w kraju należących do Państwowego Instytutu Geologicznego. Wykonując tę pracę zetknąłem się po raz pierwszy z ówczesnym kierownikiem Centralnego Archiwum Geologicznego – w skrócie CAG - mgr Maciejem Rajeckim i kierownikami poszczególnych archiwów, które mu podlegały: mgr Aleksandrą Piechocką – Archiwum Materiałów Geologicznych, Ewą Tomalak – Archiwum Map oraz Włodzimierzem Łachnikiem – Archiwum Rdzeni i Próbek Geologicznych. W porozumieniu z M. Rajeckim i W. Łachnikiem odwiedziłem wszystkie archiwa rdzeni wiertniczych podległe bezpośrednio CAG w Warszawie.

Zaczynając od wschodu, odwiedziłem archiwum w Szurpiłach (gmina Jeleniewo, woj. Suwalskie, obecnie Podlaskie). Następnie opisałem archiwum w Hołowni (gmina Podedwórze, między Parczewem a Włodawą). Stąd pojechałem do Magazynu Map, należącego do Archiwum Map CAG, w Rzeczycy Księżej koło Kraśnika. Kolejną wizytą objąłem archiwum rdzeni w Iwicznej (gmina Piaseczno koło Warszawy) i Zespół Archiwów Rdzeni i Próbek „Leszcze” koło Kłodawy. Do tego zespołu należały magazyny rdzeni w trzech obiektach: największy w

Leszczach, mniejszy w Słupeczce i najmniejszy w Bierzwiennej. Zarówno w Leszczach, jak i w Iwicznej przechowywane są oprócz rdzeni wiertniczych także materiały archiwalne Archiwum Materiałów Geologicznych.

Kolejną kontrolę przeprowadziłem w archiwum rdzeni „Kielniki”, gdzie wszystkie rdzenie leżały w stosach na wolnym powietrzu. Archiwum zarządzał w tym czasie doc. dr Longin Wielgomas. Robił on to nienajlepiej. Kielniki należą do wsi Przymiłowice i leżą w gminie Olsztyn – miasteczku na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, zaledwie dziesięć kilometrów na południe od Częstochowy.

W tym czasie odwiedziłem także archiwa znajdujące się w gospodarskich stodołach: w Głuszycy Górnej, gmina Głuszycza koło Wałbrzycha i w Michałowie (gmina Chocianów koło Lubina).

Na koniec odwiedziłem archiwum rdzeni w Puławach, gdzie spędziłem przed laty wiele dni profilując otwory wiertnicze wykonane w regionie lubelskim. Archiwum zarządzane było już przez drugie pokolenie państwa Stefaniaków. Teraz rządził tu Wiesław.

Po opisanu archiwów podległych bezpośrednio centrali musiałem odwiedzić także wszystkie archiwa w oddziałach regionalnych PIG, a były to:

- Archiwum Materiałów Geologicznych i Archiwum Rdzeni w Krakowie (Oddział Karpacki – kierownik dr Danuta Poprawa). Jej podlegało archiwum rdzeni w Marszowicach koło Wieliczki.

- Archiwum Materiałów Geologicznych i Archiwum Rdzeni w Kielcach (Oddział Świętokrzyski – kierownik doc. dr hab. Zbigniew Kowalczewski).

- Archiwum Materiałów Geologicznych i Archiwum Rdzeni w Sosnowcu (Oddział Górnośląski – kierownik dr Józef Porzycki. Niebawem poważnie zachorował i zmarł. Kontakty miałem z jego następcą – dr Albinem Zdanowskim). Zdanowskiemu podlegało archiwum rdzeni w Będuszu koło Myszkowa.

- Archiwum Materiałów Geologicznych i Archiwum Rdzeni we Wrocławiu (Oddział Dolnośląski – kierownik dr Stefan Cwojdziański – mój dobry znajomy z czasu prac w Mongolii na masywie ługijngolskim). Cwojdziańskiemu podlegało także archiwum rdzeni w Sadowicach koło Wrocławia.

Z południa Polski przenieśliśmy się do oddziałów regionalnych nad morzem:

- Archiwum Materiałów Geologicznych i Archiwum Próbek i Rdzeni w Sopocie (Oddział Geologii Morza – kierownik dr Joanna Zachowicz).

- Archiwum Materiałów Geologicznych w Szczecinie (Oddział Pomorski – kierownik mgr Michalina Ruszałowa). Oddział Szczeciński posiadał w tym czasie archiwum rdzeni w Dobropolu Gryfińskim, na południe od Szczecina.

Wynikiem wizytacji i kontroli w licznych archiwach było dwutomowe opracowanie, w którym przedstawiłem stan fizyczny poszczególnych archiwów, ich magazynów i zgromadzonych w nich materiałów, stan prawny archiwów, wreszcie postulaty dotyczące koniecznych remontów i zmian w archiwach. Dyrektor M. Podemski przyjął opracowanie z uznaniem i ponowił propozycję objęcia CAG.

W tym czasie zakończyłem prace nad mapą geologiczno-gospodarczą Polski - arkusz Wierzbica.

W 1991-szym roku powróciła choroba Tereni. Jesienią poczuła się wyraźnie gorzej. Po kolejnej chemioterapii była

bardzo słaba i z trudem poruszała się po mieszkaniu. Zmarła ósmego grudnia 1991 roku. Ania w tym czasie mieszkała z Jarkiem w Kłodzie „na działce” koło Ryczywołu, niedaleko Kozienic. Mój syn Janusz mieszkał razem z żoną w Milanówku, więc ja przenieśliśmy się całkowicie do Mamy mieszkającej przy ulicy Sempołowskiej w Warszawie. Zaledwie półtora roku później zmarła mama Tereni.

Kierowanie Centralnym Archiwum Geologicznym.

Gdy w styczniu 1992 roku dyrektor dr Maciej Podemski po raz kolejny zaproponował mi kierowanie Centralnym Archiwum Geologicznym wyraziłem zgodę, acz bez większego entuzjazmu. „Wysadzałem z siodła” dotychczasowego kierownika mgr Macieja Rajeckiego. Zmiany na tym stanowisku domagało się Ministerstwo Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa. Ostatni człon nazwy ministerstwa „Leśnictwa” dodano w ramach kolejnych reorganizacji na szczeblu rządowym. Wielokrotnie zdarzało się, że kosmetyka zmian polegała głównie na zmianie nazwy ministerstwa.

Dyrektor Podemski postawił sprawę jasno: albo ja pokieruję CAG-iem, albo on weźmie kogoś „z ulicy”, jak to określił. Z rozmowy zrozumiałem, że odrzucając propozycję będę miał w Instytucie ciężkie życie i w dodatku słabo płatne. W ten oto sposób na starość zdobyłem dobrze płatne kierownicze stanowisko i wszedłem do elity zarządzającej naszym Instytutem. Nie bez znaczenia dla nacisków ze strony M. Podemskiego była opinia o mnie z Mongolii, gdzie przez kilka lat nieźle kierowałem dużą grupą geologów i wiertaczy.

Jeszcze w 1991 roku ówczesny dyrektor naczelny Instytutu, prof. dr hab. Krzysztof Jaworowski, poprosił mnie, abym poprowadził wybory do Rady Naukowej PIG. Przewodniczący Komisji Wyborczej do Rady Naukowej musi być profesorem, albo doktorem habilitowanym i nie może kandydować do Rady. Zgodziłem się, bo nigdy nie miałem ambicji uczestniczenia w obradach Rady Naukowej i nie lubię zabierać głosu w sprawach, gdzie nie ma się (na ogół) nic do powiedzenia. Znam natomiast kolegów, którzy „kochają mówić” nawet wtedy, a może szczególnie wtedy, gdy nie mają nic ważnego do powiedzenia.

Powołany w 1994 roku nowy dyrektor naczelny, prof. dr hab. Stanisław Speczik, polecił mi przeprowadzić wybory do Rady Naukowej Instytutu w 1995 roku. Kadencja Rady trwa cztery lata. Tak więc w 1999 roku profesor Speczik, tym razem już poprosił mnie, abym przeprowadził kolejne wybory do Rady Naukowej PIG.

Rola przewodniczącego Komisji Wyborczej jest raczej niewdzięczna. Poza dodatkową pracą zawsze jest parę osób niezadowolonych. Są to zwykle ci kandydaci, którzy mieli za mało głosów, aby wejść do Rady. Rada Naukowa Państwowego Instytutu Geologicznego liczy czterdzieści osób, w tym sześciu profesorów spoza Instytutu (tak było w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku).

Rok 1992 zaowocował drukiem mojego arkusza „Wierzbica” i wyjazdem pod koniec roku do Danii. Już w czerwcu dyrektor Podemski zaproponował mi ten wyjazd i polecił wyrobienie nowego, nie służbowego paszportu. Niebawem otrzymałem paszport ważny przez dziesięć lat i uprawniający do poruszania się po całym świecie.

Do Kopenhagi wylatuję z dyrektorem dr Maciejem Podemskim 13 grudnia wieczorem. W stolicy Danii jesteśmy o godzinie 21,05. Na lotnisku oczekiwał nas kierownik archiwów Duńskiej Służby Geologicznej, czyli Danmarks Geologiske Undersøgelse, w skrócie DGU (O lub U czyta się u Duńczyków jak niemieckie „U” umlaut) – Finn Nyhuus Kristoffersen. Odwiózł on nas do hotelu „Komfort” w śródmieściu Kopenhagi. Nazajutrz okazało się, że jest to dzielnica hotelowa. W stosunkowo niewielkiej odległości rozgościło się tutaj dwanaście hoteli. Nasz hotel przy ulicy Longangsstraede 27 znajdował się dość blisko ogrodów Tivoli.

Przez kilka dni do siedziby DGU przy ulicy Thoravej 8 jeździliśmy miejskim autobusem. Pieszko szliśmy do Vesterbrogade. Stąd już autobusem przez Andersens Boulevard – Gyldenlovesgade HG i wzdłuż dużego stawu w betonowym obramowaniu – ulicą Norre Sogade. Istnieje tu ciąg pięciu stawów. Każdy z nich ma inną nazwę, mimo że stanowią jeden ciąg, nad którym przerzucono cztery mosty.

Z ulicy Norre Sogade jednym z mostów wjeżdżamy w ulicą Norrebrogade, skręcając na północny wschód. Po przekroczeniu linii kolejowej autobus skręca w ulicę Frederiksundvej, a potem w Glasvej i wysiadamy tam, gdzie ta ostatnia łączy się z bardzo długą ulicą Frederiksborgvej. Pieszko dochodzimy do siedziby Duńskiej Służby Geologicznej przy ulicy Thoravej 8.

Pierwszego dnia poznajemy działanie komputerowego systemu Archiwum Materiałów Geologicznych. Po paru godzinach mamy okazję zobaczyć udostępnianie materiałów geologicznych przez DGU.

Następnego dnia przedstawiono nam bardziej szczegółowo problem sprzedaży materiałów archiwalnych Duńskiej Służby Geologicznej i zaprezentowano sposób przechowywania w archiwum DGU materiałów geologicznych i geofizycznych.

Szesnastego grudnia zapoznano nas z metodami przechowywania, archiwizowania i opracowywania rdzeni wiertniczych znajdujących się w kopenhaskim archiwum rdzeni i próbek, położonym niedaleko siedziby DGU, także przy ulicy Thoravej.

Cztery kolejne wieczory spędziliśmy na spacerach po stołecznej „starówce” i okolicach naszego hotelu, z dala oglądając Park Tivoli i browary Tuborga.

Jedna z ulic „starówki”, zamknięta dla ruchu kołowego, tonęła w feerii świateł zbliżającego się Bożego Narodzenia. Sklepy otwarte były do późnych godzin nocnych. Nad ulicą zwisały girlandy świerkowych gałęzi, tonących w morzu światełek. Na ulicy słyszy się języki różnych narodowości i widzi się wszystkie rasy ludzkie. Grają kilkoosobowe orkiestry i pojedynczy grajkowie. Jakaś sekta zbiera na coś datki. Starsza kobieta przemawia. Może agituje? Do hotelu wracamy pod wrażeniem stołecznego śródmieścia i dość zmęczeni.

Rano kolejne śniadanie. Każdy sam wybiera sobie zimne dania. Wchodzą one w koszt noclegu. Za ciepłe dania trzeba płacić.

17-go grudnia F.H. Kristoffersen zabiera nas do Hillerød, odległego o 40 kilometrów na północ od Kopenhagi. Po drodze mijamy jakąś okazałą królewską rezydencję o charakterze starego zamczyska, ale położonego w pięknych ogrodach.

W Hillerød znajdują się dwa duże magazyny rdzeni wiertniczych i próbek stanowiących własność DGU.

Po południu F.H. Kristoffersen zaprasza nas na kolację do swego domu, odległego około 60-ciu kilometrów od centrum stolicy. Jedziemy około godziny, mimo że jest to godzina szczytu, a musieliśmy przejechać prawie całą Kopenhagę.

Na miejscu gospodarz prezentuje nam swoje gospodarstwo: kurnik i oborę dla owiec. On i jego żona są jaroszami. Jedzą tylko kurze jaja.

Kilkupokojowy parter ma dużą jadalnię. Na piętrze jest coś w rodzaju salonu dla gości i mały, oddzielny pokój gościnny. Pijemy napoje. Salon nie ma sufitu. Salon i pokoik gościnny przykryte są bezpośrednio ocieplanym dachem.

Po pewnym czasie schodzimy na dół. Gospodyni – lekarz pracujący w miejskim szpitalu Roskilde – podaje dość gęstą zupę pomidorową, a potem „potrawę wieczoru” – ryż na gorąco z kawałkami śledzia, a całość bogato przybrana krewetkami. Pani domu mimochodem zauważa, że w daniu tym szczególnie drogie są krewetki. Potrawa, w przeciwieństwie do zupy, jest bardzo smaczna. Do drugiego dania podano kieliszek białego wina. Po kolacji gospodarz odwozi nas swoim samochodem do naszego hotelu.

18-ty grudnia, to ostatni dzień naszego pobytu w Danii i w Duńskiej Służbie Geologicznej. Składamy wizytę głównemu geologowi, Arne Dinesenowi. Tu przyłączył się do nas dyrektor DGU, dr O.W. Christensen. Po południu Arne Dinesen zaprosił nas na obiad do pobliskiej małej restauracji. Poszliśmy pieszo. Lokal miał wszystkiego trzy stoły, prawda, że obszerne. Przy naszym siedzieliśmy we czwórkę.

Po raz pierwszy jadłem śledzie na słodko. Wolę jednak tradycyjne. Doskonałe było piwo. Dość mocne, barwą wpadające w czerwień. Arne mówił, że wyrabia się je w niewielkich

ilościach w małych wytwórniach tylko w okresie Bożego Narodzenia. O wielkich duńskich firmach piwowarskich wielu Duńczyków wyraża się z przekąsem.

Dziwna rzecz – wielu ludzi tego bogatego kraju nie przepada za bogaczami. Często wyczuwało się pewne sympatie dla zachodnio-europejskiego socjalizmu.

Po obiedzie odwieziono nas do hotelu, a potem na lotnisko. Odlot do Warszawy nastąpił o godzinie 19,10.

Działania kierownicze

Przedstawię swoje działania kierownicze w okresie od 1 lutego 1992-go roku, praktycznie do końca 2001 roku.

Być może przegląd tych działań wyda się monotony, ale pokazuje on ile można, w sprzyjających warunkach, dokonać na przestrzeni dziesięciu lat. Wspomniane sprzyjające okoliczności, to niewątpliwie moi koledzy w Ministerstwie Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa – mgr Ryszard Cichy i mgr Bronisław Orłowski. Dzięki wyrobieniu sobie u nich dobrej opinii popierali oni wiele moich postulatów u dyrektora Departamentu Geologii, dr Jacka Jezierskiego i w dziale finansowym ministerstwa, gdzie z kolei bardzo dobre układy miał nasz dyrektor do spraw administracyjnych, inż. Janusz Drzewiński. Potrafił on dobrze porozumiewać się z wielu urzędnikami, a szczególnie z panem mgr Bolesławem Kotowskim.

Trzeba podkreślić, że co miesiąc w ministerstwie podpisywano tak zwany obmiar robót, czyli krótkie sprawozdanie z przeprowadzonych planowych prac, które podpisywał R. Cichy

lub B. Orłowski, a dopiero później przyjmował je pan mgr Bolesław Kotowski.

Nie bez wielkiego znaczenia w moich działaniach miała życzliwość i zrozumienie potrzeb CAG mego dyrektora, dr Macieja Podemskiego, a także moje dobre układy z większością załogi.

Wracając do moich działań kierowniczych należy podkreślić, że jeszcze w 1992 roku utworzono sześć filii CAG – po jednej w każdym oddziale regionalnym PIG.

W tym samym roku wybudowano duży magazyn rdzeni w Puławach (obok trzech już dawniej istniejących). Rozpoczęto budowę trzech magazynów rdzeni w Leszczach oraz dużego archiwum rdzeni w Halinowie. Halinów leży w połowie drogi między Mińskiem Mazowieckim, a Warszawą. Ponadto rozpoczęto budowę archiwum rdzeni w Michałowie, niedaleko od Lubina. Ta lawina inwestycji możliwa była dzięki pojawieniu się możliwości wykorzystania dotacji Komitetu Badań Naukowych.

Poza inwestycjami przeprowadzono szereg prac adaptacyjnych i porządkowych w archiwach oddziałów regionalnych, czyli już w filiach CAG.

Przeprowadzono takie prace w oddziałach: Dolnośląskim, Górnośląskim, Karpackim, Świętokrzyskim i Geologii Morza, a także w archiwach CAG w Leszczach, Puławach i Michałowie.

W 1993 roku zakończono budowę archiwum rdzeni w Halinowie i trzech nowych magazynów rdzeni w Leszczach. Zakończono budowę czterech magazynów rdzeni w Michałowie, dokąd przewieziono rdzenie z Głuszycy Górnej koło Wałbrzycha. W Głuszycy zlikwidowano magazyn rdzeni wiertniczych,

nie przedłużając umowy wynajmu stodoły, w której dotychczas przechowywano rdzenie.

W Marszowicach (filia CAG przy Oddziale Karpackim PIG) zakupiono budynek, w którym dotychczas przechowywano rdzenie. Budynek wyremontowano, a rdzenie uporządkowano.

Przeprowadzono prace adaptacyjno-remontowe w Sadowicach (filia CAG przy Oddziale Dolnośląskim) i w piwnicach oddziału we Wrocławiu, gdzie uporządkowano zgromadzone tam próbki geologiczne.

W Szurpiłach jeden z magazynów otrzymał betonową posadzkę.

Centralne Archiwum Geologiczne przejęło administrację Archiwum Rdzeni „Kielniki” koło Olsztyna w powiecie częstochowskim. W Olsztynie znajdowała się w tym czasie doskonała piekarnia. Przy każdej okazji kupowałem tutaj chleb, zarówno w czasie pracy w „Kielnikach”, jak i wracając do Warszawy. W mieście bywały także znakomite wędliny, a szczególnie smaczny bywał salceson.

W „Kielnikach” zmieniłem dozorującego tu doc. dra Longina Wielgomasa (przeszedł na emeryturę) na Aleksandra Pawlika, który razem z panią Anią Ziębacz rządził tym archiwum. Do „Kielnik” przewieziono z Olkusza ponad 20 000 skrzyń z rdzeniem. Rdzenie zostały przekazane nam przez Krakowskie Przedsiębiorstwo Geologiczne.

Ponadto w 1993 roku przeprowadzono niezbędne remonty w „Hołowni” i w „Zespole Leszcze”.

W 1994 roku kontynuowano prace porządkowe w archiwach: „Hołowno”, „Kielniki”, „Leszcze”, „Puławy” i „Szurpiły”. Uratowano przed zniszczeniem 18 000 skrzyń z rdzeniem,

wykonując nowe napisy na starych skrzyniach, a często przekładając rdzeń do nowych skrzyń.

We wszystkich archiwach rdzeni prowadzono niezbędne remonty. W niektórych nich były to remonty poważniejsze:

- W archiwum „Michałów” wykonano 60 mb regałów, założono instalację elektryczną we wszystkich pięciu magazynach, wyposażono archiwum w niezbędny sprzęt przeciwpożarowy i odwiercono studnię.

- W archiwum „Puławy” wykonano 40 mb stołów do profilowania rdzeni i założono nad nimi odpowiednie oświetlenie. Przeprowadzono konieczny remont drzwi i okien w magazynach oraz usunięto uschnięte dęby zagrażające bezpieczeństwu magazynów.

- W archiwum „Szurpily” przeprowadzono remont i malowanie elewacji domu mieszkalnego, remont drzwi i komina. Położono betonową posadzkę w magazynie „B”. Założono instalację elektryczną w magazynach „B”, „D”, „H” oraz odnowiono i pomalowano zardzewiałą konstrukcję metalową w magazynach „B”, „D”, „E”. Wykonano wózek do transportu skrzyń.

- W magazynie map w Rzeczycy Księżej założono ogrzewanie gazowe, doprowadzając do obiektu gaz ziemny z gazyfikowanej właśnie wsi. Wyremontowano dach, zewnętrzne ściany budynku i ogrodzenie.

- W archiwum „Piaseczno” odnowiono dwie pracownie, hall (w nowym Polskim Słowniku z 2001 roku preferuje się pisownię „hol”) i pomieszczenia sanitarne. Pomalowano dach budynku dysperbitem.

- W archiwum „Hołowno” przeprowadzono konserwację ogrodzenia, remont urządzeń elektrycznych w budynku

mieszkalnym i w magazynie nr 6, naprawę kanalizacji, uszczelnienie dachu w magazynie nr 3 i konserwację części metalowych ścian w magazynie nr 6.

- W zespole archiwów „Leszcze” oraz w archiwum „Kielniki” przeprowadzono bieżące remonty siłami zatrudnionych tu pracowników.

- Archiwum Rdzeni w Halinowie wyposażono w ramach środków inwestycyjnych w komplet pojemników do przechowywania skrzyń z rdzeniem. Od 1995 roku w archiwum „Halinów” będą składowane najbardziej cenne rdzenie wiertnicze.

Odwiedzam Lwów

W połowie 1994 roku prof. dr hab. Waław Ryka, jeszcze do niedawna dyrektor naczelny Państwowego Instytutu Geologicznego, zaproponował mi wyjazd do Lwowa na zjazd geologiczny. Ponieważ nie zajmowałem się mioceniem, więc mogłem pojechać na własny koszt jako gość zjazdu. Przyjąłem propozycję z radością. Nie widziałem swego rodzinnego miasta od 1945 roku, kiedy to nasz pociąg ewakuacyjny z Trembowli przejeżdżał przez Lwów.

Wyjazd autokarem nastąpił 15 września 1994 roku o godz. 7,30 sprzed gmachu naszego Instytutu. Jechaliśmy przez Lublin. Tu zabraliśmy uczestników zjazdu mieszkających w Lubelskiem i tych, którzy do Lublina przyjechali pociągiem z Krakowa.

Późnym popołudniem osiągnęliśmy Hrebenne, gdzie polskie służby graniczne przeprowadziły odprawę paszportową i celną. Po przekroczeniu granicy tę samą procedurę, tyle, że znacznie roziągniętą w czasie, przeprowadziły służby graniczne Ukrainy przed miastem Rawa Ruska. Niebiesko-żółte flagi i

trójzęby na herbowych tarczach robiły swoiste wrażenie, przypominając mimo woli okupacyjne czasy „banderowców”.

Do Lwowa dotarliśmy już po ciemku. Zakwaterowano nas w akademickim hotelu, w południowej części miasta.

Rankiem 16.IX. udaliśmy się pieszo do Instytutu Geologii i Geochemii Mineralów Palnych Ukraińskiej Akademii Nauk, przy ulicy Naukowej 3A. Mieścił się on blisko hotelu, bo prawie na sąsiedniej ulicy. Ta część miasta jest nowa, zabudowana dzielnicami mieszkaniowymi i wielu instytucjami naukowymi.

Do południa słuchamy referatów w uczelnianej auli i oglądamy postery. Tematyka cały czas wiąże się z utworami miocenu (około 20 milionów lat wstecz). Bardzo dowcipnie brzmią referaty w języku ukraińskim. Większość przemawiających po bardzo krótkim wstępie w języku ukraińskim przechodzi na język rosyjski. Niektórzy „Ukraińcy” od początku referują po rosyjsku. Obiad spożywamy w miejscowej stołówce.

Po południu prof. W. Ryka prowadzi niedużą grupę do starego, prawie całkowicie zarośniętego kamieniołomu, z którego bardzo dawno temu brano kamień na budowę miasta. W jednym miejscu dla celów zjazdu odsłonięto trzymetrową ścianę. Widoczne są tu wapienie ratyńskie miocenu, które podobno (dla znawców tematu) stanowią wielką ciekawostkę. Po obejrzeniu kamieniołomu zwiedzamy śródmiejską część Lwowa, o czym opowiem przy kolejnym zwiedzaniu miasta.

17. IX. jedziemy wycieczkowym autokarem do Stebnika. Lwów opuszczamy w kierunku południowym, jadąc szosą prowadzącą do Stryja. Po kilkudziesięciu kilometrach skręcamy w kierunku Drohobycza. Nie dojeżdżamy do samego miasta. Z szosy Drohobycz – Stryj, po przejechaniu nią około kilometra,

skręcamy na południe i przez wieś Nowe Selo docieramy do górniczego Stebnika.

Kopalnia w Stebniku wydobywa sól kamienną (kuchenną) i sól potasową dla celów nawozowych. Kopalnia strajkuje! Po pertraktacjach z komitetem strajkowym międzynarodowa wycieczka polsko-ukraińska otrzymuje wyjątkowo zgodę na zjazd do kopalni. Różne zjawiska tektoniczne i petrologiczne są dla geologa dużą ucztą.

Wracając ze Stebnika tą samą drogą, wjeżdżamy do Drohobycza. Rzut oka na miasto przez mokre od deszczu szyby autokaru niewiele pozwala zobaczyć. Po rundzie wśród ulic śródmieścia, nie zatrzymując się wracamy przez Medenice i jedziemy do Truskawca. Był on, a i dzisiaj pozostaje dużym ośrodkiem uzdrowiskowym. W Truskawcu wypada nam obiad w miejscowej restauracji. Jest on, jak zwykle w takich przypadkach, dość mocno zakrapiany moskiewską wódką i ormiańskim koniakiem.

Pada deszcz. Nie zwiedzamy uzdrowiskowego parku. Wsiadamy do autokaru i jedziemy do Lwowa. Na miejscu jesteśmy około godziny 17-tej, po przejechaniu 180 kilometrów. Jeszcze trzy godziny kręcimy się po śródmieściu i po 20-tej jesteśmy w „swoim” hotelu.

Nazajutrz ma miejsce następna wycieczka, dla mnie mało atrakcyjna. Wacek Ryka proponuje mi zwiedzanie Lwowa. Wacek, podobnie jak ja, urodził się we Lwowie, z tym, że on mieszkał tu do czasu wojny i przez czas jej trwania. Pokazał mi przede wszystkim dom, w którym mieszkał do 1945 roku. Dom ten stoi obok fundamentów rozebranej żydowskiej synagogi. Stąd idziemy na dawny Plac Mariacki. Obejrzeliśmy kolumnę

Mickiewicza. Zjedliśmy lody u George'a. Nazwa pozostała. Dziwnie wygląda wypisana cyrylicą. Płaci się tutaj dolarami.

Z daleka obejrzelśmy położony w szerokiej alei teatr miejski. Niegdyś był to słynny teatr. Zamówiliśmy bilety na jutrzejszy dzień. Warto teatr obejrzeć od środka.

Klucząc ulicami tej części Lwowa w kierunku Rynku, Wacek Ryka pokazał nam dom Zofii Teliczkowej przy ulicy Akademickiej. Jak głosiła międzywojenna reklama, u Zofii Teliczkowej były pokoje do śniadań i największy handel delikatesów, win, wódek i wędlin.

Z nazwiskiem Teliczkowej wiąże się pewne tragiczne wydarzenie, które lud lwowski z właściwym sobie czarnym humorem ujął w zwrotkę znanej lwowskiej piosenki: „Kamień na kamieniu, na kamieniu kamień ...”

Otóż do Lwowa, jak pisze Stanisław Małachowski, przyjechał na gościnne występy znany linoskoczek, akrobata chodzący po wysoko zawieszanej linie. Mnóstwo ludzi zebrało się na ulicy Akademickiej, aby oglądać popisy. Akrobata nazywał się Mucha. Może to tylko pseudonim. Jego lwowski występ zakończył się tragicznie. Stracił równowagę, runął na bruk i zmarł.

Niebawem uliczni grajkowie i śpiewacy mieli już nową zwrotkę:

Przyjechał do Lwowa
Sławny człowiek Mucha
Włazł na Teliczkową
I wyzionął ducha.

Nazwisko Teliczkowej nieprzypadkowo zostało użyte: lina akrobaty rozwieszona była na kamienicy, w której właśnie mieścił się jej pokój śniadań.

Z ulicy Akademickiej poszliśmy na Rynek. Austriacka wieża ratuszowa jest brzydka. Kamienice w Rynku są natomiast śliczne. Niektóre już odnowiono, inne są w remoncie, ale wiele stoi prawie w ruinie. Odnowiona czarna renesansowa kamienica z XVI wieku jest perłą wśród innych. Piękna jest również ta, którą wybudowano dla Jana III Sobieskiego.

W jednym z domów na Rynku wypiliśmy kawę parzoną na sposób turecki, to znaczy w miedzianych dzbankach ogrzewanych na piaszczystej łaźni.

Potem zwiedziliśmy z zewnątrz katedrę Świętego Jana, którą zbudował w XVIII wieku Jan de Witt, komendant Kamieńca Podolskiego. Byliśmy tutaj świadkami procesji i przejścia kapłanów z katedry do małego domu, jakby naszej zakrystii, ale już poza murami katedry. Zachwyciła nas Kaplica Boimów oraz Kościół Dominikanów, także zbudowany przez de Witta.

Zwiedziliśmy katedrę rzymsko-katolicką, potężną, surową, zbudowaną w stylu gotyckim. Wznosi się ona w samym sercu Lwowa i pamięta czasy Kazimierza Wielkiego. W tej katedrze przed głównym ołtarzem Jan Kazimierz składał swoje śluby czwartego kwietnia 1656 roku i obwołał Najświętszą Pannę Królową Polski. Katedra jest czynna. Mijając Plac Bernardyński zobaczyliśmy również Kościół Bernardynów.

Wieczorem byliśmy widzami teatru miejskiego.

Następnego dnia (18.09), już dużą grupą zwiedzamy Wysoki Zamek, a w mieście gmach uniwersytetu, dawniej Jana Kazimierza, i gmach Politechniki Lwowskiej, na której studiował mój Ojciec. Na koniec oglądamy budynek, w którym mieścił się Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Obowiązkowo zwiedziliśmy Cmentarz Łyczakowski i Cmentarz Orłat Lwowskich.

Wieczorem gospodarze zorganizowali przyjęcie pożegnalne, suto zakrapiane alkoholem. Były tańce i śpiewy. Jedna ognista Ukrainka ogromnie się oburzyła, gdy koledzy z Krakowa zaśpiewali po polsku pieśń o kozaku idącym na wojnę. „*Ukradli nam naszą piosenkę*” wołała głośno, ale inni nie reagowali. Jak się później okazało, Ukrainka pochodziła z Chełma Lubelskiego.

Po burzliwej nocy następuje oficjalne pożegnanie z prof. Wacławem Ryką. Wacek zabiera mnie na to pożegnanie. Znowu jest mnóstwo alkoholu i dobre jedzenie. Już po południu opuszczamy Lwów. Głęboką nocą jesteśmy w Warszawie pozostawiwszy w Lublinie lubliniaków i krakusów.

W 1994 roku dały się odczuć silne tarcia między naszym ministerstwem, a Dyрекcją PIG. Zmiany dyrektora naczelnego szczególnie energicznie domagał się dr Michał Wilczyński, piastujący w tym czasie stanowisko Głównego Geologa Kraju. M. Wilczyński jeszcze niedawno był pracownikiem naszego Instytutu.

Prof. dr hab. Krzysztof Jaworowski musiał ustąpić ze stanowiska dyrektora naczelnego PIG. Odbyla się burzliwa narada w Instytucie. W naradzie uczestniczył minister S. Żelichowski, główny geolog kraju, M. Wilczyński i dyrektor Departamentu Geologii w MOŚZNiL, a ze strony Instytutu K. Jaworowski, jego zastępcy i kilku kierowników zakładów; w tym i mnie polecono stawić się na tym zebraniu. W czasie burzliwej debaty decydujący głos miał minister S. Żelichowski.

Na miejsce K. Jaworowskiego powołano dr hab. Stanisława Speczika, który na Uniwersytecie Warszawskim piastował stanowisko profesora. Mimo sprzeciwu prawie całej Rady Naukowej PIG minister mianował S. Speczika „pełniącym obowiązków dyrektora naczelnego PIG”.

W lutym 1995 roku miały miejsce wybory dyrektora naczelnego PIG. S. Speczik był jedynym kandydatem. Do tego czasu dał się poznać jako dobry administrator i menadżer. Rada Naukowa PIG bez oporów zatwierdziła jego kandydaturę.

W 1995 roku zakończyłem przyjmowanie materiałów z archiwum Przedsiębiorstwa Badań Geofizycznych. Materiały ułożono w zaadoptowanych do celów archiwalnych pomieszczeniach gmachu „A” Instytutu.

Kontynuowano prace porządkowe w Archiwach rdzeni „Kielniki”, „Leszcze” i „Szurpiły”. Uratowano przed zniszczeniem ponad dziesięć tysięcy skrzyń z rdzeniem. Prowadzono niezbędne remonty bieżące. W niektórych archiwach były to remonty poważniejsze:

- W archiwum „Kielniki” odnowiono siłami zatrudnionych tam pracowników dziesięć pomieszczeń w budynku administracyjnym. Odnowiono zewnętrzną elewację budynku oraz budynków gospodarczych.

- W archiwum „Michałów” wykonano wewnętrzne prace tynkarskie i malowanie ścian oraz słupów podpierających strop. Wykonano posadzki betonowe oraz uzupełniające prace elektryczne i hydrauliczne. Doprowadzono do budynku wodę ze studni wybudowanej w 1994 roku.

- W archiwum „Szurpiły” dla magazynów „A” i „F” wykonano malowanie konstrukcji metalowych oraz założono oświetlenie. Magazyny te w 1995 roku zostały przejęte od Przedsiębiorstwa Geologicznego w Warszawie. Ponadto, w magazynie „F” wykonano posadzkę betonową, co zabezpiecza przed zniszczeniem złożone tam skrzynie z rdzeniami wiertniczymi.

- W 1996 roku zlikwidowano i wywieziono z terenu archiwów rdzenie wiertnicze ze 171 otworów w ilości 25 tysięcy skrzyń. Były to zniszczone fizycznie rdzenie wiertnicze składowane na wolnym powietrzu w archiwach „Słupczka”, „Leszcze”, „Sadowice” i „Dobropole Gryfińskie”.

- Kontynuowano prace porządkowe w archiwach rdzeni wiertniczych „Kielniki”, „Leszcze”, „Michałów”, „Sadowice” i „Szurpiły”. Uratowano przed zniszczeniem 16 tysięcy skrzyń z rdzeniem.

- Archiwum „Hołowno” otrzymało wodę z wodociągu wiejskiego, do którego zostało podłączone.

- „Zespół Leszcze” również otrzymał podłączenie domu mieszkalnego do wodociągu wiejskiego w Leszczach.

Na polecenie MOŚZNiL wybudowano w Leszczach nowy magazyn rdzeni o powierzchni 532 metrów kwadratowych. Ma on chronić rdzenie z likwidowanego archiwum rdzeni w Słupczce.

W 1996 roku Dyrektor Naczelny zarządził remont całego przyziemia w gmachu „A” Instytutu. Do wyremontowanych pomieszczeń, które oddano Centralnemu Archiwum Geologicznemu, rozpoczęto ogromną pracę przenoszenia materiałów geologicznych z gmachu „C” do gmachu „A”.

Pod koniec roku, gdy przeniesiono część dokumentów Archiwum Materiałów Geologicznych do gmachu „A”, dyrektor naczelny PIG, prof. S. Speczik, „wściekł się”, gdy w kilku nowych pomieszczeniach nie zastał pracowników. „Kto dał im urlop?” – pytał. Odpowiedziałem, że ja za zgodą ich bezpośredniej kierowniczkii. Następnego dnia, w piątek, dostałem z Działu Kadr papierkę zwalniający mnie z funkcji kierownika CAG, podpisany oczywiście przez „naczelnego”.

Już w sobotę zadzwonił do mnie do domu dyrektor administracyjny PIG, inż. Janusz Drzewiński, informując, że wymówienie, jakie otrzymałem jest nieaktualne, i że dzwoni „abym miał spokojną niedzielę.” Janusz Drzewiński zawsze był bardzo sympatycznym człowiekiem i mam podejrzenie, że w owym anulowaniu zwolnienia miał swój znaczny udział.

W poniedziałek pani Maryla Audycka, kierownik kadr, poprosiła mnie, abym zwrócił jej piątkowe wymówienie. Sprawa „rozeszła się po kościach”. Po wyborach do Rady Naukowej PIG w 1999-tym roku prof. Speczik nawet przeprosił mnie za owo wymówienie. „Czasem” – mówił – „gdy mnie cholera weźmie, robię nieprzemyślane posunięcia, wybacz mi!”

W 1997 roku, z okazji wmurowania kamienia węgielnego pod nowe magazyny rdzeni w „Kielnikach”, „naczelnym” zarządził uroczystość: piwo i kiełbaski na ognisku w obrębie terenów archiwalnych. Byli różni notable z KBN-u i ministerstwa.

Wieczorem udaliśmy się do Świerklańca odległego od Kielnik o 66 kilometrów. Jechaliśmy przez Częstochowę, Koziegłowy i Siewierz. Świerklaniec, to hotel z restauracją w ogromnym parku. Tu odbyło się przyjęcie z pieczonym prosiakiem i tańcami. Zaproszeni goście bawili się świetnie, a nasz dyrektor promieniał. Na uroczystości był obecny nowy Główny Geolog Kraju – dr Krzysztof Szamałek. M. Wilczyński poszedł w odstawkę, ale podobno nieźle się zatrudnił, bo w Radzie Nadzorczej Spółki Kopalń Węgla Kamiennego. Po nocy spędzonej w hotelu, dopiero nazajutrz wróciliśmy do Warszawy.

Jeszcze w 1997 roku wybudowano w Kielnikach trzy rdzeniownie z foliowanej blachy, zaopatrzone w betonowe posadzki i instalację elektryczną. Łączna powierzchnia tych rdzeniowni wynosi 3.204 metry kwadratowe. Było to ostatnie

archiwum CAG, w którym rdzenie dotychczas przechowywano na wolnym powietrzu.

Do końca 1997 roku przeniesiono pod dach 63 650 skrzyń ze składowanych tam 98 tysięcy. W trakcie przeprowadzki uratowano od zniszczenia około 50 tysięcy skrzyń.

Poza budową rdzeniowni, wykonano w Kielnikach poważny remont domu mieszkalnego. Od początku 1998 roku archiwum „Kielniki” zarządzane jest bezpośrednio przez Oddział Górnośląski PIG, jako terenowo najbliższy. Zmiana ta nie trwała długo, bo od 2002 roku „Kielniki” znowu bezpośrednio podlegają centrali w Warszawie.

„Zespół Leszcze”, zgodnie z poleceniem dyrekcji i ministerstwa, pozbył się archiwum w Słupeczce, którego zabudowania powinny wrócić w ręce prywatne. W związku z tym przewieziono cały wartościowy materiał skalny do Leszcz i Bierzwiennej. Przetransportowano 18 tysięcy skrzyń, w tym około trzech tysięcy dużych, bardzo ciężkich skrzyń zawierających pomniejszone próbki z otworów wiertniczych. Wiele z tych dużych skrzyń ważyło od 100 do 200 kilogramów. Większa część materiału skalnego przewiezionego ze Słupeczki została złożona w rdzeniowni wybudowanej dla tego celu na polecenie MOŚZNiL.

- Archiwum „Halinów”, w ramach wykorzystania wolnych powierzchni, przyjęło z „Leszcz” około 5000 skrzyń, z „Kielnik” około 700 skrzyń i z „Szurpił” około 2 000.

- W archiwum „Iwiczna-Piaseczno” przeprowadzono remont dachu, remont instalacji elektrycznej w pomieszczeniach administracyjnych oraz wymianę rynien, co powinno zapobiec przesączaniu się wody do piwnic.

- W archiwum „Hołowno” położono nową papę na dachu magazynu Nr 6. Papa została zerwana podczas katastrofalnej burzy wiosną 1997 roku.

- W archiwum „Szurpiły” dokonano remontu kotłowni, instalacji elektrycznej na placu oraz naprawiono ściany profilatorni.

- W 1997 roku przeniesiono całe Archiwum Map CAG z gmachu „C” do gmachu „A”. Za szybkie i sprawne przeniesienie materiałów graficznych do nowego archiwum otrzymałem z okazji zakończenia roku, razem z całym zespołem Archiwum Map, specjalną nagrodę Dyrektora Naczelnego PIG.

Tak się złożyło, że za przeprowadzkę Archiwum Materiałów Geologicznych, w którym brałem bardzo aktywny udział, także fizyczny, dostałem naganą z wymówieniem stanowiska – wprawdzie jednodniowym, – ale zawsze. Natomiast w przeprowadzce Archiwum Map miałem niewielki udział, a dostałem nagrodę.

- W 1998 roku wszystkie rdzenie wiertnicze składowane dotychczas w „Kielnikach” na wolnym powietrzu złożono pod dachem. Do archiwum rdzeni „Kielniki” przewieziono wszystkie rdzenie wiertnicze z archiwum rdzeni w Myszkowie, które zostało zlikwidowane w sierpniu 1998 roku. Uratowano od zniszczenia około 20 tysięcy skrzyń z rdzeniem.

- Dla Archiwum rdzeni Wiertniczych i Próbek „Leszcze” wykonano w 1998 roku *„Projekt koncepcyjny remontu i modernizacji budynku mieszkalno-hotelowego Leszcze koło Kłodawy, poczta Luboniek”*. Wykonano także *„Ekspertyzę techniczną”* oraz *„Inwentaryzację”* dla tego budynku. Zlecono również do wykonania w 1999 roku projekt budowlany i tak zwane projekty branżowe.

W 1999 roku zakończono modernizację części Archiwum Rdzeni i Próbek Geologicznych „Piaseczno-Iwiczna” koło Warszawy dla potrzeb Archiwum Materiałów Geologicznych. Przechowuje się tutaj archiwalia rzadko udostępniane. W archiwach rdzeni uratowano przed zniszczeniem około 5 000 skrzyń z rdzeniem.

Przeprowadzono bieżące remonty w Archiwach: „Halinów”, „Leszcze”, „Szurpiły” i „Piaseczno-Iwiczna”.

W 2000 roku przejęto ze zlikwidowanego Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Wiertniczo-Geologicznego w Tychach archiwalia w ilości 21 500 sztuk. Złożono je w filii CAG w Sosnowcu. Uratowano od zniszczenia pięć tysięcy skrzyń z rdzeniem.

Przeprowadzono bieżące remonty w archiwach „Halinów”, „Leszcze”, „Szurpiły”, „Puławy” oraz „Piaseczno-Iwiczna”.

W 2001 roku rozpoczęto budowę dużego magazynu rdzeni wiertniczych w archiwum „Leszcze” koło Kłodawy. Magazyn posadowiono na miejscu trzech rozebranych rdzeniowani, starych i rozpadających się. Budowa została zakończona w 2002 roku.

Przeprowadzono bieżące naprawy w archiwach „Piaseczno-Iwiczna”, „Halinów” i „Michałów”.

Przeprowadzono również bieżące remonty w archiwach „Leszcze”, „Szurpiły” i „Puławy”. W tych ostatnich usunięto szkody powstałe wskutek powalenia starych drzew na budynki przez potężną wicherę. Usunięto tutaj po tej burzy kilka starych dębów. Usunięto je na wniosek Nadleśnictwa Puławy, które wcześniej nie zgadzało się na nasze propozycje w tym względzie.

Dwa ostatnie lata działalności CAG pod moim kierownictwem ujęto razem, aby nie oddzielać tych spraw od całości zagadnienia, mimo że o latach 2000 i 2001 będzie jeszcze mowa

na kolejnych stronach, po przedstawieniu paru danych statystycznych.

Na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat intensywnie działała obsługa CAG. Przyjmowano, katalogowano (także komputerowo) i udostępniano materiały wszystkich archiwów w centrali i w filiach CAG. Statystycznie rzecz miała się następująco (liczby zaokrąglono do pełnych dziesiątek):

1. Archiwum Materiałów Geologicznych. Opracowania tekstowe i profile otworów wiertniczych: przybyło 30 280 egzemplarzy; udostępniono 26 840 osobom 206 220 pozycji.
2. Archiwum Map: przybyło 60 640 egzemplarzy, udostępniono 6 530 osobom 73 900 pozycji.
3. Archiwum Rdzeni i Próbek Geologicznych. Otwory głębokie i otwory kartograficzne: przybyło 1 080 otworów - 80100 skrzyń, udostępniono 2 000 osobom 3110 otworów = 280 370 skrzyń.

Na koniec 2001 roku stan zasobów archiwalnych przedstawiał się, w zaokrągleniu do pełnych dziesiątek, następująco:

1. W Archiwum Materiałów Geologicznych zgromadzono 339 110 sztuk opracowań tekstowych i profili otworów wiertniczych.
2. W Archiwum Map zgromadzono 247 100 sztuk map.
3. W Archiwum Rdzeni Wiertniczych i Próbek Geologicznych zgromadzono 6 100 otworów z 631 700 skrzyniami.

Rok dwutysięczny

Rok ten, chociaż jubileuszowy, nie wydawał się być innym, niż wiele dotychczasowych lat pracy.

Dyrektor Naczelny złożył na początku stycznia życzenia noworoczne całej załodze, jak czynił to od lat. Odnaczył wielu pracowników, jak czynił to już wiele razy. Na spotkanie noworoczne przybyli, jak od lat, zaproszeni goście z Narodowego Funduszu i z Komitetu Badań Naukowych. Był jak co roku dyrektor Departamentu Geologii, dr Henryk Jacek Jezierski. Był nawet Główny Geolog Kraju, dr Tadeusz Bachledda-Curuś.

Tymczasem w lutym, gdy wygasła kadencja dotychczasowego dyrektora naczelnego, prof. dr hab. Stanisława Speczika, nowy minister w Ministerstwie Środowiska, Antoni Tokarczuk, rozpiisał wybory na Dyrektora Naczelnego Państwowego Instytutu Geologicznego. Warto zwrócić uwagę, że wraz ze zmianą ministra nastąpiła zmiana nazwy resortu. Dotychczasowe Ministerstwo Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa przechrzczono na Ministerstwo Środowiska.

Nowy Minister powołał Komisję Wyborczą. Wydawało się, że nie będzie problemu z wygraniem konkursu przez dotychczasowego dyrektora naczelnego.

Tymczasem zgłosiło się pięciu kandydatów:

- dr Henryk Jacek Jezierski – dotychczasowy dyrektor Departamentu Geologii w Ministerstwie Środowiska.
- dr hab. Marek Narkiewicz z PIG.
- prof. dr hab. Tadeusz Peryt – dotychczasowy zastępca dyrektora naczelnego PIG.
- dr Grzegorz Pieńkowski z PIG.

- prof. dr hab. Stanisław Speczik - dotychczasowy dyrektor naczelny w PIG.

Kandydaci złożyli Komisji Wyborczej na piśmie swoją wizję rozwoju Państwowego Instytutu Geologicznego. Później komisja ta przesłuchiwała kandydatów zgodnie z regulaminem. Komisja składała się z siedmiu osób. H. J. Jezierski i S. Speczik otrzymali po trzy głosy. Jeden członek komisji głosował na T. Peryta.

W czasie działania Komisji Wyborczej obowiązki Dyrektora Naczelnego pełniła mgr Maria Magdalena Stacewicz, wyznaczona na to stanowisko przez ministra od dnia 10-go lutego 2000-go roku. Dotychczas pełniła ona funkcję Zastępcy Dyrektora Naczelnego, Dyrektora do spraw Finansowych.

Zwołano Radę Naukową PIG, której minister przedstawił swego kandydata – H. J. Jezierskiego. Rada Naukowa odrzuciła tę kandydaturę 22-u głosami przeciwko 16-tu!

Minister w tej sytuacji powinien przedstawić jako kandydata S. Speczika. Takie zdanie miała jedna z komisji sejmowych i adwokat, którego prosił o radę dotychczasowy nasz dyrektor. Sądził do końca, że to on będzie nadal pełnił funkcję dyrektora naczelnego PIG.

Minister jednak nie ustąpił. Wyznaczył 15. 04. 2000 r. doc. dr hab. Marka Narkiewicza jako pełniącego obowiązki dyrektora naczelnego PIG. Równocześnie anulował pełnienie tych obowiązków przez M. M. Stacewicz. Ponieważ wygaśł jej w tym czasie termin angażu na dyrektora finansowego PIG, upoważnił ją „do pełnienia obowiązków” na tym stanowisku.

Dyrektor S. Speczik musiał opuścić swój gabinet. Co więcej, na polecenie ministra odmówiono mu możliwości pracy w Instytucie. Musiał opuścić na stałe tę instytucję, bo nie zapewnił

sobie na czas etatu w PIG. Był kontraktowym dyrektorem naczelnym Instytutu, nie będąc jego etatowym pracownikiem.

Zadziwiająco są, jak widać, zawilóści prawne.

Jeden z ostatnich moich wyjazdów służbowych jako kierownika CAG.

W dzień swoich urodzin, 5-go kwietnia 2000 roku, jestem z wizytą u Zbyszków. Składam ciotecznemu bratu zaległe życzenia imieninowe. Jest miło. Wanda podała znakomitą kolację, a później oglądamy mnóstwo zdjęć z ich wycieczek po Tatrach, w których są zakochani. Jest ciepło. W dzień było 17 stopni. Wieczorem pada deszcz. Do domu wracam po 21-szej z ich parasolem.

Rano następnego dnia jest sucho, ale bardzo pochmurnie. Wyjeżdżam dzisiaj do Rzeczycy Księżej koło Kraśnika, gdzie mieści się magazyn map. Jadę z Ewą Tomalak, kierownikiem Archiwum Map i z kierowcą Piotrem Lampartem. Piotr był u mnie na Gobi przez jeden sezon kierowcą. Właśnie wtedy gościłem w obozie terenowym moją żonę Terenię i Renę Kosmulską.

Piotr Lampart jest dobrym kierowcą. Wyjeżdżam z nim o 7,30. Jedziemy na Ursynów, skąd zabieramy Ewę. Dalej nasza droga prowadzi przez Górę Kalwarię i most na Wiśle. Mijamy Karczew i dostajemy się na szosę Warszawa – Lublin nieco za Otwockiem. Gdy mijamy Garwolin, zaczyna rosić deszcz. W okolicy miejscowości Ryki zaczyna padać rzadki śnieg. Początkowo są to drobne krupki, a potem już wyraźne płatki. Wzmaga się wiatr. Żartuję, że gdy tak dalej pójdzie, to będziemy

mieli zaspę. Odpowiada mi śmiech. Przecież wczoraj była wiosna!

W rejonie Kurowa pola orne są już ośnieżone. Początkowo białe są tylko części zaorane. Na oziminach śniegu nie widać. W okolicach Garbowa biała powłoka leży już i na oziminach. Szosa staje się bardzo śliska. Mijamy dwa samochody w przydrożnych rowach: ciężarówka z lewej strony szosy, a mały wóz dostawczy z prawej, kilometr dalej. Stajemy w korku. Gdy po piętnastu minutach ruszamy, widzimy dwa mocno zniszczone samochody: „maluch” zupełnie rozbity zajmuje lewy pas szosy. Obok na poboczu stoi mocno uszkodzony furgon.

Policja spisuje protokół i stąd korek na częściowo zatarasowanej szosie. Kilkanaście kilometrów dalej widzimy „żuka”, który bokiem uderzył w przydrożne drzewo. Wóz jest mocno zniszczony; opuszczono go. Przed Lublinem widzimy w rowach jeszcze trzy wozy osobowe i drugą ciężarówkę. Do Lublina zjeżdża się w dół, a potem trzeba wspiąć się na górę.

Widzimy kilka ciężarowych wozów usiłujących bez wyraźnego skutku wyjechać z obniżenia. Koła się obracają, samochód lekko „tańczy” na szosie, ale nie posuwa się do przodu. My wydostajemy się z „dołka” bez trudu. Nie wjeżdżamy do miasta i od razu skręcamy w ulicę prowadzącą do szosy kraśnickiej.

W Lublinie leży już sporo śniegu. Ruch na ulicy, którą się posuwamy, jest mocno utrudniony. Mijamy dwa samochody, które nie mogą ruszyć. Za miastem trwa regularna zamieć. Przy podjazdach na wiadukty (nad linią kolejową Lublin – Dęblin, między Konopnicą a Tereszynem i za Wilkołazami) wozy ciężarowe, TIR-y i cysterny stoją bezradnie nie mogąc

podjechać. Przed Kraśnikiem widzimy jeszcze dwa wozy w przydrożnym rowie.

Zaraz za Kraśnikiem, w miejscowości Kolonia Zarzecze, skręcamy z szosy rzeszowskiej w prawo na Janów Lubelski. Z trudem wyjeżdżamy na krawędź doliny Wyżnicy.

Przejeżdżając drogowym wykopem nagle przestajemy cokolwiek widzieć, jakbyśmy wjechali w mleko. Piotr zwalnia do pięciu kilometrów na godzinę. Po kilkudziesięciu metrach jesteśmy już na krawędzi doliny. Wiatr niesie dalej tumany śniegu, ale widoczność wzrasta do kilkudziesięciu metrów, a dalej nawet do ponad stu metrów. Skręcamy w prawo do Rzeczycy Księżej. Powoli zjeżdżamy w dół przez ośnieżony las.

We wsi na dnie jaru kupujemy kielbasę w miejscowym sklepie i z pewnym trudem podejżdżamy pod południową ścianę wąwozu, którego dnem jechaliśmy dotychczas. Poniżej górnej krawędzi jaru stoi nasz magazyn map. Wjeżdżamy w gościnnie otwartą bramę. O naszym przyjeździe zawiadomiliśmy wcześniej. Wyładujemy samochód. Zabieramy z magazynu kilkaset map dla Sekcji Wymiany CAG. Ładujemy je do wozu.

Po godzinie intensywnej pracy wracamy do części mieszkalnej obiektu. Ślady naszego samochodu są już całkowicie niewidoczne. Jemy smażoną kielbasę z chlebem, pijemy gorącą herbatę i o 14,15 opuszczamy instytutową posiadłość żegnani przez Hieronima Kołodzieja i jego żonę. Ich syn Dariusz opiekujący się magazynem jest w szpitalu po brzydkim złamaniu nogi.

Już przy samym zjeździe drogą na dno wąwozu są trudności. Mały fiat pnie się pod górę i utyka. Piotr pomaga kierowcy przepchać auto na podjazd do jakiegoś domu. Tam samochód zostaje, a właściciel dalej idzie pieszo.

Mamy wolną drogę i zjeżdżamy do wiejskiej ulicy, która dalej prowadzi do szosy Kraśnik – Janów Lubelski. Las, który mijamy, jest prześliczny w śnieżnej szacie. W jarze wiatr jest mniejszy i niektóre drzewa oraz krzaki mają puchową otulinę.

Droga pod górę, gdy wyjeżdżamy z jaru, jest trudna, ale Lampart radzi sobie z wprawą dobrego kierowcy. Jesteśmy na szosie. Na pierwszych metrach widzimy samochód porzucony w rowie. Wjeżdżamy w wykop szosy, jak w mleko. Już to dzisiaj przerabialiśmy, więc powoli opuszczamy wykop bez większych problemów.

Drzewa na polu są gołe, nieośnieżone. Wiatr ciągle bardzo silny strąca z nich śnieg. W pobliżu domów nawet większe świerki chronione od wiatru ścianami mają przepiękną białą okiść, jaką tylko w marzeniach można u nas zobaczyć w dzień wigilijny. Również przydomowe krzewy otulone są całkowicie śnieżnym całunem.

Mijamy peryferie Kraśnika, odległe osiem kilometrów od Rzeczycy i pniemy się pod górę szosą lubelską. Co jakiś czas na szosie stoi nieruchomo wóz ciężarowy. Za kółkiem siedzi kierowca, ale wóz nie porusza się. Omijamy takiego i zbliżamy się do miejscowości Wilkołazy. Przed wsią na szosie tkwią dwa mocno rozbite samochody. Policja. Zator na szosie szybko rośnie i niebawem mierzy już kilometr. Wreszcie samochody powoli ruszają. Niektóre ciężkie wozy pozostają na szosie. Trzeba je omijać. Miejscami ruch jest jednokierunkowy. Dziesięć minut jadą samochody od strony Lublina, następnie te do Lublina.

Szosa biegnąca z Kraśnika na południowy wschód za Sobieszczanami skręca na północ. Posuwamy się powoli, z przystankami, mijając Niedrzwicę Kościelną i Niedrzwicę Dużą oraz kilka samochodów w przydrożnych rowach. Mijamy

Strzeszkowice i droga pnie się na wiadukt między Tereszynem a Konopnicą. Pod wiaduktem biegnie linia kolejowa Lublin – Dęblin.

Widzimy dwa następne samochody w rowie. Jeden z nich, to długi TIR. Podjazd jest nieprzejezdny dla dużych samochodów. Tworzy się dwukilometrowy korek. Prawie wszystkie ciężkie wozy są unieruchomione. Osobowe starają się je wymijać i zatykają szosę. Śnieg ciągle sypie. Zaspy tworzą się nie tylko na polach, ale wkraczają także na asfalt drogi. Znowu obserwujemy ruch jednokierunkowy.

Około godziny 18,00 jesteśmy w Lublinie. 49 kilometrów z Rzeczyca pokonałiśmy w niecałe cztery godziny. Chcemy od razu skręcić w szosę warszawską. Niepodobna. Korek na tym kierunku mierzy półtora kilometra i nie posuwa się. Jedziemy na obwodnicę prowadzącą do szosy warszawskiej. Tu zator oceniamy na dwa kilometry. Podobnie jest u wylotu w kierunku Lubartowa. Kręcimy się po mieście, jak coś tam w przerębli.

Piotr mówi, że stanie w korku może nam zająć czas do rana. Szuka jakiegoś wyjazdu z Lublina. Przypomina sobie, że kiedyś wyjechał z miasta w kierunku północnym i gdzieś daleko od Lublina wyjechał na szosę warszawską. Zapatruję się na to dość sceptycznie, ale wolę jechać, niż stać. Po zasięgnięciu niepewnych informacji co do przejezdności lokalnych dróg, jedziemy w kierunku wsi Jakubowice.

Wiatr ciągle wieje, miecie śniegiem z pól, ale nisko nad horyzontem widać krwawo zachodzące słońce barwiące purpurą chmury na zachodnim niebie. Zaspy śnieżne na poboczu drogi dochodzą do metra wysokości. Na drodze ubitego śniegu jest co najmniej dwadzieścia centymetrów. Przydrożne rowy są

całkowicie zasypane białym puchem, a miejscami tworzą się imponujące nawisy śnieżne nad głębszymi wykopami.

Towarzyszą nam trzy samochody. Myślimy, że one także szukają drogi ku Warszawie. Jadący przed nami „maluch” za Jakubowicami, ale przed Wołą Krasienińską, co kilkaset metrów grzęźnie w śniegu. Jego pasażer, często z naszą pomocą, wypycha wóz z powrotem na wcześniej pozostawiony ślad kół. Ze śladu niebezpiecznie jest zjechać. Czasem mijają nas samochód z przeciwnego kierunku. Następuje duża gimnastyka zanim nas minie.

Przed Krasieninem duży samochód „Coca-Cola” tyłem wjechał na pole. Usiłuje go wyciągnąć traktor. Od Krasienina droga wydaje się nieco bardziej przetarta. Mijamy wsie Pryszczowa Góra, Starościna i Samokłęski. Tu straciliśmy z oczu towarzyszące nam samochody. Okazuje się, że wracały one do domu. Jedziemy dalej sami w kierunku północnym przez Kolonię Kierzkówka do Rudna. Mówiono nam po drodze, że wszystkie drogi na południe do Garbowa i Kurowa są nieprzejezdne. Mówiono, że prawdopodobnie można dojechać do Michowa.

Z Rudna skręcamy do Michowa w kierunku zachodnim. Mijamy Michów i jedziemy do Gródka. Za Gródkiem mały „fiat” zjechał po przydrożnej skarpie na pole. Kierowca odkopuje śnieg. Ma nadzieję z powrotem dostać się na drogę.

Jesteśmy w Baranowie. Wygląda tu tak, jakby szosę posypano solą. Wszędzie widać dużo wody i miejscami prześwitują smugi czarnej nawierzchni. Na polach wszędzie jest biało. Z Baranowa jedziemy do Żyrzyna. Widać coraz więcej asfaltu wyłaniającego się spod śniegu. W Żyrzynie dostajemy się na szosę warszawską. Jest ona mokra, ale bez śniegu. Ten widoczny jest czasem na poboczach i na polach. Z Lublina do Żyrzyna

przejechaliśmy 58 kilometrów (szosą Lublin – Warszawa jest 45 kilometrów) w ciągu trzech godzin.

Niedaleko za Żyrzynem pijemy herbatę w przydrożnym barze. Zaprasza do niego duża kukła kucharza. Bar mieści się w dawnej cegielni. Jedną z sal ulokowano w dawnym piecu do wypalania cegieł.

O godzinie 21,30 jedziemy dalej. Przed miejscowością Ryki policyjny samochód zatrzymuje TIR-y i inne ciężkie wozy. Dwa kilometry dalej drugi wóz policyjny ustawia ciężkie wozy nadjeżdżające od strony Warszawy w długą kolejkę. Będą one tutaj nocować. Okazuje się, że wyjazd z Lublina i wjazd do miasta są ciągle niemożliwe. Gratulujemy Piotrowi determinacji w poszukiwaniu okrzężnej drogi.

Za Rykami szosa jest zupełnie sucha. Za Garwolinem nie widać śniegu nawet na polach omiatanych światłami samochodowych reflektorów. Między Rykami a Garwolinem nie minął nas, ani my nie minęliśmy, żadnego samochodu. Bardzo nieliczne wozy jechały w kierunku Lublina. Zatrzymywała je w okolicach Ryk policja, proponując nocleg na szosie. Za Garwolinem minęliśmy kilka samochodów, które wyjechały z tego miasta. Do miejscowości Zakręt nie minął nas żaden wóz.

Tuż przed godziną 23,00 byłem w domu. Przy pożegnaniu z towarzyszami podróży wyraziłem pełne uznanie dla umiejętności i uporu Piotra Lamparta.

Ostatnie szkolenie

Jeszcze w 1999 roku dyrektor naczelny wydał rozporządzenie, w którym powołuje Pełnomocnika Państwowego Instytutu Geologicznego do Spraw Ochrony Materiałów

Niejawnych. Każdorazowo takim pełnomocnikiem ma być kierownik Centralnego Archiwum Geologicznego.

Wypełniłem dwudziestostronicową ankietę osobową, w której przeplatały się stare wzory NKWD z nowymi wzorami CIA. Po złożeniu ankiety wizytowała mnie pracowniczka Urzędu Ochrony Państwa wypytyjąc o dane zawarte w ankiecie. Gdy się w końcu zniecierpliwiłem i mówię, że na te właśnie pytania odpowiedziałem w ankiecie, ona bez zażenowania stwierdza, że musi sprawdzić, czy powtórzę to samo, co napisałem w ankiecie. Po paru miesiącach otrzymałem „poświadczenie bezpieczeństwa”.

Ponieważ już wcześniej Dział Kadr naszego Instytutu wystąpił do UOP-u o mianowanie mnie pełnomocnikiem do spraw niejawnych, doczekałem się wezwania na szkolenie. Szkolenie odbywało się od połowy kwietnia 2000-go roku w siedzibie Urzędu Ochrony Państwa przy ulicy Rakowieckiej, czyli po sąsiedzku. Trwało ono trzy dni po pełnych osiem godzin wykładowych.

Tego co mówiło kilkunastu wykładowców nie sposób było zapamiętać, a nawet zanotować. Ale znalazł się sposób, aby te informacje utrwalić sobie w pamięci. Każdy z wykładowców powoływał się na ustawy i rozporządzenia zawarte w Dzienniku Ustaw i w Monitorze, podając odpowiednie daty i numery. Część innych materiałów odbito na kserografie i rozdano uczestnikom kursu.

Na zakończenie otrzymałem odpowiednie „świadcstwo dojrzałości” do zajmowania się w PIG materiałami niejawnymi. Równocześnie nabyłem prawo do przeprowadzania postępowań sprawdzających dla pracowników PIG, którzy powinni mieć dostęp do materiałów niejawnych o klauzurze „poufne” lub „do

użytku służbowego”. Klauzulę „tajne”, którą ja wcześniej otrzymałem, mógł nadać tylko UOP. Jako pełnomocnik miałem swego opiekuna w UOP-ie. Takim moim „aniołem stróżem” została sympatyczna młoda kobieta – pani Agnieszka. Z nią rozstrzygałem wszelkie wątpliwości.

Zgodnie z ustawą zorganizowałem na nowo Kancelarię Tajną w PIG. Zaadoptowałem do tego celu odpowiednie pomieszczenie i mianowałem jej kierownika, zatwierdzonego następnie przez dyrektora naczelnego.

W ciągu dwu lat z okładem kilkanaście osób z Instytutu, łącznie z jego oddziałami regionalnymi, otrzymało swoje „poświadczenia bezpieczeństwa”. Tak się złożyło, że kandydaci na kierownika CAG (B. Szymański, J. Gutowski) zanim otrzymali „poświadczenie bezpieczeństwa”, nie byli już kandydatami na to stanowisko. Ostatnio, w kwietniu 2002 roku szkolenie przeszedł dyrektor, prof. dr hab. Marek Graniczny, oficjalny kierownik CAG. Jemu zapewne przekażę niebawem „paleczkę” pełnomocnika.

Walka o „stolki”

W końcu marca 2000 roku wygasł kontrakt na zastępcę dyrektora naczelnego memu bezpośrednio zwierzchnikowi – dr Maciejowi Podemskiemu. Nie przedłużono mu kontraktu na zastępcę dyrektora. Musiał do połowy kwietnia opuścić swój gabinet.

Nie przedłużono kontraktu na kierownika zakładu dr Ryszardowi Strzeleckiemu z Zakładu Geologii Środowiskowej i dr Barbarze Żbikowskiej z Działu Marketingu i Promocji.

Doc. dr hab. Marcin Piwocki, kierownik Zakładu Geologii Surowców Mineralnych, sam złożył rezygnację i od pierwszego czerwca pełni tę funkcję dr Andrzej Gąsiewicz.

Miejsce R. Strzeleckiego zajął dr Wojciech Irmiński.

Prof. dr hab. Tadeusz Peryt otrzymał propozycję, aby sam zrezygnował ze stanowiska zastępcy dyrektora naczelnego do spraw badań naukowych. Nie zgodził się. Otrzymał wypowiedzenie od dnia pierwszego maja 2000 r. Równocześnie od dnia 1 maja obowiązki T. Peryta przejął sam „naczelnym”, oficjalnie pełniący obowiązki dyrektora naczelnego PIG, doc. dr hab. Marek Narkiewicz.

W tym samym dniu rozpoczął urzędowanie, w miejsce dr Macieja Podemskiego, pełniący obowiązki zastępcy dyrektora naczelnego do spraw służby geologicznej, dr Jacek Gutowski, człowiek spoza naszego Instytutu, jakkolwiek w 1990 roku pracował u nas przez parę miesięcy.

Nie od rzeczy będzie tu zrobić przegląd „walk o stołki”, czyli spis utraconych stanowisk. Zmiany na stanowiskach rozpoczęły się na większą skalę od czasów S. Speczika i trzeba stwierdzić, że z różnym nasileniem trwają nadal w latach 2001 – 2002.

W okresie „dyrektorowania” w Instytucie S. Speczika funkcje kierownika zakładu, działu lub zespołu z różnych przyczyn (wypowiedzenie lub emerytura) stracili:

- doc. dr inż. Zbigniew Werner, kierownik Zespołu Organizacji i Promocji. Na jego miejsce przyszła dr Barbara Żbikowska.

- Podobnie z uwagi na wiek odeszła z kierowania Działem Współpracy z Zagranicą mgr Grażyna Burchart. Jej miejsce zajęła mgr Ilona Śmietańska.

- Dr Jędrzej Pokorski, kierownik Zakładu Geologii i Ropogazoności Niziu. Na jego miejscu zakładem kieruje doc. dr hab. Hanna Matyja, wcześniej pracownik Uniwersytetu Warszawskiego. J. Pokorski nadal pracuje w tym Zakładzie.

- doc. dr Stefan Młynarski, kierownik Zakładu Geofizyki. Jego obowiązki przejął dr Piotr Krzywiec, ściągnięty przez Młynarskiego z Krakowa. Młynarski pozostał pracownikiem tego Zakładu.

- dr Zenobiusz Płochniewski, kierownik Zakładu Hydrogeologii i Geologii Inżynierskiej. Jego miejsce zajął prof. dr hab. Andrzej Sadurski, ściągnięty przez S. Speczika z Torunia. Z. Płochniewski pracował w tym zakładzie nadal, aż do emerytury w 2002-gim roku.

- dr Jan Rzechowski, kierownik Zakładu Czwartorzędu. Jego miejsce zajął prof. dr hab. Leszek Marks z Uniwersytetu Warszawskiego.

- prof. dr hab. Zbigniew Kotański, kierownik Muzeum Geologicznego. Jego miejsce zajął doc. dr hab. Włodzimierz Mizerski z Uniwersytetu Warszawskiego.

- mgr Barbara Piechulska-Słowańska zmarła w 2000 r. Jej miejsce zajęła mgr Janina Małecka.

- dr Krystyna Wyrwicka, kierownik Zespołu Ochrony Litosfery. Zastąpił ją pracownik tegoż zespołu, dr Ryszard Strzelecki, a po nim funkcję tę pełnił dr Wojciech Irmiński, mianowany już przez p.o. Dyrektora Naczelnego PIG, doc. dr hab. Marka Narkiewicza.

- mgr Janina Dębicka, kierownik Biblioteki PIG. Jej miejsce zajął pracownik biblioteki uniwersyteckiej, mgr Wiesław Zapolski.

- mgr Anna Berestka-Tkacz, kierownik Ośrodka Komputeryzacji Badań. Zastąpił ją mgr inż. Zbigniew Kowalski.

- Aleksandra Biedrzycka, kierownik Działu Administracji. Zastąpił ją pracownik tego działu, Jarosław Sikorski.

- Tadeusz Kotwicki, kierownik Działu Transportu. Zastąpił go jego pracownik, Leszek Dral. Dział przekształcił się w sekcję Działu Administracyjno-Technicznego.

- Jerzy Synator, kierownik Działu Remontów. Zastąpił go Zbigniew Pruchner, pracownik Uniwersytetu Warszawskiego. Dział przekształcono w sekcję Inwestycji i Remontów w Dziale Administracyjno-Technicznym.

- Elżbieta Kaczorowska, kierownik Działu Zaopatrzenia. Zastąpił ją Marek Wielgosz z tym, że dział został zlikwidowany, a powstała sekcja w Dziale Administracyjno-Technicznym.

Pod koniec 1999 roku Dyrektor Naczelny PIG, prof. dr hab. Stanisław Speczik, przedłużył mi o jeden rok angaż na kierownika Centralnego Archiwum Geologicznego, tym samym pracę w Instytucie, mimo że w owym roku ukończyłem siedemdziesiąt lat życia.

Po dyrekcyjnych „zawirowaniach”, pełniący obowiązki Dyrektora Naczelnego PIG, Marek Narkiewicz, pod koniec 2000 roku przedłużył mi angaż na kierownika CAG do 30-go czerwca 2001 roku i podpisał umowę o pracę w wymiarze 1/2 etatu od lipca do końca 2001 roku, ale w praktyce, uzupełnionej aneksem, było to od pierwszego listopada do końca tegoż roku.

NOWE MILLENIUM - ROK 2001

Rok 2001 zaznaczył się powstaniem nowej dyrekcji PIG i kolejnymi zmianami w jego strukturze. Minister Antoni

Tokarczuk zarządził w 2001 roku nowe wybory Dyrektora Naczelnego PIG, mimo że poprzedni konkurs nie został formalnie rozstrzygnięty i komisja wyborcza, z małymi zmianami osobowymi, działała nadal.

Do nowego konkursu stanął ostatecznie jeden kandydat, prof. dr hab. Tadeusz Peryt. Kandydaturę doc. dr hab. Hanny Matyjowej odrzucił minister, bo nie pracowała dostatecznie długo na kierowniczym stanowisku. Regulamin wyborczy wymagał co najmniej pięciu lat pracy na takim stanowisku.

Tadeusz Peryt zaczął pełnić obowiązki dyrektora naczelnego od 15 maja 2001 roku. Marek Narkiewicz został przez ministra odwołany 11 maja.

Nowy „naczelny” przedstawił Radzie Naukowej PIG szereg postulatów kadrowych i organizacyjnych, które ta zaakceptowała.

- dr Jacek Gutowski przestał być dyrektorem do spraw służby geologicznej.

- dr Grzegorz Pieńkowski przestał być kierownikiem Muzeum Geologicznego PIG.

Nowym Dyrektorem do spraw służby geologicznej został doc. dr hab. Marek Graniczny.

Nieco później, bo od 1 sierpnia 2001 roku, dyrektorem do spraw badań naukowych został doc. dr hab. Włodzimierz Mizerski.

Wybory nowych kierowników zakładów – w tym CAG

Nowa dyrekcja ustaliła, że nowi kierownicy zakładów będą wybierani przez komisję wyborczą specjalnie do tego celu powołaną. Jej skład ustalono następująco:

- Dyrektor naczelny PIG.
 - Właściwy dla danego zakładu zastępca dyrektora naczelnego.
 - Przewodniczący Komisji Ekonomicznej Rady Naukowej PIG.
 - Członek komisji tejże Rady.
 - Mąż zaufania wybrany przez pierwszy zakład przewidziany do połączenia się z innym.
 - Mąż zaufania wybrany przez drugi taki zakład.

W związku z moim rychłym odejściem na emeryturę już znacznie po czasie, dość długo poszukiwany był kandydat na nowego kierownika CAG. Poprzednia dyrekcja w osobach M. Narkiewicza i J. Gutowskiego zasięgała opinii wielu osób, w tym również mojego zdania w tej materii. Ostatecznie zdecydowano, że stanowisko to obejmie doc. dr hab. Bronisław Szymański, którego w tym celu i z tą myślą przeniesiono w 2000-nym roku z Zakładu Geologii Regionalnej i Naftowej do CAG.

Do 22 sierpnia 2001 roku na kandydatów do kierowania Centralnym Archiwum Geologicznym w PIG zgłosili się:

- Gutowski Jacek, dr, były dyrektor pionu d/s służby geologicznej.
- Mikulski Stanisław, dr, pracownik Zakładu Geologii Surowców Mineralnych (ZGSM).
- Szymański Bronisław, doc. dr hab., pracownik CAG.
- Wiszniewska Janina, dr, pracownik CAG.
- Wojciechowski Andrzej, dr, pracownik ZGSM.
- Żbikowska Barbara, dr, dotychczasowy kierownik Działu Marketingu i Promocji.

Nieco później dołączył do tej grupy Marek Graniczny, doc. dr hab., pierwszy zastępca dyrektora naczelnego i jego zastępca do spraw służby geologicznej i hydrogeologicznej.

Spośród przedstawionych kandydatów jeszcze przed obradami Komisji Wyborczej wycofał się dr Stanisław Mikulski. Na jakiś czas przed złożeniem przez kandydatów swoich elaboratów odwiedziła mnie dr Barbara Żbikowska prosząc o szereg informacji i dyskutując różne sprawy.

Doc. dr hab. Bronisław Szymański, którego już wcześniej proponowałem na to stanowisko, otrzymał ode mnie wiele informacji. Gdy mnie odwiedził 24.08.2001 r. udzieliłem mu jeszcze paru dodatkowych wskazówek. Odwiedził mnie także były dyrektor naszego pionu, dr Jacek Gutowski. Nie prosił on wprawdzie o informacje, ale wyraźnie zabiegał o poparcie, czyli o głos męża zaufania.

Dnia 30 sierpnia 2001 roku Komisja Wyborcza rozpatrzyła programy działania kandydatów na przyszłego kierownika CAG. Jednogłośnie najwyżej oceniono program doc. dr hab. Marka Granicznego. W następnej kolejności komisja oceniła programy J. Gutowskiego, B. Żbikowskiej, B. Szymańskiego i J. Wiszniewskiej. Programu A. Wojciechowskiego, jako najsłabszego w ocenie Komisji, nie brano pod uwagę.

Dyrektor Naczelny prof. dr hab. Tadeusz Peryt zaakceptował ocenę Komisji Wyborczej, która – jak się wyraził – pokrywała się z jego własnym widzeniem sprawy. W ten sposób wybrano nowego kierownika Centralnego Archiwum Geologicznego. Dyrektor Peryt podziękował członkom komisji za jednomyślność i cierpliwość, jako że wybory zakończyły się po godzinie 17,00.

Nowy kierownik CAG, będący równocześnie pierwszym zastępcą dyrektora naczelnego, siłą rzeczy musiał wyznaczyć swoich zastępców.

Zastępcą do spraw ogólnych i administracyjnych został mgr Stanisław Doktor. Drugim zastępcą kierownika CAG do spraw komputeryzacji, został mgr Tomasz Mardal.

Czas pożegnań

Jeszcze pod koniec czerwca 2001 roku dyrektor naczelny, Tadeusz Peryt, zaprosił mnie z paroma osobami na miłą uroczystość związaną z zakończeniem przeze mnie kierowania Centralnym Archiwum Geologicznym. Osoby towarzyszące wybrałem sam, a dyrektor zaprosił członków dykcji.

Dostałem ogromny bukiet kwiatów i piękny okaz zadmionego kwarcu z plaketką wyrażającą podziękowanie za długoletnią pracę w Państwowym Instytucie Geologicznym. Uroczystość uświetnił znakomity tort i dobry koniak. Prawie równocześnie z podziękowaniem za pracę otrzymałem propozycję kierowania CAG-iem jeszcze przez następne trzy miesiące. Na propozycję przystałem bez oporów.

19-go września, w dniu swoich imiennin, zaprosiłem cały swój zakład, czyli pracowników wszystkich archiwów, na pożegnalną kawę. Poza różnymi dobrymi rzeczami były i łakocie oraz różne nie wyskokowe napoje. W czasie biesiady wygłosiłem krótkie pożegnalne przemówienie, co uwieczniono na kliszy. W miłej uroczystości wziął udział Maciej Podemski i jego asystentka, Barbara Bańkowska-Zajączkowska.

Pod koniec października dyrekcja PIG wręczyła mi pismenne, bardzo ciepłe, podziękowanie za pięćdziesiąt lat pracy w

Państwowym Instytucie Geologicznym i związaną z tym niemalą premię.

Od listopada 2001 roku pracuję już rzeczywiście na pół etatu, służąc pomocą i znajomością rzeczy Staszкови Doktorowi. Równocześnie załatwiam sprawy związane ze stanowiskiem Pełnomocnika do Spraw Ochrony Informacji Niejawnych Państwowego Instytutu Geologicznego.

Wracając do spraw organizacyjno-kadrowych należy przypomnieć, że w październiku 2001 roku nastąpiły połączenia szeregu zakładów, a kierowników dla tych połączonych zespołów wybrała Komisja Wyborcza według takich samych zasad, jak to miało miejsce przy wyborze kierownika CAG. Tak więc:

- Zakład Metodyki i Koordynacji prac Kartograficznych, prowadzony dotychczas przez Marka Granicznego, połączony został z CAG.

- Zakład Geologii Gospodarczej, kierowany przez doc. dr Stanisława Przeniosło, połączył się z Zakładem Geologii Surowców Mineralnych (w skrócie ZGSM), którym ostatnio kierował dr Andrzej Gąsiewicz. Komisja na kierownika wybrała tego ostatniego, bo S. Przeniosło nie kandydował. Już od drugiego kwartału 2002 roku tym zakładem kieruje człowiek spoza Instytutu, mgr Tadeusz Smakowski.

- Zakład Petrografii połączył się z Muzeum Geologicznym FIG. Na kierownika wybrano zastępcę dyrektora naczelnego do spraw badań naukowych, doc. dr hab. Włodzimierza Mizerskiego. Musiał on mieć zastępcę, którym została mgr Katarzyna Skurczyńska-Garwolińska.

- Zakład Geofizyki, prowadzony przez dr Piotra Krzywca, połączył się z Zakładem Geologii Regionalnej i Naftowej

kierowanym przez doc. dr hab. Hannę Matyja, powszechnie znaną pod nazwiskiem Matyjowa. Na kierownika został wybrany Piotr Krzywiec, ale już w pierwszym półroczu 2002 roku zakładem kieruje H. Matyjowa.

- Do Muzeum Geologicznego PIG została włączona część Działu Marketingu i Promocji razem z jego kierownikiem, dr Barbarą Żbikowską. Pozostała część działu z mgr Markiem Brzezickim podlega bezpośrednio dyrektorowi naczelnemu w ramach Sekretariatu Dyrektora Naczelnego.

Podsumowując wieloletnie niepokoje kadrowe i organizacyjne w PIG, muszę zauważyć, że jeśli chodzi o moją skromną osobę przetrwałem na stanowisku kierownika Centralnego Archiwum Geologicznego przez dziesięć lat (1992–2001) rządu czterech dyrektorów naczelnych:

- Prof. dr hab. Krzysztofa Jaworowskiego, który w 1989-tym roku zastąpił na tym stanowisku prof. dr hab. Wacława Rykę.

- Prof. dr hab. Stanisława Speczika.

- Doc. dr hab. Marka Narkiewicza (pełniący obowiązki dyrektora naczelnego)

- Prof. dr hab. Tadeusza Peryta.

Nie liczę tutaj dwukrotnego krótkiego sprawowania funkcji p.o. dyrektora naczelnego przez mgr Marię Magdalenę Stecewicz.

W czasie tym straciło stanowisko kierownicze 28 osób, od dyrektorów naczelnych przez ich zastępców, a kończąc na kierownikach oddziałów, zakładów, działów i zespołów w Państwowym Instytucie Geologicznym.

Rok 2001 zaznaczył się odejściem z tego świata paru kolegów.

Pod koniec maja zmarł, mając 79 lat, dr Tadeusz Osmólski, niegdyś kierownik Zakładu Surowców Chemicznych, a tym samym i mój przez parę lat.

23.07.2001 r. zmarł w wieku 61 lat dr Jerzy Piotrowski, z którym byłem zaprzyjaźniony. Człowiek nad wyraz sympatyczny i dobry. Wielu z nas, jego kolegów, przeżyło boleśnie jego odejście.

24.07 zginęła w wypadku samochodowym doc. dr Ewa Tomczykowa, z domu Linde. Podobno w samochód, którym jechała z mężem, uderzył inny wóz. Prowadzący samochód jej mąż, doc. dr Henryk Tomczyk, wyszedł z wypadku tylko nieco potłuczony. Ktoś złośliwy mógłby powiedzieć, że skasował samochód i żonę.

W 1992-gim roku zmarła mama Tereni, Maria (Marianna) Bałdyżyna.

Na przestrzeni kilku ostatnich lat odeszli: prof. Stanisław Pawłowski, odkrywca polskiej siarki; dr Jerzy Kanasiewicz, mój przyjaciel; dr Stanisław Kubicki, z którym pracowałem w Mongolii; dr Zenon Gajewski, mój dobry kolega, z którym studiowałem geologię; dr Maria Pajchłowa; prof. dr hab. Wacław Ryka, który zmarł w Parku Yellowstone w czasie podróży po USA.

Anomalie pogodowe i inne wydarzenia

Rok 2001 zaznaczył się silnymi burzami. Między innymi, w nocy z dnia 11 na 12 sierpnia przeszła nad Puławami potężna burza miejscami przeradzająca się w trąby powietrzne. Powstały duże szkody w mieście, a szczególnie w Pałacu Czartoryskich. Tutaj mieści się obecnie Instytut Uprawy, Nawożenia i

Gleboznawstwa. Szczególnie duże straty poniósł park przylegający do pałacu. Legło tutaj około jednej trzeciej drzewostanu.

Burza uczyniła duże zniszczenia także w Archiwum Rdzeni „Puławy” przy ulicy Żyrzyńskiej nr 5. Cztery budynki archiwum położone są w lesie. Wichura połamała kilka starych dębów, których pnie i konary nadwyrężyły wszystkie magazyny. Już 13 sierpnia straż pożarna usunęła powalone drzewa z drogi prowadzącej od ulicy Żyrzyńskiej do magazynów. Brama zamykająca drogę na teren archiwów została zgnieciona, jak i sto kilkadziesiąt metrów bieżących siatki ogrodzeniowej.

Szkody oszacował Państwowy Zakład Ubezpieczeń. Odszkodowanie pokryło koszty naprawy zniszczeń. Lasy Państwowe, od których PIG dzierżawi teren, postanowiły usunąć pozostałe drzewa z rejonu zabudowanego magazynami. O tę czynność od lat zabiegałem bez powodzenia. Teraz Lasy Państwowe same podjęły taką decyzję, szkoda, że poniewczasie.

Wydarzyła się w tym czasie tragedia innego typu. 11 września 2001 roku, wczesnym popołudniem naszego czasu, o godzinie 8,42 czasu nowojorskiego, duży samolot uderzył w wieżowiec Światowego Centrum Handlowego, czyli World Trade Center, które zajmowało na Manhattanie kompleks budynków z dwoma wieżowcami liczącymi po 110 pięter. Po osiemnastu minutach drugi duży samolot uderzył w bliźniaczy wieżowiec tegoż kompleksu. Dopiero wtedy zrozumiano, że jest to atak terrorystów.

W tym mniej więcej czasie trzeci samolot runął na gmach Pentagonu w Waszyngtonie. Czwarta maszyna uległa katastrofie nie dolatując do Pittsburgha. Mówi się, że albo została

zestrzelona, bo leciała w kierunku „Białego Domu”, albo runęła na ziemię w wyniku walki pasażerów z terrorystami.

12 września, ściśle nocą z 11 na 12 września, runął budynek wchodzący w skład WTC. Płonął także World Financial Center, sąsiadujący z WTC.

Już nazajutrz po tragedii sugeruje się, że za owym potwornym wydarzeniem stoi saudyjski milioner ukrywający się od 1995 roku w Afganistanie, Osama bin Laden, dawny przyjaciel USA, a ich zacięty wróg od czasu wojny z Irakiem, po napadzie Saddama Husajna na Kuwejt w 1990 roku.

Niebawem podejrzenia się potwierdziły. Stany Zjednoczone zlikwidowały siły zbrojne i rząd Talibów w Afganistanie.

W 2002 roku walczą jeszcze oddziały amerykańskie w wysokich górach Afganistanu z niedobitkami Al Khaidy, organizacji zbrojnej Osamy bin Ladena. Likwidacja tych sił nie wydaje się ani łatwa, ani szybka. Nie dziwiłbym się, gdyby niepokoje w Afganistanie trwały jeszcze przez lata.

Dla uzmysłowienia sobie tras nalołów porwanych przez terrorystów maszyn podaję orientacyjne dane:

- Boston leży na północny wschód od Nowego Jorku, blisko Oceanu Atlantyckiego.

- Newark leży na południowy zachód od Nowego Jorku, blisko tego miasta.

- Pittsburgh leży na północny zachód Waszyngtonu – stolicy kraju.

Nie tylko tragiczne wydarzenia odnotował rok 2001. Wśród wydarzeń radosnych niewątpliwie należy wymienić chrzest Jasia i Zosi.

Janusz i Małgosia doprowadzili do chrztu swoich dzieci. Chrzest miał miejsce w nowym kościele Milanówka dnia 7 września. Uczestniczyłem w tej uroczystości. Przekazałem Gosi jakąś kwotę w charakterze prezentu dla dzieci i wkład w kosztowne zdarzenie. Gosia kupiła dzieciom pamiątkowe złote krzyżyki z łańcuszkami.

Rok 2002

W styczniu 2002 roku otrzymałem oficjalne zawiadomienie o przejściu na emeryturę z równoczesnym (kolejnym) podziękowaniem za wieloletnią pracę w Państwowym Instytucie Geologicznym. Wobec kolejnego impasu na stanowisku dyrektora naczelnego PIG pismo podpisała, pełniąca po raz drugi obowiązki dyrektora naczelnego, pani Maria Magdalena Stecewicz, dotychczasowy zastępca dyrektora naczelnego do spraw finansowych.

Na spotkaniu noworocznym w połowie stycznia otrzymałem „nagrodę specjalną dyrektora naczelnego PIG” za pracę wykonaną w 2001 roku. Była to nagroda zbiorowa, tym niemniej wskazywała, że do końca zatrudnienia w PIG na pełnym etacie pracowałem wydajnie wykonując nawet zadania wykraczające poza normalne obowiązki kierownika Centralnego Archiwum Geologicznego.

Pozostając od pierwszego stycznia do 30 września 2002 roku na 1/8 etatu (jedna godzina dziennie) teoretycznie powinienem zajmować się sprawami przypisanymi Pełnomocnikowi do Spraw Ochrony Informacji Niejawnych Państwowego Instytutu Geologicznego. W praktyce konsultuję wiele spraw związanych z kierowaniem CAG i nierzadko podpisuję „z

upoważnienia kierownika” różne pisma napływające do sekretariatu Archiwum.

Ponieważ nadal dysponuję swoim gabinetem, przebywam w „pracy” nie osiem, a kilkanaście lub więcej godzin tygodniowo. Wolny czas poświęcam właśnie na przekazanie następnym pokoleniom fragmentów zdarzeń z mego życia.

W połowie września, z racji ostatecznego rozstania się z Państwowym Instytutem Geologicznym, Rada Naukowa PIG przysłała mi „adres” pożegnalny, bardzo ciepły w swoim brzmieniu, a podpisany przez Przewodniczącego Rady Naukowej, prof. dr hab. Krzysztofa Jaworowskiego i jego zastępcę, prof. dr hab. Andrzeja Sadurskiego.

Udział w niektórych zjazdach Polskiego Towarzystwa Geologicznego i niektóre moje urlopy

Na koniec postanowiłem opisać niektóre ciekawsze zjazdy Polskiego Towarzystwa Geologicznego, w których uczestniczyłem za czasów „młodości” i „wieku dojrzałego”. Tylko dwa ostatnie opisane zjazdy PTG, w Zakopanem i Krasnobrodzie, wypadły już w czasach „pracowitej starości”.

Opisałem także niektóre moje urlopy w kraju i za granicą. Urlopy i zjazdy miały miejsce zwykle z Terenią. Na urlopy nierzadko wyjeżdżałem z Januszem lub Anią, moimi dziećmi.

Zjazdy Polskiego Towarzystwa Geologicznego

Na początku lat sześćdziesiątych Terenia namówiła mnie, aby razem z nią wstąpić do Polskiego Towarzystwa Geologicznego. Był to czas, kiedy prawie wszyscy gdzieś należeli. Do

Związku Zawodowego Górników zapisaliśmy się – właściwiej byłoby powiedzieć: zapisano nas – na początku lat pięćdziesiątych. Jako członkowie związku mieliśmy prawo do „wczasów”, co niewątpliwie w tamtych latach było dużą zdobyczą socjalną dla bardzo wielu słabo zarabiających pracowników sektora państwowego.

Przynależność do PTG praktycznie nie dawała nic. Dostało się darmowe wydawnictwa zjazdowe, ale za zjazd trzeba było zapłacić. Członkowie PTG regularnie opłacający składki płacili za zjazd połowę tego, co pobierano od nie-członków. Za kwartalnik PTG płaciło się w ramach składek. Małżeństwa należące do Towarzystwa miały rabat: otrzymywały, ale i płaciły za jeden egzemplarz kwartalnika. Mimo to składki były wyższe od składek na Związek Zawodowy Górników. Poza tym składki na związek potrącano z pensji, a więc było to mniej bolesne, niż płacenie składek na PTG.

Należąc do PTG, czego wymagał honor geologa, a szczególnie, jak mówiła Terenia, geologa ze stopniem doktora, wypadało od czasu do czasu „zaliczyć” jakiś zjazd geologiczny.

Zjazdy PTG odbywają się także i obecnie co roku. Jest niewielu geologów, wśród nich nasza znajoma z Lublina, Rena Kosmulska, którzy zaliczają prawie wszystkie zjazdy.

Mój pierwszy Zjazd PTG, (35-tu z kolei), w 1962 roku, zorganizowany był w Kielcach. Uczestniczyłem w nim razem z Terenią. Każdy zjazd z reguły trwa trzy dni. Jeden dzień, to referaty i obrady zarządu, a dwa następne, to wycieczki po regionie, opisane w przewodniku zjazdowym. Każdy wybiera sobie jednego i drugiego dnia trasę najbardziej mu odpowiadającą. Trasy wycieczkowe obsługiwane są przez kilka autokarów i

specjalistów-geologów, objaśniających geologię odsłonięć mijanych okolic.

W ciekawszych miejscach autokar zatrzymuje się, a wycieczka ogląda istniejące odsłonięcia, kamieniołomy, źródła, czy wywierzyska. Do niektórych obiektów trzeba dojść pieszo, nieraz nawet kilka godzin. W czasie wycieczki często bywa czas na obejrzenie ciekawszych pamiątek historycznych, czy architektonicznych w mijanych miastach.

Oboje z żoną robiliśmy prace magisterskie w Górach Świętokrzyskich. Ja w centralnej części, na paleozoiku; Terenia zaś na ich zachodnim obrzeżeniu, na mezozoiku. Tak więc Terenia wybrała znaną mi wcześniej trasę z Kielc przez Białogon do Chęcín.

Po obejrzeniu rezerwatu geologicznego i zamku królewskiego trasa wiodła przez Małogoszcz, Krasocin, do Włoszczowej i dalej prawie dokładnie na północ (z minimalnym odchyleniem ku północnemu zachodowi) przez Kluczewsko (wychodnie jury i kredy opracowane przez Teresę), wzdłuż dzisiejszego Przedborskiego Parku Krajobrazowego, do Przedborza. Droga powrotna wiodła wzdłuż Pasma Przedborsko-Małogoskiego do Małogoszczy, Chęcín i Kielc.

Następnego dnia pojechaliśmy z Kielc przez Łagów, gdzie obejrzelśmy klimenie w górnym dewonie, do Opatowa. Tutaj obejrzelśmy kolegiatę św. Marcina i bardzo starą bramę miejską przypominającą biblijne „ucho igielne”. Z Opatowa jedziemy do Iwanisk i Ujazdu. Tu wśród „mikropodolskiego” krajobrazu obejrzelśmy ruiny zamku Krzyżtopór. Z Ujazdu, przez Klimontów z klasztorem dominikanów, wracamy do Opatowa i Kielc.

W Kielcach bywałem dość często, więc obejrzałem samotnie wiele okolicznych ciekawostek pokazywanych na szeregu wycieczkach zjazdowych. W samych Kielcach, przy zachodnich jego krańcach – jadąc w kierunku Piekoszowa – znajduje się głębokie wyrobisko wypełnione wodą. Nad lustrem wody odsłaniają się pionowe ściany wapieni dewońskich; jest to Rezerwat Skalny imienia Jana Czarnockiego.

Mijając Piekoszów wąską drogą dociera się do wsi Miedzianka i tu ogląda Rezerwat Geologiczny „Góra Miedzianka”. Stąd przez Chęciny jedzie się do Brzezin, gdzie można obejrzeć wychodnie ordowiku, i do Morawicy. Z Morawicy dobrą szosą wraca się do Kielc.

Na północ od Kielc widzi się utwory paleozoiczne w Kostomłotach i Miedzianej Górze. Tą trasą jedzie się do sienkiewiczowskiego Oblęgorka. Udajemy się na północ, w górę rzeczki Bobrza, do miejsca, gdzie jej górny bieg niesie wody ze wschodu. We wsi Umer zbudowano betonową przepustnicę, która pozwala stale mierzyć stan wody w tym cieku.

Dalej na wschód, między wsią Janaszów a Wąsosza, mija się bardzo stary dąb „Bartek”. Jadąc przez Zagnańsk do szosy Kielce-Radom mija się Górę Chełm o wysokości 399 m n.p.m. Eksploatowano tu środkowo-dewońskie dolomity.

Mijając szosę wąską drogą prowadzącą do wsi Barcza dojeżdża się do Rezerwatu Geologicznego Barcza, w którym widoczne są dobrze odsłonięte piaskowce kambru. Tutaj, w Paśmie Klonowskim, pobliski szczyt mierzy 465 m n.p.m. Z rezerwatu przez Kajetanów i Wiśniówkę wraca się do Kielc.

Z Kielc któregoś letniego dnia pojechałem autobusem do Górna (na wschód od Kielc). Stąd już pieszo udałem się do Krajna, gdzie przeszedłem prześliczny Wąwóz Krajeński,

kilkuset metrowej długości, wycięty przez mały strumyk w kambryjskich łupkach.

Z Krajna jest niecałe trzy kilometry do Świętej Katarzyny. Ze Świętej Katarzyny wspiałem się szlakiem turystycznym na główny grzbiet łysogórski. Obecnie teren ten objęty jest Świętokrzyskim Parkiem Narodowym. Przeszedłem od Łysicy (611 m n.p.m.) przez przełęcz na wysokości 530 m n.p.m. na Łysą Górę o wysokości 594 m n.p.m. Obok Łysej Góry wznosi się opactwo benedyktynów i Muzeum Święty Krzyż. Niedaleko budowli, na północnym stoku góry, widoczne są imponujące gołoborza.

Z klasztoru zszedłem do Nowej Słupi. Tu także jest muzeum. Można obejrzeć starożytne „dymarki”, w których wytapiano żelazo z miejscowej rudy. Podobno żelazo to kupowali w pierwszym wieku naszej ery nawet Rzymianie. Z Nowej Słupi pojechałem do Łagowa, gdzie po przesiadce na autobus opatowski dojechałem do Kielc.

Muszę tutaj znacznie wyprzedzić czas i omówić **53-ci Zjazd Geologiczny**, który także miał miejsce w Kielcach, ale w 1981 roku. Obejrzałem wówczas duży kamieniołom wapieni franu (dewon) w Kostomłotach. Na zachodniej ścianie kamieniołomu odsłaniało się podreźnikowe zafałdowanie warstw i wyraźny uskoki.

Niedaleko stąd, w złożu środkowo-dewońskich dolomitów Laskowej Góry, znajdowała się krasowa jaskinia leżąca na północ od wsi Laskowa i na północny zachód od wsi Kostomłoty II. Nie była to jaskinia na miarę często odwiedzanej jaskini Raj. Ta ostatnia leży trzy kilometry na północno-północny wschód od Chęcini i trzy kilometry na wschód od skrzyżowania szosy

Chęciny – Kielce z lokalną wąską drogą, Sitkówka Nowiny-Szewce.

W tym czasie obejrzałem raz jeszcze utwory paleozoiczne na trasie Kielce – Górnó - Bodzentyn. W rejonie Bodzentyna rzuciłem okiem na opracowane wcześniej przeze mnie pirytonośne utwory dewońskie we Wzdole Kamieńcu. Stąd przez Bodzentyn udaliśmy się do Nowej Słupi i do wsi Rudki, gdzie dawniej była kopalnia pirytu, a jeszcze dawniej, sięgająca pierwszego wieku naszej ery, kopalnia hematytu.

Z Nowej Słupi udaliśmy się do Grzegorzewic, gdzie w swoim czasie pani Maria Pajchłowa studiowała stratyografię dewonu facji łysogórskiej, wyraźnie odmiennej od facji kieleckiej.

Zjazd PTG (38-my) w 1965 roku w Tarnobrzegu.

Wobec braku większego hotelu w Tarnobrzegu gości zjazdowych zakwaterowano w trzech miejscowościach. Szeregowych pracowników nauki w hotelu robotniczym w Tarnobrzegu. Część profesorów i dyrektorów różnych instytucji przygarnął Sandomierz. Najznakomitszych gości umieszczono w Zamku Lubomirskich, zamienionym na ten czas w hotel, w Baranowie Sandomierskim.

Kilka kilometrów na południe od Tarnobrzegu na obszarze około 10 kilometrów kwadratowych znajdowała się czynna wówczas kopalnia siarki „Machów”. Od strony Wisły kopalnia zamknięta była na odcinku dziesięciu kilometrów szeroką dwupasmową szosą Tarnobrzeg-Siedleszczany. Siarkę wydobywano z wyrobisk odkrywkowych głębokich na kilkanaście metrów.

Po zwiedzeniu kopalni siarki „Machów” obejrzelśmy obszary przyszłej eksploatacji tego surowca w Osieku i Połańcu. Około pięciu kilometrów na wschód od miasteczka Połaniec wzniesiono nad Wisłą dużą elektrownię typu „Kozienice”.

Odwożąc gości do Baranowa zwiedziliśmy ten uroczy renesansowy pałac, podobnie jak rano jadąc do Sandomierza mieliśmy okazję zwiedzić miasto. Obejrzelśmy jego mury obronne, ratusz, katedrę, kościół św. Jakuba, a także podziemne chodniki pod częścią miasta.

Następnego dnia zwiedziliśmy kopalnię siarki „Jeziórko”, która leży około dziesięć kilometrów na wschód od Tarnobrzegu. Tutaj na dużym obszarze około 100 kilometrów kwadratowych wydobywa się siarkę metodą otworową. Przegrzana woda o temperaturze około 120 stopni Celsjusza wtłaczana jest do pokładów siarkonośnych, rozpuszcza ten pierwiastek i wypycha roztwór na powierzchnię. Tutaj siarka natychmiast się wytrąca (wrażna zmiana ciśnienia i temperatury) tworząc duże stożki zakrzepłego surowca.

W 1969 roku Zjazd PTG miał miejsce w Koninie wyjątkowo wcześniej, bo od 21 do 23 sierpnia. Zwykle zjazdy odbywały się we wrześniu. Konin leży nad Wartą. Pokazano nam drogowskaz z 1151 roku. Poza tym obejrzelśmy barokowy klasztor i kościół Świętego Bartłomieja.

Interesowały mnie kopalnie soli, więc 22 sierpnia wybrałem się do kopalni soli w Kłodawie. Jadę z częścią uczestników zjazdu z Konina do Koła. Po drodze, w Staszku zwiedzamy romański kościół, a w Kole – Kościół Bernardynów.

W Kłodawie zjeżdżamy do kopalni. Oglądamy duże komory po wybraniu soli kamiennej i małej, z których wydobyto

niewielkie ilości soli potasowych. Trochę sylwinu o wzorze KCl przywiozłem do domu.

Z Kłodawy jedziemy na południe do miejscowości Dąbie. Tutaj nad rzeką Ner słuchamy wywodów hydrogeologów o wodach regionu i o miejscowym czwartorzędzie.

Stąd udajemy się do Uniejowa i Turka. Przed Turkiem oglądamy duże wyrobiska w utworach czwartorzędowych. Z Turka przez Tuliszków wracamy do Konina. Na miejscu przedstawiono nam obraz czwartorzędu w dolinach Bzury, Neru i Warty.

Następnego dnia wycieczka prowadziła z Konina na północ przez Ślesin, wzdłuż jezior i kanału Warta - Gopło do Kruszwicy. Na południe od miasta rozciąga się obecnie Nadgoplański Park Tysiąclecia.

Z Kruszwicy jedziemy przez Strzelno i Mogilno do Pakości, a stamtąd na odsłonięcie czwartorzędu w Piechcinie. Po obejrzeniu piasków i glin z zaburzeniami glacitektonicznymi wracamy przez Pakość, aby stanąć w Inowrocławiu. Znajduje się tutaj kopalnia soli kamiennej założona na cechsztyńskim wysadzie solnym.

Zjechaliśmy do kopalni, obecnie już nieczynnej. Szczególnie duże wrażenie zrobiło na mnie okrągłe wyrobisko dziesięciometrowej średnicy wycięte pod ziemią w solnej caliznie. Jego głębokość co najmniej kilkunastometrowa, a może i kilkadziesiątmetrowa, ginęła w mroku, którego nie rozjaśniało światło górniczych latarek.

Z Inowrocławia przez Strzelno i Ślesin wracamy do Konina. Stąd już pociągami każdy z uczestników oddzielnie, lub w małych grupach wracał jeszcze tego samego dnia do domu.

W 1970 roku Zjazd PTG, 42-gi z kolei, zorganizowano w Lublinie. Zjazd ten miał dla mnie o tyle ważne znaczenie, że na jednej z wycieczek referowałem eocen z Siemienia.

Po zwiedzeniu Lublina w dniu „referatowym” utrwaliłem sobie w pamięci kilka miejskich szczegółów znanych mi z niejednokrotnych, wcześniejszych odwiedzin tego miasta, jak i całego regionu lubelskiego.

Rano następnego dnia zjazdu wyjeżdżamy w kierunku Lubartowa, który poza parkiem i pałacem Sanguszków jest raczej mało ciekawy. Okolice natomiast z geologicznego punktu widzenia mają miejsca dość ciekawe.

W Syrnikach koło Lubartowa, w dolinie Wieprza, prezentowano osady interglacjału lub też cieplejszego okresu między czwartorzędowymi zlodowaceniami. W Luszawie nad Wieprzem, 14 kilometrów na północ od Lubartowa, nawiercono bardzo płytko występujące fosforytonośne utwory eocenu zawierające bursztyn, podobnie jak w Siemieniu. Ciekawe osady czwartorzędowe pokazano nam w Siedliskach odległych od Lubartowa sześć kilometrów ku zachodowi. Tereny te znałem wcześniej, bo w pobliskim Skrobowie miałem własny otwór wiertniczy.

Z Lubartowa przez Kock (kościół i pałac klasycystyczny) jedziemy do Łukowa, gdzie mieści się klasztor pijarów i drugi, benedyktynów. Dwa kilometry na zachód od Łukowa znajduje się wieś Łapiguz, obecnie należąca do miasta. Tutaj eksploatowano niegdyś glinę z kry jurajskiej przyniesionej przez lodowiec z okolic dzisiejszych Papilan na Litwie. W owych łożach parę pokoleń geologów eksploatowało były syderytowe (FeCO), w których znajdowano nadzwyczaj obfitą faunę jurajską. Szczególnie wiele było tutaj amonitów. Nieżyjący już prof.

Henryk Makowski zrobił doktorat opracowując znalezione tu głowonogi.

Z Łukowa jedziemy przez Radzyń Podlaski (pałac Potockich i renesansowy kościół) oraz Żninne, do Siemienia.

O „widelkach” nieopodal wsi Żninne wspominałem wcześniej. Jest to rozwidlenie między szosą Parczew-Lubartów, a odgałęzieniem szosy prowadzącym ze Żninnego do Radzyna Podlaskiego.

W Siemieniu zaprezentowałem wycieczce utwory eocenu. W głębokim wkopie można było zobaczyć w wapnistych piaskach glaukonitowych liczną faunę, fosforyty, a nawet okruchy bursztynu.

Z Siemienia przez Parczew, Jabłoń i Podedwórze udajemy się do Hołowna. Znajduje się tutaj duże archiwum rdzeni wiertniczych Państwowego Instytutu Geologicznego.

Po obejrzeniu wybranych rdzeni jedziemy na południe ogólnie biorąc i przez Kodeniec dostajemy się do Łęcznej. W dolinie Wieprza, nieopodal tej miejscowości, oglądamy wschodnie górny mastrycht w stromym prawym brzegu doliny.

Około dwu kilometrów na północny zachód od Łęcznej, we wsi Witaniów, oglądamy odsłonięcie opoki, także w prawym brzegu doliny Wieprza, określonej jako górny poziom górnego mastrychtu.

Z Łęcznej jedziemy przez Jawidz, Niemce, Nasutów, Kraśsinin, do Karolina. Tu pośród pól uprawnych, w odkrywcę, czyli po prostu w jamie, można obejrzeć węglanowe utwory dolnego paleocenu. Występująca tu opoka jest bezpośrednio wyższym ogniwem stratygraficznym, młodszym od najwyższego mastrychtu.

Stąd około trzech kilometrów na południe biegnie szosa Warszawa-Lublin, którą wracamy „do domu” na zasłużoną obiadokolację.

Zjazd PTG w 1997 roku w Zakopanem. Od 2 do 4 października. W 1997 roku Zjazd PTG odbył się dość późno. Liczono, że wtedy pogoda będzie bardziej słoneczna, niż we wrześniu, a co najważniejsze domy wypoczynkowe w Zakopanem od początku października mają już wiele wolnych miejsc.

Do Zakopanego przyjechałem z dr Andrzejem Kühnem. Do Krakowa przybyliśmy z Warszawy rannym pociągiem ekspresowym. Po zwiedzeniu krakowskich plantów i barbakanu zdążamy na autobus do Zakopanego. Późnym popołudniem jesteśmy na miejscu. Cały dzień był pogodny, a nawet słoneczny. Pieszko znajdujemy dom „Świerk”, w którym będziemy nocować.

Następnego dnia od rana leje. Pod parasolami udajemy się do Sali Związku Podhalań przy ulicy Kościuszki 4. Tu o godzinie dziesiątej następuje uroczyste otwarcie zjazdu, a następnie sesja naukowa traktująca o tektonice Tatr, o ich skałach krystalicznych oraz o wodach Tatr i Podhala.

Po obiedzie, w moim miejscu zakwaterowania, w domu wypoczynkowym „Świerk”, ma miejsce Walny Zjazd Delegatów PTG. Niebiorący w nim udziału jadą kolejką na Gubałówkę z profesorem Jerzym Lefeldem. Stąd oglądamy panoramę Tatr i Kotliny Zakopiańskiej. Na Gubałówce jestem pierwszy raz w życiu.

Wieczorem o godzinie 18,30, jak zwykle na zjazdach PTG, ma miejsce uroczysta kolacja. Jest nieco alkoholu i są w umiarkowanym zakresie tańce.

Następnego dnia rano, po śniadaniu, jadę na wycieczkę „zagraniczną”, którą prowadzi Jurek Lefeld. Po odprawie paszportowej na Łysej Polanie przekraczamy graniczną rzekę Białkę. Deszcz, wprawdzie drobny, ale siąpi nieustannie. Peleryny i parasole tylko nieco chronią przed tą pogodą.

Przy polskim przyczółku mostu znajduje się wodowskaz IMiGE, założony w 1924 roku. Tuż za przejściem granicznym oglądamy Łysą Skałkę zbudowaną z dolomitów i wapieni triasu środkowego płaszczowiny Palenicy. Idziemy drogą w górę doliny wzdłuż częściowo uregulowanego koryta Białki. Mijamy położoną wysoko nad nami łuskę Czerwonej Skałki. Słowacy nazywają to miejsce – Tisovky.

Niecałe dwa kilometry od przejścia granicy oglądamy na odcinku około dwustu metrów jedenaście źródeł nazywanych „Wywierzyskiem pod Czerwoną Skałką”. Po przejściu kolejnego krótkiego odcinka po polskiej stronie widzimy mostek na Potoku Waksmundzkim. Od tego miejsca w górę koryta Białki rozpoczyna się strefa okresowych zaników wód w rzece.

Idąc dalej drogą w dolinie Białki mijamy skały należące do łuski Golicy – Zachodniej Kopy, które oddzielone są utworami kajpru karpackiego od triasu środkowego łuski Czerwonej Skałki.

Dochodzimy do Polany Biała Woda, gdzie otwiera się widok na północno-zachodnie partie masywu Szerokiej Jaworzyńskiej. Dolina Białki stanowi granicę między elewacją Koszystej, reprezentowaną przez grzbiet Wołoszyna, a depresją Szerokiej Jaworzyńskiej.

Poniżej wierzchołka Szerokiej Jaworzyńskiej widzimy Spismichałową Czubę, czyli Zamki. Czuba zbudowana jest z krystaliniku nasuniętego na skały osadowe. Dalej ku północy

wznosi się Chorwacki Wierch (Chorwacki Uplaz) zbudowany również ze skał krystalicznych.

Górne partie Rusinowej Polany, widoczne nieco ku północy, to margle z kościeliskiej, wieku kredowego; dokładnie: berias-walanżyn, stanowiące izolowany płat kredowy Gęsiej Szyi. Na szczycie Gęsiej Szyi występują dolomity środkowego triasu.

Zatrzymujemy się przy obudowanym źródle w pobliżu gajówki TANAP-u na Polanie Biała Woda. Tutaj W. Humnicki omawia chemizm wód tego rejonu i jego hydrografię.

Idziemy wzdłuż polany, a następnie wzdłuż rzeki, aż do miejsca połączenia się Rybiego Potoku, wypływającego z Morskiego Oka, z Białą Wodą. W tym miejscu powstaje Białka.

Granica państwa biegnie dalej wzdłuż Rybiego Potoku, my natomiast przekraczamy drewniany mostek i podążamy w głąb doliny, która od tego miejsca przyjmuje nazwę Doliny Białej Wody. Nieco dalej widzimy odsłonięcie charakterystycznych dla Tatr utworów morenowych. Z tego miejsca podziwiamy (na szczęście chwilowo się przejaśniło) malowniczo usytuowane i najtrudniej dostępne źródła krasowe Tatr – „Wywierzyska Spismichałowe”. Są one położone około 150 metrów powyżej dna doliny.

Po przejściu sześciu i pół kilometra, licząc od Łysej Polany, dochodzimy do mostka na Żabim Potoku Białczańskim. Dochodzimy do Polanki pod Skoruśniakiem i podziwiamy Ukształtny profil polodowcowej doliny Białej Wody. Przekraczając mostek idziemy dalej w górę doliny, mijając odsłonięcie granodiorytu tatrzańskiego.

W drodze na Polanę pod Wysoką, nieco powyżej ujścia Litworowej Wody, oglądamy stosunkowo nowe osuwisko skał

granodiorytowych, bo z lipca 1989 roku, którego jęzor przegrodził potok. Przed nami zawrotnie stroma wschodnia ściana Młynarczyka – wynik egzaracji lodowcowej.

Widok z Polany pod Wysoką (odległość 9,5 kilometra od Łysej Polany) na zamknięcie doliny Białej Wody w postaci zawieszonych dolin Świstowej, Litworowej, Kaczej i Ciężkiej, (czyli Czeskiej) należy do najwspanialszych w Tatrach.

Następnego dnia pani prof. Krystyna Piotrowska, żona Jurka Piotrowskiego, poprowadziła wycieczkę z Kasprowego Wierchu przez Przełęcz Liliowe, Dolinę Stawów Gąsienicowych, Przełęcz Karb, Czarny Staw, Przełęcz między Kopami, Boczań, aby zejść do Kuźnic. Prezentowano w czasie wycieczki tektonikę trzonu krystalicznego Tatr Wysokich, petrologię granitów i osady postglacjalne.

Ponieważ Jurek Piotrowski, stary tatrzański bywalec, nie uczestniczył w żadnej wycieczce, nawet swojej żony, zaproponował mi zwiedzenie Zakopanego i okolic. Sprawę znakomicie ułatwiał fakt, że Jurek dysponował własnym samochodem.

Obejrzeliśmy pięknie położony kościół w Olczy. Stąd pojechaliśmy na Krzeptówki do kościoła Matki Boskiej Fatimskiej. Tutaj na kościelnym cmentarzu wzniesiono pomnik Jana Pawła II. Zaraz potem odwiedziliśmy stary cmentarz zakopiański na Brzysku, gdzie spoczywają między innymi: Chałubiński, Karłowicz, Witkiewicz-Witkacy i wielu zasłużonych dla Zakopanego przedstawicieli rodów góralskich.

Po dobrych ciastkach i kawie na Krupówkach Jurek zabrał mnie i Andrzeja Kühna do Chochołowa. Obejrzeliśmy tu wiele góralskich domów-chat, zbudowanych z grubych świerkowych bierwion.

Z Chochołowa przez Zakopane pojechaliśmy szosą w kierunku Morskiego Oka. Dotarliśmy do parkingu na Polanie Palenicy, znacznie przed Wodogrzmotami Mickiewicza. Dalej ruch samochodowy, przynajmniej teoretycznie, jest zabroniony. Nie zdecydowaliśmy się na spacer do Morskiego Oka; spacer taki trwa w obie strony ponad pięć godzin.

Jurek zawiózł nas na Głodówkę. Znajduje się tutaj znakomity punkt widokowy, z którego podziwialiśmy wspaniałą panoramę Tatr – w dużej części słowackich – ze szczytem Lodowego i Gerlacha, po polsku – Garłucha. Kupiliśmy na Głodówce kilka kart pocztowych z panoramą, którą właśnie oglądaliśmy. Na kartach prawie każdy szczyt opatrzony jest stosowną nazwą i wysokością nad poziom morza.

Nieco powyżej punktu widokowego, w hotelu-restauracji o stylowym góralskim wnętrzu, zjedliśmy smakowite ziemniaczane „placki po zbójnicku”, czyli przekładane gulaszem. Po obiedzie wracamy do Zakopanego.

Po południu czwartego października zabieramy z domu wypoczynkowego nasze bagaże i udajemy się na dworzec kolejowy. Jadę razem z Andrzejem Kühnem. Około 23-ciej jestem w Warszawie, w domu.

Zjazd PTG 1998 roku w Krasnobrodzie – od 23 do 26 września.

Na Roztoczu byłem wcześniej w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych, więc chętnie skorzystałem z okazji ponownego obejrzenia tego regionu. Jak i na zjeździe tatrzańskim, towarzyszył mi Andrzej Kühn. Z Warszawy do Lublina przyjechaliśmy pociągiem. Dalej do Krasnobrodu – autobusem PKS. Po zarejestrowaniu się w jednym z domów wypoczynko-

wych Krasnobrodu zwiedziliśmy niewielkie miasteczko i jego najbliższą okolicę.

Następnego dnia był czas referatowy, a później Walny Zjazd Delegatów. Czas ten także wykorzystaliśmy na zwiedzanie okolicy.

Wieczorem za miastem urządono duże ognisko z pieczeniem kielbas, piwem i mocniejszym alkoholem. Tu miałem okazję porozmawiać z Reną Kosmuską z Lublina i Cwojdzin-skimi z Wrocławia.

Następnego dnia rozpoczęły się wycieczki zjazdowe. Wybrałem wycieczkę po południowo zachodniej strefie krawędziowej Roztocza. Strefa ta jest najbardziej zróżnicowana geologicznie i morfologicznie, ciągnąc się od Huty Różanieckiej na południu, po Żelebsko na północnym zachodzie.

1. Z Grabownicy widoczna jest strefa krawędziowa Roztocza złożona z kilku elementów morfologicznych ułożonych równolegle: pas wzgórz zewnętrznych, ostańcowe wzgórza wewnętrzne oraz rozdzielający je pas obniżen tektonicznych.

2. Grzbietem Roztocza biegnie wododział rozdzielający dorzecze Wieprza i Bugu od dorzecza Sanu. Jeleń jest małym prawobocznym dopływem Tanwi i bierze swój początek z okazałego wywierzyiska. Strumień zasila około trzydziestu źródeł na jego przelomowym odcinku i posiada on tutaj kilka progów skalnych, zwanych przez miejscową ludność „szypotami”. Cały omawiany odcinek przechodzimy pieszo wśród malowniczej scenerii mieszanego lasu.

3. Jadąc dalej na południe stajemy na krawędzi Roztocza. Widoczna przed nami Huta Różaniecka, to wieś położona na łożach krakowieckich zapadliska przedkarpacciego. W krawędzi wykonano kilka niegłębokich wyrobisk. Miejsce to geolodzy

określają jako grzbiet Huty Różanieckiej. W małych kamieniołomach widoczne są wapienie bioklastyczne krasnorostowe, piaski kwarcowe i osady rodoidowe, czy inaczej litotamniowe z piaskiem kwarcowym. Utwory te reprezentują baden, od dolnego po górny. Obecne są tutaj liczne skamieniałości małży i ślimaków.

4. Jadąc na północny zachód zatrzymujemy się w dolinie Sopotu. Koło leśniczówki w Hamerni dolina wcina się w płaski poziom utworów piaszczystych na głębokość ponad dwudziestu metrów. W korycie pojawiają się nieregularne wysokie progi zbudowane z utworów trzeciorzędowych. Dolina w dużym stopniu jest zalesiona.

5. Jadąc dalej na północny zachód, wzdłuż krawędzi zewnętrznej Roztocza, docieramy do przedmieść Józefowa. W rozległym i głębokim kamieniołomie eksploatowane są tu krasnorostowe wapienie zawierające wkładki ilaste. Wiek ich określono jako górno-badeński.

6. Jeszcze dalej na północny zachód osiągamy Tereszpol. Ze wsi idziemy na wzgórza zbudowane z geozolitu dolnego mastrychtu, miejscami ze śladami dolnobadeńskich piasków glaukonitowych.

7. Jakieżś dwanaście kilometrów na zachód od Zwierzyńca leży Żelebsko. W dużym czynnym kamieniołomie odsłania się około dwudziestometrowej wysokości ściana utworów mioceńskich, reprezentowanych przez wapienie górnego badenu i sarmatu. Stąd przez Zwierzyniec wracamy do Krasnobrodu.

Następnego dnia jedziemy na wycieczkę, którą objaśnia między innymi Stefan Cieśliński. Dzień jest chłodny i pochmurny. Stajemy we wsi Bondyrz. Znajduje się tutaj

prywatne muzeum geologiczno-archeologiczno-historyczne pana Jana Sitko.

Na podwórzu wita nas potężny niemiecki czołg i gospodarz. W muzeum oglądamy dużą ilość broni używanej w pierwszej i drugiej wojnie światowej. Duży dział reprezentowany jest przez wykopaliska archeologiczne, od czasów epoki kamiennej, po okres Grodów Czerwieńskich. No i zaprezentowano nam duży zbiór pni zsylikowanych sekwoi środkowobadeńskich. Pan Sitko ściągnął je własnymi środkami i rękami z różnych miejsc Roztocza.

Z Bondyrza jedziemy do pobliskiego Guciowa. Stąd idziemy pieszo do niezbyt odległego zalesionego wzgórza, na którym stało starożytne grodzisko. Jego wiek datowany jest na czasy pierwszych Piastów. Znajdowało się ono na pograniczu Polski z Rusią Kijowską (system Grodów Czerwieńskich). Grodzisko otoczone było dwoma wałami obronnymi, których ślady oglądamy. Strzegło ono połączenia handlowego Rusi z Polską i Europą zachodnią, biegnącego w tym rejonie wzdłuż górnego biegu Wieprza.

Z Guciowa (sama wieś powstała w XIX wieku) jedziemy około 25-ciu kilometrów, ogólnie biorąc na zachód, przez Zwierzyniec, Lipowiec, Czarnystok, do Gorajca. Tutaj w dolinie rzeki Gorajec oglądamy utwory czwartorzędowe.

Stąd udajemy się do wsi Zaporze. Leży ona około dziesięciu kilometrów na północ (z lekkim odchyleniem ku zachodowi) od Gorajca. Oglądamy tu położenie źródeł w bagnistym obniżeniu porośniętym trawą znacznej wysokości, a blisko rozlewiska także szuwarami. Rozlewisko w formie niewielkiego stawu ma bardzo zimną, źródlaną wodę. Przewodnik mówi, że wydajność źródeł zmienia się w zależności od pory roku.

W pobliskim Podlesiu oglądamy z niezbyt wysokiego wzniesienia wśród pól uprawnych – obecnie świeżo zaoranych – Kotlinę Podlesia. Leży ona w północno wschodniej części Rostocza Gorajskiego, około dwa kilometry od doliny Poru (rzeki Por).

Jadąc dalej około 25 kilometrów na północny zachód, stajemy w Batorzu. Tutaj doc. dr Stefan Cieśliński objaśnia zwiedzane odsłonięcia: opoki margliste górnego kampanu i mastrychtu w miejscowym kamieniołomie. Kto inny omawia osady stokowe pokrywające utwory kredowe widoczne w kamieniołomie. Jeszcze ktoś inny objaśnia wydajność źródeł, które w Batorzu obok mostu, na wysokości 239 metrów n.p.m., dają początek rzece Por. Jest ona lewostronnym dopływem rzeki Wieprz.

Wycieczka jedzie do wsi Błazek, aby obejrzeć lessy i nieco dalej osady glacialne i fluwioglacjalne zlodowacenia Odry w zachodniej części Rostocza Gorajskiego.

Andrzej Kühn i ja zostajemy ze Stefanem Cieślińskim w Batorzu. Stefan ma tu własne trzypokojowe mieszkanie w bloku mieszkalnym. Zaprasza nas do siebie i częstuje herbatą z miejscowym miodem. Później odwozi nas swoim samochodem przez Zakrzówek do stacji kolejowej Wilkołaz. Tuż przed wsią łąpiemy gumę. Stefan naprawia koło, a my pomagamy na miarę naszych możliwości. Po naprawie spieszymy na dworzec. Jesteśmy tutaj przed przyjazdem naszego pociągu relacji Kraśnik – Lublin.

W Lublinie mamy przesiadkę do pociągu pospiesznego zdążającego do stolicy. Droga nie dłuży się, gdy wesoło gwarząc zmierzamy do domu, w którym jesteśmy niezbyt późnym wieczorem.

Urlopy krajowe

Najczęściej odpoczywałem zimą. Zawód geologa wymagał spędzania w terenie większej części roku, a już obowiązkowo miesięcy letnich.

Gdy w latach pięćdziesiątych, molestowany przez żonę, chciałem wziąć latem trzytygodniowy urlop, oto co usłyszałem od ówczesnego dyrektora swojego pionu, Edwarda Wutcena: *„Panie kolego, przecież pan całe lato jest na urlopie, pobierając za to jeszcze pieniądze z racji delegacji”*.

Z tej prostej opinii widać, jak w owym czasie Dyrekcja Instytutu traktowała zadania powierzane młodym pracownikom naukowym. Zrobisz, co ci polecono, to dobrze; nie zrobisz, to także dobrze, przecież traktujemy twoją pracę w terenie, jak urlop. Fakt ten zrozumiałem jednak dopiero po bardzo wielu latach. Wówczas młody człowiek przejęty był swoją pracą. Nie dospał (kwatery nie zawsze zapewniały odpowiedni nocleg), nie dojadł (w okresie letnim rzadko jadało się obiady), często-gęsto przemókł w czasie wiosennych, letnich, czy jesiennych deszczów, ale wykonywał swoją robotę z zapałem: profilował rdzenie, nadzorował wiercenia, kartował i profilował wyrobiska (odsłonięcia eksploatacyjne, szurfy, rowy i szybiki).

Jak z tego widać, najodpowiedniejszą porą na wczasy była zima. Domy wypoczynkowe w górach dawały taką możliwość za stosunkowo niewielką opłatą, pod warunkiem przynależności do Związku Zawodowego Górników. Górników, bo pracownicy Instytutu Geologicznego mogli należeć do tego właśnie związku.

W latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku razem z żoną Teresą odwiedzaliśmy parokrotnie Duszniki i Polanicę.

Z Dusznik robiliśmy autokarowe wycieczki do Kudowy Zdroju. W północno wschodniej części uzdrowiska zwiedziliśmy „kaplicę czaszek”. Jadąc dalej przez Jakubowice, Karlów i Łężyce przecinaliśmy Park Narodowy Gór Stołowych, wracając do Dusznik. W rejonie uzdrowiska jeździliśmy na nartach, wykorzystując do tego celu południowy, słabiej nasłoneczniony stok Bystrzycy Dusznickiej.

Kiedyś poszedłem na nartach do schroniska „Pod Muflo-nem”. Stąd po gorącej herbacie zjechałem do szosy Duszniki – Kłodzko na wschodnich peryferiach miasta. Kilkaset metrów od szosy, jadąc w miarę szybko po dość stromym stoku, zobaczyłem przed sobą kłęby drucianej siatki jakiegoś ogrodzenia. Żadnych domów w pobliżu nie było, a siatkę zauważyłem w odległości kilkunastu metrów. Zdażyłem wypatrzeć bardzo wąskie miejsce, gdzie siatka nie wystawała spod śniegu. Uniosłem lewą nartę i na prawej przemknąłem pomiędzy zwojami drutu. Wyhamowałem przed szosą na łagodniejszym zboczu. Czułem pewną satysfakcję z uratowania nart, no i zapewne nóg, czym niewątpliwie groziłoby uwikłanie się w obalone ogrodzenie.

Piechotą razem z Terenią odwiedziliśmy górę Szczytniak (589 m npm) oraz górę Wolarz (852m npm).

Z Polanicy mieliśmy okazję zwiedzić autokarem Kłodzko z siedemnastowieczną twierdzą, kościołem i klasztorem franciszkańskim oraz kamiennym mostem na Nysie Kłodzkiej. Zwiedziliśmy następnie Bystrzycę Kłodzką z fragmentami murów obronnych, Łądek Zdrój z pijalnią wód i krytym basenem z ciepłą wodą.

Innym razem zwiedziliśmy w ten sam sposób Złoty Stok, Kamieniec Ząbkowicki z gotyckim kościołem i zamkiem obronnym oraz same Ząbkowice Śląskie z zamkiem książęcym.

W czasie prac terenowych na tym obszarze, mając do dyspozycji samochód, zwiedziłem w okresie letnim część Gór Bystrzyckich, Stronie Śląskie, Paczków, Jezioro Otmuchowskie i Otmuchów z zamkiem biskupim, a także Nysę i Jezioro Nyskie.

Kiedy indziej, także służbowo, odwiedziłem północno-zachodnią część tych terenów. Jeszcze raz Ząbkowice Śląskie, Srebrną Górę i wejście do twierdzy, Nową Rudę z jej kopalnią, Bielawę, Dzierżoniów i Pieszyce. Stamtąd północną granicą Parku Krajobrazowego Gór Sowich dotarłem do Jedliny Zdroju i Głuszycy.

Dwa kilometry od Głuszycy, jadąc na południe, mieliśmy do 1994 r. magazyn rdzeni w prywatnej stodole wsi Głuszycza Górna. Rdzenie z tego magazynu zostały przewiezione do archiwum rdzeni w Michałowie koło Lubina.

W 1960 roku święta Bożego Narodzenia spędziłem z Terenią w Szczawnie Zdroju koło Wałbrzycha. Nasz pięcioletni syn Januszek został u dziadków w Milanówku, dokąd przyjechali na święta i moi rodzice. Żona i ja mieliśmy jako choinkę parę sosnowych gałęzi.

Ze Szczawna Zdroju zwiedziliśmy Świebodzice i zamek Książ położony na południowy zachód od miasta. Następnie obejrzelśmy Boguszów-Gorce i Kamienną Górę, nie mówiąc już o leżącym w pobliżu Wałbrzychu. W okolicy miasta wszędzie widniały, czynne wówczas, kopalnie węgla kamiennego.

Na południe od Kamiennej Góry, w Krzeszowie, obejrzelśmy z zewnątrz opactwo cystersów. Kiedy indziej zrobiliśmy wycieczkę do Bolkowa, zwiedzając zamek i muzeum. Później pojechaliśmy do Jawora i Strzegomia. W tej części kraju pracowałem także latem we wspomnianym wcześniej Wądrożu

Wielkim koło Legnickiego Pola i w Złotoryi, gdzie towarzyszył mi Jurek Kanasiewicz.

Parokrotnie w latach sześćdziesiątych spędzałem zimowe urlopy w Karpaczu i Bierutowicach. Te ostatnie ze ślicznym kościółkiem Wang są teraz częścią Karpacza. Bywałem tutaj z Terenią, czasem sam. Będąc sam szusowałem po ośnieżonych stokach od Karkonoskiej przełęczy, przez Smogornię, po Śnieżkę.

Któregoś dnia, wracając ze schroniska „Samotnia” do nieistniejącego już schroniska Bronisława Czecha, wjechałem na leśną ścieżkę. Śnieg na drodze miejscami był stopniały w promieniach słońca, a odcinki zacienione miały śnieg zlodowaciały. W pewnym momencie, na kolejnym zakręcie leśnej drogi wjechałem właśnie na taki zacieniony odcinek. Mimo wysiłków, narty poniosły mnie prosto. Przeleciałem nad paru niewielkimi sosnami i w końcu utknąłem w głębokim śniegu, który rozorałem nie tyle nartami, co siedzeniem.

Po chwili, gdy stwierdziłem, że nic mnie nie boli, odpiąłem narty i wydobyłem je ze śniegu. Ze zdziwieniem, ale i radością stwierdziłem, że są one całe. Wróciłem na leśną drogę, otrzepałem ubranie ze śniegu i już bardziej ostrożnie zjechałem do schroniska Bronisława Czecha. Tu wytrząsałem z różnych dziwnych miejsc resztki śniegu i sporo sosnowych igieł, wypilem herbatę i późnym popołudniem wróciłem do Bierutowic, obecnie Karpacza Górnego.

Następnego dnia obserwowałem, jak przed obiadem na „oślej łączce” zjeżdżają początkujący narciarze. Widzę dwie mocno niezdecydowane dziewczyny. Paski górnej części kijków mocno oplatają ich ręce. Jedna z nich rusza. Jedzie bardzo powoli po niezwykle łagodnym stoku. Po kilkunastu metrach pada i

wrzeszczy. Jadę do niej. Przede mną zdążył jakiś mężczyzna. Usiłował ją podnieść, ale ona wrzeszczy i każe mu odejść. Całą swoją dość korpulentną postacią przygniotła prawą rękę uwięzioną w pasku kijka. Wezwano pogotowie. Dziewczynę zabrano do szpitala; okazało się, że jest ona z naszego domu wczasowego. W szpitalu stwierdzono, że ma poważne złamanie ręki, na szczęście nieotwarte. Po powrocie ze szpitala w czasie posiłków zapewniała, że nigdy nie założy nart. No cóż, można i tak!

Około 1965 r. byłem z Januszem, moim synem, w Przesiece, która leży na południe od Jeleniej Góry, mniej więcej w połowie drogi między Karpaczem, a Szklarską porębą. Tutaj na łagodnych stokach pomiędzy domami wczasowymi Januszek zdobywał swoje umiejętności narciarskie, obficie karmiąc się śniegiem.

Stąd zrobiliśmy autokarową wycieczkę do Szpindlerowego Młyna (już po stronie czechosłowackiej). Ta piękna miejscowość leży wprawdzie tylko dziesięć kilometrów na południe od Przesieki, ale po drugiej stronie głównego karkonoskiego grzbietu. Przejazd przez najbliższe przełęcz tam i z powrotem zajął nam prawie cały dzień. Zdążyliśmy na kolację.

Jak pisałem wcześniej, zdarzały się nam także urlopy latem. W 1964 r, a więc przed urodzeniem Ani, wyruszyliśmy z Terenią i Januszkiem na wczasy do Czaplinka. Czaplina leży około 40-tu kilometrów na południowy zachód od Szczecinka, a ten położony jest 25 kilometrów na południe od Bobolic. Z kolei Bobolice leżą 39 kilometrów na południowy wschód od Koszalina. W odległości 20-tu kilometrów na zachód od Czaplinka rozciąga się Borne Sulinowo, w owym czasie duża baza wojsk radzieckich, dziś prawie wymarłe miasto.

Otóż w Czaplunku mieszkając w domkach kempingowych większą część dnia spędzaliśmy na plaży. Kąpielisko i plaża położone są tuż u zachodniego krańca miasta, nad wschodnim brzegiem południowo-wschodniej części dużego Jeziora Drawsko.

Któregoś lipcowego dnia wypłynąłem z Terenią dwoma kajakami środkiem jeziora w kierunku północno-zachodnim. Ja z Januszkiem płynąłem jednym kajakiem, a żona drugim. Płynęło się niezłe, mimo że fala była większa niż zwykle, a to po wczorajszej wietrznej pogodzie. Gdy byliśmy w odległości około trzech kilometrów od naszego kąpieliska i wypożyczalni kajaków, nadciągnęły od zachodu ciemne chmury, a gdzieś w dali zaczęło grzmieć. Mając ze sobą kilkuletnie dziecko, postanowiliśmy wracać. Ulewny deszcz dopadł nas około kilometra od brzegu. Przyniósł go porywisty wicher. Ruszałem wiosłami co sił w rękach. Terenia trzymała się dzielnie nieopodal. Grzmoty stały się częstsze. Błyskawice oświetlały pociemniałe jezioro. Sądząc po grzmotach następujących po błyskawicach pioruny uderzały w wodę coraz bliżej nas. Wody, na razie deszczowej, ciągle przybywało w kajakach. Fala zrobiła się duża, ale wiatr na szczęście spychał nas ku przystani. W końcu mocno przemoczeni dobiliśmy do brzegu. Tutaj już spokojnie wyciągnęliśmy na brzeg kajaki ciężkie od wody. Po wylaniu jej ustawiliśmy kajaki na stojakach. Plaża oczywiście była pusta. Dotarliśmy do domu. Po umyciu nóg i dokładnym wysuszeniu poszliśmy na zasłużony obiad. Deszcz przed chwilą przestał padać, tak że po smacznym posiłku poszliśmy jeszcze na niewielki spacer.

Jeden urlop około 1970 r. Terenia spędziła z Anią w Poberowie. Ja w tym czasie robiłem rejestrację odłoneń na

arkusza Trzebiatów, o czym pisałem wcześniej. Tu wypada zaznaczyć, że ówczesne lato było deszczowe. Bielizna uprana i rozwieszona w domku kempingowym lub na zewnątrz niego nie wysychała czasem nawet w ciągu dwu dni, a pościel w domku była wilgotna.

Zwiedziliśmy w tym czasie Kamień Pomorski z jego katedrą, Dziwnów, wyspę Wolin i Międzyzdroje, a także Świnoujście, do którego trzeba było dotrzeć promem.

Nieco wcześniej odwiedzałem moje Panie w Pucku, gdzie Terenia przebywała na tak zwanym obozie kondycyjnym. Sam wówczas pracowałem nad Bałtykiem. Zatoka Pucka w owym czasie, acz brudna, umożliwiała kąpiel. Później kąpiel w zatoce była zabroniona.

Któreś wakacje w drugiej połowie lat siedemdziesiątych spędziłem z Anią i Terenią w Szczyrku, który leży około piętnastu kilometrów, licząc w linii prostej, od centrum Bielska-Białej. Początek lipca sprzyjał pieszym wędrówkom na górę Skrzyczne (1257 m n p m), na górę Klimczok (1117 m n p m) i na Szyndzielnię (1026 m n p m).

Dłuższa wycieczka na południe przez Przełęcz Salmopolską i Górę Malinów pozwalała wejść na Malinową Skałę, z której roztaczał się piękny widok na północ, aż po górę Skrzyczne, na północny zachód po Ustróż i wreszcie na zachód po Wisłę. Na południu leżał rezerwat Krajobrazowy Barania Góra i Rezerwat Wodny Wisła. Wycieczki autokarowe pozwoliły nam zwiedzić Skoczów, Ustróż, Wisłę, Istebną, Koniaków i Zwardoń.

Innym razem zwiedziliśmy w ten sposób Bielsko-Białą, Żywiec i jezioro zaporowe na rzece Soła, a także Andrychów i Suchą Beskidzką, docierając do Kalwarii Zebrzydowskiej. Jadąc

koleją z Żywca do Zwardonia mija się stację Milówka, gdzie urodził się stryj Kazik.

Nieco później spędziłem wakacje z Anią i Terenią w Łącku. Łącko leży 15 kilometrów od Starego Sącza i 18 kilometrów (szosą) na północ od Krościenka. W Łącku, znanym w tamtych okolicach z wyrobu śliwownicy, można było nabyć butelkę tego trunku z dźwięcznym dwuwierszem na etykiecie odbitej na ozalidzie:

Daje zdrowie krasie lica / Nasza łącka śliwowica.

Z Łącka dokonaliśmy dwu uroczych wycieczek: do Czorsztyna, oczywiście z niezapomnianym spływem Dunajcem góralskimi tratwami, oraz do Szczawnicy z pieszą wędrówką przez wąwóz Homole. W kolejnych latach byliśmy w Beskidzie Śląskim, Beskidzie Żywieckim, w Gorcach i Pieninach.

Urlopy zagraniczne

Nad Morze Czarne

W pierwszej połowie lat siedemdziesiątych spędziłem urlop z Terenią i Anią w Bułgarii. Wynajęliśmy kwatery w Warnie na dwa tygodnie, a na następne dwa, w Primorsku.

Jechaliśmy pociągiem z Warszawy przez Przemyśl, Medykę i Mościska do Lwowa. Stąd przez Stryj, Mukaszewo, Oradeę, Kluż (Cluj), Braszow, do Bukaresztu. Ze stolicy Rumunii jedziemy na południe. W Ruse, po przekroczeniu rumuńsko-bułgarskiej granicy, jesteśmy w Bułgarii i przez Rozgrad dojeżdżamy do Warny.

Po zakwaterowaniu zwiedzamy miasto i szczątki rzymskich ruin. Na tym terenie starożytni Grecy w VII wieku przed

Narodzeniem Chrystusa założyli osadę Odessos. Poza kąpielą w morzu, zresztą zimnym i niezbyt czystym, zwiedzamy okolice.

Nad Jeziorem Warneńskim odkryto na początku XX wieku duży scytyjski sarkofag, w nim mniejszy – srebrny, a w tym jeszcze mniejszy – złoty, wysadzany szlachetnymi kamieniami. Skarb ten oceniany jest na równi ze skarbami grobowca Tutenchamona w Egipcie.

W 1935 roku wybudowano, już na peryferiach miasta, mauzoleum w formie kurhanu na miejscu, w którym przypuszczalnie zginął w czasie bitwy pod Warną dwudziestoletni syn Władysława Jagiełły, także Władysław, po śmierci dnia 10-go listopada 1444 roku nazwany Warneńczykiem.

Po klęsce warneńskiej (do krucjaty przeciw Turkom zwałał papież Eugeniusz VI) i zajęcia przez muzułmanów Konstantynopola w 1453 roku wzmógł się ucisk miejscowej ludności. Niewola turecka trwała tu do roku 1878.

Jednego dnia jedziemy autobusem 18 kilometrów na zachód od Warny obejrzeć Pobiti Kamyni, zwane przez turystów kamiennym lasem. Na pustym terenie wyrastają wapienne kolumny, często bogate w otwornice z rodzaju Nummulites. Kolumny są różnej wysokości, ale dochodzą i do pięciu metrów. Ich średnica waha się od 30 centymetrów, do trzech metrów. Materiał wapienny przypomina kalkarenity na przejściu do zlepow muszlowych obfitujących w numulity. Teren jest rezerwatem i zajmuje około dwudziestu kilometrów kwadratowych. Znajduje się on przy szosie do miasta Reka Dewnja – dawnego Marcianopolis, gdzie można oglądać ślady starożytnego rzymskiego miasta założonego przez cesarza Trajana w pierwszym wieku naszej ery.

Innego dnia pojechaliśmy autobusem na południe wzdłuż wybrzeża. Na trzydziestym kilometrze przepływa rzeka Kamczija. U jej ujścia znajduje się ścisły rezerwat Łongoza – obszar leśny o florze podzwrotnikowej.

Około 15-tu km na południe od Kamcziji leży Biała, dawna grecka osada, rzymska twierdza, a później port. Okolice są pełne sadów owocowych, plantacji winorośli i kukurydzy. Od przygodnego sąsiada w autobusie dowiedziałem się, że kukurydza w języku bułgarskim nosi wdzięczną i dumną nazwę carewica, czyli królowna.

Niedaleko Białej leży Obzor. Za czasów greckich tę obecną miejscowość wypoczynkową zwano Heliopolis. Są tu ruiny rzymskiej, a później średniowiecznej bułgarskiej twierdzy Kozjak. Z Obzoru do Słonecznego Brzegu szosa wiedzie przez Eminską Planinę.

Słoneczny Brzeg (Slancev Briag), to poza nazwą „brendy” wspaniały nadmorski kurort. Nowoczesne hotele i restauracje sąsiadują z niskimi domami ukrytymi wśród krzewów i drzew. Wiele domów ma sklezione bramy i wykusze.

Do Neseberu (niektórzy piszą Nesebyru) nie pojechaliśmy, zostawiając sobie tę przyjemność na czas pobytu w Primorsku. Pojechaliśmy natomiast wzdłuż wybrzeża na północ od Warny. Mijamy miejscowość Družba i wysiadamy w Złoty Piaskach. Uzdrowisko ma światową sławę. My chcemy innych atrakcji. Cztery kilometry szosą na południowy zachód od miasta znajduje się Aładza Monaster. W wapiennej skale o wysokości trzydziestu metrów zostały wykute w piątym wieku naszej ery pomieszczenia klasztorne. Aktualny stan tego obiektu pochodzi z okresu od XII do XIV wieku. Okoliczne tereny zamieszkiwano już w epoce kamiennej. Obecne były tutaj w swoim czasie plemiona trackie, o

czym świadczą groby megalityczne z okresu od IV do VI wieku naszej ery.

Kontynuując nasze wycieczki na północ docieramy do Albeny – Bułgarzy piszą Albena. Jest to niedawno wybudowany ośrodek wypoczynkowy. Interesująca jest pełna fantazji architektura. Wszystkie budowle usytuowane są tarasowo na wzgórzach ponad plażą. Okna hoteli wychodzą na morze. W obrębie obiektu znajdują się trzy baseny pływackie. Moje panie pływały się w jednym z nich, gdzie woda przypominała ciepłą zupę. Był to basen z ciepłą wodą siarkową. Rzeczywiście, w pobliżu basenu zalatywało siarkowodorem.

Osiem kilometrów na północny wschód od Albeny położony jest Bałczik, dawna osada grecka z VI wieku przed naszą erą, a później kolonia rzymska. Na wschód od Bałcziku, około 12-tu kilometrów od Kawarny ciągnie się skalisty, urwisty przylądek wrzynający się prawie dwa kilometry w morze. Na cyplu widoczna jest latarnia morska. W skałach obecne są groty; w niektórych urządzono restauracje.

Kawarna – niegdyś rzymska kolonia – dziś jest miejscowością wypoczynkową, mimo że niedaleko wydobywa się ropę naftową i gaz ziemny. Osiemnaście kilometrów dalej jadąc wzdłuż wybrzeża położony jest Durankuław, przejście graniczne pomiędzy Bułgarią i Rumunią.

Pod koniec pobytu w Warnie wypadła mi fosforytowa konferencja w Pradze. Zostawiam rodzinę i lecę samolotem do Pragi, gdzie spędzam kilka uroczych dni zwiedzając popołudniami stolicę Czechosłowacji, dziś już tylko samych Czech. Zorganizowano nam interesującą autokarową wycieczkę do cesarskiego pałacu-muzeum Karlsztajn (Czesi piszą Karlstein). Na zakończenie konferencji uraczono nas uroczą kolacją w

jednej z praskich restauracji. Posiłek urozmaicały występ cyrkowców, a potem tańce.

W czasie zjazdu poznałem uroczą młodziutką Czeszkę, absolwentkę praskiego uniwersytetu. W trakcie kolacji poprosiłem ją do tańca. Dziewczyna musiała na mnie patrzeć zalotnie, bo jej starsi koledzy po każdym tańcu zabierali ją do swego towarzystwa. Po kolacji paru Czechów odprowadziło nas do samochodu, ale dziewczynie na to nie pozwolono.

Po powrocie do Warny, także samolotem, nie zastałem już moich pań, a tylko adres w Primorsku, dokąd pojechały autobusem.

Z Primorska, gdzie woda była czysta, ale nadal zimna, zwiedzaliśmy wybrzeże od Burgas, po Miczurin położony już niezbyt daleko od tureckiej granicy. Kiedyś wybraliśmy się do Miczurina statkiem niewysokiej klasy. Pogoda była wietrzna i morze nieco falowało, za czym Ania nie przepadała.

Kiedy indziej wybraliśmy się wodolotem do Neseberu, uroczej wysepki połączonej z lądem długą groblą. Tę podróż, mimo że wodolot reprezentował już wysoką klasę turystyczną, Ania także znosiła nie najlepiej, przesypiając po „aviomarinie” większą część przepięknej podróży. Z Neseberu wróciliśmy więc autobusem przez Pomorie, Burgas i Sozopol do Primorska.

Blisko granicy tureckiej leży Achatopol, dawne Agathopolis, zbudowane na cześć greckiej bogini szczęścia, Agaty.

W czasie pobytu nad Morzem Czarnym mogłem po raz pierwszy przyjrzeć się limanom: Płyńie spora rzeka i kilkanaście lub kilkadziesiąt metrów przed linią brzegową morza zatrzymuje się przed piaszczystym wałem usypanym na jej drodze. Woda zapewne uchodzi przez piaski, bo nie widać większych rozlewisk, natomiast gromadzi się tu wszelkie śmiecie niesione

przez rzekę, której głębokość przy limanie nie przekracza zwykle jednego metra.

W latach siedemdziesiątych miały miejsce dwie moje urlopowe podróże: z Terenią do Hiszpanii i bez Tereni do Grecji. Terenia beze mnie zwiedziła Anglię i Szkocję, jadąc przez Niemcy i Holandię, a wracając przez Francję i Szwajcarię.

Ku Słupom Heraklesa

21 lipca 1975 r. wyjeżdżamy dużym autokarem z Warszawy do Wrocławia. Bagaże, w tym namioty, jadą pod podłogą wozu. To, co się nie zmieściło na dole umieściliśmy z tyłu samochodu po wymontowaniu dwu siedzeń. Wycieczka liczy czterdzieści osób. Jest dwu kierowców. Wycieczką dowodzi Stefan Cieśliński i Krzys Paprocki. Większość osób to znajomi. Jest Marysia Karaczunowa i Rena Kosmulska z Lublina. Jest profesor Oberc z Wrocławia i państwo Sawiccy z tegoż miasta – starzy podróżnicy po drogach Europy i nie tylko. Jest Wacek Ryka i Bolek Kubica – obaj w czasie podróży powszechnie nazywani Bolkiem i Lolkiem

Po dwudziestu pięciu latach wiele rzeczy zatarło się w pamięci. Opiszę to, co zapamiętałem.

Zapasów żywności wzięliśmy tyle, aby starczyło możliwie długo. Planowaliśmy zaopatrywać się po drodze w pieczywo i owoce.

Przez NRD przejechaliśmy szybko. W Erfurcie oddaliśmy cześć pamięci Bacha.

Zaraz po przekroczeniu granicy z Republiką Federalną Niemiec zauważyliśmy mnóstwo południowych owoców, nie tylko w sklepach, ale i na przydrożnych straganach, jak dziś w Warszawie. Wówczas myśleliśmy, że to zachodnia propaganda

tak wita przybyszów ze Wschodu. Na nocleg wybraliśmy kemping nad Renem, na dalekich przedmieściach Bonn. Po przeciwnej stronie rzeki pokazano nam skałę „Lorelei”.

Bardzo pobieżnie zwiedziliśmy stolicę RFN i ruszyliśmy na południe jadąc po wschodniej stronie Ardenów.

Z Trier'u wpadliśmy na moment do Luksemburga, a stąd skierowaliśmy się w kierunku Metz'u. Nie dojeżdżając do tego miasta skręcamy na zachód i zatrzymujemy się w Verdun nad Mozą. Rano oglądamy cmentarz-mauzoleum żołnierzy poległych na tym froncie w pierwszej wojnie światowej. Szczególnie duże wrażenie robi głęboki okop, w którym kilkunastu żołnierzy zostało zasypanych żywcem w stojącej postawie. Tylko bagnety sterczą w miejscu, gdzie ciężki pocisk artyleryjski padając na przedpole okopu spowodował zaciśnięcie się rozmięklej na deszczach ziemi. Z Verdun jadąc na zachód mijamy Las Aragoński i robimy krótki postój w Reims, stolicy Szampanii.

Najwspanialszym zabytkiem miasta jest katedra Notre-Dame, jedna z najpiękniejszych we Francji. Tu koronowali się prawie wszyscy królowie francuscy. Budowę katedry rozpoczęto w 1211 roku. W jednym z portali patrzy ku nam „uśmiechnięty anioł”. W odróżnieniu od bogatej katedry uderza prostotą bazylika Saint Remi wybudowana w XI i XII wieku.

Po południu rozbijamy namioty na peryferiach Paryża. W stolicy Francji spędzamy trzy dni. Każdy zwiedza to, co chce i jak chce. Zwiedzam z Terenią okolice łuku Sekwany, po francusku nazywanej Seine. Wędrujemy od Placu Bastylia na wschodzie, po Plac Etoile (Plac Gwiazdy, obecnie Plac Charles'a de Gaulle'a) na zachodzie i od dzielnicy Łacińskiej oraz ogrodu i Pałacu Luksemburskiego na południu, przez wyspy na Sekwanie:

La Cite i Świętego Ludwika, po bazylikę Sacré Coeur na północy.

Prawie cały jeden dzień spędziliśmy w Luwrze. Część wycieczki zwiedzała w tym czasie cmentarz Père-Lachaise. Pałac Luwru, to najwspanialsze muzeum świata mieszczące się w największym jego pałacu. W 225 salach (nie sposób tego zwiedzić nawet w parę dni) wystawiono zbiory sztuki starożytnej, a także arcydzieła malarstwa europejskiego.

Przed Wenus z Milo medytowałem przynajmniej dwadzieścia minut. Obejrzeliśmy Nike z Samotraki, rzeźby Fidiasza, Kodeks Hammurabiego i sarkofag Ramzesa III.

Przeszliśmy kilka sal malarstwa. Podziwialiśmy słynną Giokondę (Mona Lisa) oraz obrazy Rembrandta, Rafaela, Tintoretta, A. Van Dycka i P. Rubensa. Terenia w końcu usiadła na ławeczce pod ścianą i mówi: „*Dalej nie pójde ani kroku*”. Zostawiwszy odpoczywającą Terenię zdążyłem przejść przez salę ze zbiorami starożytnej sztuki Wschodu i Egiptu.

Sztuki Grecji i Rzymu już obejrzeć nie zdążyłem, nie mówiąc o sztuce nowożytnej, czy dziełach malarstwa polskiego. Czulem, że mam nogi i wydawało mi się, że wchodzą one gdzieś w te okolice, w których plecy tracą swą szlachetną nazwę.

Następnego dnia z dużą częścią wycieczki udaliśmy się na kilka godzin do Wersalu odległego o dwadzieścia kilometrów od Paryża. Tutaj na miejscu pałacyku myśliwskiego Ludwika XIII, Ludwik XIV w 1661 roku rozpoczął budowę dużej rezydencji ze stuhektarowym parkiem. W parku mieszczą się mniejsze budowle: Grand Trianon – letni pawilon i nieco dalej Petit Trianon z czasów Ludwika XV.

Wracając z Wersalu obejrzeliśmy całą grupą rozpoczętą budowę supernowoczesnej dzielnicy Défense (nazwa pochodzi

od pomnika Obrony Paryża „Děfense”. Obrona miała miejsce w 1871 roku).

Po zachłyśnięciu się Paryżem, ale z dużym niedosytem, jedziemy na południe do Orleanu obejrzeć niektóre zamki nad Loarą. W mieście Joanny d'Arc stoją co najmniej trzy jej pomniki. Z Orleanu jedziemy wzdłuż Loary. W Chambord oglądamy największy i najwspanialszy z zamków położonych nad tą rzeką. Mieściła się tutaj rezydencja królów: Ludwika XIII i Ludwika XIV. W pewnym okresie apartamenty Ludwika XIV na pierwszym piętrze pałacu zajmował król Polski, Stanisław Leszczyński.

Średniowieczne miasto Blois było ośrodkiem władzy książęcej, a później często siedzibą króla. Mnie osobiście kojarzy się ono z powieścią Dumas'a „Wicehrabia de Bragelonne”. Oglądamy zamek, którego najstarsze części pamiętają średniowiecze. Widzimy kościół Świętego Mikołaja (St. Nicholas), w którym harmonijnie łączy się styl romański ze stylem gotyckim (XII – XIII wiek).

Jedziemy do Amboise. Z potężnego zamku zbudowanego na wysokim cyplu między dolinami Loary i Amasy zachowała się część gotycka z końca XV wieku.

Przejeżdżamy przez Tours – stolicę Turenii. Zachowało się tutaj wiele zabytków poczynawszy od XIII wieku. Nie zwiedzamy. Udajemy się na południe w kierunku Poitiers. Miasto ma bogatą historię sięgającą czasów rzymskich. W późniejszych czasach zdobywane było przez Wizygotów, Franków, Arabów i nawet Anglików. Gdzieś w okolicy Poitiers nocujemy na kolejnym kempingu.

Rano jedziemy dalej na południe. Mijamy Angoulême z katedrą St. Pierre (pierwsza połowa XII wieku) i wieżą-

dzwonnica. Przed Bordeaux pokonujemy wiszący most przerzucony nad Garonną. Ma on 52 metry wysokości i 679 metrów wysokości. Nie zatrzymujemy się w mieście.

Z Bordeaux kierujemy się autostradą w kierunku Longon (kierunek ku Pau) Na jednej z bocznych dróg tej okolicy zatrzymujemy się u rolnika uprawiającego winną latorośl. Rolnik mówi bardzo starą gwarą śląską. Okazuje się, że jego pradziad opuścił Śląsk i tutaj zapuścił korzenie, przekazując kolejnym pokoleniom taki język, jaki sam wyniósł z domu. Wieczorem zostaliśmy zaproszeni na degustację win. Płacimy tylko za butelki ze znakiem akcyzy. Wszystko poza tym jest bezpłatne. Wracamy na kemping w dobrych humorach.

Rano jedziemy dalej, prawie cały czas na południe. Mijamy Tarbes i stajemy na kemping w Lourdes. Zwiedzamy górny kościół na stoku, obok którego są krany ze źródlaną wodą. Modlimy się w nowo wybudowanym betonowym kościele poniżej stoku. W czasie naszego pobytu nowy kościół, budowany w kształcie ogromnej łodzi, w całości znajdował się poniżej powierzchni terenu. W przyszłości być może zostanie tutaj wybudowany jeszcze kościół nadziemny.

Z Lourdes jedziemy do Pau i pokonując prawie całą Gaskonię docieramy do Bayonne. Jedziemy wybrzeżem Zatoki Biskajskiej do Biarritz i w Fuenterrabii przekraczamy granicę hiszpańską.

Nocujemy w okolicach San Sebastian na nadmorskim kempingu. Rano okazuje się, że morze jest wprawdzie ciepłe, ale na wiele setek metrów od brzegu płytkie i brudne. Fekalia spływające z miasta obficie zanieczyszczają czynne zresztą, kąpielisko.

Z nad morza jedziemy do Burgos. Była to stolica niezależnych książąt (condes), a później królów Kastylii. Tutaj powstawali wojownicy walczący z Maurami, a wśród nich Rodrigo Ruiz Diaz de Bivar, nazywany przez Hiszpanów Compeador, czyli Wojownik, a przez Maurów Sidi, czyli Cyd. Jego pomnik przedstawia postać na koniu z rozwianym płaszczem. Wskazuje on mieczem drogę na południe. Przez potężną południową bramę opuszczamy miasto udając się do Madrytu.

Miasto kazał wybudować król Filip II i w 1561 roku uczynił stolicą państwa. Dawniej leżało tu miasteczko Magerit, zlokalizowane blisko geograficznego środka Półwyspu Iberyjskiego.

W drodze do Madrytu przecinamy Góry Guadarrama, które ciągną się granitowym pasmem od przełęczy Somosierra na północ od stolicy, do rozległego obniżenia pomiędzy nią a Awilą. Za tym obniżeniem ciągną się góry Sierra de Gredos. W obu pasmach jest wiele szczytów przekraczających wysokość dwu tysięcy metrów.

Grupa wysokich szczytów wznosi się nad przełęczą Somosierra (1444 m n.p.m.). Wiedzie tędy jedyny na dystansie kilkudziesięciu kilometrów przejezdny szlak z północy do Madrytu. Obecnie około dziesięciu kilometrów przed przełęczą, jadąc z północy, można skrócić na południowy zachód i okręzną drogą przez Segowię i Awilę dotrzeć do stolicy, nadkładając ponad sto kilometrów.

Jesienią 1808 roku wojska hiszpańskie zagroziły na tej przełęczy drogę armii Napoleona. Rankiem 30 listopada utworzyła ją szarża trzeciego szwadronu Pierwszego Lekkiego

Pułku Gwardii Cesarskiej pod wodzą majora Kozietuskiego. Od tego czasu trwa legenda polskich ułanów spod Somosierry.

Przełęcz opada ku północy łagodnym i szerokim trawiastym wąwozem około czterokilometrowej długości. Część tej drogi przeszliśmy pieszo dla uczczenia tamtych czasów, dziwiąc się tylko łagodnemu nachyleniu szosy i szerokości wąwozu. Wielu z nas wyobrażało sobie to miejsce jako wąską, stromą gardziel górską.

W stolicy zatrzymujemy się na miejskim kempingu. Zwiedzanie Madrytu rozpoczynam od Prado, wspaniałej galerii obrazów. Leży ona przy alei Paseo del Prado, bogatej w pałace, z pomnikiem Kolumba na placu Colon. Za tym placem aleja przybiera nazwę Paseo de la Castellana. Jest to ekskluzywna część miasta.

Duża arteria komunikacyjna Avenida de Jose Antonio kończy się Placem Espana, pośrodku którego stoi pomnik Cervantesa poprzedzony konnymi statuami Don Kichota i Sancho Pansy. Idąc na południe ulicą Calle de Bailén dochodzimy do Piazza Oriente. Tu wznosi się Pałac Królewski, a nieco dalej katedra Nuestra Señora de la Almudena.

Następnego dnia zwiedzamy okolice hiszpańskiej stolicy. 49 km na zachód od miasta, u stóp Guadarramy, wznosi się klasztor-pałac, Real Monasterio de El Escorial. Budowę rozpoczął w 1563 roku Filip II jako jej fundator. Jest to olbrzymi gmach, posiadający w swoim obrębie 86 samych tylko fontann. Położony jest on na skalistym tarasie u stóp gór, na wysokości 1030 m n. p. m.

14 kilometrów na północ od Eskurialu (tak my nazywamy tę budowlę) znajduje się Dolina Poległych. Zwiedzamy to miejsce otoczone stromymi zboczami Guadarramy. W granitowej

skale, na której wznosi się krzyż o wysokości 150 metrów i 46 metrów rozpiętości ramion, wykuto w latach 1940–1956 rękami więźniów-republikanów podziemną bazylikę. Ma ona 262 metry długości, a jej wysokość w szczycie kopuły wynosi 41 metrów. Złożono tutaj szczątki miliona żołnierzy poległych na wszystkich frontach wojny domowej.

Wróciwszy w okolice Eskurialu jedziemy dalej na zachód do Awili. Leży ona po zachodniej stronie Sierra de Gredos, oddzielających w tym rejonie Starą Kastylię od Nowej Kastylii. Miasto leży na wysokości 1130 m n. p. m. Z każdej strony na łagodnym wzniesieniu wyrasta nieprzerwany mur obronny długości 2500 metrów i wysokości dwunastu metrów, zwieńczony 88-miu basztami. Fortyfikacje pochodzą z XI wieku i należą do najlepiej zachowanych na świecie.

Dziewięć warownych romańskich bram prowadzi do miasta zachowanego w średniowiecznym układzie ulic. W mury miasta wbudowana jest katedra z XII wieku, harmonijnie łącząca styl romański i gotyk. Miasto w całości jest zabytkiem.

Przy wąskich uliczkach podziwiamy stłoczone gotyckie pałace możnych rodów kastylijskich i piętnastowieczne kościoły łączące w sobie styl gotycki i renesansowy.

W XVI wieku Awila była ważnym ośrodkiem kontrreformacji. Tutaj urodziła się święta Teresa i święty Jan od Krzyża.

Opuszczamy Awilę i udajemy się na północny wschód do Segowii (Segovia). Miasto zbudowane jest na skalnym cokole wyrastającym z doliny. Rzeki Eresma i Clamores wypreparowały go drogą erozji gliniastych utworów Mesety.

Strategiczne położenie Segowii spostrzegli już Rzymianie. Za czasów Oktawiana Augusta było to ważne i bogate miasto. W czasach Trajana wybudowano funkcjonujący do dzisiaj

najwspanialszy akwedukt na Półwyspie Iberyjskim. Ma on długość 800 metrów, a jego wysokość w najwyższym punkcie dochodzi do 28 metrów. Długo wpatrywaliśmy się w tę budowlę ułożoną bez użycia zaprawy z ogromnych, dokładnie obrobionych bloków granitu.

Segowia, to muzeum architektury romańskiej i gotyckiej. Szczególne wrażenie robi strzelista dzwonnica kościoła San Esteban, zwana królową wież kastylijskich. Rzucamy okiem na domy mieszczańskie w stylu mudejar (czyt. mudechar) z XII–XIV wieku i na alkazar otoczony kilkunastu cylindrycznymi wieżyczkami.

Mimo, że nazwałem miasto muzeum architektury, to nie ma ono charakteru muzealnego, jak zastygła w swoich średniowiecznych murach Awila. Segowia kipi życiem. Ogromna ilość sklepów przyciąga klientów, a kuchnia podobno słynie na całą Hiszpanię. Wieczorem zmęczeni, ale pełni wrażeń, spożywamy kolację we własnych namiotach, lub obok nich na madryckim kempingu marząc jedynie o przysmakach kuchni kastylijskiej.

Nazajutrz opuszczamy Madryt i kierujemy się na południe do Toledo, gdzie po ustawieniu namiotów na miejscowym parkingu, zwiedzamy miasto.

Toledo istniało już jako silnie ufortyfikowany gród w drugim stuleciu przed naszą erą. W drugiej połowie VI wieku było stolicą królestwa Wizygotów. Zajęte przez Arabów w 711 roku zostało na pewien czas stolicą jednego z „małych królestw”. Zdobyte przez Alfonsa VI w 1085 roku stało się stolicą Kastylii, aż do roku 1561, gdy Filip II przeniósł stolicę do Madrytu.

Toledo uznane zostało w całości za zabytek. Ma ono ogromną ilość starych kościołów, pałaców i budowli obronnych.

Układ ulic, niezmieniony od wczesnego średniowiecza, tworzy labirynt oplatający skalisty cokół z trzech stron otoczony pętlą Tagu płynącego w głębokim wąwozie.

Z najwyższego wzniesienia dominuje nad miastem czworobok Alkazaru, budowli z XVI wieku w stylu renesansowym. Wcześniej wznosiły się tutaj fortyfikacje rzymskie, wizygockie i mauretańskie.

Do miasta dostajemy się od północy przez bramę Puerta Vieja de Bisagra i nieco dalej – Puerta del Sol. Mijamy meczet (obecnie zapewne kościół, El Cristo de la Luz), przechodzimy obok muzeum Santa Cruz i dochodzimy Alkazaru. Stąd udajemy się do katedry zajmującej centralne miejsce miasta. Nieco dalej oglądamy dom, w którym mieszkał i tworzył El Greco – Domenico Theotokopulos. Przechodzimy obok synagogi El Transito i z nadbrzeżnej skarpy patrzymy na Tag (Rio Tajo) i most San Martin.

Turyści, jak to turyści, mają swoje ścieżki. Weszliśmy w parę osób w wąskie uliczki zdążając w kierunku kempingu. Odrapane ściany domów i wisząca na podwórkach bielizna wyraźnie odbijały od szacownych odnowionych zabytków. Zaczęliśmy robić zdjęcia. Nakrył nas na tym niecnym procederze jakiś mieszkaniec-patriota. Z dużym żalem i pretensją pyta, dlaczego nie fotografujemy wspaniałych zabytków miasta, a właśnie ciasne podwórka odrapanych kamienic. Trudności językowe nie pozwoliły wyjaśnić mieszkańcowi-patriocie, że wspaniałości miasta mamy już na zdjęciach, a chcemy sfotografować coś dla przeciwwagi.

Następnego dnia jadąc dalej na południe mijamy Ciudad Real, pokonujemy góry Sierra Morena i Gwadalkiwir, aby stanąć w Kordobie. Leży ona właśnie nad tą rzeką, mało imponującą,

wprawdzie szeroką, ale bardzo płytką, kamienistą i usianą licznymi łachami.

Kordoba była niegdyś największym obok Bizancjum miastem Europy. Ślady osadnictwa datują się sprzed epoki kolonizacji fenickiej. W 152 roku przed naszą erą miejscowość została zdobyta przez Rzymian. Stąd pochodzili filozof Seneka i poeta Lukian. W 719 roku miasto zostało stolicą emiratu El Andalus z nazwą Qurtuba (w transkrypcji łacińskiej), a od 757 roku, stolicą niezależnego państwa Omajjadów. Abd ar-Rahman III w 927 roku przybrał tytuł kalifa prowincji.

Najważniejszym zabytkiem Kordoby, któremu poświęciliśmy sporo czasu, i jednym z najważniejszych w całej Hiszpanii jest Mezquita-Catedral, czyli wielki meczet Omajjadów. Budowla zajmuje 2,36 hektara (175 x 135 metrów) i powstawała przez ponad dwieście lat (785 – 1005 r.). Jej wnętrze wypełnia 850 kolumn. W części meczetu próbowano wybudować katedrę.

Były naciski dworu królewskiego i hierarchii kościelnej, aby zniszczyć meczet. Karol V, wysłuchawszy w Kordobie próśb mieszkańców, rozkazał wstrzymać przebudowę wypowiadając znamienne słowa: „To, co budujecie, można zbudować wszędzie; tego, co zniszczycie, nie ma i nie będzie nigdzie”.

Obok Mezquity Gwadalkiwir przekracza most rzymski zamknięty bramą i obronnym zameczkiem. Przy placu Calvo Sotelo wznosi się zrekonstruowana rzymska świątynia o monumentalnych proporcjach. Przypomina ona czasy świetności miasta w tamtej epoce.

W Sewilli zatrzymaliśmy się dość krótko. Zaczęliśmy z Terenią zwiedzanie od parku Marii Luizy i Plaza de Espana z kolorową fontanną. Stąd przeszliśmy obok uniwersytetu, dawnej fabryki cygar, i pałacu San Telmo do mostu o tej nazwie. Nieco

dalej nad brzegiem Gwadalkiwiru obejrzeliliśmy Złotą Wieżę. Tu przez wieki przechowywano transporty amerykańskiego złota. Stąd idziemy do gigantycznej katedry gotyckiej, czwartej co do wielkości świątyni chrześcijańskiej na świecie. Obok katedry wznosi się dziewięćdziesięciodwu metrowa wieża, La Girarda – dawny minaret meczetu z epoki Almohadów (XII wiek). Dolne partie wieży zachowały czysty styl mauretański, górne są barokowe. Ze szczytu wieży upajamy się panoramą miasta. Szczególnie zachwyca nas widok dziedzińca pomarańczowego obok katedry. Widzimy także Alkazar, wspaniałą zamek i pałac królewski. Schodzimy z wieży, kończąc na tym zwiedzanie Sewilli.

Rano jedziemy dalej na południe w stronę Kadyksu. Mijamy Jerez de la Frontera – typowe andaluzyjskie miasto z olśniewająco białymi domami wzdłuż ulic ocienionych szeregami palm i drzew pomarańczowych.

Omijamy od zachodu Kadyks – „miasto, które istniało zawsze”, i którego pisana historia sięga trzech tysięcy lat, a które leży na Wybrzeżu Światła, czyli Costa de la Luz.

Przy szosie z Kadyksu do Algeciras mijamy miejscowość Vejer de la Frontera. Położona jest ona na dwustu pięćdziesięciu metrowej wysokości wzgórzu dominującym nad wybrzeżem. Ze szczytu widać szare wody Cieśniny Gibraltarskiej, w które wrzyna się znany z historii Przylądek Trafalgar.

Mijamy miasteczko Taryfa – najdalej na południe wysuniętą osadę kontynentu europejskiego. W okolicy miasteczka La Linea dela Concepcion widzimy wysokie płoty z kilku pasmami drutu kolczastego. Oddzielają one Hiszpanię od angielskiego Gibraltar, którego skała wznosi się na południe stąd.

Jadąc nadmorską szosą wzdłuż Costa del Sol, mijamy Malagę, miejscowości Antequera i Loja, aby osiągnąć parking w Grenadzie.

Jeszcze tego samego dnia zwiedzamy wzgórze Albaicin (Albayzin) położone nad centrum miasta. Znajduje się tutaj najlepiej zachowana w Hiszpanii mauretańska osada. Układ ulic stromych, wąskich, obudowanych wysokimi białymi murami, pamięta epokę sprzed siedmiuset lat. Po Albaicinie chodzimy długo, podziwiając jego harmonijne piękno.

Jeszcze wyżej, na wzgórzu Sacromonte oglądamy groby wykute w skałach. Dawniej mieszkali tu Cyganie jeszcze w czasach Garcii Lorki, który zginął w 1936 roku z rąk falangistów.

Następny dzień poświęcamy Alhambrze. Mało jest na świecie zabytków tej klasy, mało obiektów architektonicznych tak kruchych, tak delikatnych, a tak dobrze zachowanych.

Arabska El-Hamra („czerwona” od barwy cegły, z której zbudowano twierdzę) jest kompleksem forteczno-pałacowym, którego najstarsze partie pochodzą z X wieku. Obecny kształt nadał Alhambrze emir Muhammad Benelahmar w połowie XIII wieku. Jest to zespół pałaców i ogrodów będący najpiękniejszym przykładem budownictwa arabskiego na świecie. Następca Benelahmara, emir Muhammad V, doprowadził wodę na płaskowyż ponad Alhambrą, dzięki czemu powstały rajskie ogrody Generalife.

Nie wydaje się celowe opisywanie Alhambry, jej dziedzińców (Mirtów, Lwów) i sal. To trzeba zobaczyć i przeżyć. Dotyczy to także ogrodów Generalife i położonego powyżej Alhambry pałacu Generalife. Patrząc na pograżającą się w mroku Alhambrę i czerwieniejące w zachodzącym słońcu szczyty Sierra Nevada można zrozumieć sens czterowersza wykutego na

murze Torre de la Vela: „*Daj mi jałmużnę niewiasto, albowiem nie ma gorszego nieszczęścia, niż być niewidomym w Grenadzie*”.

Podobnie zapewne uważał zapewne ostatni król Grenady – Boabdil, który z przełęczy Puerto de Suspiro de Maro (Brama Westchnień Maura), żegnając na zawsze swoje miasto – zapłakał. Wówczas towarzysząca mu matka powiedziała: „*Placz jak kobieta, skoro nie umiałeś walczyć jak mężczyzna*”.

Z Grenady podążamy na południe „*drogą Boabdila*”, obok ponurych i bezwodnych gór Los Alpujarras. Wiele szczytów ma charakterystyczne kształty obelisków. Tutaj po upadku Grenady schroniły się niedobitki Maurów. O tych górach myślał zapewne nasz poeta, pisząc: „*...z wież Alpuhary bronią się jeszcze Maurów posady ...*”.

Nad morzem, na Costa del Sol, wybieramy kemping nieopodal Fuengirolí. Przez trzy dni zażywamy słońca i morskich kąpeli. Morze, niestety, nie jest czyste. Spływa doń wiele nieczystości z kempingów i domów (pensjonatów) wypoczynkowych. Niejednokrotnie płynąc zaczepiałem namokłą gazetę, albo i coś gorszego. Na plaży widzieliśmy Francuzów z pełnym wiadrzem złowionych jeżowców. Po przepołowieniu skorupy wydobywali jej minimalną zawartość spożywając z widocznym upodobaniem.

Opuszczając kemping kierujemy się nadmorską drogą do Almerii. W tym rejonie od Przylądka Gata rozpoczyna się Costa Blanca (Białe Wybrzeże). Mijamy miejscowość Lorca, leżącą na pograniczu Andaluzji i pamiętającą czasy sprzed rzymskich podbojów. Unicestwiło ją trzęsienie ziemi w końcu XVI wieku. Została odbudowana w jednolitej barokowej szacie. Dziś w całości uznana została jako zabytek architektury.

Dalej przejeżdżamy przez Murcję, leżącą nad rzeką Segura. Miasto pamięta czasy fenickie, ale swój największy rozwój zawdzięcza Arabom. Wjeżdżamy do Alicante. Są tu ślady greckiego osadnictwa: Acra Leuca (Biała Twierdza), to grecka nazwa miasta w łacińskiej transkrypcji.

Za Alicante, od Przylądka Nao zaczyna się Costa del Azahar (Wybrzeże Kwiatu Pomarańczy).

Wjeżdżamy do Walencji. Jest to trzecie co do wielkości miasto Hiszpanii. Zostało założone przez Rzymian w 138 roku przed naszą erą. Osiągnęło świetność jako stolica arabskiego królestwa, później podbitego przez Cyda w 1094 roku.

Oglądamy bramy miejskie: Torres de Serranos (XIV wiek) i Torres de Quarto (XV wiek) oraz giełdę jedwabiu (Lonja) z XV wieku, wyróżniającą się przepiękną kolumnadą, gwiaździstym sklepieniem i rzeźbionymi boazeriami.

Jedziemy dalej. Mijamy Sagunto, duże miasto Castellon de la Plana, Vinaroz i Tortozę nad rzeką Ebro. Na północ od delty tej rzeki (Ebro) zaczyna się Costa Dorada (Złote Wybrzeże).

Niebawem jesteśmy w Tarragonie – to już Katalonia. Rzymska przeszłość miasta zapisana jest w murach zabytków ukrytych na terenie starej dzielnicy dominującej nad miastem ze szczytu sześćdziesięciometrowego wzgórza położonego nad plażą.

Zatrzymujemy się na kempingu w Barcelonie. Jeszcze wieczorem tego dnia oglądamy Plaza de Espana, kolorowo oświetloną fontannę i nowoczesny Pałac Kongresów. Przechodzimy ogrody na wschód od Plaza de Espana i widzimy skaliste wzgórze Montjuic zwieńczone fortecą. Do niej, ponad portem, prowadzi kolejka linowa od Wieży Św. Bernarda w nadmorskiej dzielnicy Barceloneta.

Blisko portu, w pobliżu placu Puerta de la Paz, wznosi się wysoka kolumna z pomnikiem Krzysztofa Kolumba. Obok w porcie stoi replika jego karaweli Santa Maria.

Następnego dnia zwiedzamy centrum „starówki” z katedrą. Na placu przed katedrą barcelończycy tańczyli właśnie sardanę – taniec o charakterze hymnu narodowego.

Oglądamy pałac Generalitat, ratusz i pobliskie kościoły, a następnie dzieła Antonio Gaudiego: niedokończoną katedrę z wieżami wysokości 107-miu metrów, nieprzypominającą żadnej budowli na świecie, dalej prywatne domy – dzieła tegoż architekta i Park Guell.

69 kilometrów ku północnemu zachodowi od Barcelony leży masyw górski Montserrat (dosłownie – przepiłowana góra) o wysokości 1236 m n.p.m. Góra jest świętym miejscem Katalonii. W załomach skalnych, na wysokości 720-tu metrów n.p.m. kryje się klasztor benedyktynów z XI wieku. Legendy celtyckie tu właśnie sytuowały zamek, do którego dążył Parsifal poszukujący Świętego Graala.

Następnego dnia opuszczamy Hiszpanię. Za Barceloną (ku północy, aż do Lwiej Bramy) ciągnie się Costa Brava (Dzikie Wybrzeże). Ostatnie większe miasto hiszpańskie, to Gerona u zbiegu rzek Ter i Onar. Nie zwiedzamy miasta – nie sposób zobaczyć wszystkiego. Jeszcze mała miejscowość Figueras i odprawa paszportowa na hiszpańsko-francuskiej granicy. Następną odprawę ma miejsce w Le Perthus po stronie francuskiej. Niebawem jesteśmy w Perpignan.

Miasto powstało w XII wieku. W XIII wieku należało do księstwa Barcelony, a następnie było stolicą królestwa Majorki. Od XVII wieku należy do Francji. Rzucamy okiem jedynie na parę zabytków: cytadelę z XVI wieku; Loge – gotycką budowlę

wzniesioną w XIV wieku; Castillet – ufortyfikowaną bramę (XIV wiek), przebudowaną na małą fortecę.

Chcemy zobaczyć Carcassonne, więc pospieszamy. I warto: są ślady obozu rzymskiego z pierwszego wieku przed naszą erą. W V wieku Wizygoci wzniesli pierwsze mury obronne. W VIII wieku miasto zajęli Saraceni. W XIII wieku Ludwik Święty założył Miasto Dolne (Ville Basse). W mieście dolnym, którego plan do dziś nie uległ zmianie, znajduje się kościół St. Vincent. Stąd przez Stary Most przechodzimy do najstarszej części miasta – La Cité. Znajduje się tutaj najlepiej zachowany w Europie zespół średniowiecznych murów obronnych. Pochodzą one z okresu od VI do XII wieku (zamek) i z XIII wieku. W obrębie murów położony jest Zamek Książęcy (XII wiek) i kościół St. Nazair (XI – XIV wiek).

Jedziemy do Narbonne. Miasto jest odległe od Carcassonne o 93 kilometry. Zostało założone przez Rzymian w II wieku przed narodzeniem Chrystusa. Zapuszczony port przestał funkcjonować w XV wieku. Obecnie miejsce to jest oddalone od morza o dwanaście kilometrów.

W Montpellier przebywamy krótko. Oglądamy piękną promenadę Peyrou budowaną przez sto lat (XVII–XVIII wiek). Jest ona zamknięta od strony Starego Miasta Bramą Peyrou, czyli łukiem triumfalnym wzniesionym na cześć Ludwika XIV. Po przeciwnej stronie wznosi się wodozbiór z akweduktem (XVIII wiek).

Następne miasto na naszej trasie, to Nîmes. Była tu kolonia rzymska założona w okresie panowania cesarza Augusta. Wiele domów z tamtej epoki przetrwało w doskonałym stanie do dnia dzisiejszego, a więc: Amfiteatr z I wieku, Maison Carrée –

świątynia z tego samego okresu – dziś mieści się tutaj bogate muzeum starożytne, starożytna fontanna i świątynia Diany.

Z Nîmes jedziemy do Arles – starej kolonii greckiej, a później rzymskiej. Za czasów Konstantyna było to trzecie co do wielkości miasto imperium, po Rzymie i Konstantynopolu. Arles to miasto wspaniałych zabytków rzymskich: amfiteatr z II wieku, mury rzymskie nadbudowane w średniowieczu, Alicamps (Pola Elizejskie) – nekropolia rzymska adaptowana w IV wieku przez chrześcijan; dalej termy Konstantyna o dobrze zachowanym systemie ogrzewania. Wiele jest tu również zabytków średniowiecznych – jednak czas nas goni.

Omijamy znakomitą autostradą Marsylię i Tulon. Przez Fréjus, miasto założone przez Juliusza Cezara w 49 roku przed narodzeniem Chrystusa, a posiadające sporo starożytności, dostajemy się do Cannes.

Cannes, eleganckie kąpielisko, nie wymaga omawiania. Jakiś czas spędzamy na nadmorskim bulwarze chłonąc widoki miasta i wspominając plejady aktorów przewijających się tutaj podczas festiwalu filmowych.

Jadąc dalej na północny wschód niedaleko za Cannes mijamy Antibes – ufortyfikowany port położony na Przylądku Cap d'Antibes. Stąd udajemy się do Nicei.

Nicea (Nice) założona została w 35 roku przed naszą erą, oczywiście przez Rzymian. Leży ona nad Zatoką Des Anges, wzdłuż której biegnie siedmiokilometrowy bulwar wysadzany palmami i drzewami laurowymi. Mnóstwo tu pałaców i luksusowych hoteli. Podziwiamy wspaniałą panoramę miasta ze szczytu Rocher du Chateau.

Monako leży około dwudziestu kilometrów na północny wschód od Nicei. Tutaj spędzamy kolejną noc na miejscowym

kempingu. Księstwo Monako jest od sześciu wieków terytorium niezależnym. Miasta księstwa: Monako i Monte Carlo słyną w świecie z ciekawych sezonów teatralnych, festiwali muzycznych i rajdów samochodowych.

W Monako oglądamy Wielkie Apartamenty Pałacu Książęcego (XVI–XVIII wiek) i jego średniowieczne wieże oraz Muzeum Oceanograficzne.

W Monte Carlo zwiedzamy kasyno gry. Widzę jak młoda kobieta wrzuca monety do „jednorękiego bandyty”. Po wrzuceniu do automatu około dwudziestu monet wysypuje się ich kilkaset. Kobieta z wypiekami na twarzy wrzuca do tego samego automatu kolejne monety. Widok jest na tyle fascynujący, szczególnie, gdy patrzymy na twarz kobiety, że zatrzymujemy się na dłużej. Po kilkunastu minutach maszyna połknęła wszystkie monety, które kobieta trzymała w podolku. Po chwili namysłu otwiera torebkę i kolejno wrzuca do automatu dalszych kilkadziesiąt monet – bez rezultatu. Przybladła, lekko chwiejąc się na nogach wychodzi z kasyna.

A jest to miejsce hazardu dla ubogich. Wieczorem, kiedy obowiązują wytworne stroje, bawi się w podobny sposób elita Europy. Tracą wówczas nie setki, czy tysiące franków, jak ci grający za dnia, ale jak głosi fama – miliony i dziesiątki milionów.

Następnego dnia mijamy Menton (tu odprawa paszportowa), znane kąpielisko Lazurowego Wybrzeża wciśnięte między brzeg morza, a ostro spadające zbocza Alp, i jesteśmy we Włoszech.

Mijamy San Remo i jedziemy do Turynu (Torino). Przejedźdżamy obok katedry z 1498 roku – jedyne renesansowe

zabytku miasta. Patrzymy na rzymską bramę - Porta Palatina z posągami Juliusza Cezara i Augusta.

Mijamy Novarę z dala oglądając olbrzymią kopułę bazyliki San Gaudenzio (XVI–XVIII wiek) i po trzydziestu minutach jesteśmy w Mediolanie.

Mediolan ma długą i burzliwą historię. Najważniejszym zabytkiem miasta jest katedra oblicowana białym marmurem. Budowano ją od roku 1386, do XIX wieku. Majestatyczne pięcionawowe wnętrze, podzielone 52 olbrzymimi filarami z trzynawowym transeptem (nawa poprzeczna) i obejściem dokoła prezbiterium, sprawia potężne wrażenie. Witraże sprawiają specyficzny nastrój. Cała budowla na zewnątrz ozdobiona jest mnóstwem wieżyczek zakończonych figurami świętych, nad którymi góruje wieża z połączoną statua Madonny (La Madonnina).

Krótko oglądamy inne zabytki, jak Castello Sforzesco (XV wiek) na obszernym placu przy końcu centralnej via Dante. Nie pozwolono nam obejrzeć „Ostatniej wieczerzy” Leonarda da Vinci w refektarzu klasztoru kościoła Santa Maria delle Gracie. Poważnie uszkodzone malowidło było w „remontach”.

Z Mediolanu jedziemy do Werony. Miasto położone jest bardzo malowniczo w łuku Adygi. Sławne jest dzięki szekspirowskim kochankom i rycerskim tradycjom. W 86-tym roku przed naszą erą zostało włączone do prowincji rzymskich. Z okien samochodu rzucamy okiem na rzymskie zabytki i niektóre późniejsze budowle. Panie życzą sobie obejrzeć pamiętne miejsca tragicznych kochanków. Na via Cappello, w pobliżu Pizza d'Erbe, znajduje się balkonik szekspirowskiej Julii, zaś przy via del Pontiere – jej grób zaaranżowany w dawnym kościele franciszkanów.

Po noclegu spędzonym pod wrażeniem tragedii rodu Capulettich wyruszamy rano na północ w kierunku granicy austriackiej.

Trydent (Trento). Nad miastem otoczonym pasmami górskimi wznosi się zamek dawnych książąt-biskupów. W połowie XVI wieku odbył się w nim słynny sobór trydencki. W centrum miasta wznosi się katedra romańska.

Z Trydentu doliną Adygi szosa wznosi się do Bolzano. W mieście widoczna jest mieszanina stylów architektonicznych germańskiego Tyrolu z wyraźnymi wpływami włoskimi. Z Bolzano podążamy dalej. Mijając Bressanone i Vipiteno osiągamy granicę Austrii. Chwilę zatrzymujemy się na Przełęczy Brennerskiej. Uderza nas widok ogromnego sklepu mięsnego. W dużej hali sklepowej zwisa z sufitu kawał ogromnej kiełbasy. Odcięta wisząca część mierzy około dwa metry długości, a średnica kiełbasy przekracza czterdzieści centymetrów. Najwidoczniej taką wędliną karmią tutaj turystów domy wypoczynkowe. Cały sklep pachniał dobrą świeżą wędliną pobudzając do działania gruczoły ślinowe.

Przez Innsbruck, Wörgl, Zell Am See, Salzburg i Linz dojeżdżamy do Wiednia. Stajemy na zasłużony odpoczynek wybierając jeden z miejscowych kempingów.

Zwiedzanie miasta zaczynamy od katedry Świętego Stefana (XII wiek oraz XIV–XVI) z zachowanym późnromańskim portalem zwanym Bramą Olbrzymów. Pewne trudności mieliśmy z dojściem do katedry z powodu budowy wiedeńskiego metra. Elegancki sposób jego budowy pozwolił jednak, acz z pewnym opóźnieniem, dojść do celu.

Dalej zwiedzamy Hofburg – dawną rezydencję cesarską. Jest to nieregularny zespół budowli stawianych od XIII do XIX wieku.

Następnego dnia jedziemy do Schönbrunn i Kahlenbergu.

Schönbrunn, to letni pałac cesarski na peryferiach Wiednia, wzniesiony w latach 1696 – 1701 za panowania Józefa I. Pałac zbudowano w stylu barokowym z rokokowymi dekoracjami. Był on rozbudowywany i dekorowany do początku XIX wieku.

Po powrocie do śródmieścia oglądamy, a raczej słuchamy koncertu w miejskim Parku. Gra wiedeńska orkiestra. Siedzimy na ławeczkach i słuchamy kolejnych walców, kolejnych Straussów. Z cokołu spogląda na nas Johann Strauss, syn. Pomnik wykonał E. Hellmer w 1923 roku.

Siedem i pół kilometra na północ od Wiednia wznosi się wzgórze Kahlenberg o wysokości 484 metry n. p. m. Tutaj Jan III Sobieski, dysponujący około 27 tysiącami żołnierzy i dowodzący również wojskami austriacko-niemieckimi w sile około 43 tysięcy żołnierzy, dnia 12 września 1863 roku rozbił oblegającą Wiedeń armię turecką pod wodzą Kara Mustafy, liczącą około 115 tysięcy wojowników. Do zwycięstwa w decydujący sposób przyczynił się atak husarii poprowadzony ze wzgórza Kahlenberg.

Odwiedzamy kaplicę prowadzoną przez ojców Zmarłychwstańców. Pamiątkowa barokowa kaplica ozdobiona jest herbami rodów polskich, których członkowie brali udział w bitwie wiedeńskiej. Miejsce to jest ośrodkiem duszpasterstwa polonijnego.

Rankiem następnego dnia wracamy do kraju. Bez problemu mijamy granicę austriacką. Problemy pojawiają się po stronie czechosłowackiej (dziś słowackiej).

Po odprawie paszportowej wchodzą celnicy. Tu i ówdzie rzucą okiem, tego i owego o coś zapytają.

W pewnej chwili nasz kierowca, bez podnoszenia głosu, zrobił uwagę o głupocie celników w ogóle, a czechosłowackich w szczególności. Słowak zapewne zrozumiał. Kazał wszystkim pasażerom wysiąść z wozu. Gdy wszyscy wysiedli, ustawił nas w długim szeregu. Zawołał kierowcę i kazał mu wyciągać nasze bagaże. Nie pozwolił, aby ktokolwiek brał własny bagaż. Kierowca musiał wyjąć z wozu czterdzieści walizek i postawić przed właścicielami. Przy ostatnich walizkach był on już mocno zmęczony. Celnik kazał każdemu otworzyć wieko swojej walizki, a potem przeszedł wzdłuż otwartych bagaży nawet się nad nimi nie pochylając. Poprosił o zamknięcie walizek i zajęcie miejsc w autokarze. Nie pozwolił ruszać własnych bagaży. Poleciał kierowcy włożyć je na powrót do pojemników pod podłogą wozu. Gdy ten wreszcie cichutko zasiadł za kierownicą, celnik zasalutował i powiedział coś, co przypominało „następnym razem nie obrażaj celnika”.

Długo jechaliśmy w milczeniu nie zatrzymując się po drodze. Dopiero przed polską granicą wstąpiliśmy do Ostrawy.

Miasto leży u połączenia Opawy i Ostrawscy, w pobliżu granicy z Polską. Powstało ono w 1941-ym roku z połączenia Morawskiej Ostrawy i Ostrawscy Śląskiej. Początki obu tych miast sięgają XIII wieku. Od XVIII wieku eksploatuje się tutaj węgiel kamienny. Miasto jest silnie uprzemysłowione. Posiada huty, elektrownie cieplne, przemysł maszynowy – głównie dla górnictwa, przemysł chemiczny, materiałów budowlanych,

papierniczy i spożywczy: mięsny i piwowarski. Obejrzelśmy kościół świętego Wacława z XIII wieku i ratusz z XVI wieku.

Z Ostrawy jedziemy do Czeskiego Cieszyna (Cesky Te-sin). Samochody przed przejściem granicznym ustawiają się w długą kolejkę. Na samym moście na Olzie staliśmy około pół godziny, co parę minut posuwając się o jeden lub dwa metry.

Późnym wieczorem, a ściślej to już w nocy, dotarliśmy do Warszawy. Zdążyłem jeszcze z Terenią na ostatni pociąg do Milanówka. Bagaże pozostawiono w Instytucie Geologicznym, skąd wzięliśmy je następnego dnia.

Ku słonecznej Helladzie

Czternastego sierpnia 1976 roku (sobota) wyjeżdżamy sprzed Pałacu Kultury w Warszawie dużym nowoczesnym autokarem, do którego poprzedniego popołudnia załadowaliśmy cięższy bagaż. Część rzeczy złożono z tyłu wozu w miejsce wymontowanych ośmiu siedzeń. Mamy ze sobą żywność, butle gazowe, stoliki turystyczne, krzeselka rybackie, naczynia turystyczne, worki z pościelą i namioty.

W składzie wycieczki mamy lekarza – jej uczestnika. Wycieczką kieruje Stefan Cieśliński, a pomagają mu Roman Iwanienko i Ola Hattowska.

Mijamy Radom i na wcześniej zarezerwowany nocleg stajemy w Krośnie. Nazajutrz mijamy najniższą przełęcz karpacką (w głównym grzbiecie Karpat) – Przełęcz Dukielską o wysokości 500 metrów n. p. m.

Przejeżdżamy przez Miskolc, drugie co do wielkości i zaludnienia miasto Węgier, a następnie Debreczyn (Debrecen).

W czasie reformacji (XVI wiek) był tu ośrodek protestantyzmu, a miasto nazywano kalwińskim Rzymem.

Przechodzimy kolejną odprawę paszportową i celną na granicy rumuńskiej. Nocujemy już w rumuńskim mieście Oradea, w domkach kempingowych na jego peryferiach.

Miasto zostało założone w XI wieku, ale znane są tu wykopaliska z czasów rzymskich. W XVIII wieku Oradea należała do Turcji, a następnie, do 1919 roku, do Węgier.

Nazajutrz mijamy Cluj (czytaj – Kluż), stolicę Siedmiogrodu, drugie co do wielkości miasto Rumunii, założone w XII wieku na miejscu rzymskiej warowni. Około 50% mieszkańców miasta stanowią Węgrzy. W 1849 roku zdobyli je powstańcy węgierscy pod dowództwem Józefa Bema. W 1920 roku Cluj został wcielony do Rumunii z tym, że w latach 1940–1945 należał do Węgier.

Dalej jedziemy przez Sibiu (Sybin) założony w XII wieku, zbudowany na dwu tarasach połączonych ze sobą starymi uliczkami i schodami. Następnie mijamy Braszów (Brasov), założony w 1211 roku przez Krzyżaków. Do 1918 roku należał on do Węgier, później do Rumunii.

Jedziemy przez Góry Bucegi – masyw górski otoczony lasami. Jest to rezerwat przyrody. Mijamy interesujące formy skalne i grotty. Na wschodnich stokach w dolinie rzeki Prehova leżą piękne uzdrowiska: Azuga, Sinaia i Breaza. Nocujemy na leśnym kempingu w okolicach Sinai – eleganckiego uzdrowiska szczytującego się zamkiem, który przez sześćdziesiąt lat był rezydencją królewską. Obecnie jest tu muzeum.

Z Sinai udajemy się do Ploeszti, głównego ośrodka rumuńskiego przemysłu naftowego, a stąd do Bukaresztu. W stolicy Rumunii zatrzymujemy się na około dwie godziny. Charaktery-

styczny wygląd nadaje miastu architektura z końca XIX wieku, jakkolwiek są tu zabytki z XVIII i XVII wieku.

Z Bukaresztu udajemy się na południe i przekraczamy rumuńską granicę w Giurgiu, a po drugiej stronie Dunaju – granicę bułgarską w Ruse.

Jedziemy do Warny. Trasę tę, przez Rumunię do Warny, znam z wcześniejszego pobytu w Bułgarii z Anią i Terenią.

Nocujemy na kempingu w Słonecznym Brzegu. Rano ruszamy dalej: mijamy Burgas i Sozopol, czyli Miasto Zbawienia. Dawniej na tym miejscu wznosiła się Apollonia założona przez Greków w VII wieku przed nar. Chrystusa. Przejeżdżamy przez Primorsko i Miczurin, mijając granicę w miejscowości Małko Tyrnowo. Po drugiej stronie granicy, już w Turcji, mamy odprawę paszportową i celną w miejscowości Derekoy. Stąd autokar niesie nas prosto do Konstantynopola.

Turcja jest krajem dwukrotnie większym od Polski, jeśli idzie o powierzchnię obszaru, a posiada tylko minimalnie więcej ludności. Tereny dzisiejszej Turcji należały niegdyś do Hetytów, później Turków, Greków, Rzymian i Bizancjum. Dopiero w XI wieku część Azji Mniejszej opanowali Turcy Seldżuccy. W XIII wieku pojawiło się w Anatolii inne plemię tureckie, od Osmana I nazwane Turkami Osmańskimi. Oba te plemiona na kilka wieków stworzyły dużą potęgę. Jej szczyt osiągnęło państwo osmańskie za czasów Sulejmana II (lata 1520–1566).

Od bitwy pod Lepanto (1571 rok) rozpoczęły się przegrane batalie, niepowodzenia i klęski. Wiek XIX odebrał Turcji większość wcześniej zagarniętych ziem. Po przegranej pierwszej wojnie światowej Turcja jako sojusznik Niemców poniosła totalną klęskę. Sułtanat upadł.

Mustafa Kemal Pasza, któremu parlament nowego państwa tureckiego nadał nazwisko Atatürk, czyli Ojciec Turków, zaczął odradzać i modernizować kraj.

Nocujemy na kempingu Atakoy przy plaży w pobliżu miejscowości Yesilkoy, nieopodal Stambułu. Nazajutrz pławimy się w starożytnościach, i nie tylko, gigantycznego miasta. W telegraficznym skrócie spróbuję to przedstawić niżej.

Jadąc z kempingu nadmorską szosą ku metropolii widzimy w dzielnicy Yedikule potężne zachodnie mury miasta z wbudowanym w nie Zamkiem Siedmiu Wież. Miasto po obu stronach Bosforu założył legendarny Byzas, uczestnik wyprawy argonautów w VII wieku przed nar. Chrystusa. Stąd stara nazwa, to Bizancjum. Konstantyn Wielki w 330 roku naszej ery przeniósł tu stolicę Cesarstwa Rzymskiego i przemianował ją na Konstantynopol. Południowi i wschodni Słowianie nazywali ją Carogrodem.

Konstantynopol osiągnął szczyt potęgi w okresie od IX do XI wieku. W 1204 roku został on podstępnie zdobyty, złupiony i zniszczony przez uczestników czwartej wyprawy krzyżowej. W 1453 roku zdobył go Mehmed II, przeniósł tu stolicę państwa tureckiego i przemianował na Istambul, czyli Stambuł.

Miasto położone jest na siedmiu wzgórzach nad Bosforem, Morzem Marmara i Zatoką Złoty Róg. Bosfor dzieli miasto na część wschodnią azjatycką – Uscudar i europejską. Ta ostatnia podzielona jest Złotym Rogiem na część północną – Beyoglu, część portową zwaną Galatą oraz część południową – właściwy Stambuł (Istambul).

Z przystani i mostu Galata roztacza się przepiękny widok na metropolię: wspaniała panorama narastających nad sobą murów, kopuł meczetów i wież minaretów.

Zwiedzanie zaczynamy od Hagia Sophia (Święta Mądrość). Pierwotnie był tu kościół z VI wieku, później zamieniony na meczet. Od 1934 roku jest to muzeum. Olbrzymia kopuła średnicy 31 metrów i wysokości 65 metrów z czterema minaretami w narożach robi duże wrażenie.

Stąd idziemy pieszo do Sultan Achmed Camii (Błękitny Meczet). Wybudowano go na początku XVII wieku. Jest to jedyny meczet w Stambule, który posiada sześć minaretów.

Nieopodal leży hipodrom Konstantyna z egipskim obeliskiem przywiezionym z Karnaku i spiralną wężową kolumną ze świątyni Apolla w Delfach. Kwadryga „Lizypa”, wieńcząca niegdyś lożę królewskiego hipodromu, znajduje się teraz w Wenecji na placu świętego Marka. Ukradł ją Dandolo, weneccjanin, uczestnik IV krucjaty.

Zwiedzając dalej, zaglądamy do cysterny Yerebatan, przechodzimy obok kolumny Konstantyna w formie dziewięciu porfirowych bloków o cylindrycznym kształcie. Schodzimy do podziemnego bazaru i widzimy setki sklepików w labiryncie podziemnych przejść.

Opowiadano nam jak zaginęła tu młoda Polka. Tylko na chwilę odeszła od swoich rodziców. Wciągnięto ją do jednego ze sklepików i nikt z rodziny już jej nie zobaczył.

Zaczepia mnie w podziemiach mały chłopiec w wieku około dziewięciu lat. Pyta: „Czo masz?” „Nic nie mam” – odpowiadam. A on: „Czemu nicz nie masz?” Zagląda do mojej podróźnej torby i nie znajdując nic dla siebie atrakcyjnego odchodzi pełen wyraźnej dezaprobaty.

Nieco dalej od bazaru przechodzimy obok uniwersytetu leżącego w głębi dużego skweru. Mijając uniwersytet widzimy duże skrzyżowanie szerokich ulic i szczątki akweduktu.

Ulica Atatürk Bulvari przechodzi pod fragmentem akweduktu i prowadzi do Meczetu Sulejmana. Zbudował go w latach 1520-1522 największy turecki architekt – Sinan. Meczet uchodzi za najwspanialszy w Stambule. Wraz z przylegającymi doń budynkami tworzy on małą dzielnicę miasta.

Przez most Atatürka nad Złotym Rogiem przechodzimy do Galaty. Idąc blisko brzegu zatoki ku wschodowi dochodzimy do najwyższej budowli starej stolicy – latarni morskiej przy dawnej Twierdzy Ognia. Nieco dalej wznosi się Wieża Galata, pochodząca prawdopodobnie z V wieku po nar. Chrystusa. Zniszczono ją w XIV wieku i odbudowano w XV wieku. Mierzy ona 75 metrów wysokości. Stąd przez drugi most na Złotym Rogu wchodzimy do dzielnicy Eminonu. Przechodzimy obok końcowej stacji Orient Express'u – Sirkeci i jesteśmy przy murach Topkapi.

Wielki pałac Topkapi – Topkapi Sarayı – leży w pięknym parku z pomnikiem Atatürka i mieści Muzeum Archeologiczne: zbiory fenickie, greckie, rzymskie i bizantyjskie. Oglądamy sarkofag Aleksandra Wielkiego i ogromny nieobrobiony, wielkości męskiej pięści, ciemnozielony szmaragd. Odpowiednio oświetlony urzeka swoją głęboką ciemną zielenią. W obrębie murów Topkapi, w małych budynkach, rozmieszczone jest Muzeum Archeologii Wschodniej.

Pełni wrażeń wracamy na kemping Atakom.

Nazajutrz, nie przekraczając murów miasta jedziemy na północny wschód przez most na Złotym Rogu (trzeci) i dzielnicę Beyoğlu do ogromnego, stosunkowo niedawno wybudowanego mostu na Bosforze. Cieśnina w najwęższym miejscu mierzy 660 metrów. Pokonując ten wielki most docieramy do Azji. Jedziemy do Polonezkoy, zwanego przez Polaków – Adampolem. W tej

wsi niektórzy starzy ludzie mówią jeszcze słabą polszczyzną. Są gościnni. Pokazują nam stary cmentarz.

Wracając, zatrzymujemy się jeszcze na parę godzin w Stambule. Przechodzimy przez obszar pałaców i ogrodów Topkapi Sarayi. Przestrzeń 70 hektarów otoczona jest murami obronnymi. Budowę rezydencji rozpoczęto w 1462 roku i prowadzono z przerwami do XIX wieku. Była to główna siedziba sułtanów tureckich. Zawiera ona cztery dziedzińce, do których wiodą monumentalne bramy:

Do pierwszego dziedzińca wiodzie Brama Cesarska. Był tu park dla publiczności. Teraz mieści się tutaj muzeum wojskowe. Znajdują się tu między innymi polskie działa zdobyte pod Warną.

Do drugiego dziedzińca prowadzi Brama Środkowa. Tu wnosi się budynek Wielkiej Porty, czyli Rady Wezyrów, gdzie przyjmowano ambasadorów. Po drugiej stronie dziedzińca ścinano głowy nieprawomyślnym wezyrom i paszom.

Do trzeciego dziedzińca prowadzi Brama Szczęśliwości. Tu mieści się budynek, w którym urzędował sułtan i gdzie mieściła się biblioteka i skarbiec. Nieco dalej położone były apartamenty prywatne sułtana i harem na 1200 kobiet.

Czwarta Brama prowadzi do „dziedzińca” mieszczącego ogrody, altany i baseny.

Wieczorem na kempingu Atakoy, przy skromnym posiłku, omawiamy wrażenia dnia. Po rannej kąpieli, śniadaniu i spakowaniu bagaży ruszamy na zachód. Za tureckim granicznym miastem Iksala, przekraczamy rzekę Ewros i jesteśmy w Grecji.

Pozwolę sobie teraz, dla własnej pamięci, na krótki rys historyczny.

W starożytności Grecja zajmowała 80 000 km kwadratowych i w okresie rozkwitu (od V do IV wieku przed nar. Chrystusa) liczyła około trzech milionów ludności. Obszar ten był już zasiedlony w paleolicie. Około 2000 r. przed naszą erą przybyli tutaj z północy indoeuropejscy Grecy. Spośród nich wyodrębniają się plemiona Achajów i Jonów. Od 1500 r. tworzą własną mykeńską kulturę, niezależną od kreteńskiej, której wcześniej ulegali.

Achajowie osiedleni na Peloponezie tworzą od XIV do XII wieku scentralizowane państwo z ośrodkiem w Argolidzie (Argos, Mykeny, Tyryns). Około 1100 roku Achajowie ulegają podbojowi nowego plemienia greckiego – Dorów, którzy zniszczyli główne ośrodki kultury mykeńskiej. Ustala się podział polityczny Grecji między Dorów, Jonów i Achajów.

Od XI do VIII wieku p.n.e. powstają rządy arystokracji rodowej w miejsce wcześniejszych monarchii plemiennych. Powstają miasta-państwa, których nie jednoczy religia, bo każde ma swoich własnych bogów.

W wiekach od VIII do VI ma miejsce wielka kolonizacja wybrzeży Morza Czarnego i Morza Śródziemnego. Powstaje pojęcie „barbaros”, czyli obcy, gdy Grecy zetknęli się z ludami obcojęzycznymi.

W VII wieku największe znaczenie miało doryckie Argos. Niebawem pojawia się drugie doryckie miasto – Sparta. Było to zmilitaryzowane miasto-państwo. Powstała tu pierwsza w Grecji armia stała. Sparta uzależnia od siebie większą część Peloponezu organizując Związek Peloponeski.

Okolo sześćsetnego roku przed nar. Chrystusa do znaczenia dochodzą jońskie Ateny. W wiekach od XIV do XII podlegały one Mykenom, a w IX wieku tworzą własne państwo ateńskie jednoczące gminy attyckie. Pierwotnie podlegały one władzy króla, a potem arystokracji rodowej, czyli obieranym corocznie archontom, których rządy kontrolował areopag złożony z byłych archontów.

W VI wieku Persowie narzucają tyranię greckim koloniom w Azji Mniejszej. Na skutek ich oporu organizują wyprawy odwetowe na Grecję. Były to tak zwane wojny perskie zakończone klęską Persów w 479 roku. Grecy wypierają Persów z Europy, uwalniają kolonie, które pod przewodnictwem Aten tworzą Ateński Związek Morski (pierwszy). Tworząc ten związek Ateny pokrzyżowały plany Sparcie dążącej do narzucenia hegemonii całej Grecji.

Sparta wycofuje się z dalszej kampanii Związku przeciw Persji. Rywalizacja Aten ze Spartą o hegemonię wypełnia dalszą część dziejów Grecji.

W Atenach rozwija się ustrój demokratyczny: pozbawiono władzy areopag, przekazując ją zgromadzeniu ludowemu, czyli radzie pięciuset i sądowi przysięgłych. Praw politycznych nie miały kobiety, cudzoziemcy i niewolnicy. Ateny dysponują olbrzymimi zasobami finansowymi, zwłaszcza po przeniesieniu do Aten z Delos skarbcza Związku przeznaczonego na cele obronne. Miało to miejsce w 454 roku. Zasoby te zostały wykorzystane głównie do rozbudowy Aten.

W okresie działania Peryklesa (461–429) Ateny stają się potęgą polityczną i dochodzą do wspaniałego rozkwitu kulturalnego. Epoka ta, jak i wiek następny (IV), nazywane są okresem klasycyzmu. Twórczość w dziedzinie kultury, sztuki i

filozofii jest olbrzymim wkładem w dziejach kultury europejskiej.

Niewłaściwa polityka Aten w ramach Związku doprowadziła do wojny peloponeskiej (431–404), która zakończyła się klęską Aten i rozbiciem Związku. Sparta objęła hegemonię nad całą Grecją. Narzucając miastom greckim oligarchię wkrótce popadła w konflikt z nimi. Miasta pod przewodnictwem Teb zorganizowały koalicję antyspartańską, doprowadzając do wojny korynckiej (395–387).

Persja zaniepokojona sukcesami koalicji zawarła porozumienie ze Spartą. Doszło do pokoju: miasta azjatyckie przeszły do Persji, a miasta greckie uzyskały autonomię. Sparta pod opieką Persji miała przestrzegać pokoju. Był to okres największej potęgi Sparty. Największy opór tej potędze stawiały, będące w sojuszu, Ateny i Teby.

Ateny tworzą drugi Ateński Związek Morski.

W druzgoczącej klęsce pod Leuktrami (371) Sparta traci hegemonię na rzecz Teb, które rozciągają władzę na Tesalię i Macedonię. Traci ją jednak, gdy do głosu dochodzi Macedonia, która za Filipa II (359–336) staje się potęgą, wykorzystując rozbięcie Grecji. Rozpada się drugi Związek, a Macedonia zwycięża pod Cheroneją (338) siły ateńsko-tebańskie i przejmuje hegemonię nad Grecją. Filip II tworzy w 337 roku nowy związek miast – koryncki – zostając jego hegemonom.

Po śmierci Filipa II, którego zamordowano w 336 roku przed nar. Chrystusa, władzę nad Macedonią objął Aleksander, później nazwany Wielkim. On to dowodził wojskami macedońskimi pod Cheroneją. Niebawem wystąpił przeciw Persji.

W latach 334–326 przed nar. Chrystusa Aleksander przejął pod swą władzę całą monarchię perską i stworzył imperium

świata śródziemnomorskiego. Rozprzestrzenia się na tym obszarze kultura hellenistyczna. Spuściznę Aleksandra rozdrapują jego następcy. Toczą się dalsze bratobójcze walki.

Najazd celtyckich Galatów w 279 r. niszczy Delfy. Potem Galaci runęli przez Bosfor na Azję Mniejszą.

Grecy znów walczą z Grekami: Sparta walczy z Achajami i Macedończykami. Ginie spartański król Agis IV. Kleomenes III uchodzi do Egiptu. Następnie Etołowie walczą z Achajami.

Ateny z pomocą Pergamonu jeszcze raz umożliwiają rozkwit sztuki pisarskiej i architektury.

Ale nadchodzą nowe czasy. W 202 roku przed nar. Chrystusa, po bitwie pod Zamą, zapadł wyrok na Kartaginę.

Po panowanie nad światem antycznym sięgnął Rzym. Był on wprawdzie poddany wpływowi kultury helleńsko-hellenistycznej, nie mniej stał się hegemonem nie tylko Małej Grecji, ale także całej Wielkiej Grecji.

W 148 roku przed nar. Chrystusa Grecja stała się prowincją rzymską (Achaja – od 27 r. p.n.e.). Nadszedł czas, gdy na tych ziemiach walczyli ze sobą Rzymianie. W następnych wiekach Rzym walczył tu z Gotami i Herulami, którzy w 250 roku po nar. Chrystusa przekroczyli Dunaj. Imperium zaczęło się chylić ku upadkowi. Jeszcze odnowił je Dioklecjan.

Wobec ciągłych niepokojów jeden z jego następców wprowadził równouprawnienie nowej wiary – chrześcijaństwa. Dekrety z lat 313, 313 i 313 kolejno zakazywały wyznawania religii olimpijskiej, odbywania igrzysk olimpijskich i głoszenia filozofii olimpijskiej. Żywe dzieje antyku w tej części świata dobiegły końca.

Nowa rola przypadła kulturze greckiej po założeniu w 330-tym roku po nar. Chrystusa przez Konstantyna Wielkiego stolicy

cesarstwa wschodnio-rzymskiego - Konstantynopola (greckie Bizancjum).

Po upadku politycznym cesarstwa wschodnio-rzymskiego w 476 roku powstałe na jego miejscu cesarstwo bizantyjskie kontynuowało wielkie tradycje Grecji i objęło przewodnictwo kulturalne w średniowiecznej Europie. Grecja, jako część cesarstwa bizantyjskiego, dzieliła jego losy pustoszona przez Słowian, Arabów i Normanów.

W czasie IV krucjaty krzyżowcy po zdobyciu Konstantynopola w 1204 roku tworzą cesarstwo łacińskie, a na terenie Grecji powstaje kilka państw feudalnych. Po zdobyciu Konstantynopola przez Turków w 1453-cim roku także Grecję opanowali Turcy. Grecy nie rezygnują z walk wyzwoleniczych.

W 1821 roku wybucha powstanie. Turcja odpowiada na nie rzezią Greków, także w Konstantynopolu. W 1822 roku Grecy opanowawszy znaczną część kraju zwołują do Epidauru kongres narodowy, który proklamuje niepodległość i ustanawia rząd tymczasowy. Walki Greków wywołują sympatię w Europie, więc napływają ochotnicy: między innymi Byron i wielu Polaków. Na wezwanie Turcji spieszy jej z pomocą Egipt. Wielkorządca tego kraju wysyła wojsko pod dowództwem swego syna, Ibrahima Paszy. W tej sytuacji powstanie jest bliskie klęski.

Pod naciskiem opinii publicznej Grekom przychodzi z pomocą Anglia, Francja i Rosja. W 1830 roku zmusiły one Turcję do przyznania niepodległości Grecji. W 1833 roku przeniesiono stolicę kraju z Napflion do Aten. Walki z Turkami toczą się jeszcze do końca XIX wieku oraz w czasie pierwszej wojny światowej.

W czasie drugiej wojny światowej Grecja ogłosiła neutralność, lecz w 1940 roku zaatakowały ją Włochy. Odparto ich atak.

W 1941 roku kraj został opanowany przez wojska niemiecko-włoskie. Rozwinął się ruch oporu, który do połowy 1944 roku wyzwolił większą część kraju, a następnie całą Grecję.

Wracamy do naszej podróży.

Nocujemy w nadmorskiej Kawali (za czasów pogańskich nazywała się ona Neapolis) na kempingu. Miasto posiada ruchliwy port i ma wygląd współczesny. Jest ośrodkiem przemysłu jedwabniczego i tytoniowego. Po pożarze w 1927 roku ocalało bardzo niewiele starych domów.

Z Kawali jedziemy na zachód do Amfipolis. Przy drodze, niedaleko ujścia rzeki Strimon, wznosi się ogromny lew z Amfipolis – rzeźba z czasów hellenistycznych, upamiętniająca zwycięstwo Filipa II nad mieszkańcami Amfipolis w 358 roku przed nar. Chrystusa.

Sto kilometrów na zachód od tego miejsca wjeżdżamy do Salonik. Jest to drugie co do wielkości miasto Grecji. Nazwa pochodzi od imienia siostry Aleksandra Wielkiego – Thessalonike. Od 146 roku przed nar. Chrystusa było ono stolicą prowincji rzymskiej. Tutaj Święty Paweł założył pierwszą chrześcijańską gminę Europy. Tu urodzili się i początkowo działali święci Cyryl i Metody w IX wieku.

Przez miasto jedziemy powoli, ale bez zatrzymywania się. Miasto leży u nasady Półwyspu Chalcedyckiego, który od południowego wschodu kończy się trzema mniejszymi półwyspami: od zachodu – Kasandra, w środku – Sithonia i od wschodu – Athos. Ten ostatni na południowym cyplu posiada wysoką górę Athos (2032 m n.p.m.). Mieści się tutaj zespół klasztorów męskich, zwany mnisią republiką.

Z Salonik podążamy na południe i biwakujemy na kempingu w okolicy miasteczka Olimp.

Masyw Olimpu, o wysokości 2917 m n.p.m. w szczycie Mitrikos, uważany był za siedzibę greckich bogów. Aleksander Macedoński wybrał się kiedyś z towarzyszem na szczyt góry. Mama wmówiła mu w młodości, że jest synem Zeusa. Był więc mocno rozczarowany, gdy na szczycie Olimpu znalazł tylko głązy i trochę śniegu. „*Bogowie i mój ojciec nie chcą mi się ukazać*” – rzekł z żalem do towarzysza. My także weszliśmy na wschodni stok góry, nie szukając bogów na jej szczycie, a przedkładając kąpiel w morzu.

Z Olimpu przez Larisę i Lamnię jedziemy do Termopil. Larisa po trzęsieniu ziemi w 1941 roku została ogołocona z reliktyw przeszłości. Lamnia była niegdyś ojczyzną Achillesa. 24 kilometry na południowy wschód od miasta ciągną się Termopile. W starożytności był to wąski przesmyk między Górą Iti a Zatoką Maliokos, która stanowi północno-zachodnie zakończenie Zatoki Północno-Eubejskiej. Wówczas było to jedyne przejście dla wojsk z Grecji północnej do środkowej.

W 480 roku przed naszą erą król spartański Leonidas z trzystu Spartanami i garstką sprzymierzeńców zastawił tu drogę potężnej perskiej armii. Po zdradzie Efiatesa odesłał sprzymierzeńców i walczył ze swoimi hoplitami do końca.

Oglądamy dużą płaskorzeźbę bitwy z wrytym napisem „Przechodniu powiedz Sparcie, że tu spoczywamy wierni jej prawom”. Nad płaskorzeźbą z piedestału góruje ogromny helleński hoplita. Towarzyszą mu leżące, nagie marmurowe postacie. Na tylnej ścianie muru widnieją nazwiska współczesnych fundatorów pomnika – amerykańskich Greków z

dedykacją (w wolnym tłumaczeniu): „*Poległym starożytnym Grekom – Grecy dziś żyjący*”.

Jedziemy dalej na południe. Mijamy Teby, leżące parę kilometrów na południe od autostrady. Jest to główne miasto Beocji, niegdyś dorównujące Atenom i Sparcie. Przez dziesięć lat, za czasów Epaminondasa, dominowały one nad całą Grecją. Zniszczył je z furią Aleksander, syn Filipa II, gdy powstały przeciw świeżej hegemonii macedońskiej.

Podobnie na uboczu leży dziś Cheroneja – miejsce, gdzie Filip II Macedoński w 338 roku przed nar. Chrystusa stoczył bitwę z połączonymi siłami Aten i Teb. Dziś tylko kamienny lew czuwa nad poległymi w przegranej bitwie Tebańczykami i Ateńczykami. Wokół szumią drzewa cyprysowego gaju.

Wjeżdżamy do Aten. Biwakujemy na kempingu i zanurzamy się w ateńskich starożytnościach. Pomijając historię Aten znaną powszechnie i prezentowaną w każdym przewodniku, zwiedzamy przede wszystkim Akropol i budowle u stóp wzgórza: teatr Dionizosa i Odeon.

Akropol – (akropolis), to osiedle lub część miasta zbudowana na wzgórzu. Za czasów Peryklesa powstały tu: Partenon, Propyleje i Erechtejon.

W 1687 roku, podczas wojny Turcji z Wenecją, Akropol został oblężony. Zbieg z miasta doniósł, że w Partenonie Turcy zrobili skład amunicji. Niemieccy artylerzyści pod dowództwem hrabiego Koenigsmarka trafili w środek Partenonu, który wyleciał w powietrze. Później Akropol był niszczony i rabowany. Dziś oglądamy to, co pozostało po eksplozji. Najwięcej zrabował poseł angielski, lord Elgin, w latach 1801 – 1803. Z większych rzeźb było to dwanaście posągów z Partenonu

i kariatyda z Erechtejonu. Warto zwrócić uwagę, że Akropol był kolorowy. Wszystkie budowle i rzeźby były polichromowane.

Propyleje. W starożytnej Grecji była to monumentalna brama na planie prostokąta, prowadząca do wielkich sanktuariów. Ateńskie Propyleje uważane są za najwspanialsze, a na pewno najslynniejsze. Propyleje harmonijnie łączą się ze świątynią Ateny-Nike.

Świątynia Ateny-Nike Apteros, czyli bez skrzydeł – poświęcona była bogini zwycięstwa. Wyobrażano ją bez skrzydeł, dlatego, aby zwycięstwo zawsze było przy Atenach, aby bogini nie odleciała.

Ze skały Pyrgom, na której stoi świątynia, roztacza się wspaniały widok na Zatokę Saronką i miasto: w dole widać amfiteatr Heroda Atticusa, w dali widać Wzgórze Muz, na prawo Areopag i agorę ze świątynią Hefajstosa. Ta ostatnia jest jedyną starożytną budowlą ateńską pokrytą dachem.

Partenon – mieszkanie Ateny. Budowla robi ogromne wrażenie nawet teraz, gdy pozostały tylko ruiny.

Erechtejon – to główne miejsce kultu Ateny. Szczególnie piękne są kariatydy, czyli kory. Są to posągi dziewczęce zastępujące kolumny podtrzymujące belkowanie. Tę, którą ukraść lord Elgin, zastąpiono kopią.

Schodzimy z Akropolu nasyciwszy oczy i duszę widokiem miasta.

Areopag, to wzgórze poświęcone Aresowi i Eryniom. Tu rada starszych sądziła morderców i podpalaczy.

Onyks, to wzgórze, na którym odbywały się zgromadzenia ludowe i gdzie przemawiali najwięksi mówcy: Temistokles, Perykles, czy Demostenes.

Wzgórze Muz z resztkami twierdzy datowanej na III wiek przed nar. Chrystusa i murów obronnych jeszcze starszych, bo z V wieku przed naszą erą.

Odeon, to teatr o cechach greckich i rzymskich, wzniesiony na stokach Akropolu w II wieku przed naszą erą.

Teatr Dionizosa wzniesiony także na stoku Akropolu w wiekach od V do IV przed nar. Chrystusa. Posiadał on wydzielone miejsce dla kapłana Dionizosa.

Olimpiejon był świątynią Zeusa Olimpijskiego wzniesioną w stylu doryckim i korynckim. Budowlę ukończył cesarz Hadrian w II wieku naszej ery. Była to jedna z największych świątyń starożytnej Grecji.

Łuk Hadriana z II wieku naszej ery był bramą w murze, który dzielił stare Ateny od nowych. Na stronie zwróconej do Akropolu wyryto napis: „Oto Ateny – stare miasto Tezeusza”. Na przeciwnej stronie czytamy: „Oto miasto Hadriana”.

Przechodzimy przez Agorę Rzymską, obok Wieży Wiatrów i biblioteki Hadriana, na Agorę Grecką.

Agora Grecka stanowiła ośrodek społecznego i politycznego życia miasta. Tutaj nauczali Sokrates i Platon. Nieopodal pyszni się Hefajstejon, wspomniana wcześniej świątynia Hefajstosa z V wieku przed naszą erą.

Keramejkos. Zwiedzamy dzielnicę ateńskich garncarzy. Przechodziły tutaj mury miejskie z V i IV wieku przed naszą erą. W murach były bramy: Święta, przez którą prowadziła Święta Droga do Eleusis, i Dipylońska, czyli „Podwójna” – główna brama Aten prowadząca na cmentarz. Muzeum Keramejkosu eksponuje przepiękne starożytne wazy, a także niektóre pomniki cmentarne.

Narodowe Muzeum Archeologiczne. Zwiedzanie tego obiektu zajmuje nam dużą część jednego z dni poświęconych Atenom. Oglądamy zbiory sztuki greckiej od neolitu do czasów rzymskich. Mieszczą się one w neoklasycystycznym budynku z XIX wieku. Z portyków spoglądają na nas odlewy najslynniejszych rzeźb.

Zatapiamy się w unikalnej kolekcji sztuki mykeńskiej z drugiego tysiąclecia przed naszą erą. Pochodzi ona z grobów szybowych odkrytych w 1876 roku przez Schliemanna w Mykenach. Mogę osobiście spojrzeć „w twarz Agamemnona”, choć już wiadomo, że to nie Agamemnon. Oglądamy maski, biżuterię, złote, srebrne i brązowe naczynia, wazy, inkrustowane sztylety.

Dalej oglądamy wspaniałe zbiory rzeźby epoki archaicznej, czyli od XIII do VI wieku przed naszą erą, oraz liczne głowy posągów wyłowione z morza w miejscach, gdzie zatoneły w czasie wywożenia ich przez Rzymian. Oglądamy posąg Posejda z V wieku przed naszą erą i rzeźby kurosów – marmurowe postacie nagich młodzieńców. Na koniec rzucamy okiem na bogatą kolekcję ceramiki.

Nazajutrz część wycieczki płynie na Kretę. My zwiedzamy Maraton, Eleusis, Pireus i Sunion.

Maraton leży na północny wschód od Aten. Tutaj Ateńczycy pod wodzą Milcjadesa w 490 roku przed nar. Chrystusa odnieśli zwycięstwo nad Persami. Usypano kurhan na miejscu stosu pogrzebowego – zginęło 192 wojowników ateńskich. Obok wznosi się stela nagrobna z imionami poległych.

Goniec wysłany z wieścią o zwycięstwie, po przebiegnięciu 42 kilometrów, ogłosił radosną wieść w Atenach i padł martwy. Stąd bieg maratoński – pierwszy raz zainicjowany na

olimpiadzie 1896 roku podczas pierwszych nowożytnych igrzysk olimpijskich w Atenach.

Eleusis leży kilkanaście kilometrów na zachód od Aten. Jest jednym z najstarszych miast Attyki, zasiedlonym w drugim tysiącleciu przed naszą erą. Od VIII wieku przed nar. Chrystusa uzależnione było od Aten. Słynęło ze świątyni Demeter oraz kultu jej córki Kory, czyli Persefony i corocznych misteriiw eleuzyjskich.

Pireus, to duże miasto, a właściwie portowa dzielnica Aten. Przejeżdżając przezeń zmierzamy na najbardziej południowy przylądek Attyki.

Sunion. Podążamy nadmorską drogą wzdłuż Riwiery Attyckiej, aby przed zachodem słońca zobaczyć ruiny świątyni Posejdona na przylądku Sunion, zwanym także Kolones.

Oglądamy ruiny świątyni wzniesionej na wyniosłym akropolu, stromo obrywającym się sześćdziesięciometrowym urwiskiem ku morzu. Szesnaście olśniewająco białych kolumn spogląda ku morzu. Widział je w swoim czasie Byron. Wyskrobał nawet na jednej z nich (podrobionej) swój podpis. Między innymi tutaj powstał jego kult Hellady.

My także jesteśmy pod wrażeniem tego miejsca. Wpatrujemy się w przestrzeń od Eubei do Hydry, od wysp Zatoki Saronńskiej do Cyklad, od Gór Attyckich po pustkę Morza Mirteńskiego. Morska panorama nabiera szczególnych barw i głębokich tonów o zachodzie słońca, a zaróżowione kolumny świątyni także zdają się być zachwycone tym widokiem.

28 sierpnia opuszczamy Ateny. Wycieczka na Kretę powróciła pełna wrażeń. Jedziemy przez Megerę, praktycznie nie posiadającą zabytków. Prawdę mówiąc, miasto zostaje nieco z

boku razem ze swoimi małymi, białymi domami, a my kierujemy się na przesmyk koryncki, czyli Istmus Koryncki.

Kanał łączący Zatokę Sarską z Zatoką Koryncką przekopano w XIX wieku. Budowa trwała trzy lata. Kanał oddano do użytku w 1893 roku. Mierzy on 6343 metry. Jest szeroki na 23 metry i głęboki na osiem metrów. Wycięto go prawie pionowo w skale na głębokość do 52 metrów.

Istmus Koryncki, to przewężenie między Attyką, a Peloponezem. Zdawałoby się, że jest to znakomite miejsce obronne. Jednak nie ocalało ono Pelazgów przed Achajami, Achajów przed Dorami, Dorów przed Macedończykami itd.!

Korynt legł w gruzach na skutek trzęsienia ziemi w 1928 roku. Odbudowano go jako standardowe małe miasto.

Stary Korynt uległ złemu losowi znacznie wcześniej. Zrównał go z ziemią w 146 roku przed nar. Chrystusa konsul rzymski Lucius Mummnius. Miasto odbudował Juliusz Cezar. W III wieku naszej ery ponownie zniszczyły je hordy Herulów. Później, kto tylko wkraczał na Peloponez niszczył je i rabował. Za czasów Franków, Wenecjan i Turków już tylko twierdza na wysokim Akro-Koryncie miała znaczenie.

Z dziwnym uczuciem wstydu za łupieżczą naturę ludzką oglądamy rozległe ruiny starożytnego Koryntu, których centralnym punktem jest obudowa świętego źródła Pirene i ocalałe kolumny świątyni Apolla.

Z Koryntu udajemy się do Myken.

Mykeny, to siedziba władców achajskich w III i II tysiącleciu. Największy ich rozkwit przypada na lata 1600 do 1200 przed naszą erą. Wyraźne są wpływy kreteńskie. Achajowie przejęli wiele zdobyczy kulturalnych tworząc kulturę mykeńską.

W tym czasie wzniesiono potężnie obwarowany zamek z Lwią Bramą jako głównym wejściem.

Wrażenie jest potężne. Czuje się powiew historii. Brama Lwów określana jest na XV wiek przed nar. Chrystusa i należy do najczcigodniejszych zabytków wczesnej kultury śródziemnomorskiej. Tylko Lwia Brama w Hatustas – hetyckiej stolicy – może się z nią równać wiekiem, bo nie artystycznym poziomem.

Oglądamy krąg grobowy z sześciu grobami, które rozkopał Schliemann i sądził, że spojrział w twarz Agamemnona. Okazało się, że znaleziska są znacznie starsze, z czasów przed homeryckich. Ich wiek określa się na XVII do XIV wieku przed naszą erą. Dalej oglądamy groby kopułowe i stożkową komorę na planie koła z małą boczną komórką w głębi.

Wracając z Myken mijamy miejscowość Mikini, która jeszcze bardzo niedawno nazywała się – Charvati. Kierujemy się do Argos. Słowo to oznacza nizinę.

Argos, to jedno z najstarszych miast greckich oraz stolica Argolidy i Argiwów. Poza Argos należały tu jeszcze Mykeny i Tiryns. Usunięte w cień przez Spartę, walczyło przeciw niej łącząc się z każdym jej wrogiem. Było ostatnim miastem Grecji, które poddało się Rzymianom. Ci zburzyli je dokładnie. Później powtarzali to Frankowie, Wenecjanie i Turcy. W biegu oglądamy pozostawione przez nich fortyfikacje, a także nieco bardziej starożytnych szczątków, jak miejscowy amfiteatr. Stąd jedziemy do

Tirynsu – starożytnego miasta w Argolidzie. Posiadało ono potężne mury obronne grubości do szesnastu metrów – średnio – osiem metrów. Przypuszczalnie wzniesiono je między XX a XV wiekiem przed naszą erą. Mury posiadają długie, kryte korytarze

zwane cyklopimi. Zachowały się ruiny zamku-palacu. W ruinach znaleziono pozostałości fresków pochodzenia kreteńskiego.

Z Tirynsu jedziemy przez Nauplię (Nafplion) do Epidauru (Epidawros).

Nauplia nad Zatoką Argolidzką pamięta czasy argiwskie, rzymskie i bizantyjskie. Była ona przez długi czas, bo w latach 1389–1540 i od 1686 do 1717, stolicą weneckich posiadłości we wschodniej części Morza Śródziemnego i nazywała się Napoli di Roma. Na wzgórzu Palamidi Wenecjanie zbudowali twierdzę z basztami i bastionami. Jeden z tych obiektów – fort Milcjadesa – do dziś zachował się w niezłym stanie. Ze wzgórza roztacza się doskonały widok na Nizinę Argolidzką i na zatokę o tejże nazwie.

W 1822 roku powstańcy greccy wstępnym bojem zajęli miasto, wypierając Turków. Tutaj założono tymczasową stolicę kraju.

Z Nauplion jedziemy na północo-północny wschód do świętego okręgu Asklepiosa w Epidaurze. (Epidaurus, czyli Epidaur - Epidawros).

Mówiło się, że chorych leczy muzyka, teatr, sport i sen. „Lekarze” Asklepiejonu działali jakby w dwu płaszczyznach: magicznej i przyrodniczej. Decydowała jednak wiara i modlitwa. Gdy więc pobożność upadła, a modlitw zapomniano, nastął zmierzch Epidauru.

Alaryk złupił uzdrowisko już podupadające w 395 roku naszej ery. Teodozjusz II zamknął uzdrowisko już dogorywające. Trzęsienia ziemi w latach 522 i 551 zburzyły opustoszałe sanatoria i obaliły kolumny świątyń. Ze wszystkich sakralnych i świeckich budowli w Epidaurus pozostały tylko szczątki.

Oglądamy tolos – okrągłą budowlę otoczoną kolumnadą, a dalej stadion – centralny punkt Asklepiejonu. Wszędzie rośnie wiele drzew: pinie, cyprysy i oliwki. Największe wrażenie robi na nas potężny amfiteatr, zupełnie dobrze zachowany. Wybudował go Poliklet Młodszy z Argos około 330 roku przed naszą erą. Jego dziełem jest również wspomniany wyżej tolos.

Teatr wbudowany jest w zbocze grzbietu górskiego Kylortion i może pomieścić 14.000 widzów rozmieszczonych w 55 rzędach. Jest więc jednym z największych amfiteatrów Hellady. Miejsce to żyje. Odbywają się tutaj współczesne „Festiwale w Epidaurus”. Spektakle rozpoczynają się zwykle o zachodzie słońca. Amfiteatr dysponuje cudowną akustyką, jakiej może mu pozazdrościć każdy gmach operowy w Europie.

Usiadłem sobie wysoko, gdzieś w pięćdziesiątym rzędzie. Parę osób popisywało się pokrzykując i podśpiewując na scenie. Słyszałem dobrze. W pewnej chwili stanął na scenie Bolo Kubica. Z naszej wycieczki. Zaczął cytować mowę Cycerona:

Quo usque tandem abutere

Catilina patientia nostra?

(*Jak długo, Katyline, będziesz nadużywał naszej cierpliwości?*)

Każde słowo docierało do mnie czysto, dokładnie, bez żadnego pogłosu. Poczulem duże wzruszenie.

Po noclegu spędzonym pod drzewami Asklepiejonu jedziemy znaną już drogą przez Nauplię i Argos do Mili.

Mili, to najprawdopodobniej historyczna i prehistoryczna Lerna. Odkopano tu fundamenty domów, które padły ofiarą ognia i rabunku zanim jeszcze powstały Mykeny. Zatem Hydra lerneńska i mit o jej zabójcy – Heraklesie – są dla Lery legendą dość późną, historycznie rzecz biorąc.

Skręcając na zachód przejeżdżamy ostrymi serpentynami coraz wyższe grzbiety górskie i schodzimy na dość urodzajną Wyżynę Arkadyjską, pośrodku której leży stolica arkadyjskiego nomosu – miasto Trypolis. Jeszcze w końcu XIX wieku naszej ery nosiło ono słowiańską nazwę Dobroglica.

Z Trypolisu jedziemy dokładnie na południe do Lakonii z zamiarem zatrzymania się na kempingu w Sparcie. Jeszcze 15 kilometrów przed Spartą mijamy pole bitwy pod Sellazją (221 rok przed nar. Chrystusa), gdzie Macedończycy i Związek Achajski położyli kres przewadze Sparty ciężącej nad Peloponezem przez pięć wieków, a nad całą Grecją dwa wieki.

Kierując się ku Sparcie przez dwie wysokie przełęcze (920 i 840 m n.p.m.) zjeżdżamy z wilgotnego chłodu w suche ciepło.

Sparta jest dzisiaj miasteczkiem z wielu willami w ogródkach. Widzi się dużo drzew, drzewek i klombów kwiatowych. Wielka przeszłość została zamknięta w miejscowym muzeum.

Gdy na Spartę przyszyły złe czasy pod ciosami najpierw Teb, później Macedonii, zastygła w martwocie. Gdy Germanowie, a później Słowianie do cna pognębili, wyburzyli i wyludnili tysiącletnią stolicę greckiego południa, nie było komu jej wskrzesić. Bizantyjczycy założyli na miejscu Sparty miasto Lakedemonia, a Frankowie założyli swoją siedzibę w Mistrze.

Jedziemy do Mistry – siedem kilometrów na zachód od Sparty.

Mistra była ostatnią stolicą bizantyjskich posiadłości na Peloponezie. Jej bizantyjska historia nie jest długa. Powstała u stóp zamku, który w 1249 roku zbudował Wilhelm II z Villehardouin na wzgórzu zwanym przez Greków Mizitra. Przetrwała jako niezależne państwo siedem lat dłużej niż cesarstwo nad Bosforem, bo do roku 1460.

Zamieszkiwana przez Słowian, potem przez Wenecjan i Turków, spalona przez Albanów w XVIII wieku, Mistra zachowała charakter miasta bizantyjskiego, kiedy to jej ludność liczyła 40 000 mieszkańców. Zwiedzamy pilnie chronioną dzielnicę dolnomiejską i wyraźnie wyodrębnione górne miasto oraz zabudowania wielkiego klasztoru Panatanassa.

Oddzielnie, na wysokiej górze, zwiesza się nad miastem zamek frankoński, do którego już nie wchodzimy.

Najsilniejsze wrażenie robią klasztory Panatanassa i Bron-tochion ozdobione świetnymi późno-bizantyjskimi freskami, częściowo odrestaurowanymi. Patrzymy na pałac despotów z czasów tureckich zamieniony w wielki bazar.

Patrząc z góry na zabudowania Mistry wydaje się, że o jej wartości decyduje zachowana całość: zespół domów, cerkwi i klasztorów. Mistra zaliczana jest, wraz z klasztorami na Meteorach i na Atosie, do największych średniowiecznych zespołów zabytkowych w skali już nie tylko greckiej, ale ogólnoeuropejskiej.

Na nocleg wracamy do Sparty. Stąd nazajutrz jedziemy na zachód do Kalamaty (Kalamai) nad Zatoką Messeńską. Zachował się tutaj zamek wspomnianego już wcześniej Villehardouin'a, zbudowany w 1208 roku na miejscu antycznego akropolu.

Z portowej Kalamaty jedziemy na zachód z lekkim odchyleniem na południe do Pylos (Pilos). Dawniej miasto nazywało się Navarion. Leży ono nad niewielką Zatoką Navarino, którą zamyka wyspa Sfakteria głośna z początku wojny peloponeskiej. Dzisiaj Sfakteria, to tylko wspomnienie. Trzy jej twierdze: pofrankońska, powenecka i poturecka popadły w ruinę i zapomnienie.

17 kilometrów na północ od nowożytnego Pilos znajdowało się Pilos homeryckie - siedziba Nestora, seniora wodzów greckich pod Troją. W 1939 roku odkryto ruiny królewskiego pałacu. W 1952 roku odsłonięto je dokładniej. W 1960 roku wokół ruin pałacu odkryto różne grobowce, w tym kopułowe z epoki mykeńskiej, nieustępujące wartością archeologiczną tym znanym z Myken.

Z Pylos jedziemy brzegiem Morza Jońskiego do Zatoki Kiparyjskiej. Rozbijamy biwak na kempingu „Paradise”, parę kilometrów na północ od Kiparyjsji.

Kiparysję zbudował dla Esseńczyków tebańczyk Epaminondas. W okresie inwazji Słowian stała się ona schronieniem dla ludności greckiej. Nazwano ją wówczas Arkadią. Frankowie, Wenecjanie i Genueńczycy uszanowali tę nazwę. Dopiero nowa Grecja przywróciła jej starogreckie imię.

Na rajskim biwaku „Paradise” wypoczywamy pławiąc się w morzu i promieniach słońca. Spędzamy tu ostatnie dwa dni sierpnia. Po tych uroczych dniach spędzonych nad morzem jedziemy do Olimpiii.

Olimpia leży około 30-tu kilometrów na wschód od Pyrgos w Elidzie, u zbiegu rzek Alfejos (Alfios) i Kladeos. Jest to najświętsze miejsce kultu Zeusa w całej starożytności oraz miejsce starożytnych igrzysk olimpijskich.

Znaczenie Olimpiii upadło po zakazie urządzania igrzysk wydanym przez cesarza Teodozjusza w 394 naszej ery. W 426 roku po nar. Chrystusa zostają zniszczone świątynie.

Po usunięciu się wzgórza Kronion i zmianie biegu rzeczki Klados Olimpię pokryła kilkumetrowa warstwa mułu. Dzięki badaniom archeologicznym prowadzonym od 1875 roku ustalono pierwotną zabudowę tego miejsca.

Z biciem serca oglądamy szczątki dawnej świetności. W Świętym Gaju (Altis) widnieją resztki otaczającego go muru. Dalej fundamenty doryckiej świątyni Zeusa Olimpijskiego z V wieku przed nar. Chrystusa. Są tu fragmenty kolumn, a w muzeum zachowały się wspaniałe rzeźby.

Widzimy pelopejon z Grobem Pelopsa i świątynię Hery, czyli herajon, gdzie można kontemplować dwa szeregi kolumn stojących na kamiennych podstawach. Nieco dalej są ślady po dwunastu skarbcach miast greckich.

W drugiej części Olimpii, poza Świętym Gajem, znajdował się stadion połączony z Gajem sklepionym tunelem. Zachowały się niewysokie ruiny, wśród których zapalano znicz olimpijski na znak rozpoczęcia igrzysk.

Przechodzimy jeszcze dawny hipodrom i zwiedzamy muzeum. Tutaj dłużej zatrzymujemy się w osobnej sali, mieszczącej rzeźbę Hermesa wykonaną przez Praksytelesa – jeden ze szczytów rzeźby klasycznej, a więc jeden ze szczytów rzeźby w ogóle.

Z Olimpii przez Pyrgom jedziemy nadmorską szosą do Patras (Patre lub Patroi) Na tej osadzie, mocno atakowanej przez Słowian, załamała się ich inwazja.

Kościół Świętego Andrzeja, ukrzyżowanego ongiś w Patras, jest największy w Grecji. Wznosi się na miejscu świątyni Demeter i świętego źródła. Tu przechowywane są od 1964 roku relikwie apostoła zwrócone przez Pawła VI, a przedtem przechowywane w Rzymie.

Z Patras jedziemy do Rion – portu z promem komunikacyjnym. Krótka przeprawa przez wody zatoki sprowadza nas do małego portu Antirion leżącego już po północnej stronie Zatoki

Korynckiej. Od tego miejsca na zachód nazywa się ona Zatoką Patras lub Patre.

Z Antirionu jedziemy autobusem, który przeprowił się promem razem z nami, do Naupaktos (Nafpaktos) i wzdłuż rzeki Pornos do Lidorikon i dalej wśród gór do Amfissy. Stąd już tylko 20 kilometrów dzieli nas od Delf.

Delfy leżą na zboczu górskim Fedriod. zamkniętym Skalami Tytanów, a od Amfissy łysym grzbietem górskim. Krajobraz Delf uchodzi za jeden z najwspanialszych i najwznioślejszych w Europie. Strome zbocza schodzą ku świętemu gajowi oliwnemu, który z równiny Krissy prowadzi do zatoczki Ikei stanowiącej odgałężenie Zatoki Korynckiej. Góry są tu potężne. Teren wykopalisk przecina Święta Droga. Blisko od niej do Źródła Kastalskiego u stóp urwisk i skalistego wąwozu. Podziwiamy tę drogę nocą, gdy podświetlona jest latarniami i umożliwia spacer przez Delfy bez naruszania ciszy i ciemności.

Jeszcze za dnia oglądamy miejscowe wspańiałości:

1. Okręg Apollina Pytyjskiego otoczony murami z wielką jego świątynią pośrodku.
2. Okręg gimnazjum i sanktuarium Ateny Pronoja.
3. Urządzenia sportowe ze sławnym delfickim stadionem.
4. Muzeum współczesne, ale mieszczące starożytne wspańiałości.

Bardzo krótko omówię poszczególne obiekty:

1. Każda niemal część Okręgu Apollina usiana jest ruinami, w tym ruinami skarbców. Były to małe budowle w rodzaju bardzo małych świątyni. Najsławniejszy był Skarbiec Ateński. Trzymano tu cenne wota i zasoby monetarne. W skarbcu tyrana Syrakuzy, Gelona, znajdowały się w pewnym okresie rzeźby o wadze 1855 kilogramów czystego złota.

W świątyni Apollina siedziała Pytia. W ciągu tysiącletniej działalności wyroczni „urzędowała” przeważnie jedna prorokini.

Oglądamy teatr zbudowany w IV wieku przed nar. Chrystusa. Odnawiano go za czasów greckich (przez króla Pergamonu) i za czasów rzymskich.

2. W świątyni i okręgu Ateny, strażniczki świątyń, czyli PROMAJA, oglądamy ruiny najpiękniejszego w Grecji tolosu, czyli rotundy. Nie sposób nie zadumać się nad losem świątyni Ateny, która choć „Strzegąca” nie ustrzegła świątyni przed złym losem.

3. Nad świątyniami, nad amfiteatrem, nad wszystkim, co jest w Delfach, góruje stadion sportowy dla dwukrotnie większej ilości widzów w porównaniu z teatrem. Odbywały się tutaj igrzyska pytyjskie, zwykle co osiem lat. W pewnym okresie odbywały się co cztery lata. Co do znaczenia zrównywane były z igrzyskami olimpijskimi.

4. Muzeum bierze swoje początki w 1903 roku. Współczesne muzeum otwarto w 1938 roku.

W dziesięciu salach oglądamy ogromne ilości marmurowych posągów bogów, herosów, kurosów, ludzi i zwierząt, płaskorzeźby, fryzy, metopy, rzeźby przyczółkowe i figuralne.

Na płaskorzeźbach widnieją liczne bitwy: amazonomachia, wojna trojańska i inne „machie”. Zgromadzono dużą ilość rzeźb nagich męskich postaci. Najświetniejsza rzeźba w delfickim muzeum, to naturalnej wielkości stojąca postać „Woźnicy”, czyli „Aurigi”, ocalona ze zniszczonej kompozycji: rydwan, para koni i zapewne druga postać męska.

Późnym wieczorem w dużej grupie obchodzimy spóźnione imieniny Stefana Cieslińskiego. Nasze wspólne zapasy i greckie wino stwarzają miłą atmosferę, tym bardziej, że moją towarzysysz-

ką jest pani Hania Olkowicz. Zaprzyjaźniłem się z nią gdzieś między Koryntem, a Spartą. Rozmawiamy serdecznie i niewymuszenie.

W pewnej chwili Hania pyta: „Janusz, widzisz tam wysoko na krawędzi skalnej jedno, czy dwa światła?” Ja widzę dwa światła i jestem przekonany, że to greckie wino powoduje podwójne widzenie. To samo podejrzewała Hania. Po sprawdzeniu okazało się, że są to dwa światła na dwu blisko siebie stojących latarniach.

Następnego dnia udajemy się ku Meteorom.

Przez Amfissę i Grawię wracamy w Bralos na szosę laramijską. Omijamy z daleka masywy górskie Pindasu. Jego najwyższe szczyty wznoszą się dobrze ponad 2000 m n.p.m.: Giona mierzy 2510 m n.p.m., Wardusia – 2495 m, a Tymfristos – 2315 metrów n.p.m. Góry są urwiste, bez turystycznego zaplecza. W tym centrum Grecji Środkowej poukrywane są miejscowości sięgające wiekiem czasów homeryckich.

Na północ od Lamii wjeżdżamy na Nizinę Tesalską. Przejeżdżamy przez okazałe miasteczko Karditsa w rozlewisku Pindasu i osiągamy ludną miejscowość Trikala, nazywaną bramą do górnego Piniosu. Trikala, to miejsce wielce starożytne. W epoce homeryckiej nazywała się Trikka – miasto lekarzy, potomków Asklepiosa.

Za Trikalą horyzont się zawęża: przed nami widok na gigantyczny próg skalny Meteorów i na miasteczko u ich stóp, Kalabasa, które żyje z licznie odwiedzających to miejsce turystów.

Meteora Monastyria, czyli klasztory zawieszane w niebie. Powstały one w XIV wieku jako azyle w okresie inwazji serbskiej na państwo bizantyjskie. W pewnym okresie istniały 24

klasztory, zbudowane z cegieł i obrobionych bloków, na szczytach kominów skalnych, którymi usiana jest cała okolica. Dzisiaj można obejrzeć jedenaście klasztorów, ale tylko cztery z nich są zamieszkałe i dostępne turystycznie. Obejrzeliśmy jeden. Wciągano nas w sieci po dwie osoby.

Meteora, – choć to zabytek – ma charakter teatralny. Tym niemniej widok z klasztoru na urwisko sięgające stóp komina, na mroczne żleby, dzikie filary i ambony skalne daje wrażenie mocne i niezwykłe.

Pod wieczór z wysoka popłynęła muzyka i śpiew gregoriański. Ze zdumieniem i mieszanymi uczuciami usłyszeliśmy w tej kościelnej pieśni łacińskie słowa modlitwy. Mnisi, najwyraźniej dla celów komercyjnych, zaopatrzyli się we włoskie nagrania, którymi czarowali turystów.

Z Meteorów jedziemy kawaleczek drogą w kierunku Janiny (Joanniny; na niektórych mapach określanych jako Janica) i po paru kilometrach skręcamy na północ. Tu zaczyna się niedawno zbudowana asfaltowa szosa uważana za najpiękniejszą drogę górską Grecji. Mijamy miasteczko Grewena – bardzo stylowe i upamiętnione tradycjami partyzanckimi z każdej wojny turecko-greckiej w XIX wieku, a także patriotyczną partyzantką w XX wieku.

Jedziemy na północny wschód do Kazani. Są tu stare kościoły i ciasne uliczki – widzimy Grecję rolniczą. Szosy rozchodzą się stąd w różnych kierunkach. My jedziemy na północ, ku granicy jugosłowiańskiej.

Mijamy przemysłowe Ptolemais z kopalniami węgla kamiennego i kominami elektrowni, a dalej Aminteon. Następnie przecinamy szosę Edesa – Florina. Na wschód od Edesy, nieco ponad 80 kilometrów od skrzyżowania szos, leżą ruiny Pelli,

która była stolicą Filipów i Aleksandrów. Z antycznej Pelli niewiele się ostało, więc pomijamy w naszej podróży miejsce urodzenia Aleksandra Macedońskiego, nazwanego Wielkim.

Mijamy Jezioro Wegerilis, do niedawna nazywane po prostu – Ostrowo.

Stąd już niedaleko do granicy jugosłowiańskiej. Po odprawie paszportowej mijamy granicę. Następuje druga odprawa paszportowo-celna i jesteśmy w Bitoli.

Początki Bitoli sięgają IV wieku po nar. Chrystusa. Było to duże i bogate miasto greckie. W XVIII wieku było ono jednym z największych miast na Bałkanach. Posiadało wówczas około 70-ciu meczetów, ale i cerkiew – jedną z największych na ziemiach dzisiejszej Jugosławii. Tutaj do akademii wojskowej uczęszczał późniejszy Atatürk.

Z Bitoli jedziemy na zachód do Ohridu (Ochrydu) nad jeziorem Ohrida (Ochrydzkim). Tutaj biwakujemy na kempingu.

Początki Ohridu sięgają VI wieku przed naszą erą. Byli tu Ilirowie, potem Rzymianie, Bizantyjczycy i Słowianie. W X wieku po nar. Chrystusa miasto było stolicą Cesarstwa Macedońskiego, potem należało do Cesarstwa Serbskiego, a od XIV wieku do roku 1912 – do Turcji.

Nazajutrz omijamy północną część Jeziora Ochrydzkiego, po czym jedziemy na północ wzdłuż granicy z Albanią. Z Debar skręcamy na wschód do Kiczewa (Kicevo). Stąd dokładnie na północ jedziemy przez Gostivar do Tetowa. Po obu stronach szosy ciągną się wysokie góry.

Na wschód od Gostivar'u masyw Karadžica ma najwyższy szczyt o wysokości 2540 m n.p.m. Na zachód od Tetowa w masywie Sar Planina najwyższy szczyt wznosi się na wysokość 2760 m n.p.m.

Z Tetowa do Skopje mamy już tylko 50 kilometrów.

Skopje, to trzecie po Belgradzie i Zagrzebiu miasto dawnej Jugosławii. Jego początki sięgają I wieku przed nar. Chrystusa, ale dosięgały je klęski. W IV wieku naszej ery nawiedziło miasto katastrofalne trzęsienie ziemi, a w XIII wieku przeszła przez nie epidemia dżumy. W 1963 roku trzęsienie ziemi zabiło około tysiąca osób i zniszczyło lub uszkodziło 80% domów. Oglądamy miasto już odbudowane. Ruiny dworca kolejowego pozostawiono tak, jak go zniszczyła katastrofa.

Zatrzymujemy się krótko. Widzimy twierdzę Kale nad Wardarem, wzniesioną na 40-sto metrowej skarpie i obok cerkiew św. Spasa z XVII wieku oraz meczet z XV wieku.

Jedziemy dalej na północ z lekkim odchyleniem ku zachodowi – do Prisztiny. Nic wówczas nie wskazywało na możliwe masakry ludności już za niecałe ćwierć wieku w tym autonomicznym okręgu Kosowo.

Z Prisztiny przez Kosowską Mitrowicę i dalej doliną rzeki Ibar dostajemy się do Iwangradu, gdzie nocujemy na kempingu.

Kilka słów o dawnej tragedii: w samym sercu Kosowa leży Kosowe Pole, gdzie na płaskowyżu Mazgit Polje rozegrała się krwawa bitwa dnia 15 czerwca 1389 roku.

Spotkały się na tym miejscu dwie armie: trzydziestopięciotysięczna serbska pod wodzą księcia Lazara – broniąca ojczyzny i niepodległości oraz przeważające liczebnie wojska sułtana tureckiego Murada. Sułtan Murad został zamordowany przed bitwą. Jego młodszy syn – Bajazet – objąwszy po ojcu dowództwo, zgniotł armię serbską. Pięć tysięcy Serbów poległo na polu bitwy, a trzydzieści tysięcy, wraz z księciem Lazarem, oddało głowy pod miecze tureckich katów.

Jadąc z Kosowskiej Mitrowicy na zachód doliną rzeki Ibar widzimy poszarpane, skaliste szczyty i rwące spienione wody górnego biegu Baru. Tutaj, aż do XIV wieku, mieścił się ośrodek państwa serbskiego. Stąd wywodziła się serbska dynastia Nemanjiciów. Zaledwie dwadzieścia kilometrów od doliny Baru, którą właśnie jedziemy, leży miasto Nowy Pożar. Kilkanaście kilometrów dalej na północny wschód leży miasteczko Raska (Raska), gdzie znajdowała się pierwsza stolica średniowiecznej Serbii.

Nazajutrz opuszczamy Ivangrad i przez przełęczę Gór Sandzak zjeżdżamy do doliny rzeki Moracza (Moraca), osiągając Titograd – stolicę Czarnogóry.

Titograd jest obecnie miastem nowoczesnym, uprzemysłowionym, co nie znaczy, że bez przeszłości. Rzymianie nazwali istniejącą tu miejscowość – Birsiminium. W X wieku nosiła ona nazwę Ribnica. Za czasów cara Duszana – Podgorica. W czasie drugiej wojny światowej miasto uległo całkowitemu zniszczeniu. Z dawnej przeszłości pozostały akwedukty, wieża zegarowa i kilka domów muzułmańskich.

Jedziemy na zachód do Cetyni (Cetynje). Cetynia – miasto założone w 1484-tym roku przez Iwana Crnojevicia. Miejskowy klasztor z XV wieku przechowuje zabytki czarnogórskiego piśmiennictwa z XV do XVII stulecia, a pod jego arkadami spoczywają czarnogórcy władcy. Nad klasztorem-monastylem wznosi się twierdza Tablja, a jeszcze wyżej, na szczycie Orłow Krsz (Orlov Krs) zachował się grób założyciela dynastii Niegoszów (Njegos) – władcy Daniły I.

Interesujące eksponaty, szczególnie broni, posiada Muzeum państwowe usytuowane w pałacu króla Nikoli.

Z Cetynii, przez skalisty grzbiet górski, jedziemy na południe do Budwy (Budva), średniowiecznego miasteczka o wąskich uliczkach. Stąd, dziesięć kilometrów na południe, oglądamy z daleka lotnisko Sveti Stevan położone na małym skalistym półwyspie. Rybacy całkowicie opuścili to miejsce, które zostało przekształcone na jedyne w swoim rodzaju miasto luksusowych hoteli.

Po krótkim wypadzie nad Adriatyk, wracamy na północ do Kotoru. Miasto leży u podnóży góry Lowczen (Lovcen), o wysokości 1749 m n.p.m., w najbardziej południowo wschodniej części Zatoki Kotorskiej. Czterokrotnie było ono niszczone przez trzęsienia ziemi, ale ocalałe zabytki czynią Kotor jedną z najciekawszych miejscowości wybrzeża czarnogórskiego. Podziwiamy katedrę św. Triwuna z XII wieku. Jest w mieście muzeum morskie zawierające makiety i dokumenty mówiące o historii tego kraju, w swoim czasie silnie związanego z Wenecją, która pozostawiła na nim niezatarte piękno.

Jedziemy dalej – początkowo na północ wzdłuż wybrzeża Zatoki Kotorskiej. Mijamy Prcanje i Orahovac, za którym skręcamy na zachód i mijamy Perast: ciche, puste, jakby wymarłe miasteczko. Była to dawna rezydencja weneckich i miejscowych magnatów. Dziś świeci ona pustkami wytwornych, w pył rozsypujących się pałaców weneckich o koronkowych oknach, marmurowych kolumnach i portykach.

Jadąc dalej na północ, bardzo niedaleko Perastu, mijamy najstarsze w Dalmacji ilirskie miasteczko Risan. Ogólnie biorąc jedziemy na południowy zachód mijając Morinj, Djenovic, lotnisko Zelenika i jesteśmy w Herceg Nowi.

Herceg Novi leży tarasowato na zboczach góry Orien. Upajamy się jej podzwrotnikową roślinnością, zielenią

wysmukłych cyprysów i rozłożystych palm oraz drzew cytrusowych. Miasto otaczają zachowane do dzisiaj mury obronne.

Jedziemy na północny zachód. Zatrzymujemy się na kempingu przed Dubrownikiem, gdzie spędzamy trzy noce i ponad dwa dni. Jeszcze w dniu przyjazdu po rozbiciu namiotów udajemy się do

Dubrownika. Było to miasto Ragusium, założone w VII wieku przez Romańskich uchodźców z pobliskiego Epidaurus (obecnie Carat), zburzonego przez Awarów i Słowian. Ragusium znajdowało się na niewielkiej wyspie. Słowianie, którzy osiedlili się na stałym lądzie, nazwali swoją osadę Dubrownikiem. Później, po zasypaniu cieśniny, obie osady stopiły się w jedną, a przybysze słowiańscy mieszały się z ludnością romańską.

Całe miasto zbudowane jest z białego kamienia, otoczone białymi murami obronnymi schodzącymi do morza. Długość murów mierzy 1940 metrów, wysokość do 25 metrów, a grubość – trzy metry od strony morza i sześć metrów od strony lądu.

Miasto powstawało od XII do XVIII wieku. Jednak jego początki sięgają VII wieku, na co wskazują ślady życia plemion greckich, romańskich i słowiańskich.

W XII wieku znajdowało się ono pod władzą Bizancjum. W XIII i XIV wieku władali tu królowie węgiersko-chorwaccy. Od XV wieku miasto stało się republiką. W 1520 roku Dubrownik został zniszczony przez trzęsienie ziemi, a w 1526 roku wyludniony przez dżumę.

Do miasta wchodzimy przez bramę obronną (Vrata od Pila) z posązką św. Vlaha – patrona Dubrownika. Idziemy ulicą zwaną Placa, lub Stradun. Jest to główna ulica starego miasta i tutaj znajdują się najpiękniejsze budowle. Ulicę

pokrywają kamienne płyty, szlifowane stopami przechodniów od XV stulecia. Po przejściu bramy, na prawo widoczna jest studnia Onofrio della Cavo, zbudowana w 1438 roku przez budowniczego, który tak właśnie się nazywał – był neapolitańczykiem.

Naprzeciwko wznosi się kościółek św. Spasa z 1520 roku, a obok kościół i klasztor franciszkanów z XIV wieku. Przy klasztorze zbudowano najstarszą w Europie aptekę. Na przeciwległym końcu ulicy Placa, w pobliżu wschodniej bramy zwanej Ploce, po prawej jej stronie, stoi słup Rolanda, z którego niegdyś powiewała flaga republiki.

Nieco dalej widzimy drugą (gotycką) studnię zbudowaną przez tego samego architekta, co pierwsza. Nad studnią wznosi się trzydziestojednometrowa wieża zegarowa, z której dwóch brązowych giermków wydzwania godziny.

Na placu za słupem Rolanda znajduje się barokowy kościół patrona Dubrownika – św. Vlaha z modelem miasta w ręku.

Niedaleko znajduje się Pałac Rektorów (Knezer Dvor), gotycka budowla z XV wieku, jedna z najpiękniejszych budowli miasta. Po zniszczeniach dokonanych w XVII wieku, odbudowano ją w stylu renesansowym.

Obok wznosi się barokowa katedra (XVII–XVIII wiek) Velike Gospe, najpiękniejszy z dubrownickich kościołów. Katedra posiada kopułę podobną do tej na bazylice św. Piotra w Rzymie. Świątynia posiada cenne obrazy malarstwa europejskiego (Tycjan, Vecchio) oraz skarbiec z cennymi eksponatami.

Wschodniej bramy miasta „Ploce” prowadzącej do dużej przystani strzeże klasztor dominikanów z XIV wieku. Posiada on piękny wirydarz i cenne obrazy, a wśród nich „św. Małgorzata” Tycjana.

W drugim dniu, licząc od rozbicia namiotów pod Dubrownikiem, stateczkiem, ściślej mówiąc dużą łodzią, płyniemy na wyspę Lokrum odległą od murów twierdzy około jednego kilometra. Wczoraj oglądaliśmy ją z wysokich murów tej twierdzy. Wyspa porośnięta jest piniami, cyprysami, modrzewiami, palmami i mnóstwem kwiatów. Widoczne są ruiny klasztoru benedyktynów z jedenastowieczną bazyliką. Przewodnik pokazuje nam słone jeziorko połączone z morzem podziemnym korytarzem i turystyczną atrakcją: skałę, z której strącano do morza skazanych na śmierć.

Po powrocie z wyspy Lokrum robimy jeszcze pieszą wycieczkę wzdłuż ulicy pełnej eleganckich willi i pensjonatów. Tu wznoszą się dwa ekskluzywne hotele.

Na końcu ulicy, biegnącej wzdłuż morskiego brzegu, dwa kilometry od starego Dubrownika, wznosi się klasztor św. Jakuba z XIII wieku. Stąd otwiera się wspaniały widok na stare mury średniowiecznego miasta, na strome wybrzeża ze strzelającymi ku górze pałkami agaw, na powódź kwiatów, wreszcie na czarne sylwetki cyprysów.

Wracamy na kemping pełni wrażeń. Zасыpiając mam przed oczami widziane za dnia wspaniałości Dubrownika. Wcześniej rano zwijamy obozowisko i jedziemy na północny zachód nadmorską szosą. Mijamy osadę Slano i na wysokości miasteczka Naum, leżącego na południe od szosy, skręcamy na północ.

W miejscowości Metkovič przekraczamy Neretwę i dalej jedziemy jej doliną. Na południowy wschód od tej miejscowości leży Popovo Polje, jedyne w swoim rodzaju zjawisko natury. Wąska, otoczona wysokimi górami dolina rzeki Trebisnjica na kilka letnich miesięcy wyłania się spod wody, gdy te uciekają w

głęb podziemnych pieczar. Wtedy rolnicy pospiesznie sięją i sadzą, aby zebrać plony, zanim jesienią przez niezliczone wywierzyska woda ponownie zacznie zalewać dolinę. Po kilku dniach Popovo Polje jest znowu olbrzymim jeziorem, które ustąpi dopiero na wiosnę.

My z Mitrovič jedziemy na północ do Mostaru.

Mostar, główne miasto Hercegowiny, położony jest wśród oślepiająco białych, skalistych gór. Główny szczyt pasma Velež, leżącego dziesięć kilometrów na wschód od miasta, mierzy 1969 m n.p.m.

Oglądamy most śmiałym łukiem przerzucony przez spienione wody Neretwy. Od mostu miasto wzięło swoją nazwę. Pierwotnie był tutaj most drewniany zawieszony na łańcuchach. Na rozkaz Sulejmana Wspaniałego w roku 1566 zastąpiono go nowym, kamiennym o długości 25,5 m i wysokości około 20 metrów.

Dwanaście kilometrów od Mostaru leży Blagaj, dawna stolica Hercegowiny z resztkami twierdzy wzniesionej w XV wieku przez herzoga Stefana. Niedaleko znajduje się źródło Buny. Z czeluści mrocznej jaskini wytryska szeroki strumień kryształowo czystej wody. W tym miejscu podziemna rzeka płynąca przez jaskinie hercegowińskiego krasu przebija się na powierzchnię.

Z Mostaru jedziemy na północ. Koło Jablanicy skręcamy ostro na wschód, posuwając się wzdłuż sztucznego jeziora długości 22 kilometrów, nad którym wybudowano potężną elektrownię.

Po minięciu jeziora szosa biegnie na północny wschód i po niecałych pięćdziesięciu kilometrach jesteśmy w Sarajewie.

Rozbijamy obóz na miejscowym kempingu i idziemy „w miasto”.

Sarajewo było w tym czasie głównym miastem Bośni i Hercegowiny. Jest ono otoczone ze wszystkich stron niewysokimi górami. Od wschodu strzegą je mury starej tureckiej twierdzy, u stóp której przepływa rzeka Miljacka, przecinająca Sarajewo na połowy, spięte ze sobą licznymi kamiennymi mostami. Miasto zostało zbudowane w XV wieku przez Turków jako siedziba namiestnika Bośni.

Są w okolicy ślady dawnej historii: w Ilidży obok Sarajewa zachowały się resztki term rzymskich, a w niedalekiej miejscowości Butmir odkopano szczątki osady neolitycznej.

Chodząc po mieście odwiedzamy wąskie uliczki z małymi sklepami kujundżijów, gdzie sprzedaje się safianowe czerwone pantofle i srebrne ozdoby. Oglądamy najstarszy meczet Mostaru, tak zwaną Carewą dżamiję z 1457 roku.

Nie możemy ominąć miejsca, gdzie zamachowiec, Gawryło Princip, zastrzelił księcia, ściślej arcyksięcia Franciszka Ferdynanda w dniu 28 czerwca 1914 roku. Most, na którym zginął arcyksiążę, nosi obecnie imię zamachowca. Arcyksiążę był odpowiedzialny za politykę austriacką w Bośni, a owego dnia odbywał uroczysty przejazd przez Sarajewo. Śmierć jego stała się pretekstem do rozpętania pożogi pierwszej wojny światowej.

Na zakończenie naszej włóczęgi po Sarajewie oglądamy najbardziej reprezentacyjny obiekt muzułmańskiej kultury sakralnej na Bałkanach – meczet z 1530 roku o nazwie Gazi Husrev-Begova Dżamija. Jest on dziełem tureckiego architekta Hajredina i posiada dużą kopułę wysokości 26 metrów i dwie mniejsze boczne oraz minaret wysokości 45 metrów.

Noc spędzona na kempingu jest bardzo chłodna. Już w Dubrowniku mieliśmy dwie chłodne noce, ale w Sarajewie nad ranem ósmego września trawa pokryta była szronem,

W ciągu jednego dnia pokonujemy 500 kilometrów w drodze do Budapesztu. Jedziemy cały czas na północno-północny wschód i północ, a od Szegedu na północno-północny zachód.

Wymienię zauważone miejscowości, które mijamy po drodze, nie zatrzymując się w nich.

Za Sarajewem mijamy Podromaniję i Żep. Niecałe 30 kilometrów od Żepu leży Srebrenica, głośna z walk serbsko-bośniackich w latach dziewięćdziesiątych XX wieku.

Mijamy Vlasenicę i Zwornik, a dalej Lożnicę. Od Lożnicy jedziemy wąską szosą przez Lesznicę, Dubje Szabac i miejscowość Ruma.

Za Rumą przejeżdżamy niewysokie pasmo górskie Fruska Gora (539 m n.p.m.) i za miejscowością Vladnik pokonujemy Dunaj. Na jego lewym brzegu wznosi się spore miasto Novi Sad, główne miasto Wojwodiny. W XIX wieku nazywano je serbskimi Atenami ze względu na ożywione życie kulturalne oraz dużą ilość instytucji kulturalno-oświatowych. Wojwodina, to część rozległej i urodzajnej Niziny Panońskiej. Tę część byłej Jugosławii nazywano jej spichlerzem.

Jadąc dalej na północ z minimalnym odchyleniem ku zachodowi mijamy miejscowości: Srbobran, Braczką Topolą i Subotnicą. Ta ostatnia, położona wśród winnic i pól uprawnych jest ważnym węzłem kolejowym i ośrodkiem przemysłowym.

Z Subotnicy jedziemy na wschód i północny wschód, przekraczamy granicę węgierską i jesteśmy w mieście Szeged (Segedyn) nad rzeką Keresz, która po przeciwnej stronie granicy nazywa się Cisa. Tutaj do Cisy wpada Marusza.

Miasto Szeged, leżące na Wielkiej Nizinie Węgierskiej, jest ważnym węzłem drogowym i kolejowym, a także ośrodkiem przemysłu spożywczego, metalowego, chemicznego, włókienniczego i obuwniczego; nad rzeką ciągną się zabudowania stoczni rzecznej.

Z Szegedu dobrą szosą szybko posuwamy się ku północno-północnemu zachodowi, mijamy Kecskemet i jeszcze przed wieczorem jesteśmy w stolicy Węgier.

Budapeszt zwiedzamy nazajutrz małymi grupami. Przeważnie towarzyszy mi wspomniana wcześniej Hania. Budapeszt złożony jest z dwu części, które przedziela Dunaj. Jego brzegi zwieńczone są licznymi mostami.

Buda leży na prawym, wysokim brzegu wśród wzgórz. Peszt rozciąga się na lewym, nizinnym brzegu rzeki.

Na miejscu Budy istniała w starożytności osada. Obok niej w pierwszym wieku przed narodzeniem Chrystusa Rzymianie założyli obóz wojskowy i miasto Aquincum. Pod naporem plemion germańskich Rzymianie opuścili to miejsce w IV stuleciu naszej ery. Od VII do IX wieku mieszkali tu Słowianie, którzy w X wieku zostali stąd wyparci przez Węgrów.

W średniowieczu rozwijał się głównie Peszt. Jako ośrodek rzemiosła i handlu uzyskał on prawa miejskie już w 1148 roku. W 1241 roku spalili go Tatarzy. Napływ obcej ludności, w tym osadników niemieckich, i odbudowa miasta rozpoczęły się za czasów Belli IV. On rozpoczął także budowę zamku w Budzie.

Od 1361 roku Buda jest stolicą Węgier i siedzibą króla. Peszt pozostaje miastem rzemieślniczo-handlowym.

W 1526 roku Turcy zdobyli i ograbili Peszt; w roku 1541 uczynili to samo z Budą. Przebywali na tych terenach do roku 1686. Wypędził ich stąd Karol Lotaryński.

W 1767 roku pierwszy most połączył obydwie miasta. W 1872 roku miasta te połączyły się w jeden organizm – Budapeszt.

Miasto posiada sześć pięknych mostów drogowych i dwa kolejowe. Mosty drogowe mają swoje nazwy. Idąc od północy są to: Arpad, Margit, czyli Małgorzaty, Szechenyj-Lauchid, czyli Most Łańcuchowy, Erzebet, czyli Elżbiety, Szabadsag, czyli Wolności i Petofi, czyli Petofiego.

Buda rozciąga się na terenie pagórkowatym z dwiema kulminacjami: Górą Gelerta (237 m n.p.m.) i Wzgórzem Zamkowym.

Góra Gelerta ma strome, nieprzystępne zbocza od strony Pesztu. Pozostałe stoki są łagodne, zamienione w park. W 1976 roku na szczycie wzgórza wznosił się Pomnik Wyzwolenia z 1947 roku. Poniżej znajduje się Cytadela wybudowana przez Austriaków w okresie Wiosny Ludów dla zastraszenia mieszkańców. Dziś mieści się tutaj hotel, restauracja i winiarnia.

Zamek Królewski wybudowano w 1771 roku. Został on zrekonstruowany w stylu gotyckim i renesansowym. Obecnie mieści się tutaj muzeum. Wzgórze zamkowe łącznie ze starym miastem otaczają mury obronne z wbudowanym w nie Bastionem Rybackim. Obok wznosi się pomnik pierwszego króla Węgier – Istvana I, czyli Stefana I.

Kościół Matyasa. Budowę jego rozpoczęto w XIII wieku. Od XIV wieku był on miejscem koronacji królów węgierskich. Został przebudowany w XV wieku. Od XVI do XVII wieku pełnił rolę meczetu. Przywrócono go do roli kościoła po odbudowie w XVIII wieku. Poddano go rekonstrukcji w końcu XIX wieku, zachowując jego liczne oryginalne fragmenty.

Plac Świętej Trójcy zajmuje centrum zabytkowej dzielnicy. Niedaleko, przy ulicy Świętej Trójcy, znajduje się najłyn-

niejsza budapeszteńska cukiernia. Wstąpiliśmy do piwnicy-winiarni na czerwone wino, do którego podano znakomity chleb ze smalcem zmieszany z duszoną cebulą.

Na Dunaju położona jest Wyspa Małgorzaty o długości dwa i pół kilometra, szeroka na 500 metrów. Znajdują się tutaj kąpieliska z wodami mineralnymi. Przy Moście Małgorzaty bije fontanna. Dalej ciągną się ruiny klasztoru, w którym przebywała Małgorzata – córka Belli IV. Stąd wzięła się nazwa mostu. Drugi brzeg wyspy z miastem łączy most Arpad.

Podziwiamy Parlament – neogotycką budowlę powstałą w latach 1884 do 1904. Jest to najokazalsza budowla w tym stylu na świecie. Ma ona długość 268 metrów, szerokość 116 metrów i wysokość 96 metrów. Mieści w sobie sto pomieszczeń i trzydzieści klatek schodowych. Tu założono pierwsze w Europie centralne ogrzewanie.

Blisko wznoszą się pomniki Rakoczego i Kossutha oraz Galeria Narodowa.

Na Placu Bohaterów (Hosok Ter) stoi pomnik tysiąclecia Węgier: kolumna z aniołem, statua księcia Arpada i półkolista kolumnada z postaciami bohaterów narodowych. Pomnik postawiono w 1896 roku.

Następnego dnia jedziemy do domu po prawie miesięcznej podróży, ściśle, po 29 dnach. Z Budapesztu jedziemy na zachód przez miasto Tatabanya, a zaraz dalej po prostu przez Tata. Mijamy granicę na Dunaju w miejscowości Komaron. Po przeciwnej stronie tej wielkiej rzeki mijamy Komarno i przechodzimy kontrolę paszportowo-celną. Stąd, prawie cały czas na północ, jedziemy przez miejscowości: Nove Mesto, Trenczin, Żylina, Czadna do Tieszina.

Po kolejnej odprawie paszportowo-celnej przejeżdżamy most na Olzie i jesteśmy w polskim Cieszynie. Teraz już prawie bez przerw spieszymy ku Warszawie. W stolicy jesteśmy wczesnym wieczorem w sobotę jedenastego września 1976 roku.



Janusz Uberna, urodzony 5 kwietnia 1929 roku we Lwowie; geolog, specjalista w zakresie geologii złożowej, zwłaszcza złóż rud uranu, pierwiastków rzadkich i fosforytów. Długoletni pracownik Państwowego Instytutu Geologicznego (lata 1951-2002).

Był uczestnikiem wypraw geologiczno – poszukiwawczych w Libii, Algierii i Mongolii. Kierował pracami geologicznymi na Gobi w latach 1984–1990.

Autor powieści „Dalej na wschód”, wydanej w 2012 roku przez Wydawnictwo Zysk i S-ka w Poznaniu.

ISBN 978-83-62989-47-8